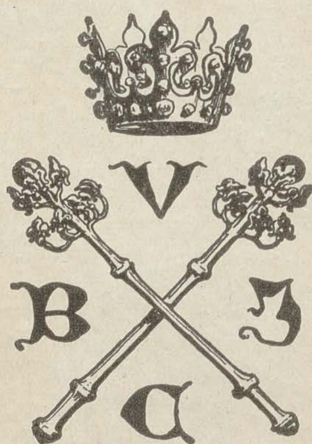
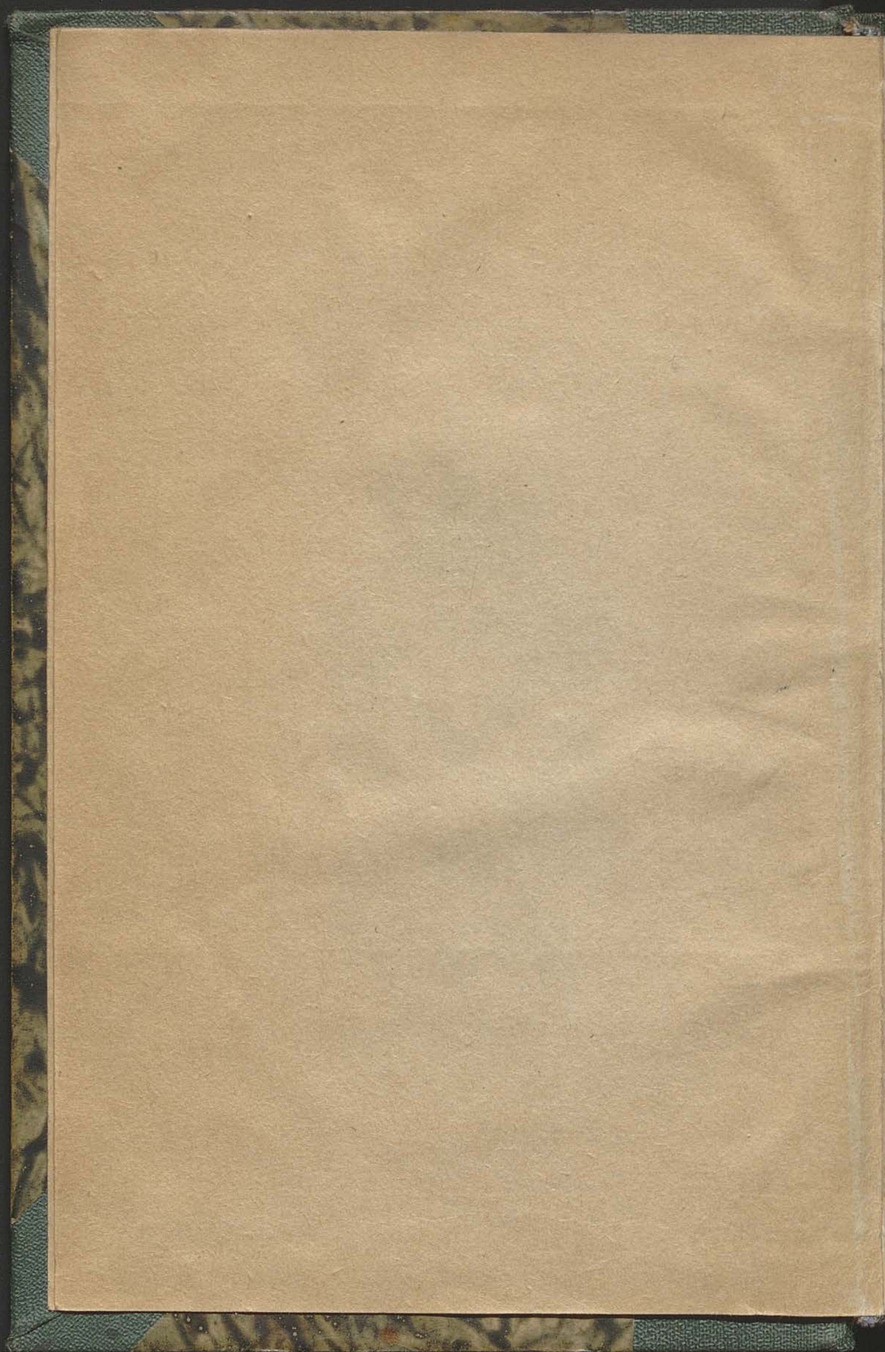
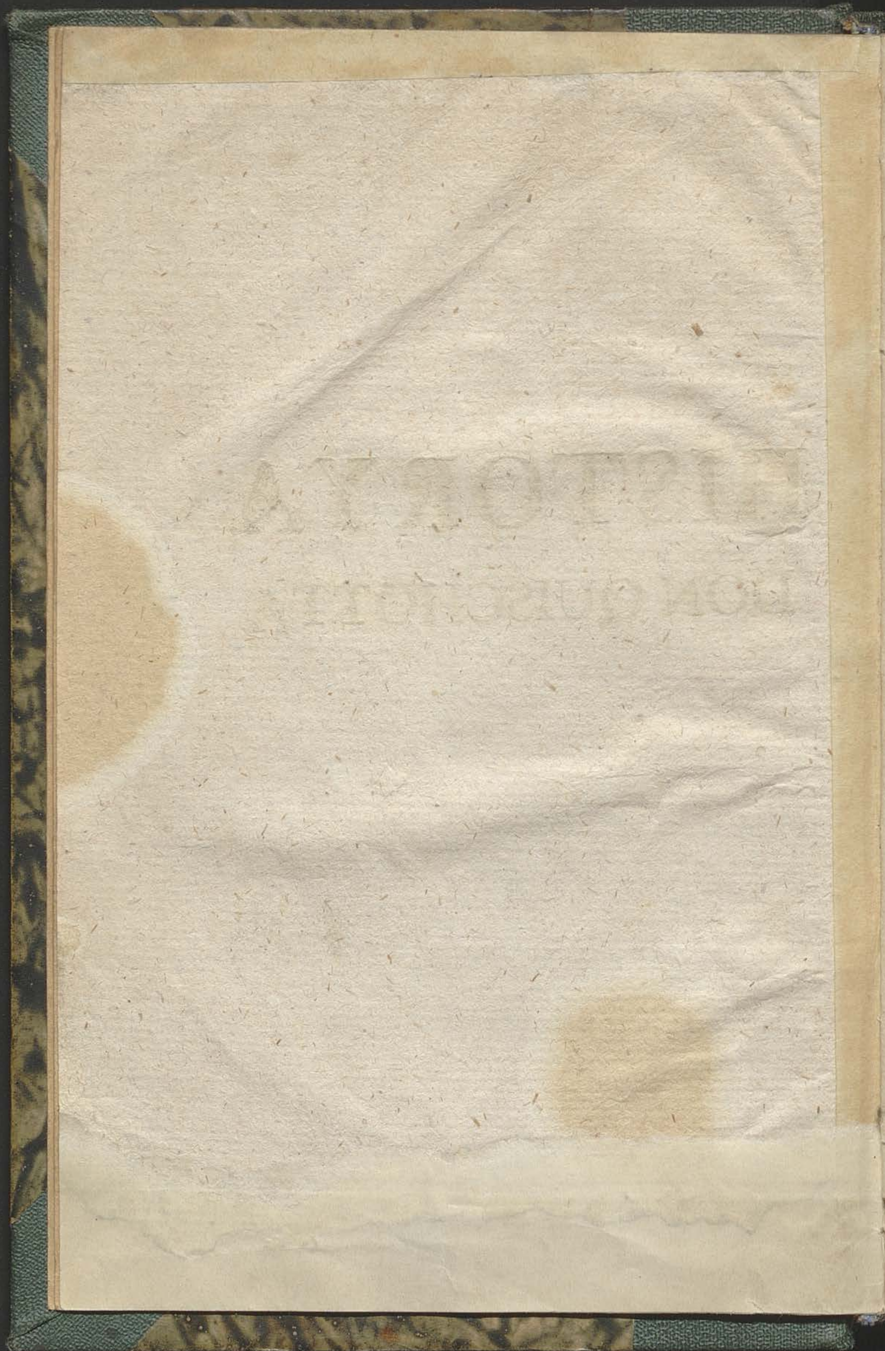

V
B
J
C



HISTORYA
DON QUISCHOTTA




DULCINEA
AMADIS.
ROLANDO
SANCHO
Panca
Don QUIXOTE de la
MANCHA

HISTORYA
CZYLI
DZIEIE Y PRZYGODY
PRZEDZIWNEGO
DON QUISCHOTTA
Z MANCHY

Z HISZPANSKIEGO NA FRANCUSKIE
A TERAZ NA POLSKIE

PRZEŁOZONE
PRZEZ
F. H. P. K. M.

TOM PIERWSZY.



W WARSZAWIE 1781.
U JANA AUGUSTA POSERA
Bibliopoli J. K. MCi.


B C J



HISTORYA DON QUISCHOTTA

TOMU PIERWSZEGO CZĘSC PIERWSZA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O Stanie y Obcowaniu nieporòwnanego Rycerza DON QUISCHOTTA.



W JEDNEY Okolicy Hiſzpanii, ktòrą nazywaią *Manchą*, mieſzkał niedawno pewny Szlachcic z Starożytnych Junakòw, maiący między innemi ſprzętami odwieczną Dzidę zardzewiałą, Rapir od Pradziadòw nie-

dobywany, chudo-kościstego Konia, y sforę Psów gończych: kawał twardey wędzonki na Obiad, Bigos z reszty na Wieczerzą, w Piątek Szoçowica, w Sobotę Jajecznica ze Słoniną po Hiszpańsku; czasem para gołąbiąt w Niedzielę w przydatku, zabierały trzy części dochodu iego rocznego: reszta na oporządzenie była obrócona, które się składało ze zwierzchniey sukni nie naygorszego sukna, spodnie axamitne, trochę przetarte: na co dzień ze zwyczaynego sukna było odzienie. Chował przy sobie Gospodynią, á modniey nazywaiąc Ochmistrzynią, która chociaż się z tym niewydawała, miała więcey cóżkolwiek nad lat czterdzieści, y Siostrzenicę, która nie miała dwudziestu. Służącego trzymał, co y do domowey posługi, y do Gospodarstwa bywał używany: doglądał Rumaka, y do Boru po drwa ieździł. Wiek naszego Rycerza zbliżał się do piąciudziesiąt lat. Był mocnego złożenia ciała, wytrzymały, chudy na twarzy, suchy w sobie y wywiędły; lubił rano wstawać, y siła polować. Niektórzy go nazywaią *Kwiksadą*, czyli *Kwesadą*. Dziejopisowie, co o nim namieniali, różnią się w tey mierze: iakożkolwiek bądź; iest do podobieństwa, iż się zwał *Kwisadą*, ale to

mniey

mniey należy do opiſania ninieyſzego; aby tylko w iſtocie rzecz wiernie y prawdziwie była wyrażona. W te dni, kiedy naſz Pan Szlachetny nie miał co do czynienia, á to ſię trafiało przynaymniey przez trzy Części Roku; zabawiał ſię czytaniem Kſiąg dawnych Bohatyrów z tak mocnym natężeniem y lubością, iż przepomniał często polowania, y domowego ſtarania; tak dalece ſię zapędzał w tę zabawę, iż powiedaią, że kilka kawałow gruntu odprzedał, aby nakupił Romanſów, że niemi Dom napełnił. Z tey wielości Kſiąg żadna mu tak nieprzypadła do upodobania, iak: *Zbior Powieści Felicyana Sylwy*; zachwyconym był prawie czyſtością iaſnych iego, (iak mniemał), wykładów, wſzyſtkie niezrozumiane, pokłócone dziwactwa, zdawały mu ſię wyborne, y głębokich myśli pełne. Nigdy mu ſię nieprzykrzyło czytać liſtów iego miłośnych y powabnych. Te mu ſię zdawały naypięknieyſze wyrazy, iako: *Nieuwaga zniewagi, ktòrą ſprawuieſz w moiey uwadze, tak niſzczy moią równą wagę, iż nie bez wagi żalę ſię na twoiey piękności powagę.* Y to drugie mieyſce nieporownane mu ſię widziało. *Wyſokie y wſpaniałe nieba, ktòre iak Boginią czcić; Bòſtwa przymiotow y Gwiazd ozdobą cię umacniaią, da-*

iąc ci ziednać godności wyiednanie, ktòrą prźeiednała zacność Twoia. W pośrzód tak osobliwych rozważaniów nasz Kawaler nieborak utracał nieznacznie rozum, suszył sobie próżno mózg nad poięciem, co znaczyły te zawiłości; y tym pięknieysze ie znaydował, im mniey rozumiał. Niemógł się uspokoić nad ranami, które *Don Belianis* odbierał y zadawał, zważaiąc: że chociażby naydoskonalsi byli Cyrulicy, co go leczyli, srogie znaki y szramy iednakby się zostać musiały. Przecięż szacował wiele Pisarza tego dzieła, y nie raz brała go chęć dokończyć iego Księgi, która została niezupełna: w pośrzód powieści dziwnego przytrafienia. Byłby tego dokazał, y pewno ze skutkiem pomyślnym, gdyby mu inne przywidzenia głowy nie zaprzątnęły. Miewał częste sprzeczki z Xiędzem Plebanem swoiey Wsi, Człowiekiem trochę uczonym, y w Cyquenckiey Akademii wyzwolonym: względem zacności przewyższaiącey *Palmarina z Oliwy*, nád *Amadisa z Gallii.* Acz Mayster Mikołay, Balwierz tego mieysca, utrzymywał silnie, że żaden Rycerz niezrównał się nazwanemu od Słońca, y ieżeliby mógł który z nim wchodzić w porównanie, to chyba *Don Galoar*, Brat *Amadisa*, któremu nieustępował tamten nic;

nawet

nawet co do dzieł Rycerſkich: ſłowem, naſz Szlachcic tak ſię w dał daleko w czytanie, że dni y nocy nad tym trawił; przeto nieſpiąc, tylko uſtawicznie mozoląc ſię nad Kſięgami, mózg ſobie przewrocił, y rozum prawie utracił. Nabił ſobie głowę wſzyſtkiemi troycudami, co wyczytał: y można mówić, iż w niey miał prawie, iak ſkład czarodzieyſtw, przedzierzgnień, wyzwaniów, poiedynków, ſpotyczków, ran, miłości, przymileń pieſzczonych, cierpienia, y udręczenia kochaiących, y tym podobnych bałamutni. Zaprzątnął ſobie myśli tym, co z *Romanſów* pochwycił, y ſądził, iż niebyło prawdziwſzych Dzieiów na świecie, nad te wymyſły. Mawiał: iż *Cyd Ruy Dias* był doſkonały Kawaler, ale niemógł wchodzić w zapędy z Rycerzem ſzpady ogniſtey, który iednym cioſem pałaſza, rozdwoił ná wſkroś dwóch Olbrzymow niezmierney wielkości. *Bernard Karpio* był mu miły bardzo, iż na polach w *Roncewo* zwyciężył *Rolanda*, chociaż ten był zaczarowany, używaiąc *Herkuleſa* ſkładności, który uduſił w ręku *Antheuſza* ſrogiego Syna Ziemi. Bardzo wyſławiał także Wielkoluda *Morgana*, który będąc rodu zuchwałego y nieużytego tych Mocarzów, iednak dość ludzkim y przyiemnym

mnym się okazał; ale żadnego tak nielubił, iak *Rinalda z Montoban*, osobliwie gdy go zważał, iak z Zamku swoiego wyieżdżał, aby odzierał podróżnych, y kogo tylko spotkał. Gdy z *Barbaryi* wykradł Posąg Mahometa cały ze złota lány, iak wieść niesie. Co zaś za zdraycę *Ganelona* dałby całym sercem Siostrzenicę swoią, y w przydatku Ochmistrzynią, aby mu odliczyć sto batogów na obie strony. Nareszcie maiąc iuż rozum pomięszany, przyszło mu do umysłu osobliwsze przedsięwzięcie, które się mogło kiedy w pustey głowie pomieścić. Rozumiał nic lepiey nie modz udziałać dla ocalenia Państwa, y sławy nieśmiertelney nabycia: iak się uczynić Kawalerem błędnym, ieżdżąc po świecie, szukać przypadków różnych, pokrzywdzonym dawać pomoc, na wszelkie niebespieczeństwa się narażać, dla pozyskania chwały wiekopomney. Roiło się w głowie nieboraka Szlachcica, iuż uwieńczonym zostawać, przez niezwyciężonego ramienia swoiego potęgę, y coby naymniey mógł otrzymać w nadgrodę swey dzielności, to przynaymniey Cesarskie Państwo *Trebizondy*. Pomiędzy temi przyiemnemi omamieniami, pociechą niezmierną przeięty, którą w tym marzeniu znaydował, nadęty

oraz

oraz ufnością zwycięſtw pewnych, o niczym niemyślił, tylko o prętkim wykonaniu ſwoich zamyſłow, y chęci natarczywych. Pierwſza czynność, do ktorey ſię udał, była wyſzlufowanie Broni, ktorą zaniedbaną w ciemnym zakącie, y od drzdzy wpół ziedzoną z Pradziadow dziedziczył: wychędożył ią, y ponaprawiał, iak mógł, nay kſztałtniey: ale widząc, że zamiaſt Szyſzaka całego, niebyło tylko część nagłówka, reſztę dowcipnie z papieru kleionego dorobił, poſpołu to ſtuliwſzy, zrobił ſobie nakſztałt Hełmu, á przynaymniey coś podobnegó; lecz trafiło ſię, iż chcąc doświadczyć, ieżeli był dość mocny od cioſow pałaſza, dobywſzy ſwoiego, o raz ieden uderzywſzy zgruchotał, co przez tydzień z biedą ulepił. Ta łatwość zepſucia ſię zbroyney ſztuki niepodobała mu ſię. Chcąc zapobieżyć dalſzym przypadkom, na nowe ią mocniey ſkleił, włożywſzy we śrzodek żelazne klamerki, tak dalece: iż będąc z niey kontent, iuż więcey niedoświadczał, maiąc ią za uzbroienie przedniego Dziwieru, y na wſzelkie razy wytrzymałą. Myślił zatym o ſwoim koniu, który ile nog miał, tyle kaleſtwa, y ſkurę tylko á kości noſząc, niemieniałby go iednak za Bucefała, Alexandra, lub Cyda dziel-

nego

nego Rumaka, tak dobrze o nim rozumiał. Cztery dni rozmyślał, iakieby mu dać przezwisko; bobyto było naywiększą nieprzyzwoitością, mówił: żeby koń tak walecznego Kawalera niemiał osobliwego przydomku światu całemu wiadomego. Dla tego szukał wynalazku iakiego, któryby mógł to oznaczyć, co był przedtym, nim został Rumakiem Kawalera błędnego, á iakowym się stał przez tę odmianę. Y tak zważał, iż sam odmieniwszy stan, słuszna rzecz, iżby y koń iego ulubiony przemienione miał iakby iestectwo, á pozyskał znakomite iego czynności, przystosowane nazwisko. Długo się bieduiąc z myślami, przyczyniaiąc, umnieyszaiąc, dodaiąc y uymuiąc, na reszte go nazwał *Rossinantem*: Imię w iego umyśle okazałe, y wiele znaczące, godne naypierwszego Kawalera na świecie konia. Znalazłszy tak pikne nazwanie swoiemu Rumakowi, myślił sobie także wyszukać przyzwoite, y tydzień cały strawiwszy nad mozoleniem głowy, mianował się *Don Quischottem*, co było pobudką do wierzenia Dzieiopisowi tey prawdziwey Historyi, że się musiał zwać *Quixada*, nie *Quesada*, iak inni mniemali. Ale nasz Bohatyr przypomniawszy sobie, iż Mężny *Amadis* nieprzestał na własnym Imieniu; lecz przydał

swey

ſwey Oyczyzny y Państwa znamienitość; aby ſię tym ſławnieyſzym uczynił, y *Amadis z Gallii* ſię tytułował; y naſz podobnież przyſwoił Kraiu właſnego przydatek, y *Don Quiſchottem* z *Manchy* ſię ogłoſił, myśląc, iż przez to iego rodowitość y mieyſce początkowe będą na cały świata okrąg głośne y zalecone. Wychędozywſzy tedy należycie broń, z pół ſzyſzaku zrobiwſzy cały, przydawſzy nazwiſko ſwoiemu Ogierowi ſtaremu, y ſobie pięknie brzmiące: rozumiał, iż mu iuż na niczym nie zbywało, iak wynaleść Damę godną iego kochania; albowiem Kawaler błędny bez miłości, ieſt iak drzewo bez liści y owoców: ſłowem, iak Ciało bez Duſzy. Bo gdyby przez nieſzczęście (ſam z ſobą tak rozmawiał) á raczey na moiey pomyślności zaſzczyt, ſpotkałbym ſię z iakim Wielkoludem, iak ſię zwykło trafiać Kawalerom błędnym, y za pierwſzym razem, o ziemię bym go uderzył, albo rozciął na dwoie, y zwyciężył, czyż nie lepiey mieć komu go darować? Który będąc przymuſzonym udać ſię do moiey ulubioney, y klęknąwſzy przed nią, mówić by muſiał głoſem pokornym y czci pełnym: Mościa Dobrodzieyko, ia ieſtem Wielkolud Karakuliambro, Pan Wyſpy *Malindranii*, którego

niezwy-

niezwyciężony, y nigdy niewysławiony Rycerz *Don Quiſchott* z *Manchy* pokonał w oſobliwym poiedynku; z iego rozkazu przyſzedłem upaść do nog Waſzey Wielmożności, abyś mną rozrządziła, iak ſwoim poddanym, y niewolnikiem. O iak naſz Rycerz był z ſiebie kontent, gdy tę piękną rozmowę ułożył, y iak ſię cieſzył potym, gdy znalazł kogo uczynić ſerca ſwoiego Panią. Była to, iak ſię domyślaią nie ſzpetna Dziewka Córka kmiecia iednego z iego Wſi, w ktorey ſię był nieiaki czas kochał, choć ona o tym ani wiedziała, ani dbała. Nazywała ſię *Alonza Lorenzo*, y tę od tey chwili utworzył zaraz Panią ſamowładną wſzyſtkich ſwoich myśli, potym iey chcąc dobrać imienia, ktoreby niemniey ſławne było, iak iego, y miało iakoweś podobieńſtwo do Xiężniczki: mianował ią *Dulcyneą z Toboſo*, bo w ſamey rzeczy była z tey Wſi, y to nazwanie niemniey mu ſię upodobało, iak konia iego, y własne ſwoie.

ROZDZIAŁ II.

O Pierwſzey wyprawie DON QUISCHOTTA.

NAſz Rycerz uprzątnąwſzy te wſzyſtkie zapobieżenia, nie chciał dłużey czekać, aby ſię nieoddał uſłudze powſzechney, rozu-

rozumieiąc: że iego opoźnienie uczyniłoby go winnym tego wſzyſtkiego, coby złego na świecie ſię ſtało, y było do poprawienia nieſłuſzności y nieprawości, którymby mógł zapobieżeć. Y tak niewydaiąc ſię z tym, co zamyślał: iednego poranku przededniem w naygorętſze dni mieſiąca Lipca uzbroiwſzy ſię od ſtop do głowy, wſiadł na *Roſſinanta*, wziąwſzy Tarczą y Dzidę w ręce, tylną fórtką, ſkrycie wyiechał w pole, radością napełniony widzieć uſkutecznienie tak pięknego zamyſłu ſwoiego z wſzelką łatwością. Acz ledwie zaiechał o ſto kroków od Domu, ſtraſzna ſumnienia zgryzota ledwie go nazad niewróciła, y prawie nieprzywiodła do odſtąpienia na zawſze tak chwalebnego przedſięwzięcia. Przypomniał ſobie, iż niebył uzbroionym Rycerzem, y że według Praw Rycerſtwa błędnego niemógł y niepowinien był zpotkać ſię z żadnym Kawalerem, y chociażby iuż nim zoſtał, należało mu noſić w przod broń bez znaku, iako nowy Rycerz, y bez napiſu we ſrzodku, ażby ſobie ten zaſłużył przez moc ſwoiey Ręki. Te uwagi dały mu ſię zachwiać w pieknie zaczętym Dziele. Acz ſzaleńſtwo ſwoie maiąc mocnieyſze nad wſzyſtkie rozważania, umyślił dać ſię uzbroić Rycerzem,

przez

przez pierwſzego, kogoby ſpotkał na drodze, przykładem wielu innych, którzy tak uczynili: iako wyczytał w ſwoich Kſięgach. Przez to zaſpokoiwſzy umyſł, daley ſię puścił w drogę, niezważaiąc gdzie? tylko kędy go koń iego zaprowadzi, rozumieiąc, iż na tym zawiſła treść przygodów. Y tak iadąc głęboko zanurzony w myślach; iaka pociecha (mówił do ſiebie) wiekom potomnym czytać dzieie moich ſławnych zwycięſtw. Ten Mędrzec, który ie piſać będzie, tak zapewne zacznie: opiſuiąc moią pierwſzą wyprawę. „ Ledwie promieniſty Luminarz zaczynał rozpuſzczać po-
„ złociſte warkocze białoświetnych wło-
„ ſów ſwoich na okrąg ziemi, maleńkie
„ ptaſzyny witać tylko poczęły ſłodką me-
„ lodyą rumianną Jutrzenkę, która wſta-
„ iąc z łoża zawiſnego Oblubieńca, dążyła
„ ukazywać ſię żywiołom na pſtro złoci-
„ ſtych Galeryach Horyzontu *Manchy*;
„ gdy waleczny Rycerz *Don Quiſchott* nie-
„ przyiazny podłemu ſpoczynkowi, y
„ miętkości puchow, wſiadł na ſwoiego
„ wybornego *Roſſinanta*, wyiechał na da-
„ wne y znakomite pola *Montielſkie*, (bo
„ tam w ſamey iſtocie znaydował ſię)
„ Szczęśliwy wiek! przydał: y czaſy uwiel-
„ bione, które ſą godne widzieć moie wiel-

„ kie

„ kie y nieporównane Dzieła warte być „ wyryte na miedzi y marmurze, aby słu-„ żyły za dowod Mężności y przykład „ wiekom przyszłym. O! ty rozumny „ Czarnoxiężniku, ktòrykolwiek będziesz, „ co ci się zdarzy szczęście pisać te pra-„ wdziwe, y przecudowne czyny, nieza-„ pomniy, proszę cię uwiadomić Poto-„ mności o żwawości y sprawności mo-„ iego dobrego *Rossinanta* wiernego, „ nieodstępnego Towarzysza wszystkich moich przypadkow. Od tey rozmowy do inney skoczył razem, iak gdyby do prawdy był zakochanym. „ O! Xiężni-„ czko *Dulcineo!* zawołał: Pani moiego „ serca zniewolonego, wielką mi krzywdę „ uczyniłaś, wyganiaiąc mię ze swoiey „ obecności, y z tak przykrą srogością, „ rozkazuiąc mi nigdy się niepokazywać „ przed Obliczami twoiey piękności. Pa-„ miętay wielkomyślna, y iedynie moie-„ mi myślami samowładnąca, iak wiele „ miłość, ktòrą ku tobie pałam, starania „ y cierpienia iest mi przyczyną. „ Tak przez całą drogę ciągnął rozmowę, ze swemi przywidzeniami się spieraiąc, y tysiąc podobnych, co w Książkach wynalazł brydni, ktòrych naśladował, iak mogł nay-lepiey wyrazy. Y tak był zachwycony

temi dziwacznemi zamyſłami, iż ſię nie poſtrzegł, gdy Słońce doſzło w ſame południe, y proſto na głowę promienie gorące mu dopiekały, iżby nie trzeba gorzey, aby reſztę mozgu utracił, gdyby go miał. Ten cały dzień ieżdżąc, nic mu ſię nieprzydało oſobliwego y wartego powiedzenia, co go do rozpaczy prawie przywodziło, taką miał niecierpliwość ſprobowania ſiły ſwoiego męſtwa. Niektòrzy Dziejopiſowie mniemaią, iż pierwſza przygoda, ktòra ſię zdarżyła naſzemu Rycerzowi, była w Porcie *Lapijſkim*, inni upewniaią, że z Wietrakami ſpotyczka poprzedziła, ale com mògł odkryć w tey mierze w Rocznych Dzieiach *Manchy*, to, że dzień cały włócząc ſię, wieczorem iuż koń y Pan tak zgłodniali y znużeni zoſtali, że w pòł nieżywi prawie byli, y ledwie mogli ſię na nogach utrzymać. Tym czaſem *Don Quiſzott* oglądaiąc ſię na wſzyſtkie ſtrony, ieżeliby nieodkrył gdzie Zamku iakiego, á choćby tym czaſem chłopſkiego Budynku dla ſpoczynku; uyrzał karczmę na trakcie, zdawało mu ſię, iakby zobaczył gwiazdę polarną, ktòra go do ſzczęśliwego Portu wybawienia prowadziła, zwarł oſtrogami Rómaka, który choć wcale zmęczony biegł, iak mógł, iż ſtanął przecież bliſko tego Domu Gościn-

nego

nego ſamym mrokiem. Trafunkiem tam-
były dwie proſte Dziewki, z tych, co na-
zywaią dobrey woli, które ſię przebiera-
ły do *Sewilyi* z podwodnikami Mułów ma-
iącemi nocować w tey karczmie: á że naſz
Ochotnik miał głowę nabitą cudakami *Ro-
manſów*, y ſądził o wſzyſtkim według te-
go ułożenia pozoru, iak z poſtrzegł kar-
czmę, zdawało mu ſię oglądać Zamek o-
bronny ze czterema wieżami, nie przepo-
minaiąc moſtu zwodzonego, y okopów z
wſzyſtkiemi przydatkami, których Piſarze
nieomięſzkuią wyrazić przy ſwych Zam-
kach. Zatrzymał ſię troche o kilka kro-
ków od tey nowey Fortęcy, oczekuiąc,
ażby Karzeł zatrąbił w róg z weieży daiąc
znać, iż przybył nowy Kawaler; ale wi-
dząc, że Karzeł długo bawił z daniem
haſła, *Roſſinant* też nie cierpliwy był, do-
ſtać ſię prętko do Stayni, przybliżył ſię
do drżwi, gdzie, iakom namienił: zoczył
te dwie kobietki, które mu ſię wydawały
dwie znakomite Damy, co ſię, chłodziły
przed bramą Zamku. Zdarzyło ſię wła-
śnie do rzeczy, że tam bliſko Paſterz, wie-
prze paſący zatrąbił kilka razy w róg dla
zgromadzenia trzody ſwoiey. *Don Qui-
ſzott* wziął to zaraz, iak ſobie życzył, za
dowód, iż Karzeł dawał znać o iego przy-
byciu.

byciu. W net z radością niewymowną przyſunął ſię do drzwi, y tych Dam mn . manych, które do Izby uciekały, zląkłſ y ſię tego cudaka uzbroionego w pół uſz , z dzidą y Tarczą w ręku. Ale *Don Q - ſzott* ſądząc o ich przeſtraſzeniu przez u- cieczkę, podnioſłſzy Szyſzaka podkleio- nego, y odkrywſzy ſuchą y zakurzoną Twarz, rzekł im z przymileniem y gło- ſem ſtałym. Nieuchodźcie Moście Panny, nie macie czego ſię obawiać. Poſtanowie- nie Rycerſtwa, którego ia obrządki zacho- wuię, niedozwala mi urażać nikogo, á tym bardziey tak pięknych y cnot wych Dam, iak was znayduie. Zaſtanowiły ſię, y z podziwieniem zważaiąc dziwną po ſtać naſzego Rycerza, którego ladaiaki Hełm w pół twarzy tylko odkrywał, ale iak u ſły- ſzały ſię nazywać Mciom Pannami, co im ſię nigdy nietrafiło, niemogły ſię w ſtrzy- mać od śmiechu tak dalece, że *Don Qui- ſzott* niewiedząc powodu: rozgniewał ſię do prawdy, y rzekł im. Skromność y wſtrzemięźliwość ſą przyzwoite bia ley płci y piękności, to ich podziałem być zwykło, ale śmiać ſię bez przyczyny ieſt to proſtota podobna do nierozumu. Nie- mówię ia to moie Panny, abym was ura- ził, bo w iſtocie niemam innego ułożenia,

iak

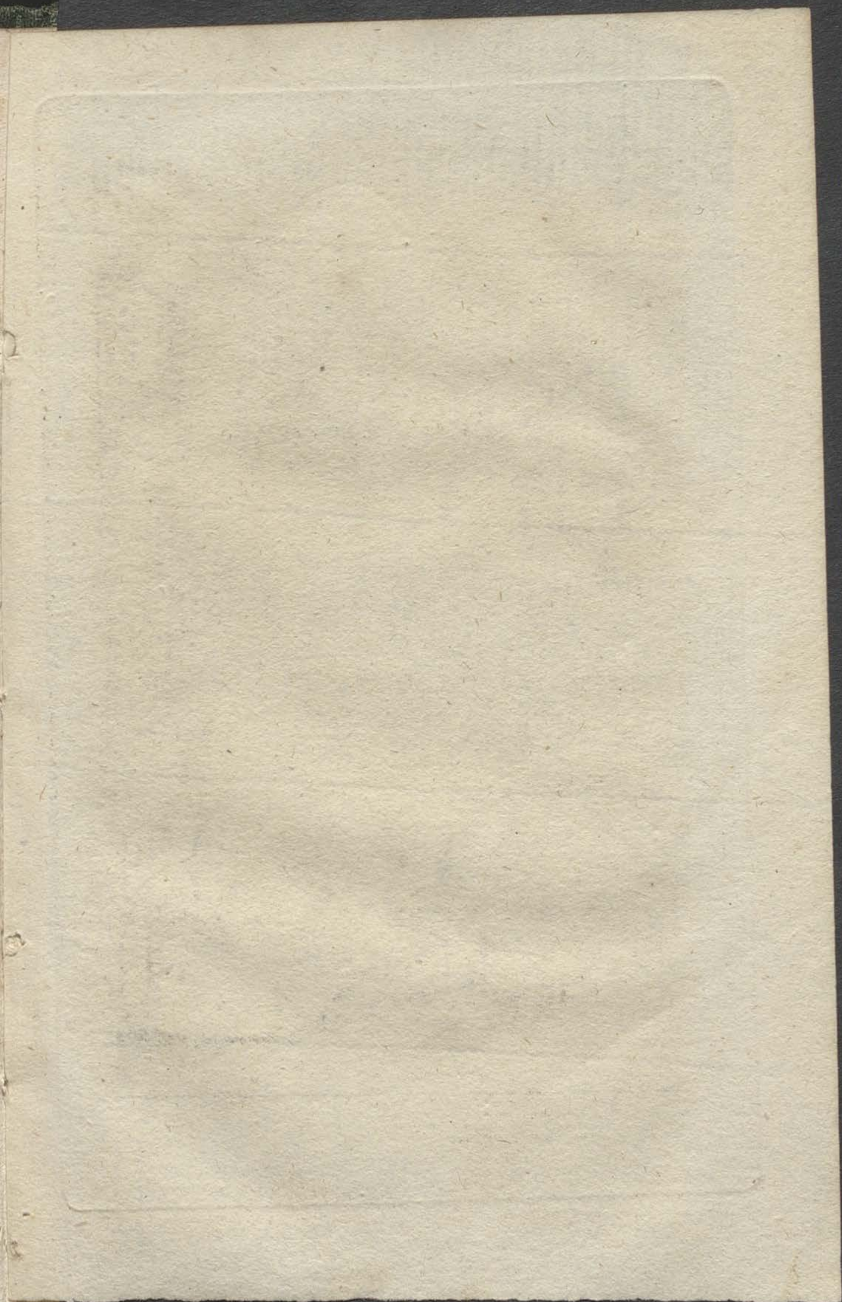
iak wam czynić przyſługi. Tak nowy dla nich ſpoſob rozmowy przyczyniał im chęci do śmiechu, co powiękſzało iego zmartwienie, y zapewne by ſię niewſtrzymał od dalſzey odpowiedzi, gdyby w tym razie Goſpodarz ſię nieokazał. Ten zważywſzy poſtać tak dziwną y śmieſznie uzbroionego Człowieka w tym ubiorze z Dzidą, Tarczą y innemi kawałami Zbroi, niemniey miał chęci śmiać ſię do rozpuku, iak te kobiety, atoli bardziey obawiaiąc ſię narzędzia Woyſkowego, niewiedząc, co znaczyło, umyślił obeyść ſię z uſzanowaniem: Rzecze zatym do niego. Mci Panie Kawalerze, ieżeli W. Pan chceſz tu nocować? nic mu nie zabrakuie, oprocz łożka, reſzty tu doſtanie wſzyſtkiego w obfitości. *Don-Quiſzott*, widząc grzeczne obeyście ſię Rządzcy Zamku; bo mu tacy wydawali ſię y Dom Gościnny y Karczmarz, odpowiedział: dla mnie Mości Panie Kommendancie nietrzeba wiele, małą rzeczą ſię kontentuię, niewyſadzam ſię na wymyślność, ani zbytnie ſtroie, iak W. Pan widziſz, broń ieſt moią naywiękſzą ozdobą y całym ſprzętem, á ſpotyczki moim odpoczynkiem. Karczmarz wprzod niezrozumiał, za co go *Don Quiſzott* nazwał Kommendantem, acz że to był frant z *Andaluzyi*

od brzegòw *San Lukara* trochę zboyca, z przyrodzenia złośliwy. Takim fpofobem Mci Panie, odpowie mu: kamień pod głowę będzie fmacznym fnem, dla W. Pana, y widzę, że mało fypiafz, iak Zołnierz na warcie, to będąc, racz W Pan z fieść z konia, z naydziefz tu nie tylko na iedną noc, ale na cały Rok mieyfce zdatne do podobnego w czafu: to powiedziawfzy, przytrzymał mu ftrzemienia, aby lżey z fiad', ktòry z wielką cięfzkością zlazł z konia, iako Człowiek zbroyny, y ktòry o godzinie dzi wiątey wieczor iefzcze nieiadł ani śniedania. Kawaler nafz profił Gofpodarza, aby kazał Ludziom fwoim mieć wfzelkie ftaranie, y paść iak naylepiey iego konia, upewniaiąc: iż między ftworzeniami, ktòre obrok iedzą na świecie niebyło lepfzego, Karczmarz go pilnie zważaiąc, nieuznał za tak dob ego, y przez połowę, iak *Don Quifzott* udawał. Kazawfzy opatrzyć konia w ftayni, przyfzedł z obaczyć, czego by potrzebował Rycerz, znalazł go: że mu broń odeymowały mniemane Damy, z ktòremi fię iuż był poiednał. Odwiązały mu kirys y karwafze, iak przyfzło do głowy niemogły pr ez wfzyftkie fiły ściągnąć ani oboyczyka, ani zdiąć Szyfzaka, ktòre były zielonemi wftążkami tak po-

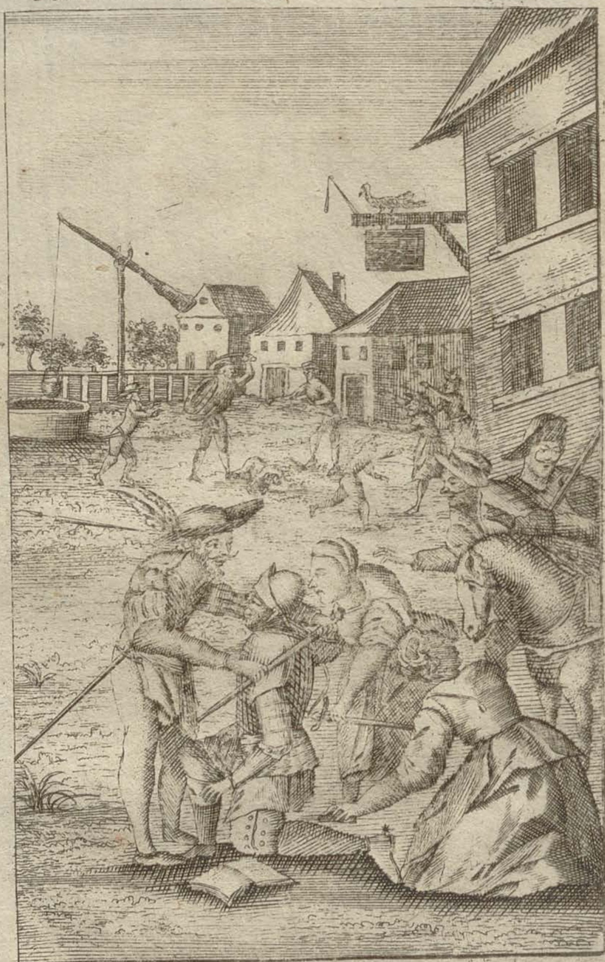
krępo-

krępowane, iż węzłow niepodobna było rozwiązać bez przerznięcia, czego on niechciał dopuścić żadną miarą, y tak całą noc z głową zbroyną leżał, co śmieszną y dziwną wydawało postać. A że te stworzenia brał za Damy mieszkaiące w tym Zamku, y za znaczne Osoby, rzekł im z przymileniem: nierozumiem, aby kiedy Kawaler podròżny był tak dobrze przyiętym od Dam, iak *Don Quiszott.* Piękności Boginie maią o nim staranie, á Xiężniczki o iego koniu *Rossinancie*! iest to nazwisko moiego konia, á *Don Quiszott* z *Manchy* moie, ktòregom niemiał myśli odkryć, ażbym dla ich przysługi, iaką dzielność okazał, coby go wsławiła. Zdarzenie to, przybaczywszy mi niedawne dzieie *Lancelota*, było powodem wyiawienia go przed czasem, ale przyidzie ta pora, gdzie spodziewam się być uszczęśliwionym ich rozkazami, y dam im poznać przez ściste posłuszeństwo, oraz waleczność moiego oręża żądanie usilne, iakie mam okazać im nayniższe moie usługi. Te Kobiety nieprzyzwyczaione do podobnych uczczeń, y tego nierozumieiąc, nic mu też nie odpowiedziały, ale go się spytały, ieżeliby się czym neposilił? Całym sercem, odpowie *Don Quiszott*, y niebędzie to od rzeczy.

Był Piątek, y iak na złość niebyło w całym Domu nic do iedzenia, tylko kilka kawałków Dorszu, ktòry nazywaią w niektòrych mieyscach Hiszpanii *Truchuela*, co się znaczy iakby małe Pstrągi, zaczym go się spytali, ieżeli będzie ieść tę *Truchuelą*, on rozumieiąc że o Pstrążkach mowa, aby ich było wiele, odpowie: staną za iednego dużego Pstrąga: Jako sześćdziesiąt groszy warte są zawsze dwoch złotych; y może Pstrążki będą nakształt Jagnięciny, ktòra iest smacznieysza niż Skopowina; á wreście niech będzie co chce, aby wnet dano, bo ciężar zbroi, y utrudzenie; są zaostrzaiące appetyt, trzeba sił nabrać. Postawili mu stolik przed karczmą dla chłodu, y Gospodarz mu przyniosł kawał Dorszu źle ugotowanego, á ieszcze gorzey przyprawnego, chleba do tego czarnego y spleśniałego; było to widząc, pukać się od śmiechu, iak iadł, bo Szyszak w pòł papierowy tak był ściśniony, że gęby prawie niemògł otworzyć, y swoią ręką dostać, musiała iedna z tych uczciwych kobiet tę mu czynić przysługę, y karmić go: iadł przecież z mocnym smakiem, ale iak przyszło pić, niemożna wcale, trzeba było cierpieć pragnienie y obeyść się bez napoiu, aż Gospodarz domyślił się trzciny kawałek



Tome 1. No. 1.



Kärega sc.

łek przedziurawić, którey ieden koniec mu w gębę wetknął, á drugim wino lał. Dobry Szlachcic znosił to wszystko cierpliwie, y wolał wytrzymać tę niewygodę, iak dać porznąć wstęgi sztucznego *Hełmu*. Gdy się to działo, nadiechał Kotlarz do karczmy, który świstnąwszy kilka razy, y biczem trzasnąwszy, przez tę wdzięczną Harmonią utwierdził tym więcey naszego Rycerza w mniemaniu, iż to był sławny iakiś Zamek, rozumiał, że mu Koncert graią do Stołu, y Dorsz twardy tym bardziey zdawał mu się Pstrągiem, Chleb gruby miał za Bułkę pszenną; te biegaski stały się Damami znacznemi, karczmarz Panem maiętnym, do którego ten Zamek należał. Był mocno rad, ze swoiego pierwszego wyiechania, y ta pomyślność czyniła mu otuchę naylepszą przyszłości. Jedna rzecz go tylko trapiła, że niebył ieszcze uzbroionym Rycerzem, bo w tym stanie niemógł dopuścić się prawnie żadney spotyczki.

ROZDZIAŁ III.

O Sposobie, kształtnym, którym się DON-QUISZOTT *dał uzbroić Rycerzem.*

NAsz tedy Rycerz niespokoynością trapiony, iakośmy namienili, skromną dość wieczerzą skrocił, y porwawszy się

od Sto.

od Stołu nagle, zaprosił z sobą karczmarza do Stayni, zamknąwszy wrota y klęknąwszy przed nim, rzecze z żywością: niewstanę nigdy z tego mieysca waleczny kawalerze, dopóki wasza wielmożność niewyświadczysz mi iedney łaski, o którą go zaklinam, co będzie ze sławą W. Pana y pożytkiem całego świata. Ten zadziwiony, widzieć go u nóg swoich, y uczczonego tak wysoko, patrzył na niego, nie wiedząc co czynić, lub co mówić, upierał się, aby go podnieść, ale na próżno, aż mu przyobiecał, że uczyni to, czego się domaga. Nie czego innego się spodziewałem, z iego grzeczności, odpowie *Don Quiszott.* Dobroczynność, o którą go proszę, y W. Pan raczysz mi tak łaskawie przyobiecać, ta iest: aby iutro, iak świt tę mi okazałeś Dobroć, y uzbroiłeś mię Rycerzem, á przez tę noc pozwoliłeś mi odprawić straż broni, w Kaplicy swoiego Zamku, abym się przygotował przyiąć tak wysoki Urząd, którego pragnę z niezmierną gorliwością, y który mię postawi w stanie szukania przypadków we wszystkich częściach świata, daiąc pomoc uciśnionym, y karząc przestępnych według Praw Rycerstwa błędnego, którego się zaszczycam ozdobą, Karczmarz który, iakom namienił był frant, y

poro-

porozumiał trochę ſzaleńſtwa Kawalera, tym bardziey ſię utwierdził przez takowe wyrazy iego, y aby ſobie przyſpoſobić pobudkę do śmiechu y zabawki, umyślił zadoſyć uczynić iego żądaniu. Rzekł mu tedy, iż bardzo dobrze natrafił w ſwym przedſięwzięciu, y niemogł lepiey wybrać, że nic nie było godnieyſzego nad to dla Kawalera znakomitego, iako o nim ſądzić można z iego pozoru dobrego. Iż y on w młodości udał ſię był do tak poważnego Dzieła, ieżdżąc po różnych częściach świata ſzukać przypadkow, nieopuſzczaiąc żadnego kąta przedmieściow *Malagy*, Wyſpòw *Riaran*, Okolic *Sewilyi*, Rynkow *Segowy*, Gor Oliwnych *Walencyi*, Ratuſza *Granady*, Morſkich brzegow *San-Lukara*, Portu *Korduy*, y naymnieyſzych Szynkowniow *Taledu*, gdzieby ſzybkością nóg, y biegłością rąk niedokazywał: czyniąc wſzędzie, iak można naygorzey, Wdowom ſię naprzykrzaiac, z Pannami źle ſię obchodząc, oſzukuiąc głupich, ſłowem: ſwe Imię wſławiaiąc we wſzyſtkich Sądach Hiſzpanii, na reſztę ſię do tego Zamku przenioſł, gdzie żył ze ſwoich y z cudzych dochodów, przyimuiąc wſzyſtkich błędnych Rycerzòw, iakiegokolwiek ſtanu y urzędu bądź; przez przy-

wiąza-

wiązanie iedynie, co miał do nich, aby z niemi dzielić wſzyſtek Maiątek za te przyſługi, co światu czynili. Przydał, iż niebyło Kaplicy w iego Zamku, bo kazał ſtarą obalić, chcący pięknieyſzą wymurować, ale o tym wiedział dobrze, iż w czaſie potrzeby można, gdzie chcąc ſtraż broni odprawić, y tey nocy mògł wygodnie w Dziedzińcu Zamku odbyć ią, ktòry bardzo do tego przydatny: rano zaś dokończy ſię cały obrządek, y za kilka godzin może być pewnym, zoſtać Rycerzem prawdziwym, iak ktòry mògł być na świecie. Maſz W. Pan pieniądze? ſpyta ſię? Odpowie *Don Quiſzott* ani ſzeląga, nieczytałem w żadnym Opiſaniu Kawalerów błędnych, aby ktòry z nich woził z ſobą pieniądze. O, co w tym ſię W. Pan myliſz: rzecze Karczmarz; bo chociaż tego niemaſz w Kſięgach, to Dziejopiſowie myślili, że ſię powinno ſamo przez ſię rozumieć bez piſania, y niemożna ſobie wnoſić, żeby Rycerze błędni nieopatrzyli ſię rzeczą tak potrzebną, iak ſą pieniądze y koſzule. Przeto nie trzeba wątpić, żeby tyle Kawalerów obłąkanych, ktòremi ſą Kſięgi napełnione, nie mieli pełnych workòw w potrzebie, y niewozili z ſobą bielizny, y puſzki Balſamu na rany, bo znay-

duiąc

duiąc ſię w ſpotyczkach ſtraſznych w pośrzód laſów y puſzczow, znaſz to W. Pan dobrze, że niemieli na dorędziu Cyrulików dla goienia im ran, y zgineliby inaczey ſto razy, ani ieden by nie uſzedł, chyba żeby mieli iakiego mądrego Czarnokſiężnika przyiaznego, ktòryby im przyſłał z Obłokòw przez Dziewicę iaką lub Karła flaſzkę wòdki tak ſkuteczney, że iedną kroplę wziąwſzy na koniec ięzyka, zupełnie zdrowi y ożyźwieni ſię znaydowali, iak gdyby naymnieyſzego niemieli ſzwanku. Ale że to niebyło zawſze pewne, dla tego rozkazywali ſwoim Koniuſzym przyſpoſobić ſię w pieniądze, y rzeczy potrzebne, iako Balſam, płatki, y inne; y gdyby ſię trafiło, że Kawaler nie miał Koniuſzego, co ſię iednak rzadko zdarzało, ſam te woził narzędzia, w tłomoczku kſztałtnie do konia przygertowanym, iż znać wcale nie było; bo prawdę mòwiąc, rzecz niebyła przyzwoita Mantelzaczki wozić Kawalerom za ſobą, y z inſzych miar bardzoby ſię tego wyſtrzegali. Y tak (dodał Karczmarz) radzę W. Panu, y rozkazuię nawet, iako moiemu Synowi w Rycerſtwie, ktòrym wnet zoſtanieſz, nigdy bez pieniędzy y innych rzeczy potrzebnych nie ieździć, y obaczyſz,

czyſz, że będzie mu z tym dobrze, gdy naymniey ſię ſpodzieieſz.

Don Quiſzott upewnił go, że ſłuchać go w tym będzie, y natychmiaſt przygotował ſię do czynienia ſtraży broni w podworzu Gościńca, pozbierawſzy tę poſpołu, położył na żłobie przy ſtudni, wziąwſzy Tarczą y dzidę w ręce, począł przechadzać ſię w koło żłobu z miną przyiemną wraz y żwawą. Już noc była, gdy zaczął tę piękną wartę. Karczmarz maiący chęć zabawić ſię tym, opowiedział wſzyſtkim, co byli w karczmie, zawròt głowy tego Człowieka, y co to była ſtraż broni, y nieſpokoyność, ktòrą okazywał *Don Quiſzott* być uzbroionym Rycerzem. Wſzyſcy zadziwieni tak oſobliwſzym rodzaiem głupſtwa, chcieli ſię z niego ucieſzyć; y patrząc zdala, widzieli *Don Quiſzotta* z poſtawą poważną y ſtałą, czaſem przechodzącego ſię, czaſem dzidą opieraiącego patrzyć na broń złożoną na żłobie oczu nieſpuſzczaiąc, bo noc ſię wyiaśniła, y Mieſiąc świecił pod pełnią, tak że było widać wyraźnie, co czynił Rycerz. W tym zachciało ſię iednemu z Furmanów, co nocowali w Karczmie, napoić ſwoie Muły, dla tego, trzeba było zdiąć Zbroię ze żłobu, ale *Don Quiſzott* widząc

dząc go zbliżaiącego ſię, y pomiarkowawſzy iego zamyſł, zawołał mocnym y żwawym głoſem. O! ty, ktokolwiek ieſteś zuchwały Kawalerze, co maſz śmiałość zbliżać ſię do broni naymężnieyſzego z tych, co ze ſzpadą chodzili y chodzą: patrz, co maſz czynić, niebądź tak porywczym, y nie waż ſię dotykać moiey broni, ieżeli niechceſz życia położyć za karę tey natarczywości. Niebaczny Podwodnik mało zważaiąc na pogròżki *Don Quiſzotta*, owſzem iakby to przez wzgardę uczynił, wziąwſzy Zbroią, odrzucił, iak mògł daleko. W ten czas *Don Quiſzott* podnioſſzy oczy do Nieba, y udaiąc ſię myślą do ſwoiey kochanki. Ratuy mię Pani, zawoła, w tey pierwſzey ſpotyczce, ktòra ſię zdarza niewolnikowi twey piękności, nieodmawiay mi Twey wielowładney pomocy w tym przypadku, to mòwiąc: Tarczę odrzuciwſzy, á wziąwſzy Dzidę z oburącz, taki raz ugodził w łeb zuchwałego Podwodnika, że padł na ziemię, y za drugim razem pewnieby ſię więcey nieocucił. Tego pierwſzego Dzieła dokonawſzy *Don Quiſzott*, pozbierał broń rozrzuconą, y ułożył ią nazad na żłobie, y znòw ſię przechodzić zaczął, iak przedtym. Po

małey

małey chwili drugi Podwodnik niewiedzący co się stało z pierwszym, który ogłuszony ieszcze leżał na ziemi, przyszedł także chcąc napoić Muły, zbieraiąc broń dla uprzątnienia żłobu. *Don Quiszott* nic iuż niemówiąc y niewzywaiąc niczyiey pomocy, znów Tarczą złożył, uiąwszy oburęcznie Dzidę, kilka razy uderzył w łeb drugiego zuchwalca, y tyleż ran mu zadał, na hałas, który się zrobił, y wrzask ranionego wszyscy pobudzeni z karczmy przybiegli. *Don Quiszott* widząc ich zgromadzaiących się, zawoła, Damo piękności, posilenie y ożywianie Duszy moiey teraz czas, abyś obrociła oczy łaskawe Twey wielmożności, na Kawalera Twoiego niewolnika, w tey strasznej y okropney toni. Po tym wezwaniu czuł się męstwem y siłą tak napełnionym, że wszyscy Podwodnicy na świecie nie przymusiliby go do cofnienia kroku iednego. Tym czasem: Wspołecznicy ranionych niemogli patrzyć na swoich Braci tak źle częstowanych bez wzięcia zemsty; zaczęli ciskać na *Don Quiszotta* mnóstwo kamieni, od których się chronił, iak mógł nalepiey Tarczą się zasłaniaiąc, y nieoddalaiąc od żłobu, aby Zbroi nie utracił. Karczmarz zaś krzyczał, co duchu, aby

mu dali

mu dali pokoy; gdyż ich przeſtrzegał, że to głupi Człowiek, y za takiego uchodząc, zawſze by wyſzedł cały, choćby wſzyſtkich Mułòw Pilnowaczòw w całey Hiſzpanii pozabiiał. Naſz Bohatyr zaś wrzeſzczał ieſzcze głośniey, iak drudzy, nazywaiąc ich tchurzami y zdraycami, á Pana Zamku niegodziwym y wiarołomcą, iż to z noſił; aby z Kawalerami obłąkanemi tak źle ſię obchodzono w iego Fortecy. Pokazałbym ci to, rzecze: że ieſteś obłudnym, gdybym iuż był uzbroionym Kawalerem. Co o was reſztę niedbam, bo ieſteście podli, y nikczemni. Daley ſzturmuycie zdradliwi, zbliście ſię, y wyſilaycie: obaczycie, iaką zapłatę odbierzecie, y ukaranie za waſzą ſwywolą; wymawiał to z taką ſtałością y nietrwożliwością, iż ſtrachu nabawiał tych, co go napaſtowali, tak że boiaźń Furmanów y wołanie karczmarza zaſtanowiły burzą kamieni, y *Don Quiſzott* dozwoliwſzy ranionych wziąść z placu bitwy, powròcił ſię do ſtraży broni z tak ſpokoynym umyſłem, iak gdyby ſię nigdy nic nieſtało. Goſpodarz wziąwſzy na uwagę żarty tę z *Don Quiſzotta*; zdała mu ſię zamocna igraſzka, y aby ſię go pozbył czymprędzey, umyślił iak nayſpieſzniey uzbroić go tym przeklętym

Rycerstwem; y tak się wymawiaiąc przed nim z napaści tych prostaków, o czym nie był wiadomym, y ukarani też zostali przyzwoicie za ich zuchwałość, rzekł: iż Kaplicy niemaiąc w swoim Zamku, iako mu to dawniey wspomniał, y to było mniey potrzebne dla dokończenia reszty czynności: że chcąc uzbroić Kawalera, na tym zawisło; aby go ścisnąć wpòł, y szpadę na plecy przyłożyć, oraz go z lekka uderzyć, przynaymniey, iak pamiętał, co wyczytał z Ksiąg opisuiących ten obrządek, y to się może wpośrzód pola, iak gdzie indziey dopełnić, ile gdy iuż zadosyć uczynił, co się należy do straży broni, do ktòrey dwie godziny czasu są dostarczaiące, on zaś więcey, iak cztery wartował. *Don Quiszott* będąc chciwym tego Rycerstwa, łatwie się dał przekonać, y odpowiedział mniemanemu Kommendantowi: że mu chcę być posłusznym, aby prędzey zakończył ten obrządek; bo gdy zostanie istotnym Rycerzem, á takby go mieli spotykać, iak teraz uczynili, nie zostawiłby żadnego żywcem, opròcz tych, coby mu on rozkazał zachować w całości. Karczmarz, iako przezorny Człowiek poszedł po Księge Regestrów, gdzie wpisywał obrok y siano, co wydawał Furmanom,

nom, y z dwiema dziewkami, o których była wzmianka, wraz y chłopcem, kawał świecy w ręku, trzymaiącym powrócił do Rycerza, y kazał mu uklęknąć przed sobą, potym czytaiąc w Księdze, niby modlitwę iaką, wymawiał: podniòst ręki w pośrzòd Nabożeństwa, y uderzył go silnie w kark tak; aż głowę nachylił, y drugi raz Szpadą w plecy niepodley skropił, szemrząc niewiedzieć co przez zęby. To zrobiwszy, rzekł do iedney z tych Dam tak zwanych, żeby szpadę przypasała Kawalerowi, ktòra to dość gładko uiściła, ledwie się iednak mogąc wstrzymać od śmiechu do rozpuku na każdą część obrządku, gdyby męstwo, ktòrego dokazał nasz Rycerz, nieprzeświadczyło iey, iż żartòw nielubi, tak Szpadę mu do boku przywiązuiąc, przyiemna Dzieweczka rzekła do niego. Niech Pan Bòg W. Panu szczęści w spotyczkach przygodny Kawalerze. Ten prosił iey, żeby mu powiedziała swoie imię, aby wiedział komu mieć wdzięczność za tak znaczną dobroczynność, y aby mògł dzielić z nią sławę, ktòrąby pozyskał przez waleczność swoiey ręki. Odpowiedziała mu piękna pokornie, że się nazywała *Tolosska*, y że była Còrka *Łacibòta* z *Toledu*, y że w podobnymże kra-

 mie

mie ſłużyła u *Bienaia*, acz gdziekolwiek ſię znaydować będzie, zawſze zoſtanie iego nayniżſzą ſługą. Proſzę cię dla moiey miłości, rzecze *Don Quiſzott*, przybierz ſobie *Dona*, y odtąd nazyway ſię *Dona*, czyli Panna *Toloſka*, co obiecała uczynić. Druga Jeymć Panna przypięła mu Oſtrogę, y podobnaż między niemi była rozmowa. Spytał ſię iey o nazwiſko? odpowiedziała, że ią zowią Młynarczanką, y była Corką uczciwego Młynarza z *Antekwery*; nowy Rycerz także ią obowiązał, aby przyrzekła przyiąć przed imię, *Dona*; tyſiąc podziękowania iey wyraził, y wſzelkich ofiarowania usług. Ta cała uroczyſtość przedziwna, y dotąd nieſłychana będąc odprawiona. *Don Quiſzott*, ktory prawie obumierał z niecierpliwości ſzukania bitwow, pobiegł ſzybko oſiodłać *Roſſynanta*, y ſiedząc iuż na koniu, uściſkał mile Goſpodarza, dziękuiąc mu długim przeciągiem wyrazòw grzecznych za łaſkawość, ktòrą go udarował, uzbroienia Rycerzem, w czym mu tak wiele rzeczy dziwacznych powiedział, iżby było mniey roſtropno powtarzać ie. Karczmarz, co rad ſię go pozbył, odpowiedział mu, w podobnych wykwintach, ale krótkiemi ſłowy, nie żądaiąc nic od

niego

niego za nocleg, puścił go wolno z całego serca.

ROZDZIAŁ IV.

Co się przytrafiło nowemu Rycerzowi, gdy wyiechał z Goscinca.

SWitać zaczynało, kiedy *Don Quiszott* wyiechał z karczmy pełen pociechy widzieć się Rycerzem uzbroionym, tak iż to y koń iego przeczuwał, ale przypomniawszy sobie zdrową radę Gospodarza względem potrzebnych rzeczy w podròży, ktòremi się koniecznie opatrzyć należało: umyślił powròcić do Domu, aby wziąść z sobą pieniędzy, y koszul, przybrać oraz Koniuszego, do czego przeznaczył chłopka rzeźwego sąsiada, maiącego dosyć dzieci, acz bardzo zdatnego na Koniuszego błędnego: w tym ułożeniu obròcił się drogą do swoiey Wsi, y iakby *Rossinant* zgadł myśl swoiego Pana, zaczął biec krokiem tak szybkim, y żywym, że ledwie śladòw ziemi dostępował. *Don Quiszott* co tylko ze dwieście krokòw uiechał, zdawało mu się słyszeć po prawey stronie głos żałośny, ktory wychodził z gęstego lasu, gdy uznał, że się niemylił, oddał dzięki Niebiosom, ktòre mu tak rychle podawały sposobność dopełnienia, co winien swoie-

mu urzędowi, y zbierać prętkie owoce iego chwalebnych zamyſłow zdarzyły. Te narzekania rzecze: ſą zapewne iakiego nieſzczęſnego potrzebuiącego ratunku, należy mu podać rękę, zwròciwſzy cuglem ku laſowi dodał oſtròg *Roſſynantowi*. Niedaleko uiechawſzy uyrzał młodego chłopczaka, około piętnaſtu lat maiącego, od głowy do paſa obnażonego, y do dębu przywiązanego, od niego pochodziły te iękania y nie bez przyczyny; bo chłop ſłuſzny y kościſty ćwiczył go z całey ſiły twardym rzemieniem, za każdy raz przydaiąc napomnienie, y przeſtrogi, wołał: pilnuy á milcz: na co młody dzieciuch nieprzeſtawał krzyczyć: iuż więcey nie będę tego czynił moy Panie Goſpodarzu, przepuśćcie dla miłości Boſkiey, iuż ſłowa niewyrzekę, y na potym mieć będę baczność lepſzą na trzodę. *Don Quiſzott* widząc tę ſrogość, zawoła na chłopa, głoſem gniewliwym. Nieludzki Kawalerze niezdobi cię woiować z bezbronną oſobą, wſiądź na konia y weś w ręce kopią, (zdawało mu ſię widzieć tę pod Dębem, co był zapewne kiy dobry naſiekaniec) á dam ci poznać, że uczynek twòy ieſt podły y bez ſerca człowieka; chłop zoſtał prawie w pòł nieżywy, widząc to ſtraſzydło

dło uzbroione, ktòre mu dzidą do pierſi mierzyło. Odpowie drżąc ze ſtrachu. Mos Panie Kawalerze, ten chłopiec, ktòrego karzę, ieſt ieden z moich ſłużących, co pilnuie gromady Owiec, ktòre chowam w tey okolicy, y tak mało dba o nią, iż niemaſz tego dnia, żeby ktòrey nieutracił, tak, że iuż niemogę więcey znoſić iego niedbalſtwa y złości, powiada: że dla tego wynayduię na niego zatargę, abym mu nie zapłacił myta, á to przed Bogiem, y na Duſzę moią: nie prawda. Co? nieprawdę zadaieſz w moich oczach zuchwalczę, zawoła *Don Quiſzott*, na tę Słońca iaſność zaklinam ſię; iż pokuſa mię bierze, abym cię dzidą wſkroś przebił: zaraz mi odwiąż tego chłopca, y zapłać mu bez wymòwki; ieżeli nie? poprzyſięgam na Boga, iż cię zniſzczę do razu. Chłop ſchyliwſzy głowę y ſłowa nieodpowiedziawſzy odwiązał Owczarka, ktòrego ſię ſpytał *Don Quiſzott*, wiele mu zaſług winien? Za dziewięć Mieſięcy, odpowie, po ſiedm Realow za każdy. *Don-Quiſzott* porachowawſzy, ſześćdzieſiąt y trzy Realow wynalazł, ktòre kazał tedyſz zapłacić Owczarzowi, ieżeliby niechciał życia utracić. Chłop na wpoły umarły, rzekł: iżby niechciał przyſięgać fałſzywie

w tym ſtanie, iak ſię znayduie, ale na te wſzyſtkie przeklęſtwa wyznaie, iż tyle nie winien, bo trzeba odtrącić dwie pary trzewikòw, y Real ieden od dwòch razy puſzczania mu krwi w chorobie. Mnieyſza o to, odpowie *Don Quiſzott*, ale trzewiki y krwi puſzczenie zoſtaną mu za plagi, ktòreś mu zadał niewinnie. Jeżeli zdarł ſkòrę twoich trzewikow, tyś mu iego ſkorę porozdzierał biciem; á gdy mu Cyrulik puścił krew w ſłabości, tyś mu iey uiął zdrowemu, iedno poydzie za drugie. Nieſzczęście, rzecze chłop, że niemam przy ſobie pieniędzy, ale niechay Jędrzey pòyidzie zemną do Domu, zapłacę mu do ſzeląga. Ja mam iść? odpowie Owczarek, Boże uchoway: gdyby mię ſamego ſchwytał, darłby ze ſkòry iak S. Bartłomieia. Nie, nieuczyni tego, rzecze *Don Quiſzott* dość na tym, gdy mu zakażę, aby miał uchybić winnego mi uſzanowania, y niech mi tylko przyſięże na zakon Rycerſtwa, ktòry przyiął, wolno go puſzczę, y ręcze za wypłacenie. Mci Panie Kawalerze zważay W. Pan dobrze, co czyniſz; odpowiedział chłopczak: moy Pan nie ieſt kawaler y nie przyiął ani Zakonu całego, ani pòł, zowie ſię *Jan Haldudo* Bogacz, mieſzka bliſko *Quintanar*. To niema nic

do tam-

do tamtego; odpowie *Don Quiſzott*: mogą być Kawalerowie między *Haldudami*, á tym bardziey dobre uczynki ſzlachetnemi czynią, każdy ieſt ſwoich dzieł Oycem y ſprawcą. Prawda ieſt, rzecze Andrzey: ale iakich że on uczynków ieſt Oycem, kiedy niechce mi zapłacić? com w pocie czoła moiego zarobił? Nieodmawiam ci tego Andrzeiu móy przyiacielu, odpowie kmieć: y ieſzcze raz mówię, ieżeli chceſz poyiść zemną do Domu, poprzyſięgam na wſzyſtkie Zakony Rycerſkie, które ſą na świecie, że ci zapłacę iakem wyrzekł, nie zabrakuie y ſzeląga, y ieſzcze nowemi Realami. Niedomagam ſię nowemi, powie *Don Quiſzott*: zapłać mu choć ſtaremi, á będzie kontent, ale pamiętay dobrze na ſłowo, które mi dałeś, y przyſięgę, ieżeli niewiściſz, to potrafię cię znaleść, choćbyś ſię ſkrył pod ziemię; y żebyś wiedział, z kim maſz do czynienia, znay: żem ieſt waleczny *Don Quiſzott* z *Manchy*, obrońca krzywd, y naprawiciel urazów. Bądź zdrów ieſzcze raz, żebyś miał w pamięci ſłowo przyrzeczone, bo ia niezapomnę, com ci obiecał. Kończąc te ſłowa, wypuścił *Roſſinanta*, oddalił ſię od nich. Chłop oczami go odprowadził, iak mógł daleko zaſięgnąć, á gdy go iuż doyrzeć niemógł,

w ge-

w gęſtym leſie, wrócił ſię do owczarka, y rzekł mu, póydź Andrzeiu móy Synu, żebym ci zapłacił, co należy, y iak ten Odrabiacz krzywd y uraz rozkazał mi. Poprzyſięgam, rzecze Andrzey, ieżeli tak nie zrobicie, iak ten dobry Rycerz nakazał, ktòremu Pan Bog niech da naylepſze życie y długie za iego odwagę y prawą ſłuſzność, póydę ſzukać go, niech gdzie chce będzie, y przyprowadzę, aby was ukarał, iak ſię zaklął. Bardzom rad temu, odpowie kmieć, y żebym ci to pokazał, iak cię kocham, y iego boię ſię, chcę przyczynić długu, aby powiękſzyć zapłaty. Wziąwſzy chłopaczka za ręce, znów go przywiązał do tegoż dębu, y tak mocno ochłoſtał, że ledwie żywego zoſtawił: Zawołay teraz, powie chłop Naprawiacza krzywd? uznaſz, że ci nienaprawi tey, chociaż w pół tylko zrobioney, bo niewiem, kto mię wſtrzymuie, żebym nie zyiścił, coś powiedział, żem ze ſkory cię nieodarł żywcem. Na reſztę odwiązawſzy tego nieboraka, poydź, rzecze: poſzukay tego Sędziego, aby przybył wyrok ſwoy wypełnić, tym czaſem to będzieſz miał w zyſku. Odſzedł Owczarek ledwie żyw z męczony, zaklinaiąc ſię, że będzie ſzukał Pana *Don Quiſzotta*, dopoki go

ki go nienapadnie, y mòwiąc do Gospodarza, że mu to we czwornasob będzie oddane, acz z temi wszystkiemi pogróżkami szedł płacząc, y ze skóry prawie odarty, á Pan iego zdròw śmiał się ze wszystkiey siły y chęci.

Tym czasem mężny *Don Quiszott* naprawiwszy niby tę niesłuszność, odiechał, bardzo kontent sam z siebie, y rozumieiąc, że wcale dobry początek uczynił swoiemu Rycerstwu. Możesz się nazywać szczęśliwą nad wszystkiemi żyiącemi, rzecze, o! naypięknieysza między nayślicznieyszemi *Dulcyneo* z *Toboso*, mieć za niewolnika tak sławnego Rycerza *Don Quiszotta* z *Manchy*, który iako wszystkim wiadomo, dopiero wczoray iest uzbroiony Kawalerem, á iuż dziś naygorszą nieprawość, ktòrą mogła wynaleść bezbożność y dopełnić srogość, poprawił, y co wyrwał z rąk niemiłosiernego kata surowości, ktòrym tak nielitościwie biczował tego Młodzieńca. Kończąc te słowa, stanął na krzyżowych drogach, żeby rozważył, ktòrą iechać tak, aby nic nieopuścił w naśladowaniu Rycerzow błędnych. Zastanowił się czas nieiaki, y dobrze się rozmyśliwszy puścił cuglę *Rossinantowi*, zostawiwszy obranie drogi iego prze-

przezorności. *Rossinant* szedł za natchnieniem zwyczaynym, y puścił się traktem prosto ku dawney stayni. *Don Quiszott* uiechał blisko dwie mile, gdy uyrzał Orszak ludzi iadących tąż drogą: ci byli iak się po ym ukazało, Kupcy z *Toledu*, ktòrzy iachali do *Murcyi* skupować Jedwabię, sześciu ich było na dobrych koniach, maiący zasłony od słońca, czterech służących konno, á trzech pieszo prowadzących Muły. Ledwie ich zoczył *Don-Quiszott*, zaraz sobie uroił w głowie, że to nowe zdarzenie, y chcąc nayściśley naśladować swe Księgi, sądził ie iakby umyślnie utworzone do przywidzenia, iakie miał w swym umyśle. Natychmiast z miną gęstą y śmiałą umocniwszy się na strzemionach, ścisnął Kopią w ręku y zakryty Tarczą usadził się na srzód drogi, oczekuiąc tych, których mniemał być Rycerzami błędnemi, y iak się zbliżyli, aby go mogli widzieć, y usłyszeć: dobył głosu, y zawołał na nich zuchwale. Niech żaden z was nieważy się iechać daley, ieżeli niewyzna wprzód: że na całym świecie niemasz Damy, któraby zrównała pięknością z Cesarzową *Manchy*, nieporównaną *Dulcyneą* z *Tòboso*. Na te słowa Kupcy zastanowili się, uważaiąc dziwną po-

ſtać tego Człowieka na pozor iego y mowę, wzięli go łatwie zato, czym był, acz chcąc doświadczyć, dokąd zmierzać będzie przyznanie, iakiego ſię domagał, y ucieſzyć ſię z nim. Jeden z tych, który był żartobliwy y niezbywało mu na byſtrości rozumu, rzecze: Mci Panie Kawalerze? nieznamy tey przedziwney Damy, o którey nam namieniaſz, racz nam ią pokazać, ieżeli ieſt tak piękna, iak W. Pan ią opiſuieſz, przyznamy chętnym ſercem, czego od nas żądaſz. Gdybyście ią widzieli, odpowie *Don Quiſzott*, iakąż wdzięczność bym miał wam za przyznanie prawdy, która ſama przez ſię mówi. Treść rzeczy ieſt, abyście wierzyli bez widzenia, y na to przyſięgli, iż to utrzymywać będziecie obronną ręką przeciwko każdemu. Wyznaycie tedyſz hardzi y zuchwali, albo was wyzywam iednego po drugim; ſtawiaycie ſię, iako Zakon Rycerſki wymaga, lub wſzyſcy razem, ieżeli chcecie, iako to zwyczay ludzi waſzego gatunku. Mci Panie Kawalerze, odpowie Kupiec, upraſzam W. Pana imieniem wſzyſtkich nas Xiążąt, co tu ieſteśmy, aby dla uſpokoienia ſumnienia naſzego, które nam niedozwala upewniać o rzeczy żadney, którey niemamy dokładney wiadomości, y

coby

coby uraziło wſzyſtkie Ceſarzowe y Królowe, iakie ſię znayduią w *Algaryi* y *Eſtrzernadurze*; miey tę dobroć ukazać naymnieyſze wyobrażenie tey Damy, choćby tylkie, iak paznokieć, z probki można ſądzić o ſztuce materyi; zaſpokoiſz naſz umyſł, y uczyniemy zadoſyć iego żądaniu; y tak iuż ieſteśmy dla niey uprzedzeni, że chociażby ten obrazek wyrażał nam ią z iednym zyzowatym okiem, drugim zaropiałym, iednakbyśmy ią chwalić, iak W. Pan pragnieſz nieprzeſtali. Nic zaropiałe oko niegodziwi hultaie, zawoła *Don Quiſzott* roziuſzony, nic iey nie ciecze z oczu, iak powiadacie, chyba Pizmo y Balſam, nie ieſt ani zyzowata, ani garbata, ale prościeyſza, niż wrzeciono z Gaderramy, w net mi przypłacicie bluźnierſtwa, które śmiecie wypuſzczać z gąb przeciwko tey cudney śliczności. W tym razie ſkoczy, wymierzy wſzy Dzidą przeciwko temu, który z nim rozmawiał z taką natarczywością, że gdyby nieſzczęściem *Roſſinant* ſię nie potknął w pośrzód biegu, zbyt śmiały Kupiec, zle by przypłacił ſwych żartow. *Roſſinant* padł na ziemię y zatoczył ſię kawał w raz z Panem, który iak mógł wydobywał ſię, aby ſię podnieść, niemogąc dać rady, tak był zaplątany Tarczą, Oſtrogami, y cię-

żarem

żarem zbroi ſtarey. Gdy prożno ſię wyſilał podnieść, ięzyk nie prożnował, nieuciekaycie wołał, niewieściuchy, zaczekaycie trwożliwi, wina moiego konia nie moia, żem obalony. Jeden z prowadzących Muły Kupieckie znać będąc niecierpliwy, niemogł znieść łaiania, y wyzywania, nieboraka Kawalera, y wydarłſzy mu Dzidę, połamał na ſztuki: á nay większym kawałem począł tak ſilnie boki okładać *Don Quiſzotta*, że choć uzbroionemu, mocno nadwerężył kości. Lubo Kupcy wołali na niego, aby dał pokoy: zaſmakowała mu igraſzka y bitwa, że iey niechciał odſtąpić, á połamawſzy ieden kawał, drugie powoli potłukł o Szlachcica upadłego, ktory nimo rzęſiſtości razow nieprzeſtawał Nieba y ziemi wzywać pomocy v zemſty na zboyców, ktorzy go tak zdradziecko zażywali. Zmordowawſzy ſię Maſztalerz, zoſtawił go zbitego, á Kupcy daley w ſwoią podroż poiechali, maiąc do rozmowy y śmiechu pobudkę. *Don Quiſzott* widząc ſię ſam, chciał znow probować ſię: atoli gdy niemógł zdrowym ieſzcze będąc, iakby tego dokazał zbity, y kości prawie maiąc ze ſtawow powytrącane. Jednak ſię nie mniemał nieſzczęśliwym w tey niedoli, ktòra mu ſię zdawała przyzwoita

Ryce-

rzom błędnym, y którey nieudanie ſię miał pociechę przyznawać ſzczegulnie ſwoiemu koniowi.

ROZDZIAŁ V.

Dalſza niepomyślność naſzego Rycerza.

GDy *Don Quiſchott* uznał w iſtocie, iż niebyło ſpoſobu podnieść ſię, udał ſię do ſwoiego zwykłego ratunku, ten był: rozmyślać o którym mieyſcu Kſiąg ſwoich. Jego zawrot głowy obfity w wynalazki przypomniał mu wnet *Boduena*, y Margrabię *Mantuy*, gdy *Szarlot* zoſtawił pierwſzego ranionego w Gorach. Powieść wiadoma małym y dużym, prawdziwa, iak Cuda Machometa. Ta bayka zdaiąc mu ſię przyſtoſowana właśnie do ſtanu, w którym ſię znaydował, począł ſię kulgać po ziemi, iako Człowiek rozpaczaiący, y mówić, ſłabym głoſem, co Dziejopis daie wyrażać Kawalerowi *Du Boi*. Gdzie ieſteś Pani? o iak moie przygody mało cię dotykaią? albo o nich niewieſz? alboś fałſzywa y wiarołomna? gdy ciągnął daley te baieczne rozmowy y przyſzedł do tego mieyſca. O! Szlachetny Margrabio *Mantuy*, móy Stryiu! Trafunkiem przechodził chłop z teyże Wſi bliſki iego Domu, prowadząc ładunek zboża do Młyna y

na y widząc Człowieka na ziemi tarzaiącego śię, śpytał go, kto był? y czego śię żalił? *Don Quiszott*, ktory śię rozumiał być *Boduenem*, nieuchybił wziąść go za Margrabię *Mantuy* swoiego Stryia, y nie dał mu inszey odpowiedzi, iak kończąc wyrazy Kśięgi, y opowiadaiąc swoie nieszczęścia. Miłość Zony iego z Synem Cesarskim słowo w słowo wszystko, iak iest opisane w *Romanśie*. Chłop zadziwiony słyszeć tak wiele od rzeczy gadania, podniosł mu Szyszaku potłuczonego od Masztalerzow, y obmywszy twarz piaskiem zakurzoną, poznał go. Hey dla Boga! zawoła: Mos Panie *Quichada* (co daie poznać, iż śię tak zwał, gdy był przy rozumie) kto W. Pana tak pięknie oporządził? y do tego stanu przyprowadził? ale cóżkolwiek mógł mówić, tamten z dawnego *Romansu* prawił, słowa mu swoiego nieodpowiadaiąc. Chłop dobry widząc, że niemógł nic od niego wyciągnąć, zdiął mu Hełm, y zbroie, aby obaczyć ieżeli nie raniony, acz nie znalazł ani krwi, ani znaków potłuczenia, podniosłszy go z biedą, posadził na swoiego Osła, aby wygodniey prowadzić: niezapomniał Broni, pozbierawszy nawet kawałki Dzidy przywiązał wszystko na *Rossinanta*, ktòrego

 uiął

uiął za uzdeczkę, á Osła przed sobą gnał, y ciągnął ku Wsi w tak ładnym przybraniu, rozmyślaiąc, y niemogąc poiąć nic dziwactwów, które brydził *Don Quiszott*. Ten ze swoiey strony nie mniey był pomieszany, tak zbitym zostaiąc, iż ledwie się mógł utrzymać na tym choć spokoynym zwierzęciu, coraz wydaiąc ciężkie stękania, które áż do Nieba prawie dochodziły, co było powodem kmieciowi, spytać się go, co za ból cierpiał. Ale się zdawało, że się Bies do tego mieszał, y miał pocie chę przywodzić na pamięć *Don Quiszotta* wszystkie bayki, które miały iaki związek ze stanem, w którym się znaydował. Przypomniawszy iuż o *Boduinie*, przybaczył sobie Barbaryiczyka *Abindarraes*, gdy *Rodrig* z *Narwaes* Rządzca *Antekwery* uiął go y w niewolą poprowadził; tak dalece, że Rolnik, ten znów się go pytaiąc, iak się miewał, y iaką boleść czuł, przepowiedział mu słowo w słowo, to co *Abenseraz* więzień odpowieda *Don Rodrigowi* w *Diannie Montemajora*, przystosuiąc sobie to wszystko, tak że chłopa ledwie kaducy niebrali, słysząc tak wiele dziwactw, y przez to bardziey się przeświadczaiąc, że nieborak Szlachcic ogłupiał; pośpieszył czym prędzey do Wsi, dla pozbycia

się przy-

się przykrości, ktòrą mu te długie przepowiedania sprawowały. Ledwie to dokończył *Don Quiszott*, aliści zaczął na nowe. Trzeba wiedzieć Mos Panie *Don Rodrig de Narwàès*, że ta piękna *Xarifa*, o ktòrey mu wspomniałem, iest teraz nieporòwnana *Dulcinea* z *Taboso*, dla którey czyniłem, czynię, y czynić będę naysławnieysze Dzieła Rycerskie, ktòre były dotąd widziane, y w tych czasach uyrzane, y na potomne wieki ie można oglądać. Hey, Mci Panie, odpowie kmieć, niebyłem nigdy *Rodrigem* z *Narvaes*, ani Margrabią *Mantuy*. Jestem *Piotr Alenzo*, W. Pana Sąsiad, y W. Pan nieiesteś ani *Boduin*, ani *Abindarrax*, ale zacny Szlachcic *Quichada*: Wiem, kto iestem, odpowie *Don Quiszott*, y znam dobrze, że mogę być nietylko temi, ktòrychem wypowiedział, ale wraz Dwunastą Paròw Francyi, y pospołu Dziewięć dawnych Bohatyròw, bo złączone ich wszystkie dzieła heroiczne niemogą zròwnać moich. Te rozmowy, y wiele innych podobnych do Wsi ich przybliżyły; gdzie przybyli wieczorem. Acz chłop uważny niechcąc, aby widziano naszego Szlachcica na tak podłym siądzeniu, zaczekał trochę, aż się zmierzchło, nim zaprowadził *Don Quiszotta* do Domu

iego, gdzie wſzyſtko było w zamieſzaniu w nieprzytomności Pana: Xiądz Pleban y Cyrulik; iego przyiaciele tam ſię znaydowali. Służąca im rzekła, widzicie móy Mci Xięże *Pero Peres* (było to nazwiſko Plebana) cóż mòwicie o naſzym Panie? Tydzień temu iakeśmy niewidzieli ani Pana, ani konia, muſiał zabrać z ſobą Tarczę, Dzidę, y zbroią, bo ich niemaſz. Nieſzczęście moie, uważcie co mòwię: niech nie żyię, przeklęte Kſięgi Rycerſtwa, ktòre zwyczaynie czytał z tak mocnym zanurzeniem, mózg mu przewróciły. Pamiętam dobrze, żem go ſłyſzała mòwiącego: iż chciał z robić ſię Kawalerem błędnym, ſzukać po świecie przypadkòw; żeby Szatan y Barrabaſz porwali wſzyſtkie Kſięgi; co tak zepſowały naylepſzą głowę z całey *Manſzy*. Sioſtrzenica ze ſwoiey ſtrony toż powtarzała, y więcey przydawała, obracaiąc mowę do Mayſtra Mikołaia, ktòry był Cyrulik, trzeba wiedzieć mówiła: że ſię zdarzało częſto moiemu Wujowi po dwa dni całe y dwie nocy trawić nad czytaniem tych Kſiąg ſzkodliwych, potym iak zachwycony ciſnął Kſiążkę, y porwawſzy ſię do ſzpady machał, y rąbał ściany; iak ſię zmordował, mawiał, że zabił czterech Wielkoludòw,

iak

iak Wieże wyſokich; á pot, ktòry przez zbytnie wyſilenia, ciekł, iak ſtrumieniem z iego Ciała, zdawało mu ſię że to była krew z ran, które odnioſł w ſpotyczce; potym wypił Puhar wody zimney, mòwiąc że to Balſam drogi, który mu przynióſł na uleczenie przezorny *Eſquif* Wielki Czarnoxiężnik, iego przyiaciel. Ach! ia nieśmiałam tego wyiawić, boiąc ſię, aby nierozumieli, że móy Wuy utracił rozum, y właśnie ia ieſtem przyczyną iego nieſzczęścia, żem nieprzeſtrzegła. Byłoby ſię zapobiegło, póki ſię zaraza nie rozſzerzyła, y te wſzyſtkie przeklęte Kſięgi byłyby ſpalone, iak zakazane. Ach! poprzyſięgam, rzecze Pleban, że dzień nie minie, gdy będą na ogień ſkazane, y przykład z nich ſtanie ſię: zgubiły naylepſzego z moich Przyiaciół, ale przyrzekam, że więcey nikomu nie zaſzkodzą. Wſzyſtko ſię to tak głośno mówiło, że *Don Quiſzott* y chłop, którzy w tym razie doieżdżali, uſłyſzeli te rozmowy. Chłop ſrant niewątpiąc iuż o tym, co miał w porozumieniu, zaczął krzyczeć całym głoſem: Państwo, każcie otworzyć Bramę Margrabiemu *Mantuy*, Panu *Boduinowi*, który powraca bardzo raniony, y Walecznemu *Don Rodrigowi* z *Narvaès*, Rządz-

cy *Antekwerri*, który prowadzi Araba *Abindarraxa* w niewoli. Nate te słowa otworzono wrota, Xiądz Pleban y Cyrulik poznawszy swoiego Przyiaciela, Siestrzenica Wuia, y Służąca dobrego Pana, wszyscy przybiegli uściskać go. Zaczekaycie, rzecze oziębło *Don Quiszott*: iestem mocno raniony przez winę moiego konia, niech mię w łóżko położą, y ieżeli można niechay przyprowadzą mądrą Urgandę, dla uleczenia moich ran. O tóż iest, rzecze Służąca: serce mi to wróżyło, gdzie był ćwiek. Weydziy W. Pan Mospanie, iak tam sobie chce, zostawmy tę niecnotę, uleczemy W. Pana bez niey. Przeklęte ieszcze raz y sto Tysięcy razy nakoniec te bezbożne szpargały, co W.Pana w tak pięknym stanie postawiły. Położyli naszego Szlachcica na łóżko, y szukaiąc ran żadney nieznaleźli. Nie iestem ia skaleczony, rzecze: tylko stłuczony, bo koń się podemną potchnął, woiuiąc przeciwko dziesięciu Wielkoludom naymężnieyszym, którzy mogli być na świecie. Hey, hey, rzecze Pleban, znowu Wielkoludy na placu, na Koronę, co noszę, niezostanie żaden do iutra wieczora. Tysiąc zapytań czynili *Don Quiszottowi*, ale na żadne nieodpowiedział, tylko wo-

łał,

łał, aby mu ieść dali, y wyſpać ſię mógł ſpokoynie, bo niczego więcey niepotrzebował nad to. Uczynili mu zadoſyć; tym czaſem Pleban ſię wywiadywał dokładnie od chłopa, iakim go ſpoſobem znalazł. Ten opowiedział wſzyſtko od brzega do brzega z wſzelkiemi wytwornościami naſzego Rycerza, które mu on plótł, iak go napadł y odprowadzał, co utwierdziło Xiędza Plebana tym bardziey w umyśle, iaki miał uiścić nazaiutrz, y dla którego umówił ſię z Mayſtrem Mikołaiem zeyść ſię do Domu *Don Quiſzotta*.

ROZDZIAŁ VI

O przeyrzeniu, y przeznaczeniu, ktòre Pleban y Balwierz uczynili Xiąg naſzego Szlachcica.

NAſz Rycerz znużony ſpał tęgo, gdy Pleban, y Balwierz przyſzli do Domu iego rano nazaiutrz, y proſili Sioſtrzenicy o klucz do Izby, gdzie Kſięgi były złożone, który im z ochotą oddała. Wſzyſcy tam weſzli, y Służąca nawet, znaleźli więcey iak ſto Kſiąg dużych y wiele mnieyſzych, dobrze oprawnych y zachowanych. Służąca iak ie zobaczyła, wyſzła prętko y wkrótce powrociła, przynioſłſzy

niosłszy miseczkę pełną wody święconey. Naści W. Pan, rzecze: Mci Xięże, pokrop wszędzie, aby który z tych przeklętych Czarnoxiężników, co ich pełne są te Księgi, nieoczarował nas ze złości, że ich chcemy wygnać ze świata. Xiądz rozśmiawszy się z tey prostoty: rzekł do Balwierza, aby mu podawał iedną po drugiey, dla zobaczenia, oczym piszą; bo się może znaydą między niemi, które nie są godne kary ognia. Nie, nie, rzecze Siestrzenica, nietrzeba ochraniać żadney, wszystkie przyczyniły się do zguby moiego Wuia, powyrzucać ie oknem, stos zrobiwszy na podworzu, wszystkie razem spalić, albo w tylne podwórze przenieść, y tam ich stracenie wykonać. Służąca była tegoż zdania, tak obydwie okazały się zawzięte, na zgubę tych niewinnych niebożąt. Atoli Xiądz Pleban stały w swoim zdaniu chciał przynaymniey tytuły y napisy ich czytać. Naypierwsza, którą podał Mayster Mikołay była *Amadis z Gallyi*. Ho, rzecze Xiądz Pleban: zdaie się, że w tym iakaś taiemnica; bo iak mi się dało słyszeć, że to pierwsza Książka Rycerstwa, co była drukowana w Hiszpanii, y która służyła za wzór innym wszystkim. A zatym niech będzie na ogień przeznaczona

bez

bez odpuſzczenia, iako przewodnicza tak przewrótney nauki, y początek zgorſzenia. Wnoſzę za nią proźbę, rzecze Balwierz; gdyż ſłyſzałem od ludzi godnych wiary: iż ieſt iedna z naylepſzych, którą mamy w tym rodzaiu, y ſzczegulna prawie w tey ſztuce; przeto warta, aby iey przepuścić. Prawda ieſt powie Pleban na ten raz iey darować. Obaczmy, co naſtępuie. Są to dokazywania *Eſplandiana*, odpowie Mayſter Mikołay, Syna prawego *Amadiſa z Gallii*. Syn niewart Oyca, rzecze Xiądz: weź Pani Ochmiſtrzyni, otwórz okno, y rzuć na podwórze, niechay ſłuży za podwalinę do ſtoſu, co chcemy ułożyć. Służąca wypełniła chętnie to zlecenie y nieborak *Eſplandian* poleciał przez okno na dwór czekać cierpliwie ſtracenia, na które był przeznaczony. Poſtępuymy daley, rzecze Xiądz. Ten ieſt, mówi Balwierz, *Amadis z Grecyi*, rozumiem, że wſzyſtkie tegoż gatunku ſą iednego Roku: niechże wſzyſtkie, odpowie Xiądz, idą tym torem na podworze; bo zamiaſt żeby niepalić Królowey *Pintiquinieſtery* y Paſtuſzkow *Darinela* z iego wieyſkiemi wierſzami, y niegodziwym rozſądkiem Piſarza: zdaie mi ſię, żebym Oyczyma moiego nieżałował, gdy by mi ſię pokazał pod poſtacią Rycerza

rza błędnego. Y ia tegoż zdania ſzczerze ieſtem, powie Balwierz; toż y ia myślę, przyda Sioſtrzenica. A gdy tak ieſt, odezwie ſię Ochmiſtrzyni; niechże idą za ſwoiemi Wſpołecznikami, y unikaiąc utrudzenia znoſzenia ich po ſchodach, po iedney; wſzyſtkie oknem wyrzuciła. Coż to za duży pęk? zawoła Pleban. *Don Olivantes* z *Laury*, odpowie Mayſter Mikołay, tegoż ieſt Piſarza, co y Ogród *Flory*, rzecze Xiądz: niemogę wyrazić, który z nich niegodziwſzy, to co wiem, że ten na Dwór poleci, iako zbytnik y Zmyślacz. Ten, co naſtępuie, ieſt *Florismarte* z *Hirkany*: daley Balwierz mówi. Jako? Pan *Flórismarte* ieſt tu także? rzecze Xiądz. A że ſię ſam wraził, niechże za drugiemi idzie po mimo iego urodzenia cudownego, y przypadków do wierzenia niepodobnych; niegładkość y ubogość iego wyrazów, niewarte lepſzego przeznaczenia. Ten ieſt Kawaler *Platir*, znów Balwierz; to ſtary Bakałarz, ktòry niema nic dobrego, co by mu odpuſzczenie ziednało, na dwor go Pani Ochmiſtrzyni, niech o nim y wzmianki niezoſtanie. Niezapominać y otym, ktory ſię mianuie Rycerzem od Krzyża. Nazwiſko tak Swięte godne by było przepuſzczenia, y pokryć

powin-

powinno iego błędy, ale Kſięga ladaco, niewarta ochrony. Wyimuiąc inną Mayſter Mikołay. To ieſt zwierciadło Ryceꝛſtwa; mam ſzczęście znać ią, powie Xiądz, znaydziemy tu Pana *Renod* z *Montoban* z iego przychylnemi ludźmi niezgorſzemi y wielkiemi Rozboynikami, Dwanaście Parów Francyi, y wiernego Dziejopiſa Arcy-Biſkupa Turpina; ieżeli mi ufność będzię dana, tego przeznaczemy na wieczne wygnanie; bo iego opiſanie ma trochę wynalazku *Bojarda*, z kąd ſwoie piſmo wyciągnął *Arioſt* ſkromny. Co do *Arioſta*, ieżeli go napadnę w innym ięzyku, iak iego właſnym, niechay ſię nieſpodziewa odpuſzczenia; wprawdzie go ſzacuię w iego rodowitym piſaniu, y mieć będę wiele względu na niego. Mam ia go po Włoſku, rzecze Balwierz, ale go nierozumiem; tym lepiey dla Was, pocieſzcie ſię, odpowie Xiądz: niewiele na tym ſtracicie, y bardzieybyśmy wdzięczni byli iego Tłómaczowi; gdyby ſobie był umnieyſzył pracy wprowadzenia go do Hiſzpanii, y na naſz ięzyk przełożenia, oprócz, że mówiąc prawdę, wiele mu utracił ſzacunku, co zawſze ſię dziać będzie podobnie z przekładaniem Wierſzow z obcego ięzyka, którym niemożna

zacho,

zachować ich wdzięków własnych y rodowitego przyozdobienia, bądź iakiego chcąc ſtarania y biegłości w tym dokładaiąc. Tego tedy y innych, ktòrzy o Francuſkich Dzieiach piſzą, moie zdanie ieſt: aby ie w mieyſcu beſpiecznym ukryć, aż będziemy mieli więcey czaſu namyślać ſię, co z niemi zrobiemy. Oſtrzegam ſobie iednak Bernarda z *Karpio* y drugiego nazwanego z *Roncewo*, ktòre ieżeli nam ſię nawiną, będą oddane, w ręce świeckiego Urzędu Pani Ochmiſtrzyni. Balwierz przyſtał na to wſzyſtko przez zaufanie w Xiedzu Plebanie, ktòrego znał Człowiekiem dobrym y tak przyiaznym prawdzie, że nic na świecie nie było dość mocnego dla przekonania go przeciwnie. Otworzywſzy dwie inne, Kſiążki obaczył iedną *Palmarina* z Oliwy, drugą *Palmarina* z *Anglii*, co do pierwſzey, rzecze Xiądz, niechay idzie na ogień y popioły, na wiatr; ale zatrzymaymy *Palmarina* z *Anglii*, iako iedyną y naylepſzą Kſiążkę w tym gatunku. Kazawſzy zrobić ſkrzyneczkę koſztowną dla niey, iak tę, ktòrą znalazł Alexander Wielki w zdobyczy *Daryuſza*, y iaką przeznaczył Piſmom *Homera*. Ta Kſiążka moy Kmotrze ieſt znakomita z dwòch miar; z iedney, że ieſt

wyborna

wyborna ſama przez ſię; z drugiey, iż mniemaią, że ią napiſał ieden Krol Portugalſki. Wſzyſtkie zdarzenia w Zamku pięknego weyrzenia ſą dobrze wynalezione, y pełne umieiętności. Wyrazy ſą łatwe y iaſne, y piſzący miał przezorność zwykłą zachować przyzwoitość, ze wſzech miar, y właſność przymiotòw utrzymać. Przeto Panie Mikołaiu, nieprzecząc lepſzemu zdaniu waſzemu, ta y *Amadis* z *Gallyi* nie poydą na pożar. Co do innych wſzyſtkich, iuż ich nie przeglądaiąc niechay giną, y pamiątka ich nie zoſtaie. Nie Mci Xięże Kmotrze za pozwoleniem W. Pana, odpowie Balwierz, bo oto ieſt ſławny *Don Balianis*. Co ten? powie Pleban, z drugą, trzecią y czwartą częścią, potrzebowałby *Rhubarby*, aby przeczyścić tę ſtraſzną żołć, ktòra go bezuſtannie burzy; trzeba by także wyiąć Zamek Sławy, y ſiła innych zdrożności; potym można mu dać fryſztu iaki czas y ieżeli ſię poprawi lub nie; można go oſądzić, albo uwolnić. Tym czaſem mòy Kumo zatrzymaycie ią u ſiebie, y niedozwolcie nikomu czytać. Ręcze, powie Balwierz, że ią zachowam, y nie turbuiąc ſię więcey przeglądaniem, reſzty Kſiąg, rzekł Ochmiſtrzyni, aby zabrała wſzyſtkie

wraz,

wraz, y na podworze wyrzuciła. Ta co rada by y więcey ſpaliła za iedną kóſzulę, niedała ſobie dwa razy mòwić; y wziąwſzy w raz kilkanaście, co mogła zachwycić, oknem wyrzuciła, á że za wiele uięła razem, upuściła iedną bliſko Balwierza, ktòry podnioſłſzy ią, ciekawość go wzięła obaczyć, y otworzywſzy znalazł napis, Dzieie ſławnego Strzelca do celu. Daycie go ſam Panie Mikołaiu, proſzę was, ieſt to lekarſtwo od nudności, tam wynaydziemy odważnego Rycerza *Don Kyrideiſon z Montoban* y Tomaſza iego Brata z Kawalerem *Fonſzką*; Spotyczkę mężnego *Detriante* przeciwko Brytanowi; zabiegi Panny Roſkoſzniczki, miłości y obłudy Wdowy ſpokoyniuchney; Ceſarzową zakochaną w ſwoim Koniuſzym. Niezmyślam mcy Kumo, ta ieſt naylepſza Kſiąſzka ze wſzyſtkich dla opiſu dobrego y niewymuſzonego. Tam Rycerze iedzą, piią, y ſpią dobrze, w łòżku umieraią oſtatnią wolą piſzą przed zeyściem, y tyſiąc innych rzeczy potrzebnych y użytecznych, o ktòrych inne nienamieniaią y ſłowa. Przecięż niebyłoby źle, gdyby wydawcę poſłano na Galery na całe życie zato, iż zbyt wiele głupich rzeczy przydał umyślonąą chęcią. Weźcie ią Kmotrze y czytaycie,

taycie, á uznacie, ieżeli nieprawdę wam powiedam. Z chęcią to uczynię Balwierz odpowie, ale z temi małemi baykami, ktòre pozoſtały, co będziemy robić? Podobno to nie ſą Kſięgi Kawaleryi, ale bardziey Rymopiſow, rzecze Pleban, y otworzywſzy iednę, uyrzał, że to była Dianna Montemajora. Co te, rozumieiąc, że wſzyſtkie były tegoż rodzaiu, niepowinny iść na ſtos, bo nieſprawuią tyle nierządu, co Kſięgi Kawaleryi, nieoddalaiąc ſię od prawideł zdrowego zdania, y nikt niepodpada niebeſpieczeńſtwu zepſowania ſię. Ach! Mci Xięże Plebanie, zawoła Sioſtrzenica, możeſz ie W. Pan śmiało, iak y tamtę oſądzić na ſtos, bo ieżeli mòy Wuy zdoła ozdrowieć z zapamiętałości Rycerſtwa błędnego, niewiele do tego trzeba, żeby go chęć niewzięła, zrobić ſię paſtuſzkiem, biegać po laſach, y łąkach śpiewaiąc, y graiąc na piſzczałce, á coby może gorzey było, gdyby zoſtał Wierſzopiſem, bo iak powiadaią: ze wſzyſtkich ſzaleńſtw, to nayzaraźliwſze y nieuleczone. Panna dobrze mòwi: rzecze Pleban, trzeba odiąć naſzemu Przyiacielowi tę do zaięcia ſię podnietę. Zaczniymy tedy od Dianny Montemajora, nieieſtem ia tego zdania, aby ią na ſpalenie

potępić

potępić; tylko iey odiąć, co pisze o mądrey *Felicyi*, y o wodzie zaczarowaney, y zgoła wszystkie wiersze, zostawiwszy iey zaszczyt być pierwszą w tym rodzaiu Pismòw. Ta, co następuie, iest Dianna zwana druga pisana od *Salmentiana*, y ta inna, ktòrey iest wydawcą *Idzi Pol.* Niechayże ta *Salmentina*, rzecze Xiądz, przyczyni liczby na płomień skazanych: zachowaymy *Idziego Pol*, iak gdyby *Apollo* sam ią ułożył. Daley się pospieszaymy Kumie, y kończmy, bo się iuż zpoźniło. Nasz W. Panu: o to dziesięć Ksiąg Fortuny Miłości; napisane przez *Antoniego Ofrasę* Poetę z *Cerdagni*. Jakem Xiądz, rzecze Pleban, od początku, iak o Bożku Wierszopisów y Muzach mòwią, y Poeci nastali, niewynaleźli żartobliwszey y zabawnieyszey Ksiąszki nad tę, y w swoim rodzaiu, y w tym, co zawiera, y kto iey nie czytał, może przyznać, że nie zna wszystkich Książek dobrego smaku. Day mi ią Bracie, niech nieżyie zawoła Xiądz, ieżeli ią nie wolę niż Sutannę z naypięknieyszego Atłasu Florenckiego. Te, co po nich idą, z nòw Balwierz, są pastuszek z *Iberyi*, *Nimfy* z *Enares*, y Lekarstwo na zawisność; możesz te wszystkie oddać na stracenie Pani Ochmistrzyni, rzecze

Xiądz,

Xiądz, niepytaiąc mię się o przyczynę, bobyśmy nigdy nieskończyli. A Pastuszek *Philidy*, spyta Mayster Mikołay? nie iest to Pastuch, odpowie Xiądz, ale zabiegły Dworzanin, ktòrego chować należy, iak skarb drogi. A ta spora co znaczy? Ach to iest zbiór ròżnych Wierszów, aż nad to tego teraz, y gdyby były rzadsze, więcey by ich szacowano; zdałoby się z tey Książki wybrakować wiele prostych y grubych wyrazów, ktòre się znayduią między wspaniałemi, y umnieyszaią wiele ważności iey. Zachowaymy ią iednak: Wydawca tey iest mòy Przyiaciel, y inne Dzieła wyborne, co pisał, godne są, aby tey przepuścić. Coż to? znòw Balwierz, otworzywszy inną Książkę. Zebranie Pieśni *Lopesa z Maldonatu*; ten Pisarz iest także z moich poufałych, mòwi Pleban, y iego wiersze są przednie w iego ustach, bo ma głos wyśmienity, nadto trochę przeciągnął *Eglogi* swoie, ale dobra rzecz niemoże być nazbyt długa; zatrzymać ią y włożyć między wybranemi. Ta, co blisko, iak się nazywa? *Galatea* Michała *Cerwantes*, odpowie Mayster Mikołay. Dawno ten Dziejopis iest mi mocno przychylny, powie Xiądz, y wiem dobrze, że iest nieszczęśliwszy, niż Poeta, iego

Kśiążka ma dośyć wynalazku, y obiecuie wiele, ale nie kończy, y trzeba czekać na drugą część, śpodziewaiąc śię, że mu śię lepiey uda, y zasłuży, żeby śię łaśkawie obeyść z pierwszą. Tym czaśem Bracie, odłóż ią, á obaczmy, co w tych trzech pośpołu. *Arakuana Don Alonśa z Hercylli*, rzecze Balwierz, *Ausbiada* Jana *Rufa Jurata* z *Korduy*, y *Monferrat Christovala Vives* Poety z *Walencyi*. Te są naylepsze wiersze Heroiczne, powie Pleban, ktòre w Hiszpańskim ięzyku napiśane, y mogą śię zròwnać z nayśławnieyszemi Rzymśkiemi y Włośkiemi. Mile ich zachoway, iako pamiątki drogie naszych Wierszopiśów Dośkonałości. Xiądz Pleban na reszte zmordowawszy śię przeglądaniem mnòstwa Kśiąg, umyślił więcey, nie rozstrząśaiąc, oddać reszte na śpalenie. Ale Balwierz pokazawszy mu iedne otworzoną maiącą napis łzy *Angeliki*; á co tey, rzecze: nieodżałowałbym nigdy, gdyby miała iść w perzynę z moiego rozkazu; bo wydawca był nietylko ieden z naylepszych Wierszopiśów w Hiszpanii, ale y innych Kraiów, y naylepiey mu śię udały przekładania niektòrych Baykow Owidyusza.

ROZDZIAŁ VII.
Druga wyprawa DON QUISZOTTA.

TYm się zabawiaiąc usłyszeli *Don Quiszotta*, że wołał całym głosem z łóżka. *Tu, tu, odważni Rycerze, tutay pokażcie zręczność y siłę waszą; otòż Dworzanie odnoszą wygraną. Igrzyska, gonitwow*; musieli więc porzucić przeglądanie Ksiąg, biegąc na hałas, y iest do podobieństwa, że reszta zbioru będąc zostawiona do woli Ochmistrzyni y Siostrzenicy, bez żadney Prawności wszystkie na zgubę zostały skazane, y tak *Karolea*; Leon z Hiszpanii, y Dzieła Cesarza, Pismo *Don Ludwika* z *Awiły*, ktòre tam być musiały, zapewne, ogniem ukarane, coby może ochronione zostały, gdyby Pleban wchodził w ich Sprawę. *Don Quiszott* wstał z łóżka, gdy Sędziowie Ksiąg weszli do iego Izby, nieprzestawał wołać, y swoich marzeniów wypowiedać, wielkie razy daiąc ścianom, y sztychem, y ciosem, oczy należycie otworzywszy, y tak, iakby ocucony nigdy niespał; wszyscy do niego skoczyli, y odebrawszy mu broń, położyli w łóżko, odpocząwszy trochę, y przyszedłszy do siebie, obrocił się do Plebana, y rzecze

 mu;

mu; Zapewne Mci Xięże Arcy-Biſkupie *Turpinie*, wielki wſtyd dwunaſtu Parom dać tak nikczemnie odnieść zwycięſtwa ſławę w *Turneju* Dworzanom, gdy my na los ſzczęścia opuſzczeni otrzymaliśmy ten zaſzczyt przez trzy dni cięgiem. Trzeba być cierpliwym, Móy Mci Panie Kmotrze, rzecze Xiądz: ſzczęście ſię odmienia; á co ſię dziś utraci, iutro ſię może odzyſkać. Ale niemyślivmy teraz, tylko o zdrowiu W. Pana. Muſiſz być mocno znużony, ieżeli nieraniony. Co ſkaleczony to nie ieſtem, odpowie *Don Quiſzott*, ale potłuczony y pogruchotany, iak można naygorzey, bo ten niepr*a*wy Syn *Roland* tak mnie zbił pniakiem Dębu z zazdrości y złości, że mu przeczę ſławy ſam być naymężnieyſzym. Ale niechay utracę imie *Renoda* z *Montoban*, ieżeli mimo wſzyſtkich iego czarodzieiow nieprzypłaci mi tego dobrze, iak tylko będę mógł wſtać z łóżka. Tym czaſem niechay mi dadzą śniadanie, naybardziey mi potrzeba poſiłku, á w reſzcie zoſtawić mi ſtaranie zemſty. Dali mu ieść, ziadłſzy zaſnął powtórnie; á ci wyſzli tym czaſem zadumieni z tak dziwacznego ſzaleńſtwa. Teyże nocy Ochmiſtrzyni popaliła wſzyſtkie Kſiążki, co na podworze wyrzucone

były,

były, y co tylko ich ſię w Domu znaydowało. Wiele ich tam było tey zgubie poſpolitey podległych, ktòre warte bez wątpienia być zachowane nazawſze w ſkładzie Dziejow Powſzechnych, ale ich złe przeznaczenie, y leniſtwo przeglądaiących niedozwoliły tego; y tak ſię przyſłowie ſprawdziło, ktòre twierdzi: że niewinny częſto ginie wraz zwinnym. Jedno zapobieżenie, ktòre Xiądz y Balwierz znaleźli zdatne na uleczenie ich Przyiaciela było, aby zamurować Drzwi do Pokoiku, gdzie były Xięgi iego przedtym zachowane, aby ich nieznalazł, ozdrowiawſzy, ſpodziewaiąc ſię, iż przyczyna złego będąc uprzątniona, y ſkutek by zoſtał zniſzczony, udaiąc przed nim, że Czarnoxiężnik porwał, y Pokoik, y wſzyſtkie Kſięgi razem; co było dopełnione y udane z wielką pilnością. We dwa dni potym *Don Quiſzott* wſtawſzy, pierwſze kroki ſwoie obrócił do zachowania Kſiąg, á że niemògł znaleść Izby, gdzie były złożone, chodził od kąta do kąta ſzukaiąc, y niemogąc zgadnąć, co ſię z tym ſtało, ſto razy powracał w toż mieyſce, gdzie były drzwi, macaiąc ręką, oglądał ſię na wſzyſtkie ſtrony, nic niemòwiąc, y zapewne niemogąc poiąć tey przemiany. Na re.

ſztę długo ſię naſzukawſzy, ſpytał ſię Służącey? Z ktòrey ſtrony była iego Kſięgarnia, ta będąc dobrze o tym nauczona, odpowie: czego W. Pan ſzukaſz, gdzie niemaſz nic; iuż więcey ani Pokoiku, ani Kſiąg W. Pan w całym Domu nieznaydzieſz; wſzakże bies iuż wſzyſtko porwał. Nie zły Duch, rzecze Sioſtrzenica, ale Czarnoxiężnik, ktòry iedney nocy ſpuścił ſię na obłokach, iak W. Pan ztad wyiechałeś, y z ſiadſzy ze ſmoka, na ktòrym ſię przeieżdżał, wſzedł do W. Pana Kſiąg zachowania, niewiem, co tam robił, ale po krótkiey chwili wyleciał dachem, dymem niezmiernym Dom cały napełniwſzy, gdyśmy potym chcieli obaczyć, co tam zrobił, więcey niemogliśmy trafić do Pokoiku, ani do Kſiąg; nawet znaku, gdzie były niezoſtawił. Tylko tyle pamiętam, y Pani Ochmiſtrzyni także baczy, że ten złośliwy ſtarzec, odlatuiąc zawołał głośno, iż to czynił przez ſkrytą nienawiść, ktòrą miał do Pana tych Kſiąg, y tę zrobił niecnotę, co ſię dowiecie, także przydał, że ſię nazywał Mędrzec *Mugnaton*. Powiedz, *Freſton*, nie *Mugnaton*, odpowie *Don Quiſzott*. Niewiem, zecze Sioſtrzenica, czy to był *Fraton*, czy *Friton*, ale to wiem, że nazwiſko kończyło ſię

na ton.

na ton. Y zaprawdę, znow powie *Don Quiſzott*, ieſt to doſkonały Czarnoxiężnik, mòy wielki nieprzyiaciel, ktòry duſi w ſobie nieſkończoną zawziętość przeciwko mnie, bo iego umieiętność uwiadomiła go, że mam pewnego dnia odprawić poiedynek z iednym młodym Kawalerem, ktòrego kocha y broni, ale wiedząc, że go zwyciężę po mimo iego wſzelkiey biegłości, z zaiadłości czyni mi wſzyſtkie pſoty, co może, ale niechay wie o tym, że ſię brzydko pomyli, y rzecz nieuniknioną, co Niebo przeznaczy. Nikt o tym wątpić niemoże, odpowie Sioſtrzenica, aley mòy kochany Wuiu, za co ſię W. Pan wdaieſz w te wſzyſtkie kłòtnie, y ſpotyczki? Czyby nielepiey było ſiedzieć ſpokoynie w Domu, używać ſwoiego dobra, y bawić ſię polowaniem, nie mordować ſię tak biegaiąc po świecie? Mòy Wuiaſzku nie znaydzie nigdzie lepſzego chleba iak pſzenny, y Ludzie czaſem ſzukaiąc wełny, goli powracaią. O! moia miła Sioſtrzenico, daleko ztąd do owąd, niżeli mię kto ogoli, to ia wyſkubię. y wyrwę każdemu brodę, co tylko będzie miał śmiałość patrzyć na koniec włoſow moich. Nie chciały mu więcey przeczyć, widząc, że ſię zaczął gniewać. Naſz Rycerz dwa Ty-
 godnie

godnie całe bawił w Domu, odpoczywaiąc z przeszłey pracy, y niedaiąc nic poznać po sobie, żeby zamyślał o nowym iakim szaleństwie. W tym przeciągu czasu Xiądz pleban y Balwierz miewali z nim cale śmieszne Rozmowy, o tym, iż naypotrzebnieysza rzecz na świecie była; Rycerze obłąkani, y że on chciał przywròcić ich Zakonność. Czasem Pleban mu się sprzeciwiał, á częściey udawał być przekonanym, bo inaczey niemożna było z nim przyiść do ładu. Tym czasem *Don Quiszott* namawiał codziennie skrycie iednego Rolnika, swoiego Sąsiada, Człowieka dobrego (ieżeli tak można nazwać ubogiego) ale ktòremu także mozgu brakowało w głowie, y tyle łagodnemi słowy y wielkiemi obietnicami zachęcił go, y tak dalece uwiòdł; że mu przyobiecał służyć za Koniuszego. *Don Quiszott* między innemi namowami y to dokładał, aby się nieobawiał z nim iechać, że wszystko mògł zyskać, á nic nieutraci; bo może się takowa zdarzyć pora, iż zamiast gnoiu y słomy, ktòre porzucał, odda mu w rządy iaką Wyspę, y Kray znaczny. Temi ponętami, y tym podobnemi ròwnie ugruntowanemi *Sanszo Pansa* (było to nazwisko tego Chłopa) dał się ułudzić, iż porzucił

Zonę

Zonę, Dzieci, y Dom, á poſzedł za ſwoim Sąſiadem, ſłużyć mu za Koniuſzego. *Don Quiſzott* upewniony o tak potrzebney ſztuce przyłożył ſtarania dla zebrania pieniędzy, ſprzedawſzy ieden Folwarczek, zaſtawiwſzy drugi, tracąc na każdym targu, zebrał ſobie niemałą Sumkę. Przyſpoſobił ſię w ſtary Rapir, ktòrego pożyczył u Sąſiada, y naprawiwſzy, iak mògł naylepiey Zbroią y Szyſzak, przeſtrzegł Koniuſzego o dniu y godzinie wyiazdu, aby ſię podobnież przygotował w potrzebne oporządzenie, ale naybardziey mu zalecił, aby nieprzepomniał wziąść dobrych ſakwoẃ. *Sanſzo* odpowiedział, że to wſzyſtko wypełni, y że nadto miał chęć, wziąść ſwoiego Oſła, który był dość mocny, nie będąc znużony ſiła chodzeniem. Nazwiſko oſła zaſtanowiło trochę *Don Quiſzotta*, który nieſądził dozwolić ſwoiemu Koniuſzemu brać to bydlę, bo przywodząc ſobie na pamięć wſzyſtkich Rycerzów błędnych, których znał, żadnego nie znaydował, żeby z ſobą prowadził Koniuſzego na takim źwierzęciu iadącego. Przecięż dał ſię nakłonić do przyięcia go tym czaſem w myśli odmienienia mu przyzwoitſzego ſiedzenia za pierwſzą porą, która mu ſię zdarzy z ſadzić z Konia w

Boiu iakiego Rycerza nieobyczaynego, y grubianina. Opatrzywszy się także w koszule, y inne rzeczy zdatne według przestrogi Karczmarza. Wszystko to skrycie zrobiwszy, *Sanszo* nie żegnaiąc się z Żoną y z Dziećmi, *Don Quiszott* nie wspomniawszy nic ani Siostrzenicy, ani Służącey, iedney nocy wyiechali cicho ze Wsi, y tak spieszno dążyli, iż świtaniem mogli być pewni, że ich niedoiadą, choćby w pogoń za niemi postali. *Sanszo Pansa* iechał poważnie, iak Patriarcha na swoim Ośle, sakwy y bańka przy nim zawieszone, w niecierpliwości widzieć się prętko sprawcą Wyspy, którą mu Pan obiecał, *Don Quiszott* iechał tąż samą drogą, co w pierwszey wyprawie, to iest przez pola *Montielskie* z mnieyszym utrudzeniem, niż przed tym, bo rano ieszcze było, y promienie Słoneczne bokiem go tylko dochodząc, niewiele mu przykrości czyniły; dotąd iechali nic niemówiąc; ale *Sanszo Pansa* niemogąc długo milczeć, odezwał się, y rzecze do swoiego Pana. Mci Panie Kawalerze obłąkany, pamiętay W. Pan o Wyspie, proszę, którąś mi przyobiecał, bo nią rządzić będę wybornie, choć by nie wiedzieć, iak wielka była. Słuchay *Sanszo* Przyiacielu, powie *Don Quiszott*:

trzeba, żebyś wiedział: że to był zwyczay dopełniony w każdym czasie od Kawalerów błędnych, dawać swoim Koniuszym w Rządy Wyspy, y Królestwa, które zdobywali, ia zaś tak postanowiłem utrzymać te chwalebne używanie, iż pragnę więcey nad to uczynić y zamiast, że inni Kawalerowie czekali z nadgrodą dla swoich Koniuszych, ażby się zestarzeli, y sprzykrzyło im się służyć, złe dni, gorsze nocy przepędzać, w tenczas przestawali na tym, aby im dać iaki Powiat z Urzędem Hrabi, albo Margrabi: może się zaś stać, ieżeli żyć oba będziemy, że za sześć dni ia Królestwo zdobędę tak obszerne, że innych kilka będzie mu hołdować, w tenczas iednego z tych Królem cię zrobię. Y nie myśliy, aby to rzecz była trudna; takowe szczęścia spotykaią często Kawalerów błędnych; y to się sprawuie przez śrzodki tak skryte, y z takową łatwością, iż może się nadarzyć, że ci więcey daleko będę w stanie wyświadczyć bez żadney cięszkości, niżeli obiecuię. Takim sposobem powie *Sanszo*, gdybym był Królem przez iaki cud, które W. Pan umiesz robić, *Joanna Gutiera* nasza gospodyni byłaby przynaymniey Królową, y nasze Dzieci Królewięta. Ktoż o tym wątpi,

tpi, odpowie *Don Quiszott*. Ja powątpiewam potroſze, rzecze *Sanſzo*, y tak dla ſiebie trzymam: że gdyby iak deſzcz z Nieba padały Korony, nieprzydałaby ſię żadna na głowę moiey Zony. Doprawdy móy Mci Dobrodzieiu, ona niewarta wieńca z cybuli, nie żeby miała być Królową; Hrabſtwo by iey daleko lepiey przyſtoiało, y to ieſzcze Boże mi pomoż, byłoby doſyć nadto, y wſzyſtko. Poleć to Panu Bogu, rzecze *Don Quiszott*, da ci to, co będzie przyzwoitſzego dla ciebie, ale nie trać ſerca, ani ſię tak nieupodlay, y żebyś niechciał WielkoRządztwa, przynaymniey albo co podobnego. Ręczę za to Mci Dobrodzieiu, odpowie *Sanſzo*, y ſpuſzczam ſię na W. Pana, ieſteś dobry Pan, będzieſz wiedział, co mi dać według moiey zdolności.

ROZDZIAŁ VIII.

O powodzeniu, które miał Mężny DON QUISZOTT w ſtraſzney y nieſłychaney przygodzie Wiatraków.

POd czas tey piękney rozmowy *Don Quiszott*, y iego Koniuſzy zoczyli zdała kilkadzieſiąt Wietraków, y ſkoro ich uyrzał naſz Rycerz. Szczęście nas wiedzie, rzecze: lepiey, niżbyśmy żądać mogli.

Przy-

Przyiacielu *Sanſzo*, czy widziſz ten gmin, potężnych Olbrzymow, myślę z niemi woiować, y pozabiiać ich. Zaczniymy bogacić ſię z ich zdobyczy, ieſt prawa z dobrey woyny, á przytym ſię czyni przyſługa Panu BOGU, uprzątaiąc tak przeklęty rod ze świata. Co za Olbrzymy, rzecze: *Sanſzo Panſa*? Ci, co widziſz przed ſobą, odpowie *Don Quiſzott* z długiemi ramionami, bo niektórzy maią na dwie mile rozciągłe ręce. Uważay W. Pan dobrze, Mci Panie, co tam widziſz, nie ſą to Olbrzymy, tylko Wietraki, y co ſię W. Panu zdaią ręce, ſą ſkrzydła, które wiatr obraca, aby kamienie miełły. Znać, że nie ieſteś w całe świadomy Rycerſtwa, rzecze *Don Quiſzott*, ſą to prawdziwi Wielkoludowie, ieżeli ſię boiſz, umkniy ſię ztąd na uſtronię, á módl ſię za mnie: ia ſię z niemi ſpotkam, chociaż nie w równey liczbie do bitwy. To mówiąc wypuścił *Roſſinantowi* cugle, y lubo *Sanſzo* biſowi ſię ledwie nieoddawał, y prawie nie rozpukł, wrzeſzcząc, iż to były Wietraki, nie Wielkoludy, były to iednak dla naſzego Rycerza ogromne Goliaty, tak, że nieſłyſzał krzyczenia ſwoiego Koniuſzego, im ſię więcey przybliżał do Wietraków, tym mniey ſię z błędu wywodził. Nie-

uciekay-

uciekaycie Niewieściuſzy, wołał całym głoſem, nickczemne y podłe ſtworzenia nie pierzchaycie: Jeden tylko Rycerz porywa ſię woiować z wami; wiatr powſtał w tym czaſie, y ſkrzydła poczęły ſię obracać. Czyńcie, co chcecie, woła Kawaler powiękſzonym głoſem, gdybyście więcey rękami ruſzali, niż ich miał *Briareuſz*, zaraz mi tu przypłacicie. W tym razie oddaiąc ſię Damie ſwoiey *Dulcynei*, z całego ſerca proſząc iey, aby go ratowała w tak wielkim niebeſpieczeńſtwie. Zakrywſzy ſię dobrze Tarczą y Kopią zaſadziwſzy; bieży ze wſzyſtkich ſił *Roſſinanta* poganiaiąc, napadł na iedno, ſkrzydło w tenczas gdy wiatr ſię wyſilał, te pędem obracaiąc ſię, porwało dzidę y zgruchotało, uderzywſzy o ziemię Rycerza y z koniem o pudal na pole w bardzo złym ſtanie. *Sanſzo* przybiegł co tchu ſwoiego Oſła na ratunek Pana, znalazł go niemogącego ſię ruſzyć, tak mocne było obalenie. Hey tam do kata zawoła *Sanſzo*, á niemówiłem ia W. Panu, abyś zważał, coś miał czynić, y że to były Wietraki? Ktoż mógł o tym wątpić? chybaby miał inne w puſtey głowie? Uciſz ſię przyiacielu *Sanſzo*. Sztuka woienna więcey nad inne ieſt podległa odmianom loſu, y trwa w nieſtateczności

nieu-

nieuſtanney ſzczęścia y nieſzczęścia. Jeżeli chceſz, żebym ci powiedział, co myślę, y zapewne to prawda, że Czarnoxiężnik *Freiton*, który porwał moy Pokoik z Kſiążkami przedzierzgnął tych Olbrzymów w Wietraki; aby mi wydrzeć ſławę zwyciężenia ich, tak wielką ma nienawiść y zawziętość przeciwko mnie. Day Boże Mci Panie, odpowie *Sanſzo*, pomogłſzy mu oraz powſtać, tyle ſił zdobył, iż go wſadził na *Roſſinanta*, który był także ſpleczony, rozmawiaiąc o tey złey przygodzie, puścili ſię drogą do Portu *Lapiſkiego*, bo niepodobna, mòwił *Don Quiſzott*, aby będąc na wielkim trakcie, nieznaleźli dość trafunkow. Atoli był ſtraſznie żałośny, że utracił ſwoy Proporzec, oświadczył to Koniuſzemu, mòwiąc; pamiętam, iż ieden Kawaler Hiſzpańſki zwany *Diego Peres de Wargas*, złamawſzy ſwoią Kopią w bitwie, ułamał dużą gałąź z Dębu, y tak wiele Maurów nią pobił, iż przydomek mu zoſtał Zabiiacza Dębem, on y iego naſtępcy zawſze ſię odtąd nazywali *Wargas y Machuca*. Mòwię ci to dla tego *Sanſzo*, iż myślę z pierwſzego Dębu, co napadnę zerwać gałąź tak mocną y dobrą, iak tamta była, y tak wiele nią dokazywać zechcę Dzieł woiennych, że ty będzieſz

ſię

ſię uznawał ſzczęśliwym, iżeś godzien widzieć ie, y być świadkiem tak wielkich czynów trudnych do wierzenia. Niechay tak będzie, rzecze *Sanſzo*, wierzę dla tego, że mi to W. Pan powiedaſz; ale ſię W.Pan wyproſtuy trochę, bo krzywo ſiedziſz na Koniu, muſiſz W.Pan być mocno ſkołatany upadnieniem? Nieinaczey ieſt, odpowie *Don Quiſzott*, y ieżeli ſię nie ſkarżę dla tego; że niewolno Rycerzom błędnym czynić tego, chociażby kiſzki z brzucha wyłaziły. Gdy tak ieſt, niemam co na to mòwić, powie *Sanſzo*, ale Pan Bóg wie, czybym nierad, żebyś W. Pan choć trochę poſtękał, kiedy go co boli; bo ia niemogę ſię utrzymać, y wrzeſzczę, iak by mię ze ſkòry odzierano na każde zadraśnienie, chyba, żeby to było zabrónione Koniuſzym błędnym, tak dobrze, iako y ich Panom. *Don Quiſzott* rozśmiał ſię z proſtoty ſwoiego Koniuſzego, y upewnił go, że mògł ſtękać y żalić ſię, iak wieleby mu ſię podobało, czyby miał przyczynę, lub nie, y że ieſzcze nieczytał nic temu przeciwnego w Kſięgach Kawaleryi. Mci Panie, rzecze zatym *Sanſzo*, czyby nie był czas podieść trochę, zdaie mi ſię, żeś W. Pan o tym zapomniał. Teraz mi ſię niechce, odpowie *Don Quiſzott*,

co ty

co ty możeſz ieść, ieżeliś głodny. Zatym pozwoleniem *Sanſzo* uſadziwſzy ſię, iak mògł naylepiey na Ośle, y wyiąwſzy z Sakwów, co wziął z ſobą do poſiłku zaiadał za Panem co żywo, nachylaiąc coraz bańki z tak wielkim przymileniem, że niemaſz Niemca, ktòremu by zazdrości nieſprawił tak iadąc, y co raz łykaiąc: zapomniał o Domu y o obietnicach Pana, zamiaſt znaydować ciężką pracę w tey czynności, nabił ſobie głowę ſzukaniem zatargòw, bądź iak chcąc niebeſpiecznych. Ten nocleg odbyli w Boru pod drzewem; gdzie *Don Quiſzott* ułamał gałąź ſuchą zamiaſt drzewca od Dzidy dość mocną, w ktòrą oſadził żelazo, co zdiął z połamaney. Całą noć przepędził, oka niezmrużywſzy, myśląc zawſze o *Dulcynei*; aby naśladować, co czytał w baiecznych Dzieiach, gdzie Rycerze nocy trawili w laſach y knieiach, zabawiaiąc ſię rozpamiętywaniem ſwych ulubionych. Acz *Sanſzo*, ktòry miał więcey ciała, iak ducha inaczey ſię obſzedł, maiąc brzuch pełny, y nie wiatrem ſię paſąc; wnet zaſnął, y iednym ciągiem, iak ſię położył na ziemi, aż do wſchodu Słońca, chrapał; ktòrego promienie choć mu w oczy świeciły, iednak by go nieprzebudziły, ani ſpiewanie Pta-

ków, które na wszystkie strony nuciły, gdyby nie Pan iego, który zawołał kilka razy całą gębą na niego; ocuciwszy się czuły Koniuszy, dorwał się bańki, ale z wielkim smutkiem znalazł ią lżeyszą, niżeli przed wieczorem była, niewidząc prętkiego sposobu poprawienia tego niedostatku, ile zważaiąc trakt, którym się zapuścili. Co zaś *Don Quiszott*, który się pasł żyznemi y smacznemi myślami swoiey ukochaney, niedbał o śniadanie. Wsiadłszy na Konie, obrócili się traktem do Portu *Lapiskiego*, który uyrzeli o ósmey godzinie z rana. Tutay, *Sanszo* móy przyiacielu, zawoła *Don Quiszott*, możemy brodzić w pół szyie, iak mówią, w przygodach. Ale słuchay: przestrzegam cię, miey się na ostrożności, nieporywać się do broni choćbyś mię widział w naygorszey toni na świecie, chyba; żebym trafunkiem był napastowany od Hultaiów, albo tak podłych ludzi, iak ty iesteś, w takim razie mogłbyś mię ratować; ale przeciwko Rycerzom nie iest ci wolno żadnym kształtem przez ustanowienia Kawaleryi bić się, w poki nie będziesz uzbroiony sam Rycerzem. Bądź W. Pan pewnym, że go w tym usłucham, iak naydokładniey, tym bardziey, że iestem bardzo spokoynego

umysłu

umysłu z przyrodzenia, y nieprzyiaciel iawny wszelkich kłotni. Wprawdzie co się należy do moiey własney obrony, gdyby na mnie kto nacierał, niedbałbym y na te ustawy, ponieważ Prawa Boskie y ludzkie dozwalaią każdemu bronić swoiey skòry. Zgadzam się z tobą w tey mierze, powie *Don Quiszott*, ale co pomagać mi przeciwko Rycerzom niegodzi ci się, tylko życzenia dobre czynić; co zaś tę swoią żwawość przysadną trzeba, żebyś powściągnął. Czyż ia tego nie mòwię także? odpowie *Sansżo*, przyrzekam W.Panu zachować to, iak Przykazanie Boże y święcić Niedzielę; kończąc te słowa zobaczyli iadących przeciwko nim dwòch Benedyktynòw na Mułach dużych, iak *Dromaderach*, zasłonki od Słońca maiąc, y szkła na oczach od kurzawy: za niemi szła Kareta podròżna z kilką Męszczyznami, y dwòch Masztalerzów szło pieszą: w Karecie siedziała Pani z *Biskai*, iako potym się dowiedziano, ktòra iechała do swoiego Męża do *Sewilii*, maiącego płynąć do Indyi w znacznym Urzędzie. Ledwie zoczył *Don Quiszott* dwòch Zakonnikòw, ktòrzy osobno iechali, chociaż iednym traktem, y nienależeli do ich społeczności; rzecze do swoiego Koniuszego. Al-

bo ſię mylę przyiacielu *Sanſzo*, albo to ieden z nayznakomitſzych trafunków, który można kiedy widzieć. Bo te ſtraſzydła czarne, co ſię tam ukazuią, muſzą być, y ſą bez wſzelkiego wątpienia Czarownicy, którzy porwali iakąś Xiężniczkę, y w tey Karecie ią uwożą. Muſzę, niech ſię ſtanie co chce, zabronić tey gwałtowności. To ma widzę pozór być gorſze, iak Wietraki: rzecze *Sanſzo*, kiwaiąc głową. Mci Panie czy uważaſz W. Pan dobrze? tamci ſą Xięża Banedyktyni, y Kareta ieſt pewno tych ludzi podrożnych: patrz W. Pan należycie, co maſz czynić, y żeby go Diabeł nie ſkuſił. Jużem ci to przepowiedział móy przyiacielu, odpowie *Don Quiſzott*, że ſię nieznaſz, na przytrafieniach, co ci wyrażam, to ieſt iſtótna prawda, y w net to obaczyſz. To mówiąc: poſunie ſię, y ſtanie na ſrzodku drogi, którą mieli Zakonnicy przeieżdżać, iak ſię zbliżyli, że go uſłyſzyć mogli; zawoła na nich miną hardą. Ludzie Czartowſcy y wyklęci: niech mi zaraz będą uwolnione Xiężniczki, co wieziecie w tey Karecie? ieżeli nie, to przygotuycie ſię prętką śmierć odnieść za karę waſzych zbrodni. Xięża zatrzymali ſwoie Muły, y zadziwieni niemniey z cudowney poſtaci *Don Quiſzotta*, iako y z mowy

wy

wy iego. Mci Panie Kawalerze, odpowiedzą: nieiesteśmy ani biesem opętani, ani wyklęci, ale Zakonnicy S. Benedykta podróżni, ieżeli są iakie Xiężniczki w tey Karecie wykradzione, my o tym nic niewiemy. Ja pięknemi słowami się niedam zwodzić, odpowie *Don Quiszott*, y znam was dobrze hałastra niegodziwa, nieczekaiąc odpowiedzi, zeprze Konia ostrogami, wymierzywszy Kopią przeciw iednemu z tych Mnichów z taką natarczywością, że gdyby był nieskoczył z Muła na ziemię, pewnieby go tam nimo woli położył, albo skaleczył, lub na mieyscu zabił; drugi Zakonnik widząc, iak się obchodzą niedobrze z iego Bratem, wypuści cugle swoiemu Mułowi, y kopnie się, co tchu w pole, równo z wiatrem uciekaiąc. *Szanszo Pansa* iak zpostrzegł Xiędza na ziemi, zlazł żywo ze swoiego Osła, y osiodławszy Xiędza, nuż go rozbierać z sukien: dway Masztalerze, co pieszą za Xiężą szli, przybiegli, pytaiąc się, za co Xiędza z Sukien odziera? Bo do mnie należą, odpowie *Sanszo*, y są to zdobyczy bitwy, którą Jegomość Dobrodziey wygrał. Masztalerze niebędąc tam na żart, y niewiedząc, co znaczą zdobyczy, y spotyczki, á widząc oddalonego *Don Quiszotta*, który rozma-

wiał z temi, co w Karecie ſiedzieli: iak porwą *Sanſzo*, obaliwſzy na ziemię, nuż chędożyć mu ſkórę, y kiymi boki okładać, że ledwie żywego zoſtawili, y bez brody, wyſkubawſzy mu prawie całą. Tym czaſem Benedyktyn, któremu ſię nieſtała żadna krzywda, tylko ſię nabawił ſtrachu, iak obaczył *Don Quiſzotta* oddalonego, wſiadłſzy czym prędzey na Muła drżący, biegł ſpieſzno za ſwoim Socyuſzem, który czekał na niego zdala, oglądaiąc ſię, co ſię daley dziać będzie, y nieśmieiąc czekać końca; daley ſię w podróż udali, więcey ſię żegnaiąc, iak gdyby Diabeł w ſwoiey poſtaci ich gonił. *Don Quiſzott*, iakośmy namienili, przybliżył ſię do Karety, gdzie perorę czynił do Damy z *Biſkai*, którą temi ſłowami przywitał. Piękność W. Pani Dobr: Mościa Damo może teraz iechać gdzie chce, y co iey ſię podoba, ieſteś iuż wolna, y ta ręka ukarała zuchwałość iey gwałtowników, abyś W. Pani niemiała wątpliwości o imieniu Jey wybawiciela: wiedz o tym, że ſię nazywam *Don Quiſzott* z *Manchy*, Kawaler obłąkany y poddany piękney y nieporownaney *Dulcynei* z *Toboſo*. Nic innego nie żądam od niey za uſługę, którąm iey wyświadczył, tylko abyś powrociła do

Toboſo,

Toboso, tam się pokłoniła odemnie tey przewyborney Damie, y oznaymiła iey to, com dla iey wyzwolenia wypełnił. Szlachcic ieden z *Biskai* z tych, co przy Karecie iechali, słuchał z uwagą, co *Don Quiszott* rozprawiał, y widząc, że niepuszczał daley Karety, upieraiąc się, aby się wróciła do *Toboso*, przybliżył się do niegò, y uiąwszy ręką iego Dzidę, rzecze tak złą wymową. Jedź tam Kawalerze, bo źle tam idziesz, przez Bòg, co mni tworzył, iak niepuścić Kosz; zabić tak iak z *Biskai*. *Don Quiszott* choć złą mowę, iednak zrozumiał, y odpowiedział stale. Gdybyś był Kawalerem, iak nim nie iesteś Łotrze; iużbym ukarał twoią śmiałość. Mi nie kiwaler, odpowie śmiało Biskayczyk, przysiądz na Bog, zmyślać nie Chrześcian. Ty ciskać Dzidy, wyiąć Szpady, dam pokazać wnet, y twóy Koń być bestya. *Biskai* na ziemia Szlachcic, na Morza y Szlachcu do wszystki Diabla, y ty niegadać inaczey, ni prawdy mòwić: Obaczysz tu zaraz zawoła *Don Quiszott*, y cisnąwszy Proporzec o ziemię dobył Rapira, Tarczą się zasłaniaiąc, naciera na Biskayczyka w umyśle zadać mu dobrze. Ten widzący go do siebie zmierzaiącego, chciał zsieść y piesżo spotykać się;

niedufaiąc Mułowi, nierączemu, ile naiętemu. Ale ledwie zdążył porwać śię do Szpady. Dobrze ieszcze, że blisko Karety się znaydował, zkąd wyrwał poduszkę, ktora mu za Puklerz służyła. W tym oba żwawi Wojownicy biegli w zawody przeciwko sobie, iak gdyby byli nie przebłagani nieprzyiaciele. Wszyscy patrzący czynili, co mogli, aby ich rozbronić; ale niebyło podobieństwa. Gniewliwy Biskayczyk klął w swey mowie popsowaney, ieżeli mu nie dozwolą kończyć poiedynku, zabiiać będzie, kto się tylko nawinie, y temu sprzeciwi. Dama z Karety zadziwiona y zalękniona kiwnęła na Woźnicę, żeby uiechał z drogi, y zdala zatrzymała się uważaiąc Spotyczkę. Biskayczyk w tym punkcie wymierzył cios srogi w ramie Przeciwnika swoiego, iżby go był rozdwoił w poł pas, gdyby się nie zasłonił Tarczą. Na ten raz, ktory się zdawał *Don Quiszottowi*, iakby go gora przywaliła. Pociecho moiey Duszy, zawoła, *Dulcyneo*! kwiecie piękności! ratuy swoiego sługę, ktory się znayduie w tak niebespieczney toni dla utrzymania sławy twoiey. To mowiąc, do szpady się porwał, Tarczą się zasłonił y uderzył na Biskayczyka, myśląc wszystko zakończyć ie-

dnym

dnym zamachem. Ten widząc ſwego nieprzyiaciela napadaiącego na niego tym ſpoſobem, przeniknął iego myśl, y tęż odwagę okazuiąc, zaſłonił ſię iak mògł nay-lepiey poduſżką, czekaiąc go krokiem nie-cofnionym tym bardziey, że muł iego nie-chciał ſię ruſzyć z mieyſca, niebędąc uczo-ny takowych obrotòw. Don *Quiſzott*, iakom namienił, biegł z podnieſionym Pa-łaſzem przeciwko chytremu B ſkayczyko-wi, umyśliwſzy na wpòł go rozciąć, y ten go czekał śmiało, toż życząc nie dzielić go na dwa razy. Wſzyſcy przytomni ze ſtrachem oczekiwali ſrogich razów, ktòre-mi ci oba Rycerze grozili ſobie. Dama w Karecie ſiedząc y z Kobietami do wſzy-ſtkich Swiętych w Hiſzpanii ſię ofiarowały; aby uproſić od Pana Boga wybawienie ich Wſpołecznika y właſne.

Co ieſt nieprzyiemnego w tey powie-ści, że piſzący te Dzieie przerwał w tym mieyſcu, wymawiaiąc ſię, że niemògł wię-cey ſię dowiedzieć o Dziełach *Don Qui-ſzotta*. Wprawdzie drugi wydaiący to Piſmo na widok, niemogąc być przeświad-czonym, żeby tak ciekawe zdarzenia mo-gły być zagubione, y że uczeni ludzie z *Manchy* tak mało mogliby mieć ſtarania niezachować pamiątki ich, niewątpił, iżby

mogł

mogł wynaleść z kąd daley ciągnąc to zabawne Opisanie, y udało mu się jego wyszukanie, iak się da poznać w drugiey Części.

DZIEIE Y PRZYGODY
PRZEDZIWNEGO
DON QUISZOTTA
Z MANCHY.
CZĘSC DRUGA

ROZDZIAŁ IX
Koniec srogiey Spotyczki silnego Biskayczyka z Mężnym DON QUISZOTTEM.

ZOstawiliśmy w pierwszey Części tego Opisu śmiałego Biskayczyka ze Sławnym *Don Quiszottem* z bronią podniesioną, y w zamachach płatania się na dwoie tak, iak gdyby Pałasze z góry same spadały, nieznayduiąc żadnego odporu, byliby się porozcinali w głąb przynaymniey do Siodeł na wylot sięgaiąc. W tym mieyscu została niedokończona powieść, y Pisarz iey nawet nam nieoznaymił gdziebyśmy mogli wynaleść dokończenie. Co

mię do gniewu pobudziło, y początek, nabawiwszy pociechy, obrócił się w smutek, gdym uznał, że niebyło nadziei dowiedzenia się reszty. Jednakowoż zdawało mi się rzeczą niepodobną, iako y niesłuszną, żeby tak mężny Rycerz niemiał iakiego Mędrca, coby iego Dzieł niesłychanych opisać osnowę miał staranie, na czym nie schodziło nigdy iego Poprzednikom, to iest Rycerzom Przygodnym, z których każdy miał iednego lub dwóch, co iak na urząd znaydowali się dla ogłaszania Pismami ich dokazywania, zbieraiąc nawet ich myśli naymnieysze. Y tak niemogąc poiąć, żeby tey ważności Rycerz mógł doznawać w tym niedostatku, co *Platir* y inni podobni aż nadto mieli; to zawsze w umyśle miałem, iż tak przedziwne Dzieie niemogły zostać ułomne, y znać czas, który wszystko niszczy, albo ie zagubił, lub gdzie zakryte zostawił. Z drugiey strony zdawało mi się, że trafunki naszego Rycerza niemusiały być dawne, ponieważ w iego Księgarni znaleziono teraznieyszego wydania Księgi, iako uleczenie zawiści, Nimfy, y Pasterz z *Henares*, y choćby niebyły pisane, mieszkańcy z iego wsi y Sąsiedzi ieszczeby ie przybaczyli. Pełen tych zamysłów, ułożyłem sobie

w gło-

w głowie, poszukiwać z naywiększą pilnością życia y cudów sławnego naszego Hiszpana, światła iaśnieiącego *Manchy* y Pierwszego, ktòry w tym wieku nieszczęsnym poświęcił się dopełnianiu Rycerstwa obłąkanego powinności. Rozrabiać krzywdy y urazy, podźwignąć Wdowy, bronić sławy Panien; tych, co dawnych wiekow widziano po gorach; y dolinach biegaiące konno, beśpieczne swoiey cnoty nawet do Ośmiudziesiąt lat; (oprócz gdyby iacy napaśnicy im gwałt uczynili.) do grobu Pannami, iak ich Matki się dostawały. Acz wszelkie moie usiłowanie byłoby daremne, y Potomność by z tego skarbu nieużytkowała, gdyby samo szczęście w ręce mi go wpaść niedozwoliło, sposobem, iak niżey powiem.

Pewnego czasu przechodząc się po Ulicy Kramarzów w *Toledzie*, obaczyłem Chłopca, który przedawał stare papiery Korzennikowi, á że iestem ciekawy aż do zbierania kawałków papierów po Ulicach, wziąłem ieden z rąk tego chłopczaka, chcąc go przeczytać, był po Arabsku pisany, którego Języka ia nieumieiąc, szukałem wszędzie y oglądałem się, ieżelibym nie znalazł gdzie Maura Ożydzionego, aby wyczytał co znaczy to pisanie, niemiałem

trudno-

trudności znaleść tę pomoc w mieyſcu tym, gdziebym mogł dawnieyſzych y trudnieyſzych Językow doſtać wiadomych. Trafunkiem ieden z tych przyſzedł, ktoremum podał ręką Piſmo, ledwie przeczytał kilka wierſzow, począł ſię śmiać. Spytałem go, czemu ſię uśmiecha. Z niemałey uwagi, ktorą tu znayduię na boku, nieprzeſtaiąc ſię śmiać, przeczytał te ſłowa. Ta *Dulcynea* z *Toboſo*, o ktorey tak częſta w zmianka w tych Dzieiach: miała, iak piſze, naylepſzą rękę do ſolenia Połciow nad wſzyſtkie inne z całey *Manchy* Kobiety. Na imię *Dulcynei* z *Toboſo*, mniemaiąc, że te ſzpargały zawierały może Dzieie *Don Quiſzotta*, proſiłem Maura, aby wyczytał napis Kſięgi, znalazł ten Tytuł po Arabſku, Dzieie y Przygody *Don Quiſzotta* z *Manchy* napiſane przez *Cides Hamet*, *Benengeli* Dzieiopiſa Arabſkiego. Tak wielką radość uczułem, iak uſłyſzałem napis Kſięgi, że ledwiem ią mogł utaić, y wyrwawſzy wſzyſtkie papiery z ręku Korzennika, zgodziłem ſię o nie z Chłopcem, doſtałem ich za Real, ktoreby mi dwadzieścia razy tak drogo mogł był ſprzedać, gdyby przeniknął myśl moią. Poſzedłem zaraz przez wielkiego Kościoła obmurowanie z moim Maurem poſpołu, proſząc go,

go, aby po Hiſzpańſku przetłómaczył, co zawierały te ſtare piſma, nieprzydaiąc, ani uymuiąc naymnieyſzey rzeczy, obiecuiąc mu nadgrodę, iakieyby żądał, ale on przeſtał na dwóch koſzach Rozenków, y dwóch Korcach Pſzenicy, obiecuiąc mi wiernie przełożyć, iż w krotkim czaſie będę zaſpokoionym. A dla ułatwienia roboty, y nieutracenia tak dobrego natrafienia, w ziąłem do ſiebie Maura, gdzie mniey niż w ſześciu tygodniach przetłómaczenie było dokończone takie, iak go wydaię. Na pierwſzey karcie odryſowane było iak żywe ſpotkanie *Don Quiſzotta* z Biſkayczykiem w tey poſtawie, iakieśmy ich zoſtawili obu, Pałaſze podnieſione, ieden zaſłoniony Tarczą, á drugi Poduſzką. Muł Biſkayczyka był tak wyraźnie odkryślony, żeby go z dala można poznać, iż był naięty, niſko pod nim był napis, *Don Sancho de Aſpetia*, á pod drugim *Don Quiſzott z Manchy*, Koń iego *Roſſinant* tak był kſztaltnie odmalowany, długi, ſztywny, y chudy, z mordowany, grzbiet oſtrokościſty, uſzy opuſzczone, iż można było ſądzić na pierwſze weyrzenie, że Koń żaden niebył godzien lepſzego nazwiſka. Przy nich był *Szanſzo Panſa*, trzymaiąc ſwoiego Oſła za po-

wróz.

wróz. Spodem było podpiſano *Sanſzo Kanzas*. Widząc iego pozorność, znać było, iż m ał brzuch duży, nogi koślawe, ſam był krępy y mały, y dla tego mu podobno dane nazwiſko oboiętne *Panſa*, czyli *Kanſas*. Były przytym y inne wyrazy do uważania w tym wizerunku, ale małey wagi, y nic nieſłużące do obiaśnienia tych Dzieiow. To przytoczyć można, ieżeli iaki zarzut byłby przeciwko Prawdzie tey Hiſtoryi dla tego, chyba, iż iey wydawca był Arab, ktòrzy ſą z przyrodzenia zmyślaiący. Acz że nam ſą nienawiśni, dla tegoby więcey uiął, iak przydał, y zdaie mi ſię w ſamey rzeczy, gdy mu ſię należało rozſzerzać z pochwałami naſzego Rycerza, złośliwie ſię wſtrzymywał, y zamilczał ie. Poſtępek niegodny dobrego Dziejopiſa, ktòry powinien być rzetelny y wierny; wyłączony od namiętności wſzelkiey; bez zyſku ani przywiązania; ktòrego boiaźń, lub przyiaźń; czyli przymilenie niepowinny nigdy oddalać od prawdy iſtotney; ktòra ieſt Matką Hiſtoryi; iako Dziejopis ieſt ſkładem czynòw ludzkich y wydobywaiącym ie z przepomnienia. Gdyż tam mamy wierne wyobrażenia przyſzłości, czerpamy przykłady dla terazności, á przeſtrogi dla przyſzłości.

ſzłości. Pewny ieſtem, że ſię znaydzie w tey cożkolwiek według życzenia zabawnego y przyiemnego, á ieżeli co brakować będzie, to wina wydawcy nie oſnowy. Przeto druga część według przełożenia tak ſię zaczyna.

Wydawało ſię z poſtaci ſrogiey tych dwoch żwawych y zaiuſzonych Mężow z Pałaſzami oboſiecznemi zamierzonych na ſiebie, że grozili Niebu y ziemi. Wſzyſcy przytomni zaſtanowieni byli między podziwieniem y obawianiem ſię. Pierwſzy, ktory ſwoy cios ſrogi wymierzył, był gniewliwy Biſkayczyk, ztaką ſiłą y zapalczywością, że gdyby mu Pałaſz w ręku ſię niewykręcił, ten raz byłby zakończył ſtraſzną ſpotyczkę, y wraz wſzyſtkie przygody naſzego Rycerza. Ale los, ktory go na więkſze rzeczy zachowywał, ſprawił, iż Pałaſz ſię obrociwſzy na płaz, ugodził w lewą łopatkę, y więcey mu niedokuczył, iak tylko zdrowie naruſzył, z tey ſtrony, y podrodze kawał Szyſzaka odciął, á przy nim poł ucha zaiął; niemożna wypowiedzieć roziadłości, ktorą Rycerz *Manchy* był przerażony widzieć ſię tak źle ſpotkanym, podniośł ſię, y utwierdził na ſtrzemionach, ściſnąwſzy mocno Rapir, ciął tak ſtraſznym zamachem ſwoiego

iego Nieprzyiaciela, iż nimo zasłony poduszki Biskayczykowi krew gębą, nosem, y uszami rzuciła się, chwieiąc się, y spaść maiąc z Muła, iakożby tak zrobił, gdyby się nieuchwycił za grzywę, ale wkrótce potym ze strzemion mu nogi wypadły, y ręce opuścił. Muł przestraszony hukiem ciosu, y Cugle maiąc wolne, skoczył w stronę, lignąwszy kilka razy, zrzucił Jezdzca na ziemię iak nieżywego. *Don Quiszott* przypatrywał się temu wszystkiemu z zupełną spokoynością, nieruszaiąc się, acz widząc swoiego Przeciwnika obalonego, skoczył szybko z konia, Szpadę mu przytchnąwszy do gardła, zawołał, aby się poddał, albo mu łeb utnie. Biskayczyk tak był ogłuszony, iż niewiedział, co się z nim działo, ani zważał niebespieczeństwa, które go czekało, słowa niemogąc wyrzec. *Don Quiszott* byłby go zapewne nieochronił w zawziętości którą był zdięty, gdyby Dama z Karety, która dotąd zapatrywała się na spotyczkę, cała zalękniona nieprzybiegła prosić go z wielką usilnością, aby życiem darował iey Koniuszego. Nasz Rycerz ułagodziwszy trochę swoią surowość, rzekł poważnie. Daruię go życiem dla W. Pani, moia piękna Damo, acz pod warunkiem, iż mi ten

Kawaler da słowo iechać do *Toboso*, ukazać się odemnie przed nieporównaną *Dulcyneą*, żeby nim rozrządziła dó upodobania. Pani ta ledwie żywa od strachu, niewiedząc, czego żądał, ani się pytaiąc, kto była ta *Dulcynea*, obiecała za swoiego Domownika, czego się domagał. *Don Quiszott*: Niech żyie, odpowie nasz Rycerz na słowo W. Pani, y przez wzgląd iey piękności, niech używa łaski, którey zuchwałość iego czyniła go niegodnym.

ROZDZIAŁ X.

Rozmowa DON QUISZOTTA *y Sanszo Pansy.*

PO niemałey chwili iuż powstał był *Sanszo*, otrząsnąwszy się z rzęsistych guzów, które mu Służący Benedyktynów odliczyli, pilnie się przypatrywał spotyczce swoiego Pana, wzywaiąc w Duchu Nieba pomocy, żeby zwyciężył, á on mógł prętko pozyskać iaką Wyspę, którey by go Rządzcą postanowił, iak przyobiecał. Widząc tedy bitwę zakończoną, y że iuż *Don Quiszott* w siadał na Konia, przybiegł czymprędzey przytrzymać mu strzemion y Konia, atoli nim wsiadł, padł na kolana przed nim, y całuiąc go w ręce

Mci Dobrodzieiu y Panie móy Łaſkawy, rzecze mu, ieżeli ſię podoba W. Panu dać mi Wyſpę, ktòrą zdobyłeś, czuię ſię być w ſtanie rządzić nią, niech będzie, iak chce wielka, y tak dokładnie iak któżkolwiek mógł, kiedy co ſię do tego mięſzał, Bracie *Sanſzo*, powie *Don Quiſzott*, nie ſą to przygody z Wyſpami; tylko ſpotkania na Traktach; gdzie ſię nie zarabia zwykle, iak łeb mieć rozcięty, lub ucha ſię pozbyć. Ale bądź cierpliwym, zdarzą ſię okoliczności, w których będę miał porę uiścić moią obietnicę y nietylko ci dać Rządy Wyſpy, ale daleko więcey. *Sanſzo* ledwie ſię nierozpłynał z pociechy, z podziękowaniem wielkim łaſkawcy ſwoiemu, ucałowawſzy rękę y brzeg ſukni iego pomógł doſieść Konia; ſam wlazſzy na Oſła, dążył co tchu za Panem, który poiechał ſpieſzno nie żegnaiąc ſię z Damami, ſiedzącemi w Karecie; wnet wiechał w Bór, co był na Gościeńcu, *Sanſzo* poganiał iak mógł czwałem, ale widząc, że *Roſſinant* tak rączo biegł, iż go daleko wyprzedził, krzyknął, aby za nim zaczekał, *Don Quiſzott*, na to wołanie wſtrzymał cugle *Roſſinantowi*, Koniuſzy zmordowany doiechawſzy go. Zdaie mi ſię Mci Dobrodzieiu rzecze, żebyśmy nieźle zrobili ſchronić ſię do

iakiego klaſztoru, bo ten bies, coś W.Pan przeciwko niemu bitwę toczył, ieſt w bardzo złym ſtanie, nie wiele trzeba do nieſzczęścia, aby nieprzeſtrzegli urzędu, y nas nieſchwytano, á gdyby raz tam nas zapakowano, wiele wody by upłynęło pod moſtem, nimbyśmy ſię wydobyli. Milcz, rzecze *Don Quiſzott*, niewieſz co gadaſz; y gdzieżeś to czytał, albo widział, żeby kiedy Rycerz obłąkany był ſądzony o morderſtwo? Niewiem, powie *Sanſzo*, co te morderſtwa W. Pana znaczą. Niepamiętam, żebym kiedy o nich ſłyſzał, ale wiem dobrze, że Sąd Hermandad karze tych, co poiedynkuią y zabiiaią, w reście niemieſzam ſię do tego. Niefraſuy ſię moie dziecie o nic, rzecze *Don Quiſzott*, wydobyłbym cię z rąk Tatarſkich, ba y z piekła ſamego, nieobawiay ſię, abym cię miał zoſtawić w ręku Sądowych. Ale powiedz mi do prawdy, czy rozumieſz, żeby był kiedy Rycerz walecznieyſzy nademnie na całym świecie? Czyliś doczytał ſię w Dzieiach, aby inny który miał więcey natarczywości do porwania ſię, ſtałości do wytrzymania, ſprawności y biegłości do uderzenia, ſiły do obalenia? To ieſt ſama prawda, żem nic podobnego nigdy nieczytał, bo nieumiem, ani czytać,

ani

ani piſać, alebym przyſiągł, żem nieſłużył Panu odważnieyſzemu, iak W. Pan, nieſłużąc nikomu, przecież Boże uchoway! żeby ta śmiałość nas niezaprowadziła, gdzie rozumiem, á nie śmiem powiedzieć. Jednak Mci Panie, gdybyśmy opatrzyli ucho W. Pana, gdyż wiele krwi uchodzi. Szczęściem mam płatki y maść białą w moich ſakwach. O! iakbyśmy ſię bez tego wſzyſtkiego obyli, rzecze *Don Quiſzott*, gdybym ſobie przybaczył zaprawić Flaſzkę Balſamu *Fierabras*, którego iedna kropla ochroniłaby nam wiele czaſu y Lekow. Cóż to za przyprawa, rzecze *Sanſzo Panſa*? Jeſt to Balſam przecudowny, którego ſpoſob robienia mam w pamięci, co można żartować z ran, y śmierci ſię nieboić. Y tak, iak go zaprawię, y dam ci zachować, ieżeli ſię trafi, w którym poiedynku, że mię obaczyſz na wpół rozciętego, iako nam ſię to zdarza często, podnieſieſz z ziemi iedną połowę, która odpadnie, y złożywſzy ią z drugą poſpołu ſzybko nim krew oziębnie, daiąc baczenie, aby ie równo ſpoić, potym mi daſz ze dwa razy napić ſię po troſze tego Balſamu, á obaczyſz mię tak zdrowego y żywego, iak przedtym. Jeżeli tak ieſt, zawoła *Sanſzo*, odſtępuię zaraz

Rządów Wyſpy, którąś mi W. Pan obiecał, á więcey nieżądam w nadgrodę wſzyſtkich moich uſług, iak ſpoſob robienia tego Balſamu, pewny ieſtem, że w każdym mieyſcu wart będzie Łot ieden, ſłowem dwa, albo trzy Reale, y to doſyć dla mnie żyć uczciwie y ſpokoynie. Ale Mci Panie, cóż ten Balſam będzie koſztował? mało: można go zrobić ſześć garcy za trzy Reale, odpowie *Don Quiſzott:* Ach! co ia za nieſzczęśliwy! zawoła *Sanſzo.* Za cóż W. Pan czekaſz, że mię nie nauczyſz czymprędzey? Zrobiemy go ze trzy Beczki. Powoli *Sanſzo*? rzecze *Don Quiſzott*, więcey ia ſkrytych ciekawości, y nadgrod znacznieyſzych dla ciebie zachowuię. Tym czaſem, opatrz mi moie ucho, bo mię więcey boli, niż daię, poznać po ſobie. *Sanſzo* wyiął płatki y maść z torby, opatruiąc *Don Quiſzotta*, ten gdy uyrzał Przyłbicę pogruchotaną, mało brakowało, aby nieſtracił reſzty rozumu, porwawſzy ſię do Szpady, y oczy podnioſłſzy do góry, poprzyſięgam na wnętrzności moiego Oyca, y wierność, którąm przyrzekł *Dulcynei* y na cały Rodzay ludzki, że wpóki zemſty nieuczynię nad tym, który mi tę pſotę wyrządził, będę takie życie prowadził, iak Margrabia *Mantuy*, który ślu-

bował

bował mścić ſię śmierci ſwoiego Krewnego *Boduina*, y wpóty nieiadł Chleba na ſtole, nieſpał z Zoną, y wiele innych rzeczy podobnych zachował, których niepamiętam, iednak chcę, aby były w moiey przyſiędze zawarte. Mci Dobrodzieiu, zawoła *Sanſzo*? zadumiony na tak ſtraſzne zaklęcie: niemaſz W. Pan przyczyny gniewać ſię, bo ieżeli ten Rycerz wypełni, coś mu W. Pan rozkazał iechać, ukazać ſię Jeymci *Dulcynei Toboſo*, będzie wolny od wſzyſtkiego, chyba żeby nową iaką wypłatał urazę. Teraz zaś niemaſz czego więcey od niego żądać. Dobrześ to uważył: odpowie naſz Rycerz, dla tego zniſzczam moią przyſięgę, co do zemſty, ale ią potwierdzam, y na nowę oboſtrzam, y ieſzcze raz ſię obowięzuię, życie takowe prowadzić, iakom wyraził, w pòki niezdobędę od ktòrego Rycerza, tak dobrego Szyſzaka, iak ten był. Y nie myśley *Sanſzo*? żebym ia to czynił na pamięć. Mam kogo naśladować, co do nitki, toż ſamo ſię ſtało z Hełmem, z *Mambrinu*, ktòry tak ſiła trudòw koſztował *Sakripaota*. Mci Panie: rzecze *Sanſzo*, te wſzyſtkie zaklęcia odday W. Pan Diabłu, Pan Bòg niekaże zaklinać ſię, y chceſz ſię W. Pan potępić z dobrey woli. Hey po-

wiedz mi W. Pan, proſzę, ieżeli przez długi czas nieznaydziemy Człowieka uzbroionego w Szyſzaku, co będziemy tym czaſem robić? Czy dotrzymaſz W. Pan ſwoiey przyſięgi? nimo wſzyſtkich przypadków y niewygòd co ſpotkać mogą: iako ſpać nierozbieraiąc ſię, nie nocować nigdzie w Mieście, Miaſteczku, ani Wſi, y dwa Tyſiące innych pokut, które ſię zawierały w przyſiędze tego ſtarego głupca Margrabi *Mantuy*. Pamiętay W. Pan, że ludzie zbroyni w tych Okolicach ſię nieprzeieżdzaią, y tu ſię tylko znayduią Furmani prowadzący Muły. Prawdę mòwiąc, ci ludzie nie noſzą Hełmow, ani ich widzieli może w życiu, chyba z Kapuſty: Idź, idź, myliſz ſię mòy Bracie, rzecze *Don Quiſzott*, y niezabawiemy tu, ledwie parę godzin, á uyrzyſz więcey ludzi zbroynych, niż było pod Fortecą *Albrague*, na wzięcie piękney *Angeliki*. Niechay tak będzie, gdy W. Pan chceſz tego, odpowie *Sanſzo*, y day Boże, żeby ſię wſzyſtko udało; á czas prętko zbliżył ſię zarobić tę Wyſpę, ktòra mi zbyt ciężko przychodzi; choćbym też potym niedługo żył. Jużem ci to powiedział *Sanſzo*, rzecze *Don Quiſzott*, żebyś ſię nieturbował, y chociażby cię Wyſpa minęła, alboż nie-

maſz

maſz Krôleſtwa *Danii*, y drugiego *Sobradiſy*, ktòre cię zapewne nieuchybią; y co lepſzegó ieſzcze, że ſą na lądzie, ale ſię to znaydzie w ſwoim czaſie. Teraz zaś ſpoyrzyi, ieżeli maſz, co do ziedzenia w ſwoim tłòmoczku, żebyśmy mogli prędzey doiechać iakiego Zamku na nocleg, aby mò ten Balſam ſporządzić, bo prawdę mòwiąc, ucho mię mocno dolega. Mam tu odpowie *Sanſzo*, Cybulę, kawał Sera, y kilka okruchow chleba; ale to nie ſą potrawy dla walecznego Rycerza, iak W, Pan ieſteś. Jakże zle to bierzeſz *Sanſzo*, rzecze *Don Quiſzott*? trzeba żebyś wiedział: iż to ieſt ſława Rycerzòw przygodnych całe Mieſiące trawić bez iedzenia, y gdy ſię poſilaią, to bez wymyſłow, co nadorędziu napadną, y niewątpiłbyś? gdybyś czytał tyle Dzieiow ich, co ia, bo mogę śmiele powiedzieć, iż pomimo wſzelkiego uſiłowania w wynalezieniu, niemogłem wyſzukać, aby ci Bohaterzy inaczey obiadowali iak trafunkiem, albo gdy byli zaproſzeni na wſpaniałe Uczty y częſtowania Krôlewſkie; bo innych czaſòw, tylko ſię rozmyślaniami karmili. A że niepodobna, aby ſię wcale obeſzli bez poſiłku, iako y bez innnych potrzeb życia, będąc ludźmi iak y my, trzeba wierzyć, iż trawiąc

wiąc wiek w puſzczach y knieiach bez kucharzow, ich iedzenie zwyczayne było proſte tak iak te, co mi podaieſz. Y tak mòy Przyiacielu niefraſuy ſię o to, co mnie ieſt pociechą, y niemyśliy świat przerabiać, ani odmieniać zwyczaiow Rycerſtwa obłąkanego od tak dawnego czaſu poſtanowionych. Trzeba mi przebaczyć Mci Panie, rzecze *Sanſzo*, bo nieumiem ani czytać, ani piſać, iakiem to W. Panu powiedział: niewiem o uſtawach tey Kawaleryi; acz nadal zechcę napchać dobrze ſakwy owocami ſuchemi dla W. Pana, ktòry ieſteś Rycerzem. Ja zaś niemaiąc ſzczęścia być nim, dopełnię ie dla ſiebie poſilnieyſzemi żywnościami. Niemòwię ia, odpowie *Don Quiſzott*, aby Rycerz obłąkany był koniecznie przyniewolony ieść ſuche tylko owoce, ale ze to było ich poſpolitym pokarmem, zioła do tego ròżne, co na polach znaydowali, y na ktòrych ſię doſkonale poznawali, iako y ia znam dokładnie. Jeſt to wielka umieiętność znać ſię na tych ziołkach, odpowie *Sanſzo*, y ieżeli ſię niemylę, przyidzie ten czas, że będziemy tey znaiomości bardzo potrzebowali. Tym czaſem o to, co nam Pan Bòg dał, wyciągnąwſzy z ſakwow iedzenie, ſmaczno pożywali poſpołu. Skończywſzy

prętko

prętko oszczętny posiłek, wsiedli na Konie, aby poszukać, gdzie na nocleg gospody. Acz Słońce zaszło, y nadzieia ich omyliła znalezienia, czego żądali, blisko przecież chałupków Pastuszych doiechali, gdzie umyślili przenocować. Jak siła *Sanszo* ubolewał, że niezdążył do iakiey dobrey Wsi na noc; tak wiele *Don Quiszott* znaydówał pociechy spać pod gołym Niebem, rozważaiąc, że cokolwiek mu się zdarzało w tey mierze, wszystko to były dowody zaświadczaiące umocnienie iego w Rycerstwie.

ROZDZIAŁ XI.

Co się przytrafiło DON QUISZOTTOWI z Pasterzami.

STanąwszy tam nasz Rycerz, był bardzo dobrze przyięty od Pasterzow w tych chatach, y *Sanszo* oporządziwszy spieszno *Rossinanta* y swego Osła, iak mógł, pospieszał na zapach Koźlęcia pieczonego, co Pasterze sobie sporządzali na wieczerzą; zrzędny Koniuszy radby go był zaraz oprzątnął, iak mówią z rożna do gęby, ale musiał zaczekać aż Pasterze wyiąwszy z ognia, w przód zamiast obrusa, skóry wyprawnę Baranie położyli na ziemię. To wieyskie przykrycie będąc gotowe;

towe: zaprosili ochotnie swoich gości, do posiłku, który im podobnież postawili. Sześciu Pasterzów, co w tey Chatce znaydowali się, usiedli na ziemi w koło iedzenia, prosząc obyczaiem wieyskim *Don Quiszotta*, aby usiadł na żłobie, co dla niego przewrocili. *Sanszo* stał za Panem, aby mu nalać napoiu w Czarze z rogu wyrobioney, iaką mieli Pasterze. Pan widząc Koniuszego stoiącego, ażebyś uznał, *Sanszo* rzecze, co Rycerstwo obłąkane przynosi za korzyści, y iak wiele ci, co ie naśladuią, są w stanie być szacowani, y uczczeni na świecie, chcę, żebyś obok ze mną łączył się, y usiadł wspólnie z temi dobremi ludźmi, masz być iedno, co ia, który iestem twoy Pan y Rządzca, będziesz iadł z iedney misy zemną, y pił z iednegoż Puhara; bo właśnie można mówić o Rycerstwie błędnym, co o miłości powiadaią, że wszystko porównywa. Mei Dobrodzieiu dziękuię W. Panu za to, rzecze *Sanszo*, bo gdybym miał co y dosyć, raczeybym ziadł sam stoiący, niż siedzący o bok Cesarza, y mówiąc W. Panu rzetelnie, wolę kawał Chleba grubego, y Cybulę w kącie, niż Indyka wespół z zacnemi ludźmi, gdzie muszę, powoli żuć, pić małemi łykami, y często się ocierać,

nieśmieiąc ani kalſnąć, ani kichnąć, ani choćby ſię naybardziey chciało. Odmień W. Pan, proſzę, Mci Dobrodzieiu y Panie móy to w inne łaſki, które więcey pożytku uczynią, niż to uczczenie; które mi chceſz wyświadczyć dla wſpólności, iaką mam z Rycerſtwem błędnym, będąc Koniuſzym W. Pana, bardzo za to dziękuię, mam iak za odebraną uczynność, wyrzekaiąc iey ſię od tey chwili, aż do ſkończenia świata. Z tym wſzyſtkim: rzecze *Don Quiſzott*, muſiſz tu uſieść; bo Pan Bóg wywyżſza tego, co ſię poniża, y ciągnąć go za rękę przez gwałt mu kazał uſieść przy ſobie. Paſterze nierozumieiąc nic tey rozmowy Rycerzòw y Koniuſzych błędnych iedli, tylko poglądaiąc co raz na ſiebie; y nic nie mówiąc ſwoim Gościom; którzy także wraz kawały, iak pięście połykali. Skończywſzy mięſiwo, poſtawili na wety Orzechy y Ser twardy, iakby z muru ſtarego ukowany. Podczas Wieczerzy Róg nieodpoczywał, y nieprzeſtawał w koło chodzić, pełny y puſty, tak często, że ſkóra Koźla winem napełniona z dwóch co tam były, wyprożniona zoſtała. Podiadłſzy dobrze *Don Quiſzott*, tak iż Brzuch ſię napełnił w miarę teraźnieyſzych Rycerzów; wziął garć Orzechow,

y zwa-

y zważaiąc ie z pilnością: Szczęśliwy wiek! zawoła, nader ſzczęśliwy czas, któremu naſi Przodkowie dali nazwiſko złotego, nie dla tego, żeby złoto, które tak wiele ſzacuią w tym wieku żelaznym, doſtatniey ſię znaydowało, albo go z mnieyſzą pracą z wnętrzności ziemi wydobywali, ale że na ten czas nieznano tych dwóch ſzkodliwych ſłów, moie y twoie; które potym cały świat poróżniły. Wſzyſtkie rzeczy były wſpólne w tym Swiętym wieku, y ludzie niemieli więcey pracy dla ich wyżywienia, iak zbierać Owoce, które im Drzewa obficie ſame rodziły, y czerpać rękami czyſte y ſmakowite wody, których ſtrumienie y zrzodła doſtatkiem im dodawały. Starowne Pſzczoły zbogacały rozpadliny w ſkałach, y wypruchniałe drzewa zbiorem z kwiatow dla ludzi ſmaku y ochłody bez obawy ſwą czułą Rzeczpoſpolitę pomnażaiąc, niebroniły zbierać wdzięcznego plonu, ich zyzney pracy. Proſte chaty były zamiaſt Pałaców, mięſzkańcom ziemi, y Drzewa ſame z ſiebie zrucały ſkóry, dodaiąc im, czym nakrywać Domy, y zaſłonić ſię od niepogodnych chwili. Wſzyſtko zoſtawało w ten czas w ſpokoyności; ziednoczenie y przyiaźń widać tylko było. Dotąd

tąd Pług y Rydel nierozdzierały wnętrzności ziemi. Ta dobra y płodna Matka rozdawała darmo, y hoynie wszystkie Owoce swoiego obszernego Łona, y iey szczęśliwe Dzieci znaydowały wraz, y co było potrzebnego na utrzymanie życia, y co było roskosznego do nasycia: Uroda nie była ozdobą szkodzącą Młodym Pānom, chodziły wolno wszędzie, okazuiąc bez przysady y zanęty dary, ktòrych im udzieliło przyrodzenie, nieukrywaiąc się więcey, iak tylko, przystoyność wiekom wszystkim przyzwoita wymagała. Szkarłat Tyryiski, ani złoto, ani Jedwab nieprzyozdabiały ich, y nieużyczały od sztuki wdzięków; wieńcami z kwiatów y ziòł uplecionemi, były lepiey przystroione, niż dziś Damy naypowabnieysze przez kosztowne wynalazki, ktòrych zbytek y pròżność wieku, ich nauczyły. Miłość się wyrażała odkrycie, nieobłudnie, iak serce ią poczuwało, nie szukaiąc w wytworności słòw, wyrazòw mocnieyszych y sztucznieyszych nad przyrodzenie. Widzieć było we wszystkich czynnościach ludzkich szczerość istotną; nietylko daleką od oszukania, ale niezdolną utaiania się. Sprawiedliwość zawsze będąc z oczami zawiązanemi; nieznała w ten czas ani względu, ani zysku; w przyszłych wiekach do-

piero te ſtraſzydła naſtały, ktòre zapuſzczaiąc iad zaraźliwy w ſerca ludzkie, zatłumiły ſłuſzność przyrodzoną, co iednomyślnym zezwoleniem przedtym wſzyſtkim rządziła. Cnota iakom powiedział, była nieoddzielna od Panieńſtwa, wſzędzie ſamowolne chodziły zabeſpieczone na dowierzeniu ich utrzymałości, upewnione o innych y o ſobie, nieobawiały ſię ani cudzych pożądliwości, ani ſwoich. Ale niemaſz iuż dla nich ucieczki w tym wieku niegodziwym. Miłość wſzędzie ſię przedziera; niemaſz ſtraży, ktòreyby nie oſzukała, ani Labiryntu, z ktòregoby ſię niewydobyła. W mieyſca nawet, gdzie promienie ſłoneczne nie dochodzą, niespokoyna chuć przebiera ſię, y zwycięża nayściśleyſzą wſtrzemięźliwość. Y tak pierwſza niewinność będąc utracona, á zepſowanie coraz bardziey ſię rozſzerzaiąc ſprawiło, iż było dla beſpieczeńſtwa powſzechnego, założyć tamę tey nawałności. Poſtanowiono Zakonność Kawaleryi obłąkaney na obronę cnoty Panien, wſpor Wdowom, pomoc Sierotom, y uciśnionym, ſłużyć maiących za Tarczą tym wſzyſtkim, których gwałtowność uciemięża. Ja ieſtem tego poſtanowienia, moi dobrzy ludzie: Rycerzowi błędnemu, y

mu, y iego Koniuſzemu tak miłe przyię-cie oświadczyliście, y chociaż wſzyſcy ſą obòwiązani, iak naylepiey obchodzić ſię z Oſobami tego uczeſtnictwa, iednak że to uczyniliście nieznaiąc mię y z dobrey woli, y chęci, ſłuſzna rzecz, abym wam wyraził moie zawdzięczenie, przyrzekaiąc, iż Pamięć tego będzie mi zawſze przyiemna.

Y tak Orzechy przypomniały złoty wiek naſzemu Rycerzowi, y do tak piękney rozmowy były mu pobudką, bez ktòreyby ſię cale obſzedł, iako y Paſterze, ktòrzy go ſłuchali z pilnością, nic nierozumieiąc, nic y ſłowa niemòwiąc. *Sanſzo* także milczał, ale niezoſtał bezczynnym, napełniał brzuch Orzechami y Syrem, nieomieſzkuiąc żadnego ukąſzenia, opròcz dla zaglądania nie raz do Kozli ſkòry z Winem, ktòra była zawieſzona na Drzewie dla chłodu. Po ſkończoney Wieczerzy ieden z Paſterzòw, rzecze do *Don Quiſzotta*; aby W. Panu dać poznać Mci Panie Kawalerze, że nam nieſchodzi na ochocie, ktòrą mamy częſtować dobrze W. Pana y zabawić, damy mu ſłyſzeć wnet iednego z naſzych Braci, ktòry niezadługo tu przybędzie, y zapewne W. Pana ucieſzy. Jeſt to młody Paſtuſzek mocno zako-

chany y bardzo dowcipny, umie czytać y piſać, iak Szkolny Uczeń, ale nadewſzyſtko śpiewa y gra na Skrzypcach do podziwienia. Ledwie ſkończył mowę Paſterz, uſłyſzeli granie, w net przybył młody Dzieciak, około dwudzieſtu dwóch lat maiący doſyć nadobney poſtaci. Spytali go Paſterze, czyli iuż wieczerzał, odpowiedział, że iuż, gdy tak ieſt: Antoni rzecze: ten, co wprzód mówił; uczyniſz nam miłą rzecz, zaſpiewać co dla dobrego przyięcia Jegomości naſzego Gościa, aby mu dać poznać, że w Laſach y Gorach przecięż ſię znayduią ludzie, co grać y ſpiewać umieią. Powiedzieliśmy Jegomości, coś ty wart, y radzibyśmy nieuchodzić za zmyślaiących: uſiądź tu, prosiemy cię, á zaśpieway nam pioſnkę, co twoy Stryi Xiądz napiſał na twoią miłość, y która ſię tak mocno upodobała w całey Okolicy. Uczynię to chętnie, odpowie Antoni, y niedaiąc ſię długo proſić, uſiadł na pieńku, naſtroiwſzy Skrzypce, zaczął śpiewać wierſze naſtępuiące przygrywaiąc:

O Lailla znam, żeś mię polubiła
Chociaż twe Uſta niechcą tego głoſić,
Y oczy milczą, iednakeś mi miła,
Y ia cię kocham, wieſz; na tym mi doſić.

Mówią,

Mówią: że miłość, kiedy ieſt poznana,
Niezwykła lubey nadziei oſłabić,
Ta co ią znoſi będzie przeiednana,
Y ſama do niey da ſię wſpólnie zwabić.

Jednak ſię nieraz obchodziſz z pogardą,
Że Twoich myśli przeniknąć ieſt trudno,
Y tak ſię częſto pokazuieſz hardą,
Gubiąc kochanków przez poſtać obłudną.

Przecięż choć ſię twa oziębłość ſprzeciwia,
Y odmawianie zniewagą ſrożeie,
Pomimo tych mię, nadzieia ożywia,
Miłości światło wpośrzód wzgard iaśnieie.

Wſzak moia wierność w odmianie nie prętka,
Pożar miłości, com nim rozpalony,
Czyś ſroga dla mnie, czyli będzieſz miętka
Niemoże ſłabieć, ni być powiękſzony.

Jeżli kochanie, iak ſię zwykle dzieie,
Y inni twierdzą, częścią ma być cnoty,
Twoia Cnotliwość czyni mi nadzieie,
Że niedaremnie poydą me obroty.

Wierne uſługi y miłość nad miarę,
Służyć mi będą zamiaſt zaręczenia,
Czyniąc ci chęci mych ſzczerą ofiarę,
Korzyſtać będę z prac mych wyſilenia.

Czy niezważałaś, co moia chęć żąda,
Zawſze ma w ciebie mieć wlepione oczy,
Choć inna na mnie niecoraz ſpogląda.
Jakbym nieznał, że wzrok na mię powłóczy

Niemyślę tylko Tobie ſię przymilić,
Wſzyſtkie w tym moie zakładam ſtarania,
Dobrze przybranym być, chcę ſię wyſilić,
Mam ſtroiow doſyć, aż do zbytkowania,

Niewſpominam tu weſołego grania,
Trawiąc nie iedną noc na tym bezſenną,
Wierſzów y Pioſnków, Tańców y śpie-
wania,
Com czynił na twę zabawę codzienną.

Sławiłem poſtać Twoią, co kſztałt czyni
Y Twey piękności dawałem pochwały,
Jakby o cudney urody Bogini,
Za to mię inne piękne połaiały.

Raz cię chwaliłem ſiedzący w rozmowie
Z Tereſą Panną z *Berokal:* aż ona,
Mnie macie kochać Anioła, tak powie,
Acz ieſt niewarta, złośnica zrodzona,

Są to piękności zmyślone w udaniu,
Fałſzywe włoſy, y ſztuczne zaloty.
Twarz malowana wiele brak w ubraniu,
W oczach coś błyſzczy, niemaſz nic iſtoty,

Mocnom

Mocnom ſię gniewał za przydane wady,
Fałſz iey zadałem, bolałem niemało,
Jey Krewny począł o to zemną zwady,
Wieſz co ſię ſtało, iak mi ſię udało.

O lailla wſzak kocham cię y żądam,
Znaylepſzą myślą chętnie cierpię mękę
Y nieynaczey twoich łaſk wyglądam.
Jak gdy z mym ſercem wraz ci oddam rękę.

Słodkie ſą więzy, mocne przez przyſięgę,
Kościoła Jarzmo, lekkie z chęcią ſkłonną,
Z iaką radością, uznaſz w nie ſię w przęgę,
Y poddam, gdy cię uyrzę w tęż nie-
zbronną.

Bo gdy twe uſta przez upor umyślny,
Nie zechcą na me zezwolić zamyſły,
Smiercią zakończę los moy niepomyślny.
Lub gdy przeżyię, wſtąpię wZakon ściſły.

Gdy ſkończył Paſtuſzek, *Don Quiſzott* proſił go, aby ieſzcze co zaśpiewał, ale *Sanſzo*, ktory większą miał chęć ſpać, niż ſłuchać pioſnków, ſprzeciwił ſię temu, y rzekł Panu: iż czas do wczaſu iść, aby ſię gdzie przytulić na nocleg, bo ci dobrzy ludzie pracuiąc cały dzień, niepotrzebowali nocy trawić nad pioſnkami. Rozu-

miem cię *Sanſzo*, odpowie *Don Quiſzott*, y nieprzyſzło mi na myśl, że głowa napełniona tęgością Wina więcey potrzebuie ſnu, iak śpiewania. Panu Bogu dzięka, rzecze *Sanſzo*, ale każdy wział ſwoią część; przyznaię odpowię *Don Quiſzott*. że ſię zpozniło. ſpiy, gdzie chceſz, á mnie zoſtaw na wolą, przyſtoyniey czuwać, iak zaſypiać Ludziom moiego Stanu, ale pierwey mi opatrz ucho; bo powiem prawdę, że mi bardzo dokuczą. *Sanſzo* gdy ſzuka Maści, ieden z Paſterzów, ktòry obaczył ranę, rzekł *Don Quiſzottowi*, aby ſię nieturbował, żę będzie wnet uleczony, y poſzedłſzy urwał kilka liſtkow Rozmarynu, ktòre pożuwſzy w gębie, przymieſzał trochę ſoli, y przyłożył do ucha, upewniaiąc, iż niepotrzebował innego plaſtru, rana ſię zagoi, co w ſkutku ſtało ſię.

ROZDZIAŁ XII.

Co Paſterz opowiedział tym, co byli z DON QUISZOTTEM.

GDy ſię na tym zaſtanowili, Chłopak ieden z tych, co chodzili do wſi po żywność, obrociwſzy ſię do Paſterzów, rzecze: Dzieci, á wiecieſz, co ſię ſtało? A iakżebyśmy mogli tu wiedzieć, odpowie ieden

den z nich. O toż daley mòwi Chłopczak. Wiedźcież tedy o tym, że ten Pasterz tak grzeczny, ten Student Chryzostom, umarł dziś rano, y mòwią, że z miłości dla tey opętaney *Marcelly* Córki *Wilhelma* Bogacza tego, co tu blisko widuiecie w sukniach Pastuszych. Dla *Marcelly*? rzecze ieden z Pasterzów, czy do prawdy? Dla tey samey, odpowie, y co iest dziwnieyszego że tenże Chryzostom rozkazał, aby go pochowano w polu, iak gdyby nie był Chrześcianinem, y to pod gòrą, zkąd wytryska żrzòdło z pod drzewa, dla tego, że iak powiedaią, iż on pierwszy raz ią tam oglądał. Wiele innych rzeczy nakazał, tym podobnych, ktòre, iak tuszą Kościelni tey wsi, nie będą wykonane, bo są złym przykładem y trącą poganinem. Ale Ambroży ten drugi student, y przyiaciel zmarłego, ktòry także w Pasterskich sukniach chodzi, chce aby wszystko dopełniono, iak Chryzostom żądał. Cała wieś w zamieszaniu, iednak spodziewam się, że Ambroży na swoim postawi. Wszyscy Pasterze iemu przyiaźni tegoż pragną; y iutro maią pogrzebać go w tym mieyscu z wielką okazałością. Co rozumiem, że to będzie rzecz godna widzenia, przynaymniey chcę tam iść, ieżeli nie będę musiał

ſiał znow poyść dla żywności. Poydziemy wſzyſcy, odpowiedzą Paſterze, y będziemy grać w ſłomki, kto ſię ma zoſtać pilnować Koz: iak mowiſz Pietrze? odezwie ſię ieden: nietrzeba losow ciągnąć, ia zoſtanę za was wſzyſtkich, y niemyśliycie, abym to iedynie dla przymilenia wam, albo dla nieciekawości czynił, ale dla tego, że chodzić niemogę od tey kolki co mi wlazła wczoray w nogę. Jednak ci wdzięczni ieſteśmy: odpowie Piotr, dziękuiemy ci do oddania wet za wet. *Don Quiſzott* proſił Piotra, aby mu powiedział nazwiſko umarłego, y co była za iedna ta Paſtuſzka; na co Piotr dał odpowiedź; że niewiedział więcey, nadto, iż ten zeſzły był Młodzian Syn Szlachcica bogatego, ktorego Oyciec miał Dom ſwoy bliſko tych gor, iż długo ſię uczył w *Salamance*, y powrocił do Domu bardzo umieiętny, iak wſzyſcy twierdzili, ale naywięcey, mowi daley Piotr: znał ſię, iak powiadaią na nauce Gwiazd, y co ſię tam dzieie między Słońcem y Mieſiącem, tak że nieomieſzkał opowiedzieć zawſze dzień w dzień Eklizy Słońca, y Mieſiąca: *Eklipſy* ſię nazywaią moy Przyiacielu, nie Eklizy przerwie mu *Don Quiſzott*, co ſię znaczy zaćmienie, ktore ſię trafiaią tym

Płane-

Planetom. Zgadał także, bo niekażdy tak zważa z bliſka; kiedy miał być Rok dobry, albo zły. Jego Rodzice y Przyiaciele, co temu wierzyli, iak powiedał, iego rady ſłuchali, y zbogacili ſię w krótkim czaſie. Raz mówił, żeby ſieli Jęczmień á nie Pſzenicę, drugi raz groch y bober, nie Jęczmień. Ten rok będzie obfity, zbiorą doſyć Oliwy, ale trzy lata naſtępuiące nic nie przyniosą, y to zawſze ſię tak działo iak przepowiedział. Ta nauka Gwiazdarſka, nazywa ſię *Aſtrologia* rzecze poważnie *Don Quiſzott.* Niewiem, iak ſię zowie, odpowie Piotr, ale to mi wiadomo, że to wſzyſtko umiał, y ieſzcze więcey. W kilka Mieſięcy powróciwſzy z *Salamanki*, widźieliśmy go iednego dnia pięknie przybranego po Paſterſku z torbką, y ſwą Trzodą: iego wielce poufały Ambroży, który był z nim wſpółuczniem, także porzucił ſzkolny ubior, y iak tamten uſtroił ſię w paſtuſze ſuknie. Zapomniałem W. Panu powiedzieć, że ten Chryzoſtom był bardzo ſpoſobny do pieśni ułożenia, tak, że na Boże Narodzenie każde piſał, co ſię w nocy przyiścia Pańſkiego śpiewaią, y na Boże Ciało dyalogi, które Dzieci po wſiach udaią tak, że niemożna było lepiey. Gdy obaczono tych dwóch Studentów

dentow przeſtroionych za Paſterzòw, zadziwili ſię wſzyſcy tak prętkiey odmianie, ktòrey niemogli zgadnąć przyczyny. Oyciec Chryzoſtoma w ten czas właśnie umarł, y zoſtawił go właścicielem znacznego maiątku, bydła doſtatek dużego y małego, porządkòw ròżnych, y pieniędzy gotowych co niemiara. Y do prawdy wart był tego wſzyſtkiego, bo był bardzo dobry dzieciak przyiazny poczciwym ludziom, y miał właśnie twarz miluchną. Na reſztę ſię dowiedziano, że ta odmiana ſtroiu ſtała ſię iedynie tylko dla chodzenia po gòrach y laſach za Paſterką Marcellą, w ktòrey ſię był ten niebośzczyk zakochał. Teraz trzeba, żebym W. Panu powiedział co to za iedno to młode ſtworzenie, bo nieżle, żebyś W. Pan o tym wiedział. Podobno, albo y niepodobno, mòwić mogę śmiele, że W. Pan nigdy niewidziałeś w dniach życia ſwoiego nic iey ròwnego, y nieuſłyſzyſz nic iednakowego, gdybyś żył dwieście lat. Obaczmy, rzecze *Don Quiſzott* co to? Powiem tedy W. Panu mòy dobry MciPanie, daley mòwi Paſterz; że był w naſzey wſi kmieć nazwany *Wilhelm*; ieſżcze bogatſzy, niż Oyciec Chryzoſtoma, y ktòremu Pan Bòg dał więcey nad te doſtatki, co poſiadał, bardzo urodziwą Còrkę, ktò-

kę, ktòrey Matka w połogu przy niey umarła. Była to dobra Kobieta ta Matka, iak lepſzey w Okolicy tu nieznałem. Zdaie mi ſię, że ią widzę iak żywą, tę poczciwą Kobietę z tą twarzą miłą y weſołą, y oczyma świecącemi ſię niby dwie gwiazdy. Ale nadewſzyſtko dobra Goſpodyni była, nawidziała ubogich, y założyłbym, że ieſt dziś w Niebie. *Wilhelm* nieborak umarł z żalu, który miał, utraciwſzy tak dobrą Zonę, zoſtawił Marcellę Córkę młodziuchną, y iedyną Dziedziczkę w ręku Duchownego Stryia iey, który był Plebanem w naſzey wſi. Ta ſiero ta roſła codziennie w piękność tak, że nam dała przypominać Matkę, która była także krztałtna bardzo, y zaraz uważali, że Córka ią przeyidzie; dla tego ledwie doſzła lat piętnaſtu, wſzyſcy, co ią widzieli, Pana Boga chwalili, że ią tak piękną ſtworzył, y ledwie nie wſzyſcy ſię w niey pokochali, á prawdziwiey (mòwiąc) ledwie nie ſzaleli z miłości. Jey Stryi iednak pilnował z wielkim ſtaraniem ſwey Synowicy, y bardzo ściśle, przecięż odgłos iey piękności tak daleko ſię rozciągnął, że tak dla tey przyczyny, iako też iey znacznego Maiątku, ſiła młodych ludzi znakomitych, nie tylko z naſzey Okolicy,

ale y

ale y zdala na około, za Zonę ią mieć żądali; ani pokoiu, ani odpoczynku niedali iey Stryiowi. Xiądz dobry radby ią był wydać za Mąż, iak ią tylko uznał w wieku na wydaniu; ale że był Człowiek ſumienny, niechciał tego uczynić bez iey zezwolenia, y niemożna ſądzić, iż odwłócząc zamęście ſwoiey Synowicy ten dobry Duchowny, chciałby pożytkować z maiątku iey, którego miał rozrządzenie, wſzyſcy wiedzą, że nie tak ieſt, y nieraz o tym mówiono na iego pochwałę w naſzych poſiedzeniach. Bo żebyś W. Pan o tym wiedział, Mci Panie Kawalerze błędny, chociaż w tak małym mieyſcu, iednak o wſzyſtkim u nas mówią, każdy znaydzie co, źle lub dobrze, uznać, chwalić, lub ganić, według ſwoiego widzi mi ſię, y wierz W. Pan, że Xiądz Pleban u nas muſi trzymać ſię proſto y na oſtrożności, ieżeli chce być chwalonym od Parafianów, á to naybardziey na wſi. Macie przyczynę, rzecze *Don Quiſzott*, ale daley kończcie, moy Pietrze. Powieść ieſt dość dobra, y wy ſkładnie ią wcale opowiedacie. Niech Pan Bóg będzie z W. Panem, odpowie Piotr; bo na końcu to ieſt lepſze nad wſzyſtko żebyś W. Pan tedy o tym był uwiadomiony z iego pozwole-

zwoleniem daley mówię: że bądź iak chcąc mocne uwagi czynił Stryi tey Dziewicy, y iak tylko mógł zalecał zacne przymioty tych, co się o nią starali, prosząc, y namawiaiąc ią, aby poszła za Mąż, y sama sobie obrała tego, ktòryby iey się naylepiey upodobał, nieodpowiadała więcey na to, iak: że ieszcze o zamęściu niemyśli, y że za młoda, aby się tak prętko namyśliła o postanowieniu. Temi wymówkami, które się zdawały dosyć pozorne, uwolniła się od naprzykrzenia Stryia, który czekać chciał, ażby do wieku stalszego cóżkolwiek przyszła; y sama sobie obrała Męża; bo mawiał, y dobrze to uważał, że nigdy Rodzice niepowinni Dzieci niewolić do niczego. Na resztę iednego pięknego dnia, kiedy nikt się niespodział, aż ta razem pogardzaiąca *Marcella* została Pasterką; pomimo Stryia y wszystkich, którzy ią chcieli od tego odprowadzić, pobiegła w pola z innemi Pasterkami, sama swoią trzodę pasąc. Panno Nayświętsza! wtenczas się gorzey stało! bo iak się tylko pokazała odkrycie, niemożna policzyć młodych ludzi, tak ze Szlachty, iako y bogatych kmieciów Synow, co się Pasterzami zrobili, y biegli za nią na zaloty z oświadczeniem każdy przyiaźni. Jeden

z tych,

z tych, iakom wyraził był nieborak Chryzostom, y powiedaią: że nie kochał iey, ale wielbił nad zwyczay y szalał prawie dla niey. Nietrzeba zaś myślić, że gdy obrała sobie ten sposob życia osobliwy y wolny, *Marcella*, miała co naymniey przeciwko poczciwości wykroczyć, y coby iey cnotę y statek pod wątpliwość podawało; owszem tak pilno przestrzega swoich uczynków, y tak się zachowuie ostróżnie, iż żaden z tych, co iey nadskakuią, niemoże się pochwalić, żeby mu naymnieyszą uczyniła otuchę, y choć iuż nieunika rozmowy z Pasterzami, y grzecznie się z niemi obchodzi: gdy się iednak zdarzy, że który z nich odważy się odkryć iey swoią miłość, choćby naybardziey niewinna była, iako to do zamęścia dążąca, tak daleko go odrazi od siebie, że nie śmie drugi raz się porwać. Y tak ta Dziewica iest szkodliwsza na świecie, niż zaraza, bo iey piękność y grzeczność zniewala serca wszystkich, co ią widzą, iey zaś upor do rozpaczy przywodzi. Niezostaie im tylko ią głośno nazywać, niewdzięczną, okrutną, y tym podobnemi nazwiskami, których warta ta złośnica. Gdybyś tu W. Pan był czasem, Mci Panie Kawalerze, usłyszałbyś rozlegaiące się odgłosem

głoſem gory y doliny wyrzekaniami tych nieborakow kochankow pogardzonych, y w pewnym mieyſcu ztąd niedaleko, ieſt ze ſto drzew bukowych, nieznaydzie tam żadnego, na którymby niebyło wyrzniętego imienia *Marcelli*, á na wierzchu niektórych ieſt Korona, chcąc dać poznać, że warta wieńca piękności. Y tak w iednym kącie wzdycha ieden paſtuſzek, w drugim inny ſię żali. Tu miłośne pioſnki śpiewaią, tam żałośne ięczenia wydaią, niektórzy po całych nocach pod drzewami ſiedząc, albo na gorach zanurzeni w zamyſłach oka niezmrużywſzy, czekaią wſchodu Słońca, drudzy niedaiąc odpoczynku wzdychaniem, w naygorątſze dni lata na rozpalonym piaſku leżąc: głoſy do Nieba y narzekania żałośne rozpoście-raią. Zaś harda *Marcella* na to wſzyſtko niedbaiąc, iakgdyby nic niebyło: żartuie z nich, odrzucaiąc y iednych y drugich. Jednak wſzyſcy co tu ieſteśmy, y znamy ią, oczekuiemy dokąd zaprowadzi ſrogość tey niebeśpieczney Dziewicy, y ktòry będzie tak ſzczęśliwy, żeby udobruchał tak dzikie ſtworzenie. Wſzyſtko, com W. Panu powiedział, ieſt ſamą prawdą, y niewątpię, co naſz Paſterz oznaymił o śmierci Chryzoſtoma. Zyczyłbym W. Pa-

nu

nu Mci Panie Kawalerze być przytomnym iutro na iego pogrzebie, będzie to zapewne rzecz godna widzenia, y niemaſz ztąd, iak pół mile. Nieomieſzkam tam być, rzecze *Don Quiſzott*: y dziękuię wam, za opowiedzenie tego przytrafienia, które mię zabawiło. Oy! zapewne, rzecze Paſterz, y połowy W. Panu nie wypowiedziałem, co ſię zdarzyło Miłośnikom *Marcelly*, ale iutro idąc tam, znaydziemy którego Paſterza, co W. Panu więcey donieſie. Teraz zaś Mci Panie, dobrzeby, żebyś W.Pan poſzedł, gdzie położyć ſię pod dach, ponieważ na dworze zle ſpać na W. Pana ranę, lubo ztym przywinięciem, com W. Panu przyłożył, niemaſz ſię czego obawiać. *Sanſzo*, który ſto razy przeklął y Paſterza, y iego baianie, nawawiał Pana, aby wſzedł do chałupki Piotra: y dał ſię przecież namowić; ale to było dla rozmyślania reſztę nocy o ſwoiey n elitościwey *Dulcynei*; aby kochankom *Marcelly* w tym prymu nieuſtępował. *Sanſzo* ze ſwoiey ſtrony położył ſię na barłogu w Stayni między *Roſſinantem* y ſwoim Oſlem, nie iak kochanek zle ſpotkany, ale iąk Człowiek zturbowany, y nie prożny Brzuch maiący.

ROZDZIAŁ XIII.

Dalsza Powieść o Marcelli.

LEdwie zaświtało, powstali Pasterze, y spytali się Don Quiszotta, czyli ieszcze trwał w swey chęci widzieć Pogrzeb Chryzostoma; y że z nim poydą pospołu. Ten zezwalaiąc chętnie, wstał, y roskazał, aby Sanszo osiodłał Rossinanta, y Osła swego. To zrobiwszy, z wszelkim pośpiechem udali się w podroż: ledwie cwierć mile uiechali, napotkali idących przeciwko nim sześciu Pasterzow w czarne suknie ubranych, wieńce ná głowach maiących, z Cypryssu y Szałwii, długie laski z głogu w ręku; zá niemi iechało dwoch Szlacheckich Synow ná koniach, y trzech Masztalerzow szło pieszo; ziechawszy się przywitali się grzecznie, y spytawszy wzaiemnie, gdzie iechali, zmowili się; że wszyscy mieli myśl, udania się dla widzenia tego pogrzebu: y tak wspolnie dążyli do mieysca. Jeden z tych Szlachty obracaiąc się do drugiego, rzecze, Mospanie Vivaldo; niespodziewam się, abyśmy żałowali czasu; co na widze-

I nie

nie tego Obrządku żałobnego obrociemy, ktory zapewne będzie ozdobny y osobliwy, z przyczyny wielu dziwnych rzeczy, ktore nam Pasterze opowiedzieli o tym umarłym y o Pasterce; ktora mu do śmierci była powodem. Iestem upewniony iak y W P. o tym: Odpowie *Vivaldo*, y nieżalby mi, chociażbym kilka dni utracił zamiast iednego. *Don Quiszott* zatym spytał ich się coby słyszeli o *Chryzostomie* y *Marcelli*. Ieden z nich odpowie, że spotkawszy Pasterzy w żałobę ubranych, gdy się spytał o przyczynie: oni mu powiedzieli całą Historyą o nieiakiey *Marcelli* iak piękney, tak dziwaczney z roskochaniem się wielu młodych Ludzi w niey, żądaiących iey zá żonę, y Smierć *Chryzostoma*, ktorego szli chować. Słowem powtorzyli *Don Quiszottowi* toż samo, co Piotr mu wypowiedział. Skończywszy tę powieść *Vivaldo*, zapytał naszego Rycerza, co go przynagláło ieździć tak uzbroionym w Kraiu, gdzie pokoy był zupełny. Moia powinność y obowiązek, odpowie *Don Quiszott*, niedozwalaią mi wyieżdzać inaczey. Ubior spokoyny wynaleziony dla Dworzan, ále czułość, pracowitość, y oręż należą tylko

ko do tych, ktorych ná świecie zowią Rycerzami obłąkanemi, y z ktorych liczby, ia mam szczęście być, chociaż niegodny, y nayliższy ze wszystkich. Nietrzeba było więcey dać do wyrozumienia tym iadącym, áby poznali, że nasz Rycerz był bez mozgu, ále żeby lepiey o tym byli upewnieni, y doświadczyli iakiego rodzaiu szaleństwo w nim panowało. *Vivaldo* spytał go, co to byli zá iedni ci kawalerowie błędni? Poznáię to Mci Panie, rzecze *Don Quiszott*, żeś W P. nieczytał Dzieiow Angelskich, ktore opisuią znakomite Dzieła Krola *Artura*, co go *Artusem* nazywamy po kastyliysku, y o nim przez podanie wiekow w Wielkiey Brytanii trzymaią, że nie umarł, tylko się przemienił w kruka przez zaklęcie Czarodzieyskie, iż przyidzie ten czas, kiedy powroci w swoiey postaci, y wstąpi ná Tron własny; dla tego odtąd nikt niewidział, áby ktory Angielczyk zabił choć iednego kruka. Za czasow tego dobrego Krola było postanowione Rycerstwo sławne Stołu okrągłego, oraz działy się miłości miedzy *Don Lancelotem Dulac* y Krolową *Geniewrą*, ktorych mądra statecżna y zacna Dama Quintagnona była

pośrednicą, y ktore ſą powodem do tych znaiomych wierſzow tak wielce w Hiſzpanii śpiewanych.

Zaden Rycerz tak od Damy,
Niebył w Swiecie przyimowany,
Iak Lancelat ukochany,
Gdy ſię rozſtał z Anglikami.

Od tego czaſu poſtanowienie Rycerſkie powiękſzało ſie coraz y rozſzerzało ná wſzyſtkie Części Swiata. Waleczny *Amadis* wſławił ſię przez wielkie ſwoie czyny Woienne; iako też iego Synowie y Synowcy; aż do piątego pokolenia. Mężny Felix Marthe z Hirkany, dał ſię także poznać znakomitym, y ten drugi Rycerz, ktorego nigdy doſyć wychwalić niemożna *Tirantleblanc*, y mało brak żeśmy niewidzieli w náſzym wieku niezwyciężonego Rycerza *Doñ Belianiſa* z Grecyi, y tyle innych, ktorych Jmiona ſą ſławne w Dzieiach. Otoż to ieſt Mci Panie zakonność Ryc. erſtwa błędnego, o ktorym WPu powiedziałem, że iego zachowuią obrządki; do tychże Uſtaw mię obowiązuiąc, co ci dobrzy Rycerze dawnych wiekow dopełniali, ktorych naśladuię iak nay-

ści,

ściśliey, y dla tego tak czynię, iak oni iazdę po Gorach y Lasach szukaiąc przypadkow z myślą dobrą poświęcić moie Ramie y Osobę ná niebespieczeństwa wszelkie, ktore mi los zdarzy dla obrony uciśnionych y słabych. Po tak piękney rozmowie, niezostało naymnieyszey wątpliwości nászym podrożnym, o zawrocie głowy *Don Quiszotta*; y nietrzeba powiedać iak dalece ten osobliwy rodzay głupstwa zadziwił ich. *Vivaldo* ktory był wesoły, y przenikaiącego rozumu, odkrywszy tę osobliwość, chciał z niey korzystać w czasie krotkiey podroży, ktora im zostawała, aż do mieysca pogrzebu *Chryzostoma*; y áby *Don Quiszotta* rozruchał daley. Zdaie mi się, rzecze, Mci Panie kawalerze błędny, żeś W P. przyiął iedne z nayostrzeyszych ustanowień ná świecie, y widzi mi się, że Kartuzow Reguła fraszka przeciwko tey. Może być tak surowa, nasz Bohatyr odpowie; ále nie tak potrzebna zapewne; y to wątpliwości żadney niepodlega, bo Zakonnicy niemaią nic do czynienia, iak chwalić Pana BOGA; y prosić o dobro Ludzi spokoynie y bez utrudzenia. My zaś kawalerowie y Woiownicy dopełnia-

niamy, czego oni żądaią; daiąc krzystać Ludziom tych pożytkow przez mężność naszey ręki, y broni naszey dowodnośc. Ale my nietak, iak oni w wygodzie zakryci od niepogod y złych chwil; acz pod wolnym Niebem zawsze wystawieni ná gorące promienie Słońca w Lesie, y przerażaiące mrozy w zimie. Y tak słusznie mowić możemy, że iesteśmy Namieśnicy Boscy ná ziemi y Mściciele Iego sprawiedliwości. Jako Woyna, y co zá nią następuie, nie iest bez wiela trudow y potu czoła, idzie zatym, że ci ktorzy w niey się ćwiczą, więcey daleko dokazuią, iak ktorzy modlą się swobodnie zá grzesznych y upadłych. Przecież ia nieutrzymuię z tym wszystkim, niech mię Pan BOG uchowa, żeby powołanie Rycerza błędnego było tak Swięte y pewne, iak Zakonne; acz ztąd sobie wnoszę, co ia sam ucierpię, że iest daleko trudnieysze, pracowitsze y bardziey udręczaiące głodem y pragnieniem, słowem: tysiąc razy dokuczaiące, bardziey iak się daie widzieć przez tak wiele niepomyślnych przygodow, ktorych sieła kawalerow doświadczyli w Ich życiu, y ieżeli niektorym zdarzyło się zostać Cesarzami, przez Wa-
le-

leczność ich ſerca y ręki; wierzyć można, że ich to ſieła koſztowałc; ieżeli pot czoła, y krew wylana, co ważyć mogą; y gdyby przez nieſzczęście, zabrakowało Im ná Mędrcach y Czarnoxiężnikach, ktorzyby ich wſpierali, można być pewnym, żeby wiele było w nadziei omylonych. Y ia tego ieſtęm zdania, odpowie *Vivaldo*, ale iedna rzecz mię gorſzy między wielą innemi u Rycerzow błędnych, to ieſt: że poczynaiąc iaką znaczną ſpotyczkę y z iawnym niebeſpieczeńſtwem życia, nieſłychać, żeby ſię udawali do Pana BOGA, iako każdy Chrześcianin powinien czynić w podobnych okolicznościach, ale ſię tylko polecaią ſwoim kochankom, y ich pomocy wzywaią, iak gdyby niebyło innego BOGA dla nich, y to według moiego zdania Bałwochwalſtwem trąci całą gębą. Mci Panie, odpowie *Don Quiſzott*, niemaſz ſpoſobu inaczey czynić; y Rycerz obłąkany, gdyby innym kſztałtem ſobie poſtępował, wyſzydziliby go inni wſzyſcy. Bo to ieſt zwyczay poświęcony y nienaruſzenie w każdym czaſie Rycerſtwa błędnego utrzymywany: że w przedſięwzięciu iakiego znakomitego Dzieła Rycerſkiego, ten co ſię potyka w przy-
to-

tomności swoiey Damy, obroci oczy do niey miłośne, iak gdyby iey prosił, żeby była łaskawa y ratowała go w złey toni, chociażby go nikt nieusłyszał, winien iest mowić przynaymniey po cichu, y przez zęby niektore słowa, iakby się polecał z całego serca tey, co o niey myśli, czego mamy tysiączne przykłady w Dzieiach. Acz przez to niemożna rozumieć, áby kawaler błędny nie miał się y Panu BOGU oddawać. Iest czas ná wszystko y może w samey bitwie upatrzyć tę porę. Ieszcze mi iedna trudność zostaie, odpowie *Vivaldo*. Czytałem nieraz, że Rycerze błędni rozmawiaiąc pospołu od słowa do słowa powadzili się, y zwrociwszy konie dla większego zapędu ieden na drugiego skoczyli żwawie, cugle upuściwsay; y ledwie maiąc czas przypomnieć się we dwoch słowach swym ulubionym w pośrzod biegu; y w tych harcach trafiło się zwykle; że ieden został obalonym ná wznak, y ná śmierć przebitym; á drugi ledwie się utrzymał za Grzywę konia. Otoż ia nierozumiem, iak ten zabity mogł mieć czas, Panu BOGU się oddać w tak prętkim uwinieniu się. Mnieby się zdawało nayprzyzwoiciey, żeby się Rycerz

cerz wprzod do Pana BOGA modlił, zamiaſt do ſwoiey miłey; bo przynaymniey by zadoſyć uczynił powinnośći Chrześciańſkiey, y umieraiąc wina by iego zoſtała tylko względem kochanki, coby nie z naywiekſzą dla niego ſtało ſię ſzkodą: á do tego wątpię, żeby wſzyſcy Rycerze błędni mieli ſwoie ukochane, ktorymby ſię ofiarować mogli: To być niemoże, zawoła *Don Quiſzott*, niemaſz Rycerza błędnego bez Damy, prędzeyby Niebo było bez Gwiazd, to ieſt właśnie Treść y iſtota Rycerzow, y znaleść mi proſzę aby ieden przykład w Dzieiach wſzyſtkich przeciwny. Więcey W Panu powiem, y to oświadczam: że gdyby trafunkiem znalazł ſię iaki kawaler błędny bez miłośći, niebyłby trzymany za dobrze urodzonego, áni prawego Rycerza; ále raczey zá bękarta; y wſzedłby do Rycerſtwa obłąkanego nie drzwiami, ále oknem, iako zboyca y złodziey. Wydaie mi ſię iednak, rzecze *Vivaldo* ieżeli dobrze pamiętam, że *Don Galoar* Brat mężngo *Amadiſa* niemiał Damy pewney, do ktoreyby ſię w gonitwach modlił. Z tym wſzyſtkim niemniey zá odważnego miany y ſzacowany. Iedna Iaſkułka nieprzynoſi Wioſny,

ſny, odpowie *Don Quiſzoti*, oprocz, że wiem dowodnie, iż ten Rycerz kochał ſię taynie y mocno, y gdyby tym wſzyſtkim, co ładne znaydował, przymilał ſię, działo ſię to z iego ſkłonności przyrodzoney, ktorą niewładnął, iednakże zawſze bez pokrzywdzenia tey; co znamy z pewney wiadomości, iż była iedyną Panią iego woli, y ktorey ſię z całego ſerca polecał, chociaż ſkrycie; bo zbytnią względnością ſię uwodził. Daię ſię przekonać, rzecze *Vivaldo*, á że ieſt Treścią każdego Rycerza obłąkanego być zakochanym, mamy to za pewne że WP. także miłośnikiem ieſteś, będąc tego kunſztu, dla tego ieżeli WP. nie zaſadzaſz ſię ná ſkrytości, iak *Galoar*, proſzę go Imieniem wſzyſtkich tu obecnych uwiadomić nas, o nazwiſku y zacności ſwoiey ulubioney y opiſać nam ią. Powinna mieć ſobie za ſzczęście, áby wſzyſtkim ogłoſzono było, iż kawaler tey znakomitości, iak WP. nam ſię wydaieſz, czyni ią ſwoią Boginią miłości. Niewiem, odpowie *Don Quiſzott*. weſtchnąwſzy ſerdecznie, ieżeli ta miła nieprzyiaciołka moia przyimie to dobze lub źle, aby o tym wiedziano, iż ia iey ſługą ieſtem, ále to wiem dobrze, chcąc

odpo-

odpowiedzieć ná ich zapytanie tak uprzeyme, iż ſię nazywa Dulcynea, łey Oyczyzna ieſt Toboſo Wieś, Manchy Kraju y ieſt przynaymniey Xiężniczką, ponieważ ieſt Panią Wielowładną moich myśli. Co do iey urody ieſt to cud piękności, gdzie wſzyſtko, co Poetowie wymyślili niepodobnego y nadzwyczynego ná wychwalenie ſwych kochanek, znayduie ſię iſtotne w niey ſłowo w ſłowo. Jey włoſy ſą złociſte, Twarz ma ozdobę y ſłodycz Pol Elizeyſkich, Brwi, iak Tęcze, á Oczy, iak Słońca prawdziwe, Roże ná Iey policzkach zakwitaią, Uſta ſą korałami świetnemi ukſztalcone, Zęby, iak iſtotne perły, Szyia z Alabaſtru, Pierſi z naybielſzego Marmuru, y Ręce z kości ſłoniowey, białość śniegu za nic przy niey y przez to, co widzieć można, o niewiadomych pięknościach ſądzić łatwo; iż ſą nieoſzacowane, y niezrownane. Nic niebrakuie, rzecze *Vivaldo*, tylko poznać Iey urodzenie y Pokolenie. Niepochodzi, odpowie *Don Quiſzott*, z dawnych *Kurcyuſow*, áni *Kajuſow*, áni *Scypionow* Rzymſkich, niebierze także początku od Kolumnow, lub Urſynowm teraźnieyſzych, nie rodzi ſię z Moncadow, Roqueſenow z Katalonii,

nii, áni z Rabellas y Willenewow z Walencyi, nieliczy między Przodkami swoiemi Palafoxow, Nucas, Rocabertis Corellow, Lunes Alagones, Urreas, Fozes lub Gurreas z Arragonii, tym mniey Cerdas, Manrigues Mendoces, lub Gusmanow z Kastylli, ani Aleneastres, Pallas y Menczes z Portugalii, ale iey Rodowitość wynika z Toboso z Manchy, y chociaż Iey Dom iest teraźnieyszy, przecież może być Gniazdem y źrzodłem naywiększey y nayświetnieyszey Familii w potomne wieki; y niechay mi się w tym nikt niesprzeciwia, chyba pod temi warunkami, ktore Zerbin położył pod zwyciezkim znakiem, co wystawił Broni *Rolanda*.

Niechay niema ośmielenia,
Dotykać się kto tey broni,
Bo się pewno nieuchroni.
Mieć z Rolandem do czynienia,

Co się mię dotyka, rzecze *Vivaldo*, chociaż tylko iestem Łapikura z Laredo, niepoważam się porownywać z wielkim Domem Tabosow z Manchy; lubo prawdę mowiąc: pierwszy raz słyszę ią. Iako? zawoła *Don Quiszott*, czyli podobna,

bna, żeby tak głośna rzecz y ſławne Jmię niedoſzły uſzu WPana? Wſzyſcy idący ſłuchali z pilnością tey rozmowy, nawet paſterze, y owczarze przeświadczeni zoſtali o Dziwactwie naſzego Rycerza; ſam tylko *Sanſzo Panſa* dowierzał Cudom, y Wywodom, co opowiedał iego Pan; ktorego wiedział rzetelność, y znał go dobrze od Pieluchow, zawſze z nim obcuiąc, miał iednak nieco wątpliwości o Dulcynei, bo chociaż był bliſki Wſi Toboſo, nigdy nieſłyſzał wſpomnienia o tym nazwiſku, y żeby iaka Xiężniczka miała ſię znaydować w całey Manchy Kraiu.

Gdy tak iechali rozprawuiąc, poſtrzegli w głębokiey drodze między dwiema Gorami dwudzieſtu Paſterzow w czarne ſuknie przybranych wſzyſtkich, ná głowach Cypryſſem z Lipiną uwieńczonych, ſześciu z nich nieśli Ciało Gałązkami y Kwiatkami nakryte, iak ſię zbliżyli, Otoż, rzecze ieden z Paſterzow nioſą do pochowania *Chryzoſtoma*; y pod tą Gorą obrał ſobie mieyſce pogrzebu. To przyſpieſzyło wſzyſtkim prętſzey iazdzy, gdzie ſtaneli właśnie wtedy, gdy nioſący poſtawili ciało, y czterech ludzi kopali doł pod ſkałą; przywitali ſię wſpolnie,

nie, y po pierwſzych ukłonach wzaiemnych. *Don Quiſzott* y iego Wſpołecznicy przypatrywali ſię złożeniu iego gdzie obaczyli młodego Człowieka trzydzieści lat bliſko maiącego, iak umierał, w ſukniach Paſterſkich okryty kwiatami. Chociaż iuż nieżywy, iednak ſądzić można było łatwie, że był urodziwy y kſztałtney poſtaci. Było w Trunnie dosyć papierow piſanych otwartych y pokładanych. Jle ſię tąm znaydowało przytomnych, tak ci, co zabawiali ſię robotą, iako też co patrzali, w głębokim milczeniu zoſtawali; ktore ieden z tych, co go nieśli, przerwał, mowiąc do drugiego: patrzay *Ambroży*, ieżeli to ieſt mieyſce, co *Chryzoſtom* obrał; ty, co żądaſz, aby iego oſtatnia wola była tak dokładnie dopełniona! Toż ſame ieſt, odpowie *Ambroży*. Tu mi właśnie moy Przyiaciel nieſzczęśliwy opowiadał nie ſto razy ſwoią żałoſną dolą. Tu pierwſzy raz obaczył tę nieprzyiaciołkę niſzczącą Rodzay ludzki. Tamże pierwſze oświadczenie uczynił iey ſwey miłości tak cnotliwey iak gwałtowney. W tymże mieyſcu niemiłoſierna *Marcella* dokończyła go rozpaczać przez ſwoie pogardy, y przynagliła zakończyć oſtatni los życia

iego

iego ſmutnego; y tutey chciał być pochowanym, aby zachować pamięć tylu niepomyślności iego. *Ambroży* obrociwſzy ſię potym do *Don Quiſzotta*, y innych tak daley mowił. To Ciało, ktore WPP. zważacie zapewne z politowaniem, zawierało niedawno Duſzę, ktorą Niebo ozdobiło wielą Darow ſowitych udziałem. Jeſt to tego *Chryzoſtoma*, ktory miał rozum nieporownany, poczciwość iak drugiey poſzukać, przyiaźń niepoślakowaną. Był hoyny y wſpaniały bez nadętości; ſtateczny y poważny bez wynieſłości; Umiarkowany bez przyſadności; miły y zabawny bez podłości; ſłowem; był pierwſzy między dobremi. Iako był w nieſzczęściu bez rownego; kochał bez miary; á był nienawidzony, wielbił, á był pogardzony; ſłużył bez zyſku dzikiey y ſrogiey, kobiecie, ktorey niemogł zmiękczyć; płakał, y ięczał przed Marmurem głuchym y nieczułym; Jego głoſy ná Powietrzu ſię rozchodziły, iego wzdychania Wiatr rozwiał, y żale rozproſzył; Przywiązał ſię do ſamey niewdzięczności; y w nadgrodę otrzymał widzieć ſię śmierci ofiarą w pośrod naypięknieyſzych dni wieku, przez okrutność nielitośiwey

Pá-

Pasterki; ktorą swemi wierszami chciał w nieśmiertelney pamięci zachować żyiących. Te Pisma, co zważacie, mogłyby być świadectwem tego, co mowię, gdyby mi nierozkazał spalić ie zaraz, iakbym oddał ciało iego ziemi. Byłbyś sroższym, niż on, zawoła *Vivaldo*, gdybyś to wypełnił. Nienależy zachowywać tak ściśle rozkazow tych, ktore są przeciwko rostropności zlecone. Wielez pięknych rzeczy byłoby utraconych, gdyby ostatnie wole, iak ta; były uskutecznione? Y tak Panie *Ambroży* uczyńcie tę przysługę iedną ieszcze waszemu Przyiacielowi, áby iego pracę wybawić od niepamięci, y zachować należy te Pisma, ktore zaświadczaią Cnotę waszego Przyiaciela, y niewdzięczność *Marcelli*; choćby tylko dla przestrogi innym, y nauczania ich przez ten smutny przykład, aby niewpadali w podobną Przepaść. Co o nas, iuż wiemy smutne przytrafienie *Chryzostowa*, y przyczynę iego śmierci, znamy przyiaźń, ktora was wiązała wspolnie, y czego żądał, umieraiąc; á przez tę żałosną przygodę sądziemy, iaka była srogość *Marcelli*, y pasterza kochanie; y co zá koniec czeka tych, ktorzy wypuszczaią cugle prożnym nà-

dzie-

dzieiom, ktoremi miłość ich łudzi, y podchlebia. Ażeśmy się dowiedzieli wczoray wieczor o śmierci *Chryzostoma*; y że go miano chować w tym mieyscu, litość więcey iak ciekawość zwrociła nas z drogi inney, áby być przytomnemi Obrządkowi temu, y dać poznać, że poczciwi ludzie biorą część nieszczęść dusznych. Proszę was tedy wierny *Ambroży*, żeby nasza dobra chęć niezostała omylna, uczyń to ná proźby nas wszystkich tu zgromadzonych, áby niepalić Pismow Iego. To mowiąc, y nieczekaiąc odpowiedzi *Vivaldo*, przybliżył się do grobu, y wziął niektore Pisma. Zezwalam, rzecze *Ambroży*, aby te, coś WP. zabrał, zostały się, ale co inne, proszę WPa niesprzeciwić się, żeby ostatnie żądanie moiego Przyiaciela zostało dopełnione. Były iego własne, mogł niemi rozrządzić, iak mu się podobało. *Vivaldo* niecierpliwy obaczyć, co to Pismo zawierało, ktore wziął, otworzył ie zaraz, y uyrzał, że miało napis Miłośnik w rozpaczy, á że zaraz czytać zaczął głośno. Otoż to rzecze *Ambroży*, ostatnie Pismo *Chryzostoma*, y żeby wszyscy tu przytomni wiedzieli, do iakiego

K stanu

ſtanu go przyprowadziły iego nieſzczęścia: czytay WP. proſzę, czas wyſtarczy, nim doł wykopią. Dobrze, chętnie czynię, powie *Vivaldo*, zatym wſzyſcy obecni obtoczyli go, á on czytał naſtępuiące Wierſze.

WIERSZE ROZPACZAIĄCE

Paſterza Chryzoſtoma y inne rzeczy nieſpodziane.

ROZPACZ MIŁOSCI.

PRagnieſz okrutna, aby me uſta głoſiły,
Co mi daie wycierpieć twa ſrogość bez miary,
Aby ten iad wyzionąć, piekielney poczwary
Wzywam, niechay mi doda wściekłości ſwey ſiły.

Wymaga tego boleść, co Serce rozdziera
Y przywodzi oſtatnie czynić wynurzenie,
Zbyt długo zataione wydać udręczenie
Tyſiąc śmierci doznaiąc, niech zaraz umiera.

Poſtu-

Posłuchay przeto ięków chociaż cię nie wzruszę
Ktorych żałość przyczynia, okropność pomnaża,
Chcę cię nasycić, niechay ta złość cię uraża
Wyrwę z bolem z wnętrzności, krew, serce y duszę.

Lećcie Ptaki drapieżne złych Wrogow Tłomacze,
Ktorych krzyk przeraźliwy wszędzie postrach nosi,
Orły y Sępy wrzask wasz niech moy smutek głosi,
Łączcie się kruki, Wrony, Sowy y Puchacze.

Wyidziycie z ciemnych Jaskin wy dzikie straszydła,
Wasz ryk okropny do mych przydaycie ięczeniow
Lwy silne y Niedzwiedzie użyczcie ryczeniow
Tygrysow niech się sroży zaiadłość obrzydła.

Na moią boleść choć wy bądzcie litościwe
Sił przyczyncie do mego nędznego stękania

Węże, żmiie, Gadziny, Szelesty, świstania,
Wydaycie z żądeł ostrych Jady zaraźliwe.

Nieodmawiaycie mi swych szturmow wywierania
Y przygotuycie zbytek mocy Akwilony
Pioruny, rzućcie ognie, przez huk wysilony
Morze swe Burze wywrzyi, Piekło swe zgrzytania.

Wszystkie się zgromadzaycie nà moie nieszczęście,
Mięszaiąc głosy przykre nieustanne ięki
Zeby okryślić żywo szkaradne niewdzięki
Rozpacz straszną, y Boleść, wraz ze świata zęście

Smutnych moich stękaniow głosy przeraźliwe,
Będą przenikać twarde skały y opoki
Konaiących ust odgłos, y ostatnie zwłoki,
Po mnie w głuchych Jaskiniach zostaną iak żywe.
Nigdy Echo żałosne nad Tagu brzegami
Niewydawało mocniey okropnego głosu,
Y brzmienia przeraźliwsze naygorszego losu
Nigdy się nieobiły o Betysa Tamy.

Miey-

Mieyſca niedoſtępne od ludzkiego zapędu
Ktore w obſzernym Łożu Nil Rzeka obleiwa,
Gdzie Słonce ſwych Promieni światłem niedogrzewa,
Muſzą wiedzieć me żale, twą ſrogość bez względu.

Choć nieznaiome światu, całemu Narody
Uwiadomione będą mych Wierſzow przyczyny
Jakie nieſzczęście znoſzę, y zły los bez winy,
Niech cały okrąg ziemi ma iawne dowody.

Ná iedno odmowienie w ſercu krwawa blizna
Podeyrzenie naymnieyſze zbytnie rozum trapi
Y umyſł ſtały zraża; niecierpliwość kwapi,
Zawiść ſama ſtaie ſię śmiertelna trucizna.

Oddalenie ſpokoyność w pożyciu odbiera
Nieudolna utaić pogardy z obawą
Y prożno ſię pocieſza nadziei zabawą
W potrwożeniu y ufnośc darmo ſię opiera

Dolegliwości ſrogie rownaią ſię śmierci
Ja przecie nieumieram w ſmutnym doświadczeniu, Od-

Odrzucony, ſtrapiony, w przykrym podeyrzeniu,
Odległość nuży, wzgarda morzy, ſerce wierci

Zaden promyk nadziei w oſtatniey niedoli
Podchlebić moiey chęci, y pomodz nie raczy
Sam go nawet odrzucam w oſtatniey rozpaczy,
Cierpieć iuż chcę do zgonu y ginąć w niewoli.

Jakoż los złączy boiaźń, y ufność z przewłoki?
Gdy przyczyna lękania ieſt pewna y iawna
Gdy mię iuż poraziła zawiſtność obawna
Zyć przeſtać, ſą naylepſze nędznemu wyroki.

Czyli można łudzić ſię nadziei ponętą?
Będący nieprzeſtanną wzgardą uciśniony
W ſtałym umyśle coraz bardziey znieważony
Czy fałſz zmyślny uwienczy nadgrodę odiętą!

O! ty przykry Tyranie miłośnego Państwa
Nienawiści zazdroſna poruſz moy gniew gorzy Nie-

Niechay mię to wſpomnienie, męczy y u-
morzy
Zeby ſkonczyć me bole powiękſzay Ty-
rańſtwa.

Czas przepaść bez ratunku, abym śmierć
oſłodził
Gdym żył w nieſzczęściu, niechay y ni-
knę w niemocy,
Wyroku odrzucam cię: niechcę twey po-
mocy
Zniſzcz mię, y uczyń, iakom był nimem
ſię rodził

Acz umieraiąc miłość uwielbić należy
Y zeyście moie przyznać potrzebie zgi-
nienia
Wyznaymy że to dobre godne zazdro-
ſzczenia
Kto żył w kaydanach chętnie ná zgubę
pobieży.

Nieſkarząc ſię ná loſu przeciwne obroty
Ani obwiniać Jris, że zbyt dla mnie twarda
Wyznać że ſłuſzna niechęć, y gubiąca
wzgarda
Jey piękność ogłaſzamy, wyſtawiaiąc
cnoty.

Nie-

Niewdzięki odbieraiąc z wierności przy-
ſługą
Y przyduſiwſzy moy żal w oſtatnim we-
ſtchnieniu
Miłości zdaię ſrogą ofiarę w tym mgnieniu
Wnet to żelazo odda śmierci taką drugą.

Ty co bez winy ſprawiaſz cierpienia przy-
czynę
Do tego mię przywodziſz ſrogiego ſpo-
ſobu
Poydź, patrz, iak krew zran płynie, wtrąć
mię iuż do grobu
Porozdzieray mi rany, niech czym prę-
dzey ginę.

Pragnę z twych ręku przyiąć tę przyſłu-
gę ſmutną,
Uczyń to bez lękania, bez względu za karę.
Zważay bez wſtrętu moią oſtatnią ofiarę,
Obawiam ſię litości, żądam cię okrutną.

Urągay ſię z mych nieſzczęść, naśmieway
ze zguby,
Niemięſzay do ſrogości fałſzu użalenia
Już ſię nie boię żalu, niechcę przymilenia
Gdy śmierć ſię zbliża, niechay umieram
nieluby.

Przy-

Przyſpieſzaycie, czas dążyć z Piekielney
iaſkini,
Nieugaſzony w ſwoim pragnieniu Tantalu
Sysyphie nieſzczęśliwy, co gunieſz pomalu
Gdy coraz nowych mąk ci wymyślność
przyczyni.

Tytyo, ktorey Ciało głodu nienaſyci,
Zawſze żyruiącego obżartego Sępa
Jxionie, co ſieką miecze, biie ſttępa,
Wy co dni naſzych prządąc rozwiiacie
nici.

Wyidziycie z lochow ciemnych podziemney odchłani,
Bądzcie na pochowaniu mym wſzyſkie
żałobne,
Przygotowania czyniąc do tego ſpoſobne,
Gdy wart pogrzebu, kogo miłość ná
śmierć rani.

Niezmiękczony Cerebrze, y wy życia
prządki,
Z całym piekłem waſzego dziś żądam
przybycia,
Ná pogrzeb nieście męki zgrzytania y wy-
cia,
Męczennika miłości te będą obrządki.

Wier-

Wierſze *Chryzoſtoma* zdawały ſię doſyć dobre tym, co ie rozumieli, oprocz *Vivaldo* znaydował, że te podeyrzenia y zazdrości, o ktore ſię żalił, niezgadzały ſię z tym, co ſłyſzał o cnocie *Marcelli*, acz chcąc go z tey wątpliwości wyprowadzić *Ambroży*, ktory wiedział nayſkrytſze myśli ſwoiego Przyiaciela, rzekł mu, trzeba, żebyś W P. wiedział Mci Panie, kiedy ten nieſzczęſny *Chryzoſtom* te Wierſze ſkładał, był odległy od *Marcelli*, y umyślnie ſię oddalił, áby doświadczył, ieżeli nieprzytomność ſkutek zwykły ulżenia w nim ziedna. A że kochanka w dalekości będącego od oſoby ukochaney wſzyſtko uraża, y wſzelkie podeyrzenia wynayduie do zmartwienia ſię: utworzył ſobie tyſiąc wynalazkow zawisci, ktore go niemniey dręczyły, iak gdyby były rzetelne, przeto cokolwiek mogł wyrazić w tym ſtanie zoſtaiąc, iego zażalenia y wymowki niemogą czynić pokrzywdzenia żadnego cnocie *Marcelli*, ktora ieſt bez nagany w iſtocie pomimo twardości ley, y nieiakiey hardości, co aż do pychy ſię zbliża. Zazdrość ſama y złość nic iey zarzucić złego niemogą. *Vivaldo* był przekonany *Ambro*-

że-

żego dowodem. A gdy brał drugi Papier do czytania został przeszkodzonym przez nieiakie ziawienie, bo tak można nazwać osobę dziwną, iaka się pokazała nagle w ich oczach. Była to samaż *Marcella*, ktora się znaydowała ná wierzchołku skały, co doł pod nią dla pochowania Ciała *Chryzostoma* kopano; ale tak kształtna y urodziwa była, iż ieszcze ozdobnieyszą się wydawała, niż Wieść powszechna niosła. Ci, co iey nigdy niewidzieli, przypatrywali się z podziwieniem, y ci nawet, co byli zwyczayni, oglądali ią, nie mniey iak inni zachwyceni zostali. Acz skoro ią uyrzał *Ambroży* zawołał z nieiaką zniewagą. Czego tu szukasz straszydło srogości nayzdradliwsze, w tych skałach? Jadowity Bazyliszku! ktorego wzrok truie y zabiia. Czyli chcesz przyglądać się, ieżeli rany tego nieszczesnego, ktorego twoie okrucieństwo w Grob wsadziło, nieotworzą się ná twoie przybycie? Czyli chcesz się naigrywać z iego straty y chełpić się że zginął, ze zdradliwych skutkow twey niewdzięczności? Powiedz, y oznaymiy nam przynaymniey, co cię tu prowadzi; albo czego chcesz od nas; bo ieżeli iakie masz żądanie, znałem iak mocno

Chry-

Chryz stom był za życia do ciebie przywiązany, ieſtem gotow ziednać, aby wſzyſcy iego przyiaciele uſłużeli ci, choć po iego śmierci. Nic takowego mię tu niewiedzie, odpowiedziała *Marcella*; nie przychodzę tu *Ambroży* z inney przyczyny, tylko dla moiey obrony, aby okazać nieſłuſzność tych, co mię oſkarzaią o ſwoie męki, y tych, co mi wyrzucaią śmierć *Chryzoſtoma*. Więc proſzę wſzyſtkich przytomnych o cierpliwe wyſłuchanie, niewiele mi trzeba mowić dla dowiedzenia moiey niewinności. Niebo łaſkawe powiadacie, tyle mi raczyło przydać urody, iż niemożna mię widzieć, aby ſię niezakochać we mnie, y chcecie, abym była przynaglona polubić Was, iak prętko mi ſwoią miłość oświadczacie. Znam ia to dobrze przez rozum, ktory mi P. BOG dał, że co ieſt piękne, bywa ukochane, ale nieuznaię, czemu, gdy ſię zakochaią w tym pięknym, toż ładne aby było obowiązane wzaiemną miłością pałać; tym mniey, iż ten, co polubi, może być ſzpetny y nieprzyiemny; co raczey z nienawidzenia wymaga; acz choćby kſztałtność z obuſtron była rowna, nieidzie zatym, żeby

ſkłon-

ſkłonności były iednakowe. Bo nie wſzyſtkie piękności wzniecaią miłość; y znayduią ſię takowe; ktore tylko oczom ſię upodobaią, niewzruſzaiąc ſerca; y w ſamey rzeczy, gdyby niebyło urody, co ſerca zniewala, cożby było na świecie, iak dziwne zamięſzanie żądzy niepewnych, y obłąkanych, ktoreby od iedney Oſoby do drugiey ſię przenoſiły, niewiedząc, gdzie ſię zaſtanowić. Y ieżeli prawda, co mowią, że miłość wolna być powinna bez przymuſu; czyż rzecz ſłuſzna wymagać, abym kochała; gdy niemam żadney ſkłonności y uczucia? y ieſzcze raz czyż to dość ważna przyczyna, aby mię niewolić do wzaiemności mowiąc, że mię kto kocha. A do tego, ieżeli mam cokolwiek ładności, nie z ſameyże to łaſki Niebios odebrałam? Ludziom niebędąc za to wdzięczna, y ieżeli złe ſkutki czyni; czym więcey winna, iak Wąż za ſwoy iad ktory mu dało przyrodzenie, albo ogień, ktory nieſzkodzi tylko tym, co ſię nadto do niego zbliżaią. Ieſtem wolną urodzona, y chcąc żyć w ſwobodzie, obrałam ſobie oſobność, y na tym przeſtaię, abym moich myśli, y moiey piękności udzieliła Laſom y ſtrumieniom. Przeſtrze-

ſtrzegałam nawet wſzyſtkich, co ſię we mnie kochaią o ułożeniu moim, y ſerca moiego oddaleniu; ieżeli zatym żądze maią natarczywe, y prożne nadzieie; czy nie należy przyznać, że zaciętość ich zabiia; nie moia ſrogość. Dla tego; alboż można czynić mi wymowki ſprawiedliwe? ieżeli powiedzą, że przychylność *Chryzoſtoma*, niemiała w ſobie tylko cnotliwą uczciwość, y żem winna, bom mu wzaiemnością nieodpowiedała? Wſzakżem mu w tym ſamym mieyſcu wyraziła, gdy mi ią dał poznać, iż moia myśl była żyć dla ſiebie nieobowięzuiąc ſię z nikim; y umyśliłam oddać przyrodzeniu wſzyſtko, com od niego wzięła. Ieżeli po tak ſzczerym wyznaniu, chciał ſię bez nadziei opuſzcać, na tę nawałność; niemożna ſię dziwić, iż ſię rozbił y zginął. Czy ieſt przyczyna, mię w tym obwiniać? Jeżelim kogo uwiodła, niechay ſię żali, będzie miał pozorność, y gdy ſię znayduią rozpaczaiący dla tego, żem ich zdradzała, niechay mię złorzeczeniami y łaianiami okrywaią; ale niechay nienazywaią zwodzicielką, ani okrutną; kiedym nikogo niezanęciła, ani nikomu nic nioblecała. Dotąd

Nie-

Niebu dzięki, los moy nieprzeznaczył, abym się zakochała; y spodziewać się, iżbym to uczynić miała przez wybranie; prożno tego oczekiwać. Niechay ta przestroga służy raz ná zawsze wszystkim, co maią iakie zamysły do moiey osoby; y ieżeliby im się tak przytrafiło: iak *Chryzostomowi*: niechże niepowiedaią, że ich zawiść: albo moie wzgardy były przyczyną. Kto niekocha, niemoże sprawić zazdrości, y oświadczenie szczere y rzetelne, niepowinno uchodzić zá nienawiść lub wzgardę. Na ostatek, kto mię nazywa Dziwolągiem, y Bazyliszkiem, niechay unika, iak może, y ci co mię niewdzięczną mianuią, niechay przestaną nadsługiwać mi: przyrzekam im, iż się niezatrudnię zwoływać ich. Niechayże tedy głowy sobie nie psuią, moią spokoyność przerywaiąc, y chcąc, abym utraciła między Męszczyznami, tę spokoyność, ktorey używam, y przeświadczona iestem, iż iey z temi niemasz. Nie chcę nic y niepotrzebuię wcale, iak wspołeczność Pasterek tych Losow, z ktorem zabawa y rozmowa wraz z pielęgnowaniem moiey Trzody zatrudniaią mię dosyć przyiemnie: niekłopocąc się o cudzą biedę, y sobie iey nieściągaiąc. Słowem,

moie

moie zamyſły nad rozległość tych Gor ſię nierozciągaią, y ieżeli moie żądze daley zaſięgaią, to chyba dla podziwienia piękności Nieba, y przypomnienia ſobie, że to ieſt mi:yſce, zkąd wyſzłam, y dokąd mam powrocić. Te ſłowa wymawiaiąc Paſterka, nieczekaiąc odpowiedzi, pobiegła nayprzykrzeyſzą ścieſzką Gory, y znikła z oczu tych, co iey ſłuchali, zoſtawiwſzy wſzyſtkich w zadumieniu Iey roſtropności y nieczułości, iako też cudney piękności. Znaydowali ſię tam iey miłośnicy, ktorzy nieważaiąc na oświadczenie, co im wynurzyła, chęć mieli biec za nią, á gdy ſię zabierali, *Don Quiſzott*, ktory pomiarkował ich ułożenie, y uznał zdarzaiącą ſię ſpoſobność zadoſyć uczynienia ſwoiemu obowiązkowi Rycerſtwa, porwał ſię do ſzpady, y zawołał mocnym głoſem, aby go każdy uſłyſzał, niechay nikt, bądź iakiegokolwiek ſtanu, nieważy ſię iść w pogon zá piękną *Marcellą* pod karą zaſłużenia ná moie zagniewanie. Dała poznać z dowodow bez wymowki, iż ieſt zupełnie niewinna śmierci *Chryzoſtoma*; y iak daleka ieſt; odpowiadać łaſkawie na żądze kochankow; niechay tedy przeſtaną prześladować iey, y raczey niech będzie

będzie ſzacowana y czczona od wſzyſtkich poczciwych ludzi, ponieważ ieſt podobno iedna ná świecie, ktora żyie z tak czyſtemi myślami. Bądź ná pogrożki *Don Quiſzotta*, bądź, że *Ambroży* proſił paſterzow, aby nieodſtępowali czynić oſtatniey uſługi Iego przyiacielowi, nikt ſię nieruſzył z mieyſca, aż Piſma *Chryzoſtoma* były ſpalone, y iego Ciało pochowane, co ſię zakończyło nie bez wylania łzow obfitych wſzyſtkich przytomnych. Położono potym wielki kamien ná Grobie, nim Marmurowy nagrobek naſtąpić miał, ktory, iak powiedał, *Ambroży*, kazał robić, y ná nim te Wierſze miały być wyryte.

Tu leży martwe Ciało nędznego kochanka,
Ktorego zamęczyły miłość, złość, y Wzgarda.
Paſterka nienawiſna, okrutna, y harda
Zle nadgrodziła miłość, zabiła Tyranka.

W tym mieyſcu nieſzczęść ſwoich wyiawił odkrycie.
Tu zaczął kochać ſzczerze, wyznał oświadczenie,

Tutay ſtało ſię ſrogie miłości wzgardzenie,
W tymże padole ſmutne wzięło koniec
życie.

Przechodzący ſtrzeżcie ſię, unikaycie
zdrady,
Jeźli żyie Paſterka; tenże los was czeka
Lepſzego trudno znaleść, paſterza bez
wady;
Bądź zdrow podrożny, a ztąd unikay
zdaleka.

Grob był zaraz nakryty Gałązkami y Kwiatami, y gdy wſzyſcy Paſterze oświadczyli *Ambrożemu* Część, ktorą biorą w iego ſmutku y ſtracie tak poczciwego przyiaciela, pożegnali ſię y oddalili. *Vivaldo* y iego wſpołecznik, także mu grzeczność wyrazili. *Don Quiſzott*, ktory niebył Człowiek zapominaiący ſię, rownie ſwoią uprzeymość wyznał w wyrazach nadzwyczaynych, ktore dały poznać iego ſtan y Rzemiosło; podziękowawſzy Gościom pożegnał ich. *Vivaldo* namawiał go, aby z niemi iechał do Sewilii, upewniaiąc, iż niebyło mieyſca na świecie obfitſzego w przygody nadto tak, że ſię ſame rodziły co krok ná każdey ulicy; ale im podziękował za to do-

doniesienie: y powiedział, iż niemogł y niepowinien iechać do Sewilii, pokiby nieoczyścił tych Gor z Rozboynikow ktorych były pełne. Podrożni widząc go stałym w przedsięwzięciu dobrym, niechcieli odwracać, y swoią drogą poiechali. On zaś w głowie sobie uprządł iechać zà piękną *Marcellą*, ale się tak nie stało, iak sobie ułożył, dla wielu przeszkod, iak się pokaże w Trzeci Części tych Dzieiow.



DZIEIE Y PRZYGODY NIEPOROWNANEGO DON QUISZOTTA Z MANCHY.

CZĘSC DRUGA

ROZDZIAŁ XIV.

O Niepomyślney Przygodzie, ktorą miał DON QUISZOTT z Furmanami z Jangos.

MĄdry Cid Hamet Benengely powieda, że gdy *Don Quiszott* pożegnał się z Gośćiami y z temi wszystkiemi, ktorzy byli przytomni na Pogrzebie *Chryzostoma*, On y iego Koniuszy wiechali do Lasu, gdzie widzieli, że *Marcella* się udała; y szukaiąc iey prożno więcey dwoch godzin, przybyli ná łąki zakwitłe, wdzięcznym strumykiem ochłodzone. Przyiemny Mruk wody, Piękność y Chłod mieysca zachęciły ich tam przebyć

być gorącość południa. *Don Quiszott* y *Sanszo* zsiedli ze swoich Biegunow; zostawuiąc *Rossinantowi* y Osłowi wolność pasania się do sytności. Odwiązawszy sakwy bez wymysłow ziedli pospołu, co się tam znaydowało. *Sanszo* zaniedbał włożyć pęta *Rossinantowi* znaiąc go tak spokoynym y wstrzemięźliwym, że wszystkie klacze z Pol Korduy nieuczyniłyby naymnieyszego w nim wzruszenia. Jednakże nieszczęście czyli raczey zły duch, ktory nieśpi nigdy; nagodził tam stado kobył z Gallicyi należących do podwodnikow z Jangos; ktorych zwyczay iest popaść w mieyscach, gdzie upatrzą dobrą trawę y wodę podczas upałow południowych, aby ochłodzili sprzężay. *Rossinant* ktory, iakom namienił, był spokoyny, wszakże z Ciała złożony, ledwie poczuł kobyły, wnet przeciwko swoiey skłonności chęć go wzięła ucieszyć się, y bez pozwolenia pobiegł lekkim kłusem, witać się z niemi. Aże te więcey podobno potrzebowały paszy, iak zalotow, źle przyięły Gacha, nogami y zębami witaiąc, porozrywały popręgi y siodło, y ogołociły z okulbaczenia w przydatku z wielą

guza-

guzami. Iak na nieſzczęście Podwodnicy widząc zaczepkę *Rossinanta*, przybiegii z dużemi pałkami, y tak go zbili, że aż padł na ziemię, gdzie miał czas, nim się podniosł, żałować swoiey porywczości miłosney. *Don Quiſzott* y *Sanſzo* widzący zdala niedobrą poczęſtkę, ktorą *Rossinantowi* dawano, skoczyli szybko na ratunek. Stanąwszy zmordowani, przyiacielu *Sanſzo*, rzecze *Don Quiſzott*, iako widzę nieſą to Rycerze, ale Łotry y zboycy, możeſz w tym razie pomodz mi do pomſzczenia się hańby, ktorą mi wyrządzili, paſtwiąc się nad moim koniem. Hey, iakież u Diabła zemſzczenie mamy uczynić? odpowie *Sanſzo*, Ich ieſt dwudzieſtu, a nas tylko dwoch; y niewiem ieſzcze, ieżeli można nas za więcey rachować, iak za pułtora. Ia ſam ſtanę za ſto, odpowie *Don Quiſzott*, y dłużey nieczekaiąc: porwie się do ſzpady y rzeſko ſpotka z Podwodnikami. *Sanſzo* przykładem Pana pobudzony, pierwſzy raz na świat pokazał swoią Broń, y wmięſzał się między ciżbę. *Don Quiſzott* tak ciężki raz zadał pierwſzemu, ktory mu się nawinął, że mu przeciął łoſi kawtąn, y łopatki kawał odwalił; chciał drugiego także poczęſtować,

gdy

gdy Podwodnicy maiąc za wſtyd, widzieć ſię pobitemi od dwoch tylko Ludzi, udali ſię do drągow, y obſkoczywſzy śmiałego Rycerza, y iego Koniuſzego, zaczęli kiymi obrabiać z pilnością nieſłychaną. A że pracowali z dokładnością uſilną, ſpieſzno zakończyli robotę, Za drugim ſpotkaniem, *Sanſzo* na ziemę padł iak długi. Nic niepomogło y *Don Quiſzottowi* mieć odwagę y umieiętność, nielepiey ſię z nim obchodzono. Rycerz dobry zoſtał także przewrocony ná wznak, leżąc pod nogami *Roſſinanta;* y podnieść ſię niemogąc. Podwodnicy niemaiąc iuż więcey do czynienia y obawiaiąc ſię, że aż nadto zrobili, upakowali wozy, y w dalſzą drogę puścili ſię.

Pierwſzy z naſzych przygodnych Ludzi, co ſię poſtrzegł po ſzkodzie, był *Sanſzo Panſa*, ktory zwlekłſzy ſię czołgem bliżey do ſwoiego Pana, rzecze mu głoſem ſłabym y boleſnym. MosPanie *Don Quiſzott*, Ach Mci Panie *Don Quiſzot!* czego chceſz przyiacielu *Sanſzo*? odpowie *Don Quiſzott*, niemniey żałoſnym tonem. Czyby niemożna, mowi *Sanſzo*, żebyś mi WP. dał ze dwa łyki tego dobrego trunku Fierabras, ieżeli ſzczęściem maſz go przy ſobie, może

być

być tak skuteczny na kości połamane, iak na Rany zadane. Hey moy Bracie odpowie *Don Quiszott*, gdybym ci miał, poczegożby nam więcey potrzeba? ale przysięgam, iakom Kawaler błędny, że ieżeli ręce służyć mi będą, przed dwiema dniami, mieć go będę. Za dwa dni? zawoła *Sanszo*. W iak prętkimże czasie, rozumiesz W P. że będziemy mogli podnieść się? Prawda iest, rzecze Rycerz potłuczony, że ia sam tego niezgadnę, w stanie w iakim się znayduię. Ale mię to słusznie spotkało; sam siebie winować powinienem, żem się porwał do szpady na Ludzi prostych nie pasowanych na Rycerstwo. Niewątpię, iż Los tak przeznaczył, abym był ukarany, iżem Prawa Rycerstwa lekce ważył y przestąpił. Dla tego Bracie *Sanszo*, raz ná zawsze przestrzegam cię y dla naszego wspolnego pożytku; że gdy tym podobni Hultaie nas będą napastować, nieczekay, żebym ia szpady dobył przeciwko nim, bo zapewne tego nieuczynię, ale to iest twoia rzecz; porwiy się do broni, y karz ich iak będziesz rozumiał. Jezeliby trafunkiem przybyli Rycerze im na pomoc, w ten czas ia się należycie obronię. Wiesz,

co znaczy moc tey ręki, doznałeś iey dowodow. *Sanſzo* nieznaydował zdania Pana ſwoiego tak dokładnym, żeby niebyło co przeciwko temu mowić. Mci Panie Kawalerze, rzecze, nielubię ia tak bardzo kłotni, iakby rozumiano może o mnie, y umiem BOGU dzięka darować winy, bo mam żonę y Dzieci. Miey to tedy W P. ſobie za powiedziane, ieźli mu ſię podoba! że zapewne niedobędę broni, ani przeciwko Rycerzowi, ani przeciwko Chłopowi, że daruię im przed Pm: Bogiem wſzyſtkie urazy przeſzłe y teraźnieyſze, y te, coby mi w przyſzłym czaſie mieli wyrządzić, y do tego ieſzcze, cokolwiek mi y teraz źle zrobili, lub czynić będą napotym; niech będą, iakie chcą Oſoby, ubodzy, czy bogaci, Szlachta, czy Chłopi, każdego ſtanu y Urzędu. Gdybym był pewien że mi tchu ſtanie. Odpowie *Don Quiſzott*, gdyby y boleść, ktorą czuię w boku dała mi mowić wolnie, pokazałbym ci to, że niewieſz, co gadaſz. Słuchay niebaczny: Jeżeli wyroki, co nam były dotąd przeciwne odmienią ſię na lepſze; y prowadząc nas, iak za ręce dadzą przylądować do iakiey Wyſpy; o ktorey ci wſpominałem; coż będzie, powiedz mi, gdy

zdo-

zdobywszy ią, oddam ci w Rządy? Czyli potrafisz godnie dopełnić tego Urzędu; nie będąc Rycerzem? y niedbaiąc zostać nim, niemaiąc àni Męstwa, áni czułości, áby krzywdy odpierać, y bronić twoiego Państwa. Czy niewiesz ieszcze o tym, że we wszystkich Kraiach nowo zdobytych Mięszkancy maią zawsze umysł burzliwy, y z ciężkością się przyzwyczaiaią do obcego Panowania; nigdy nieśą tak podlegli nowemu Panu, żeby niebyli gotowi zbuntować się, szukaiąc odzyskać wolności. Y tak rozumiesz, że Pan nie powinien mieć rostropności wiele; aby się obchodzić przyzwoicie z tak niespokoynemi Duchami, y siła Męstwa, áby y nacierać y bronić się w tylu przypadkach umiał; ktore się zdarzyć mogą codziennie? Dobrzeby było, odpowie *Sanszo*, żebym miał był rozum y Męstwo, iak WP. powiedasz, w złey przygodzie, co nam się dopiero stała! Co teraz Mci Panie, szczerze powîadam, więcey potrzebuię plastrow, iak uwag WPa: Ale sprobuy WP. czyli niepotrafisz podnieść się, abyś mi pomogł dzwignąć *Rossinanta*, chociasz tego niewart; nie! bo on iest przyczyną, żeśmy zostali kiymi zbici. Doprawdy nigdy-

nigdybym ſię tego nieſpodział po *Roſſinancie*, rozumiałem go utrzymałym y ſpokoynym, przyſiągłbym za niego, iak za ciebie ſamego; komu tu dowierzać będzie na potym? Wierz mi WP. że prawda, co mowią, trzeba dość czaſu, nim ſię pozna ludzi. Ale Mci Panie nic pewnego niemaſz na tym świecie. Y ktoż u kata, byłby to powiedział widząc WPa. tak wiele Cudow dokazuiącego, onegday przeciwko temu nieſzczeſnemu Rycerzowi błędnemu z Biſkai, że ta burza kijow miała ſpaść na naſze plecy. Co twoie, rzecze *Don Quiszott* muſzą być przyzwyczaione do podobnyh ſzturmow, ale moie, ktore niezwykły tego; długo czuć będą. Y gdybym niemyślił, co ieſt pewna, że te wſzyſtkie przykrości ſą przywiązane do wykonywaczow Rycerſtwa, wolałbym tu dokończyć życia z ſamey nudności. Ale Mci Panie, odpowie *Sanſzo*, ieżeli te wſzyſtkie niepomyślności ſą zamiaſt dochodow Rycerſtwa, naucz mię WP, proſzę, czy ſię częſto trafiaią, lub po pewney liczbie przeſtaią; bo ieſt do podobieńſtwa, ieżeli ieſzcze ze dwoch takich zbiorow plon otrzymamy, niebędziemy w ſtanie

wy-

wytrzymania trzeciego, chyba nas Sam P. BOG weſprze. Czy nieznaſz tego, odezwie ſię *Don Quiſzott*, że życie Rycerzow błędnych ieſt podległe tyſiącznym przykrym trafunkom, y doznaią niemal nieuſtannie dobrego y złego ſzczęścia. Niemaſz tych, żeby niemogli, co godzina zoſtać Krolami y Ceſarzami, iako tego nieraz doświadczono; y żeby mi bol niedokuczał: opowiedziałbym ci dzieie wielu, ktorzy ſię ná Tron wywyżſzyli przez ſame ich tylko Męſtwo; acz niemaſz także y tych, ktorzyby niebyli podlegli przeciwnościom ſzczęścia; y pokazałbym ci między temi wielu, co wpadli w ſrogie niepomyślności. Wielki *Amadis* z Gallyi, czyli ſię niewidział w mocy Czarownika *Arkalausa* nayokrutnieyſzego ſwoiego Nieprzyiaciela; y zapewne to trzymaią, że ten zdradziciel Czarnoxiężnik dał mu dwieście tęgich batogow przywiązawſzy go do ſłupa w Dziedzincu Jego Zamku. Wſzakże ieden Piſarz tayny, wiary godny donoſi, że Rycerz od Słońca wpadłſzy w Samołowkę, ktora mu ſię pod nogami zapadła w pewnym Zamku, znalazł ſię w podziemnym lochu, za ręce y nogi przywiązany więziony; gdzie nayprzod

mu

mu dano Enemę z wody śnieżney, co go ledwie nieumorzyła, y gdyby ieden Mędrzec z iego przyiacioł nie był go poratował w tym ſtanie; niewiedzieć w coby ſię obrocił. Y tak moy *Sanſzo* mogę ſię przyrownać, y miarkować po drugich Rycerzach, ktorzy ieſzcze gorſze odnieśli pogardy niż ia. Ale dobrze, żebyś wiedział, iż rany y guzy, co ſię zadaią przez pierwſze narzędzie, co do rąk wpadnie trafunkiem, nieoſławiaią ranionego, ani mu hańby czynią, y znayduie ſię w ſłowach wyraźnych w uſtawach poiedynkach, że choćby ſzewc uderzył kogo kopytem, co trzyma w ręku, lubo ieſt drewniany, iak kiy, nie można iednak mowić, że kogo zbił kiiem. Mowię ci to dla tego *Szanſzo*, abyś niemyślił, żeśmy zbici drągami od tych hultaiow, przetośmy zhanbieni zoſtali; bo biorac to dobrze: broń, ktorą nas trzepali, nie były właśnie kiie, ale pałki, bez ktorych oni nie zwykli chodzić, y żaden z nich nie miał, iak mogę pamiętać, ani ſzpady ani pałaſza. Nie dali mi czaſu tak bliſko ſię przyglądać, rzecze *Sanſzo*. y ledwiem dobył przeklętego ſzpadziſka, obłożyli mię zaraz kiymi, czyli iak WćPan mowiſz pałkami,

y tak

y tak wiele mi ich dali, że y oczy mi ſię y nogi zachwiały, padłem iak długi w tym ſamym mieyſcu, gdzie ieſzcze leżę Bogu dzięka. Dla tego mowiąc rzetelnie, co mię dolega, to, nie żebym wiedział, ieżeli bicie pałkami czyli kiymi uczyniło mi wſtyd, ale bardziey boleść razow, ktorych nie mogę z pamięci odiąć ſobie, ani z plecow. Z tym wſzyſtkim *Sanſzo* odpowie *Don Quiſzott* nie maſz urazy, ktoreyby czas nie zgładził, ani boleśći, ktoreyby śmierć nie zakończyła. Bardzo dziękuię za to, odpowie *Sanſzo*, a coż może być gorſzego, iak dolegliwość, ktorą tylko czas może uleczyć, y nie ſkończy ſię aż w raz z życiem. Zeby ieſzcze moie guzy były tego gatunku, co kilką plaſtrami ſię zagoią, wycierpiałbym, ale nam potrzebaby wſzyſtkie z całey Apteki ſzpitalney wypotrzebować maści, y to nie wiem, czyby wyſtarczyły. Porzuć te prożne mowy, rzecze *Don Quiſzott*, y ſtaraymy ſię oba zdobyć ſię na ſiły w naſzey ſłabości. Obaczmy, iak ſię miewa *Roſſinant*, ten nieborak miał także znaczną część naſzey przygody. Widzę że osłabiony: wierzę, odpowie *Sanſzo*, za cożby miał być lepſzy od nas

cały.

cały. Czyż on nie tak ieſt Rycerżem obłąkanym, iak kto inſzy? nie to mię zadziwia, ale że moy oſieł umknął tak, że mu y włos nie ſpadł, gdy nam trzema żadnego żebra zdrowego nieoſtawiono. W naywiękſzych przygodach, rzecze *Don Quiſzott*, fortuna zoſtawuie iaką bramę otwartą, aby nią wyiść można; y to bydlę będzie mi ſłużyło zamiaſt *Roſſinanta*, aby mię z tąd uwieść y do iakiego Zamku zaprowadzić, gdziebym zoſtał uleczony. Nie będę ſobie miał za wſtyd iechać na nim, bo pamiętam, com czytał: że ſtary *Silenus* Oyciec mniemam Bożka Bachuſa ſiedział, y bardzo wygodnie na ośle, gdy wieżdzał do Miaſta o ſtu bramach. Byłoby to dobrze, rzecze *Sanſzo*, gdybyś Wć Pan mogł ſię utrzymać iak on, ſiedząc, ale ieſt wielka rożnica między człowiekiem ſiedzącym na koniu, czy ośle, a tym, co leży na bok przewieſzony, iak wor mąki, bo nierozumiem żebyś Wć Pan mogł iechać inaczey. Kalectwa, ktore że, z potyczkow ſię odbieraią, nie czynią nigdy wſtydu, odpowie *Don Quiſzott*; dla tego Panſo moy przyiacielu iuż mi więcey nieodpowiaday, tylko ſprobuy, czybyś mogł powſtać,

y po-

y położ mię, iak będzieſz mogł na twoim ośle, abyśmy ſię z tąd wydobyli, nim noc zaydzie. A wſzakżem WćPana ſłyſzał rozmawiaiącego, odpowie *Sanſzo*, że to zwyczay Rycerzow obłąkanych ſpać pod niebem otwartym, y to miła dla nich zabawa trawić nocy w polach, laſach y knieiach. Tak używaią rzecze *Don Quiſzott*, gdy niemogą lepiey; albo uwodzą ſię miłością. Jakoż to ieſt niezawodna prawda, iż nie raz widziano niektorych Rycerzow po dwa lata całe na ſkale ſiedzących, wſzelkie niewygody ciepła y zimna cierpiących, o czym ich kochanki wcale niewiedziały. *Amadis* był ieden z tych w czaſie, gdy ſię nazywał Piękno-Ponury, y gdy ſię ſchronił na gołą opokę, gdzie ośm lat, czyli ośm mieſięcy przepędził, bo dobrze niepamiętam. Jakożkolwiek bądź, rzecz pewna, że tam długo dość bawił. ubolewaiąc nad niewiem iakimſiś zmartwieniem, co mu zadała *Oriana*. Ale daymy temu pokoy, y rob to com ci mowił, nim ſię ſtanie iaka zła przygoda osłowi tak, iak *Roſſinantowi*. Toby był gorſzy diabeł, rzecze *Sanſzo*; weſtchnąwſzy zatym z kopę razy, przeplatanych ze ſtu och! ach! przeklinaiąc niby Furman

tego

tego, co go tam przyprowadził, tyle zdobył ſił, że przecież ſię podnioſł na nogi, lubo w puł zgarbiony, iak łuk, niemogąc ſię wyproſtować. W tey poſtawie trzeba było mu iść po oſła, ktory pożytkuiąc z wolności tego dnia oddalił ſię znacznie, gdzie ſię paſł hoynie na cudzym paſtwiſku. Gdy oſieł był oporządzony, *Sanlzo* ſzedł podnośić *Roſſinanta*, ale to niebyło bez ciężkiey pracy obu. Pot ſię iuż lał z *Sanſza*, y gdyby to bydle mogło ſię użalić, ieſzczeby w narzekaniu przeſzło Pana y ſługę. Na reſztę z wielką biedą y ſtękaniem *Sanſzo* włozył *Don Quiſzotta* w poprzek oſła, y przywiązawiźy mu *Roſſinanta* do ogona, prowadził za powroz, dążąc w tę ſtronę, w ktorey ſpodziewał ſię napaść na wielki Gościeniec. Po trzech kwadranſach ſzczęście im dało odkryć karczmę, ktorą *Don Quiſzott* pomimo iey podłego pozoru, wziął za zamek; Koniuſzy utrzymywał uporczywie, iż to nie Zamek, tylko proſta karczma, Kawaler przeciwnie, że to był Zamek, y ſprzeczka tak długo trwała, że nadiechali do wrot y ieſzcze niebyła ſkończona, gdzie *San-*

wiechał ze swoim małym Taborem, niedbaiąc aby dać poznać, że iego była prawda.

ROZDZIAŁ XV.

Co się przytrafiło Don Quiszottowi w Karczmie, ktorą brał za Zamek.

Karczmarz zadziwiony, obaczywszy człowieka poprzek leżącego na ośle, spytał się *Sansza*, na co był chory; ten odpowiedział, że to nic nie było, y że tylko z wierzchołku skały spadł ną doł, y trochę sobie żebra połámał. Gospodyni przeciwko zwyczaiowi kobiet tego gatunku była miłosierna, y miała politowanie nad nieszczęściem bliźniego; iak tylko obaczyła *Don Quiszotta*, myśliła poratować go, kazała sobie pomodz młodey corce, ktorą miała nie szpetną. W tey samey karczmie służyła dziewka z Asturyi, z twarzą szeroką, głową płaską, nosem zadartym, iędne oko zyzowate na drugie mało widziała, wreście była

ła śmiała, y żywością ią nadgradzała, na czym zbywało urodzie, pułtora łokcia iey bliſko było wzroſtu, y tak grubych plec że ledwie mogła podnieść głowę do gory. Ta nadobna ſługa pomagała Corce Goſpodarſkiey opatrywać *Don Quiſzotta*, potym mu łożko ſporządzili w mieyſcu, ktore podobno ſłużyło na ſkład do ſłomy. W drugim kącie trochę daley, iak, *Don-Quiſzott*, ieden podwodnik uſłaſł ſobie także pościel z chomontow y derow ſwych mułow, acz zdawała ſię wygodnieyſza nad naſzego Rycerza; ktora złożona tylko była z kilku deſek źle ſpoionych na dwoch ławkach nierownych położonych y coś nakſztałt materaca tak twardego, iak deſki, z przykryciem podobnieyſzym do ſkory iak do płotna; tak miętko y cienko było. W tym nędznym poſłaniu położony był *Don Quiſzott*. Wnet Kaczmarka y iey corka obłożyły go plaſtrami od ſtop do głow przy kagańcu ktory im trzymała kſztałtna Marytorna, (bo tak ſię nazywała ta dziewka z Auſturyi) Goſpodyni widząc go potłuczonego wſzędzie: Zaprawdę, to

podobnieyſze do pobicia mocnego; iak do ſtłuczenia. Jako żywo nie ſą to ſinaki od bicia, rzecze *Sanſzo*; ale ſkała była maiąca dość końcow oſtrych; każdy w ſwym mieyſcu poraził y znak zoſtawił. Przecież moia Pani, proſzę, zachować z kiłka plaſtrow, będzie gdzie ich użyć, bo mię boki także trochę bolą. Czyś podobnież ſpadł z gory? zapytała go Goſpodyni. Ja nie upadłem, odpowie *Sanſzo*, ale widząc Pana moiego wywracaiącego ſię, coś mię tak przeraziło po całym ciele, że mi ſię zdaie, iakby mi tyſiąc kiiow dano. Zapewne nie dziwuię ſię powie Goſpodarſka corka, bo y mnie trafiło ſię we śnie, zdawało mi ſię żem z wyſokiey wieży leciała na doł, y nigdym niemogła do ziemi dopaść, a gdym ſię obudziła, tak byłam zmordowana y zmęczona, iak gdyby doprawdy mię z wieży zrzucono. Jeſt to podobne do tamtego rzecze *Sanſzo*. W tym tylko rożność, że mnie ſię nic nie śniło, będąc tak czuwaiącym, iak teraz ieſtem; iednak ſię znayduię niemniey potłuczony; iak Pan. Jakże nazywa ſię waſz Pan? odezwie ſię Marytorna. *Don Qui-*

ſzott

ſzott z Manchy, odpowie *Sanſzo*, Rycerz błędny, y ieden z nayprawdziwſzych, ktorych od dawnego czaſu widziano. Kawaler błędny powtorzy, Aſturyika? Coż to znaczy? Jako! ieſteś tak nowa na świecie, odpowie *Sanſzo*, naucz ſię moia ſioſtro; że Kawaler błędny ieſt to oſoba, co lada dzień może być lub Ceſarzem, lub kiymy zbitym, dziś naynieſzczęśliwſze ſtworzenie z żyiących; iutro trzy albo cztery Kroleſtwa ma do rozdania ſwoiemu Koniuſzemu. Za coż rzecze Goſpodyni, będąc Koniuſzym tak wielkiego Pana, nie macie do tąd przynaymniey iakiego Hrabſtwa? Oh! to nie idzie tak prędko, odpowie *Sanſzo*, nie maſz ieſzcze mieſiąca, iak ſzukamy ſzczęścia y przygodow, a ieſzcześmy nie napadli na takięgo gatunku, oprocz tego częſto ſię ſzuka iedney rzeczy, a znaydzie ſię druga. Ale mowiąc prawdę, ieżeli Pan moy *Don Quiſzott* wygoi ſię z potłuczenia, a ia nie zoſtanę kaleką z przelęknienia, nie mieniałbym moich nadziei za naylepſze Margrabſtwo w Hiſzpanii. *Don Quiſzott*, ktory ſię przyſłuchywał z pilnością ro-

zmowie

zmowie, mniemał, iż było przyzwoitością grzeczności weyść w nią. Wziął przyiaźnie Gospodynią za rękę, y rzekł iey. Wierzay mi moia piękna Damo, nie iest to dla ciebie niepomyślnością, żeś miała sposobność przyiąć mię w swoim zamku. Niemowię więcey nic, bo nie należy samemu nigdy chwalić się; ale moy wierny Koniuszy oznaymi ci, kto ia iestem. Tyle tylko wyrazić mogę, iż zachowam pamięć tey dobroci y uczynności przez całe życie moie, y nieuchybię sposobności okazać iey moią wdzięczność. Ach gdyby dał Pan Bog, spoglądaiąc miłośnie na corkę iey, żeby miłość mię nie zniewoliła pod swoie iarzmo; y żeby oczy naypięknieyszey moiey niewdzięczney, o ktorey myślę, niezwyciężyły moiey wolności, ofiarowałbym ią chętnie u nog tey piękney Panny wraz z sercem. Gospodyni, iey corka, Marytorna, iakby z obłokow spadły na mowę naszego Rycerza, nierozumiały nic, iak gdyby po Grecku do nich gadał, chociaż się domyślały, że to były oświadczenia y uniżoności. A że te grzeczności zdawały się dla nich
wcale

wcale nowe, nic nie odpowiedały, tylko na ſiebie ſpoglądały iedna na drugą, patrząc oraz na niego, iako na człowieka, oſobliwego gatunku; iednak ſię ośmieliły uczynić mu podziękowanie za iego życzliwość w ſłowach Kaczmarce wieyſkiey przyzwoitych; y ukłoniwſzy mu ſię niſko, odeſzły precz, ale wprzod Marytorna opatrzyła *Sanſza*; ktory niemniey, iak Pan iego potrzebował tego. Podwodnik, o ktorym namieniłem, y Aſturyika zmowili ſię przez noc zabawić poſpołu; y dała ſłowo, iak Goście ſię pokładą y Goſpodarſtwo zaſną, że przyiść miała do niego. Powiedaią o tey kochaney dziewce, że nigdy nie czyniła podobnych przyrzeczeń bez dotrzymania; chociażby ie w piwnicy, y bez świadkow dawała. Przeto mieniła ſię być zacnego urodzenia, y nie mniemała ſzlachectwu przez to co ubliżać, będąc ſłużącą w Karczmie; bo iak powiedała, że niedoſtatek iey Rodzicow, y rożne przygody ią do tego ſtanu przywiodły. Nędzne łożczyſko *Don Quiſzotta* było pierwſze na przeyściu w tym legowiſku. *Szanſzo* uſłał ſobie bliſko ſwoie

na

na rogoży z przykryciem ze ſtarych wo-
row; trochę daley było Podwodnika z
woyłakow y derow z dwoch mułow, kto-
rych miał dwanaście ſpaſłych y dobrze
utuczonych; ponieważ to był ieden z bo-
gatych furmanow z Arevaldo, iak pi-
ſzący te dzieie wyraża, ktory wzmian-
kę czyni ſzczegulniey o tym, gdyż go
znał dobrze, y niektorzy twierdzą: że
był iego krewny. Jakożkolwiek bądź
zdaie ſię, że *Cid Harnet Benen* był Dzie-
iopis dokładny, gdy naymnieyſzych
rzeczy dotyka, chociaż ſię zdaią nie-
mieć żadney wagi. Zkąd inni Piſarze
dzieiow powinniby brać przykład nic
nie opuſzczać, y więcey ſię rozſzerzać,
zamiaſt że tylko pobudzą ciekawość
czytelnikow, y to czegoby naywiecey
chcieli ſię dowiedzieć, zoſtaie często
zamilczane lub przez leniſtwo lub nie-
umieiętność. Powinien być wyſławio-
nym po tyſiąc razy wydaiący Tablen-
tę; Richemonda; y ten, co piſał dzie-
ła Hrabi *Tomillas*; ktorzy naymniey-
ſzey nie zaniedbali okoliczności. Wra-
caiąc ſię gdzieśmy ſię zaſtanowili, fur-
man dawſzy obrok mułom położył ſię
na ſwoim poſłaniu, czekaiąc z upra-
gnieniem

gnieniem rzetelney Marytorny. *Sanszo* czynił co mogł, aby zasnąć. Boleść zaś bokow dokuczaiąc mu, czyniła co mogła, aby mu snu przeszkodziła. *Don Quiszott* także czuiąc niemniey bolu, oczu nie zamknął iak zaiąc. Wszystko było spokoyne w Karczmie niemaiącey innego światła, tylko ieden kaganiec wiszący w sieni przy drzwiach. To uciszenie, y nacisk myśli naszego Rycerza, ktorych mu dodawały nieustannie rożne zdarzenia, co wyczytał z ksiąg, zaprzątnęły mu głowę przewidzeniem naydziwacznieyszym, ktore można wynaleść. Rozumiał się być w sławnym Zamku. bo żadney karczmy niebyło, ktoreyby nie uczcił tym imieniem; y że corka Gospodarska, ktorey oyciec także w iego rozumieniu był Rządzcą Zamku, zakochana w iego piękney postaci y układności, obiecała wymknąć się gładko, y przyiść pobawić się z nim w nocy czas iaki. Ta mara dręcząc go, iakby co rzetelnego było, czyniła niespokoynym, iż wierność iego byłaby na sztych wydana. Acz ułożył w swym sercu naymnieyszego nie czynić przeniewie-

niewierzenia swoiey ulubioney Dulcynei; choćby Krolowa Geniowra sama ze swoią poufałą Quintagnoną przybyła zachęcać go. Gdy w tych marzeniach, rozmyślał, niezawodna Asturyanka myśliła, iak słowa dotrzymać; w koszuli y boso, włosy zwinąwszy w czepek barchanowy szła na palcach, szukaiąc łożka Furmana. *Don Quiszott* uszu nadstawiaiąc, usłyszał y domyślił się, że ktoś wchodzi; podniosłszy się na łożku pomimo plastrow y boleści bokow, ręce rozciągnął, aby przyiąć swoią mniemaną Damę. Asturyika szła cicho noga za nogą, obawiaiąc się hałasu zrobić naymnieyszego, y macaiąc rękami, aby się nieuderzyła; acz z tą wszelką przezornością wpadła w ręce *Don Quiszotta*, ktory schwytawszy ią za ramię ciągnął do siebie, ta nie śmieiąc słowa wymowić dała się powodować tak że ią posadził na swoim łożku. Jey koszula gruba z płotna zgrzebnego nie odraziła naszego Rycerza, szklane korale na szyi y ręku, rozumiał być perłami Uriańskiemi, kudły iey do grzywy końskiey dodobne, wziął za złote warkocze, oddech iey trącący niby sałatą

łatą zę ſtarą oliwą, albo zgniłe nogi za nayprzyiemnieyſzą wonność przyiął. Uroił ſobie w głowie iakby złąpał śliczną Nimfę podobną 'iak w kſięgach wyczytał o krotofilnych Pannach, ktore po cichu nawiedzaią ſwoich kochankow ranionych lub chorych. Słowem natężenie myśli nieboraka ſzlachcica były tak mocne, że prawie nieczułym będąc na ten wſtręt, coby wnętrzności zburzył innemu, oprocz Furmana; mniemał trzymać w ręku ſwoich Boginią piękności. Przeto żalotny Rycerz tak wielą wdziękami przeniknione, y ściſkaiąc nieoſzacowaną Maritornę, że iey ledwie nie uduſił; cobym za to dał, rzecze iey, głoſem cichym y zakochanym; czegobym nieważył śliczna Xiężniczko, abym mogł być w ſtanie zaſłużyć łaſkę, ktorą mi czyniſz, y uiścić ſię przed nią z wymowki podłey niewdzięczności. Obumieram ze wſtydu, alem wiarę przyrzekł nieporownaney Dulcynei z Toboſo. Ona ieſt iedyną Panią moiego ſerca y nayſkrytſzych myśli moich właścicielką, y nieieſtem zdolny korzyſtać ze zdarzonego ſzczęścia przez wiarołomność

łomność moiey Bogini. Pod czas tak piękney rozmowy Maritorna była w dziwnych boiaźniach widzieć się w ręku *Doń Quiszotta*, y czyniła co mogła, aby się wydobyć, nie słuchaiąc, co do niey gadał. Furman z drugiey strony ktoremu oczekiwanię niecierpliwę spać nie dało, poznał swoią lubą, iak weszła, y nadsłuchuiąc: a coś z mowy naszego Rycerza miarkuiąc, posądził niewinną Asturyikę, iż mu słowa niedotrzymała; dla tego, żeby komu innemu nieużyczyła swoiego sprzyiania, nie przestał na tym; zawiść go unosiła: że przybliżył się nieznacznie do łożka *Don Quiszotta*, chcąc się przysłuchać z pilnością, co z tego wyniknie, a że uznał, iż wierna Maritorna wydzierała się, chcąc się wydobyć z ręku *Don Quiszotta*, ktory ią, pomimo iey chęci trzymał, niemyślił więcey, iak zemścić się na gwałcicielu. Podniosł rękę y wymierzaiąc na domysł w twarz niezręcznego Rycerza, tak pięścią ugodził, iż się krwią zalał: y Benengely upewnia, że skoczył zaraz na niego, y nożyskami w dużych butach kowanych deptał po całym kil-
ka

ka razy. Łożko ktorego podpory założone były słabe, znieść niemogło przybytego ciężaru, złamało się pod Furmanem. Hałas obudził Gospodarza, ktory niewątpił, iż to była iaka sztuczka Maritorny; bo iey wołał kilka razy w nocy całym głosem, a nie odezwała się. W tym porozumieniu zaświecił lampę idąc, gdzie usłyszał wrzask. Asturyika widząc go idącego, y znaiąc po chodzie ukryła się w barłog; Sanszy, ktory spał twardo, y zwinęła się w kupę do niego przytuliwszy. Gospodarz przyszedłszy, zaczął złorzeczyć y kląć, iak zwyczay takowych ludzi, gdzieżeś tam ścierwo? zawołał; bo pewno to twoie psie figle. Wtym *Sanszo* w poł obudzony czuiąc się przywalony ciężarem, ktory go dusił, rozumiał że zmora, y począł na wszystkie strony pięściami się oganiać, ktorych nie mała część dostała się Maritornie. Tę wzięła niecierpliwość, y niezważaiąc w iakim stanie się znayduie, nie myśliła tylko oddać za swoie, y tyle kułakow w brzuch y twarz *Sansza* wymierzyła, że go do reszty ocuciła, tak, że widząc się niedobrze przyiętym,

iętym, y niewiedzieć za co, powſtał iak mogł naylepiey na poſłanie, y uiąwſzy mocno Maritornę, poczęli ſię znowu z ſobą bić w ſpoſob iak kiedy może być nayśmieſznieyſzy. W tym Furman poznawſzy przy latarni, iak iego miła Maritorna była częſtowana; porzucił *Don Quiſzotta* idąc iey na pomoc. Goſpodarz poſtrzegłſzy to pobiegł podobnież, ale z inną myślą ukarania Aſturianki; ktorą ſądził być przyczyną całego zgiełku. Y tak Podwodnik walił *Sanſza*, ten Maritornę Maritorna iego, Karczmarz Maritornę, a to tak ſzybko y gęſto, iż zdawało ſię, że ſię obawiali czaſu darmo tracić. Co było gorſzego w tey kłotni, to, że lampa zgaſła, wſzyſtko będąc pomięſzane w ciemności, bitwa ſtała ſię powſzechna bez względu, poznać ſię niemogąc, y z taką żwawością, że żadnemu z walczących niezoſtała cała koſzula, ani część ciała bez znaku. Znaydował ſię tamże trafunkiem żołnierz z tych, co nazywaią dawnego Bractwa Taletańſkiego, ktory obudziwſzy ſię na hałas bitwy, przybiegł ze ſwoią laſką, y puſzką blaſzaną, w kto-

rey miał patent ſwoy, wſzedł, niewidząc nic na poboiowiſko, wołaiąc, hola ſtoycie wſzyſcy, każę wam imieniem Krola y Swiętey Hermandady. Pierwſzy, ktorego napadł, był *Don Quiſzott* leżący, iak długi w obalinach ſwoiego łożka, głowa zadarta do gory bez żadnego znaku życia, y wziąwſzy go omackiem za brodę, nie przeſtawał wrzeſzczeć. Hey pomagaycie brać do ſądu. Ale poſtrzegłſzy, że ſię nieruſza nic ten, co go uiął, niewątpił, że zabity, y ci, co tam ſię znaydowali, iego byli zaboycy, tym bardziey krzyczał: niech zamkną drzwi od ſieni, y ſtrzegą, żeby nikt nieuſzedł: człowiek tu ieſt zabity. To wołanie potrwożyło biiących ſię, y mimo zawziętości wygrana była wątpliwa, y w ſtanie zamięſzanym iak ią zaſtał żołnierz; Karczmarz wymknął ſię nieznacznie do ſwoiey izby. Furman między muły ſię ukrył, y podrapana Maritorna w ſwoie brudne łożyſko. *Don Quiſzott* y *Sanſzo* niemogąc ſię ruſzyć z mieyſca zoſtali, gdzie byli. Zołnierz puścił brodę *Don Quiſzotta*, chcąc światła przynieść, y powrocić, aby ſchwy-

tać

tać winowaycow, ale Karczmarz umyá kaiąc zagasił umyślnie lampę przy wrotach dla utaienia, tak, że ten musiał się udać do komina, gdzie mało ognia znalazłszy dmuchał z godzinę nim roświecił lampę.

ROZDZIAŁ XVI.

Dalszy przeciąg prac niezliczonych, ktore Don Quiszott y iego Koniuszy wytrzymali w Karczmie.

Don *Quiszott* przyszedł przecież do siebie z zagłuszenia y tymże głosem żałosnym, co go przeszłego dnia iego Koniuszy wołał po straszney spotyczce z podwodnikami mułow, zawoła na niego smutno. Bracie *Sanszo* czy spisz? a spiszże *Sanszo?* A iakże u kaduka mam spać, odpowie *Sanszo*, ledwie nieszaleiąc ze złośi y bolu, kiedy wszyscy diabli z piekła tey nocy mię nagabali? Masz przyczynę tak wierzyć,

wierzyć, rzecze *Don Quiſzott*, y ià niemogę poiąć tego co ſię ſtało, lub ten Zamek muſi być zaczarowany. Słuchay, co ci powiem, ale mi przyſiąż wprzod, że nikomu tego niewyiawiſz aż po moim zeyściu z tego świata, poprzyſięgam, odpowie *Sanſzo*, że y po śmierci milczyć będę. Tey przyſięgi wymagam, daley mowi *Don Quiſzott*, dla tego, że niechcę ſzkodzić niczyiey ſławie. Och czy Wć Panu nie powiedam, że ſię zaklinam, powtorzy *Sanſzo*, y nigdy gęby nieotworzę aż po ſkończeniu życia Wć Pana, y day Boże, abym to mogł iak nayprędzey wypowiedzieć! Czymem ci ſię tak ſprzykrzył, powie *Don Quiſzott*, żebyś mię rad widział wnet nieżywego? nie dla tego, odpowie *Sanſzo*, ale że nielubię długo chować ſkrytości, ięzyk mię świerzbi, y obawiam ſię, aby mi niezgniły ſłowa w brzuchu przez milczenie; niechay będzie, iak chce, rzecze *Don Quiſzott*, ufam twoiey przychylności dla mnie, y roſtropności. Maſz tedy wiedzieć, że mi ſię przytrafiła tey nocy iedna z naydziwnieyſzych y naypięknieyſzych przy-

god, ktorą można wynaleść. Chcąc ci ią opowiedzieć w krotkich słowach, wiedz o tym; iż przed dwiema godzinami corka Pana tego Zamku przyszła tu do mnie, y to iest iedna z nayładnieyszych Panien, iaką można widzieć na świecie. Nie mogę ci wyrazić urody iey osoby, y powabow rozumu, nie chcę nawet myśleć o tak wielu wdziękach, abym nie naruszył wiary, ktorą winien iestem Jey Mości Dulcynei z Toboso. To ci tylko powiem, iż ktoś zayrzał skarbu, ktory mi szczęście samo w ręce podawało, albo prawdziwiey mowiąc, że ten Zamek, iakom namienił, iest zaczarowany: Trafiło się gdym z tą piękną damą zabawiał się w rozmowie lubey y miłości pełney; ręka niewidoma nie wiem zkąd wypadaiąca ale zbyt ciężka, zapewne u iakiegoś srogiego olbrzyma ciała wisząca; tak potężny mi policzek wycięła, że twarz całą zakrwawiła; potym ten zdradliwy niecnota z moiey słabości się zmacniaiąc; tak mię potłukł, że ieszcze gorzey, iak wczoray Podwodnicy za niewstrzemięźliwość *Rossinanta*. Ztąd sobie wnoszę, że iakiś

poga-

poganin zaczarowany musi tego skarbu piękności pilnować dla kogo innego, nie dla mnie. Zapewne y nie dla mnie, przerwie *Sanszo*, bo więcey, iak czterysta poganow moię skurę wyprawiali tak silnie, że w porownaniu tego bicia, onegdaysze pałki tylko mię głaskały. Ale Mości Panie, czyli Wć Pan myślisz o stanie, w iakim się znayduiemy, gdy tę przygodę uznaiesz za tak piękną? Jeszcześ Wć Pana coś się bawił, trzymaiąc tę wielką piękność w ręku, może to pocieszyć, ale ia co brałem, tylko naytęższe plagi, ktorem w życiu mogł odebrać? Niech diabli wezmą y mię, y kto mię na świat wydał, nie iestem Rycerzem, y nie myślę nim być nigdy, a gdy się trafi iakie nieszczęście, zawsze ia go naygorszą część znoszę. Jako! y ciebie także obito? rzecze *Don Quiszott*, Hey do kata, Mci Panie, zawoła *Sanszo*, a o czymże ia mowię. Drwiy z tego kochany przyiacielu, rzecze *Don Quiszott*; zaraz ia zrobię nieoszacowany balsam Fierabras, co nas w tey chwili uleczy. Na tym stanęli, gdy żołnierz zapaliwszy lampę przyszedł, a że ich

łożka były na przeciw drzwi. *Sanſzo*, co go uyrzał zdala w koſzuli tylko, z głową chuſtą obwinioną z miną zboyцy. Zapyta Pana, ieżeli to nie Maur iaki zaczarowany, ktory przyſzedł patrzyć, czyli maią ieſzcze ktore żebro zdrowe do połamania. Nie, odpowie *Don Quiſzott*, co czarownicy niedaią ſię widzieć nikomu; Podobno widzieć nie, ale czuć ſię daią kaducznie, rzecze *Sanſzo*; wolno ſię ſpytać moich plecow. Rozumieſz, że y moie nie trafią tego zeznać, odpowie *Don Quiſzott*. Ale przecież dowod nie ieſt doſtateczny, aby ſądzić, że ten ieſt Maur prawdziwy co idzie. Wtym wchodząc żołnierz, zadziwił ſię widząc ludzi tak ſpokoynie rozmawiaiących w tym mieyſcu, gdzie rozumiał, że był człowiek zabity; acz, że obaczył naſzego Rycerza ieſzcze leżącego iak długi, y z pozorem człowieka boleiącego, rzecze: A coż dobry człeku, iak ſię maſz? Lepieybym gadał, żebym był w twoiey ſkurze, odpowie *Don Quiſzott*, czyliż tak gapiu, witaią Rycerzow błędnych w twoim kraiu? Zołnierz z natury zły niemogł wytrzymać grubi-

grubiaństwa od człowieka tak mało na pozor znaczącego; cisnął ze wszystkiey siły lampę w głowę Rycerza, y nie wątpiąc, że mu ią skaleczył, umknął zaraz po ciemku. A iakże Mći Panie, rzecze *Sanszo*, nie można teraz podobno powątpiewać, że to zaczarowany Maur, co pilnuie skarbu dla innych, a dla nas ma tylko kiie y lampy w łeb. Co na ten raz może to być, rzecze *Don Quiszott*, y przestrzegam cię, że trzeba żartować z tych wszystkich czarodzieiow, zamiast się gniewać, gdyż to są rzeczy zmyślone, y niewidziane, prożnobyśmy szukali na kim się mścić, y nicbyśmy nie wskorali. *Sanszo* podnieś się, ieżeli możesz, poydź prosić Pana tego Zamku, aby mi kazał dać spieszno trochę oliwy, soli, wina, y rozmarynu, żebym zrobił ten Balsam przedziwny, bo między nami mowiąc, nierozumiem, abym się mogł dłużey bez niego obeyść dla krwi, co mi idzie z rany, od tego straszydła zadaney. *Sanszo* się podniosł ale nie bez stękania y wołania nie raz z bolu, ktory czuł idąc z podpieraniem się o ścianę szukać Gospodarza, napotkał żoł-

nierza

nierza, ktory ſtał przy drzwiach, turbuiąc ſię, co ſię ſtanie z iego porywczością. Mci Panie, rzecze mu, ktokolwiek ieſteś, miey ieżeliś łaſkaw tę ludzkość y litość, day nam rozmarynu wina, ſoli y oliwy, potrzeba nam uleczyć iednego z nayłepſzych Rycerzow błędnych, co ſą na ziemi, y ktory niebeſpiecznie raniony, w łożku od Maura zaczarowanego, co ſiedzi w tey karczmie. Na tę mowę żołnierz wziął *Sanſza*, za to nie mal co był, iednakże nie zaniedbał zawołać Goſpodarza y mowić mu, czego ten człowiek żądał, a że dnieć zaczęło, otworzył wrota Karczmy, y poſzedł ubrać ſię. Karczmarz dał *Sanſzowi* czego chciał, ten zaś przynioſłſzy ſwoiemu Panu, znalazł go trzymaiącego ſię obiema rękami za głowę y ſkarżącego na uderzenie lampy, ktora ſzczęściem mu więcey nie zrobiła złego, tylko dwa guzy pomierne wyſkoczyły; bo co brał za krew, niebyło tylko oliwa rozlana, ktora mu ciekła po gębie. *Don Quiſzott* zmieſzał to wſzyſtko w iednym naczyniu, y dawſzy wyſmażyć, ażby ſię zgęſta ta mieſzanina, proſił o flaſzkę,

aby

aby to wlać w nią, ale że tey nie było w Karczmie, musieli użyć puszki blaszaney od oliwy, ktorą mu Karczmarz chętnie darował. Zmowił nad naczyniem ze sto *Oycze nasz*, tyleż *Zdrowaś Marya*, *Wierzę*, y inne Modlitwy przyłączaiąc; do tego siła żegnaniow Krzyżow zamiast Błogosławieństwa dodaiąc. Temu całemu nabożnemu obrządkowi przytomni byli *Sanszo*, Zołnierz y Karczmarz; bo Furman zabawny był dawaniem obroku swoim mułom, nie pokazuiąc tego po sobie, iż by miał iaką część w przygodzie nocney. Ta przedziwna zaprawa będąc sporządzona *Don Quiszott*, chciał iey zaraz doświadczyć, y nieprzykładaiąc do ran, wolał wypić dobrą szklankę zamiast kropel serdecznych, acz ledwie połknął ten kordyał, zaczął być nie zdrow tak mocno, że wszystko wyrzucił z żołądka; wysilenie, co w tym czynił, sprawiwszy mu zapocenie; kazał się przykryć, y prosił aby mu się dali wywczasować. Y tak wyspawszy się dobrze trzy godziny, znaczne uczuł polepszenie, niewątpiąc, iż to był ten Balsam prawdziwy nieprzepłacony Fierabras,

rabras, co ten skutek uczynił; y za iego pomocą był w stanie, nieobawiaiąc się naygroźnieyszych przygód. *Sanszo Pansa*, ktory znaydował uzdrowienie swoiego Pana cudowne, prosił go, aby mu pozwolił wypić resztę. *Don Quiszott* dał mu; wziął tedy oburącz naczynie, y z naylepszą wiarą na świecie dobrą część go łyknął, tyleż prawie co Pan. Znać żołądek nie tak miał wytrzymały, bo nim lekarstwo skutek uczyniło, ubogi człowiek czuł srogie nudności, y ckliwości, wszystkie siły na niego biły, y pot zimny wystąpił, y niewątpił, że ostatni życia iego kres iuż przyszedł. Wtym żałosnym stanie nie przestawał przeklinać y Balsamu, y zdraycy co mu go dał. Bracie *Sanszo*, rzecze mu *Don Quiszott*, chybabym był oszukany mocno, ieżeli się to nie dla tego dzieie, że nieiesteś uzbroiony Rycerzem; y ia u siebie tak trzymam, że ten balsam nie iest pomocny, tylko tym co niemi są. Hey do wszystkich diabłow, odpowie *Sanszo*, cożem Wć Panu winien? żeś mi nawet go dał skosztować. Właśnie czas teraz przestrzegać; kiedy iuż umieram.

Wtym

Wtym razie Balſam Fierabras ſwoią ſkuteczność pokazał, y nieborak Koniuſzy tyle z ſiebie wyrzucił, że pościel ſwą niezdatną na potym do użycia uczynił. Wymioty były tak ciężkie y częſte, że wſzyſcy przytomni o iego życiu zwątpili; po godzinie czaſu, co trwała ta burza, zamiaſt uczucia folgi, iak iego Pan, ieſzcze gorzey oſłabiał, y tak ſię zmęczył, że ledwie mogł oddychać. Ale *Don Quiſzott*, ktory iakośmy namienili, poczuł ſię orzyzwionym, nie chciał utracić żadney chwili, aby ſię nie puścił na zdobycz przygodow. Uznawał ſię bowiem winnym wſzyſtkich godzin, co prożno przepędzał, a miał ie poświęcić wſzyſtkim, ile było nędznych na świecie, y w zaufaniu, ktore mu odtąd Balſam iego ſprawował, tylko ſzukał zatargow, za nic ważąc nayWiękſze rany. Wtey niecierpliwości, rzecze do *Sanſzo*, iż trzeba wyiechać. Sam oſiodłał Roſſinanta, włożył iuki na oſła, y Koniuſzego na niego wſadził, pomogłſzy mu do ubrania ſię. ſam doſiadłſzy Romaka, znalazł poł dzidy w iednym kącie dość mocney, aby mu za kopią ſłużyła. Ze dwudzieſtu bli-

ſko

ſko oſob, co ſię znaydowało w Karczmie, żadnego nie było, żeby mu ſię nie przypatrywał z podziwieniem, a oſobliwiey corka Karczmarza, ktora ieſzcze ciekawiev mu ſię przyglądała, jak inni, niewidziawſzy nigdy podobnego cudaka. On zaś tłomacząc to ſobie podchlebnie, oczy miał w nią wlepione y coraz ciężkie wydawał wzdychania, ktore zdawał ſię wyciſkać z naygłębſzych wnętrzności, ſam tylko wiedział przyczynę, chociaż ci, co go widzieli, mocno potłuczonego przeſzłego wieczoru domyślali ſię zgadnąć, przyznaiąc ie boleści ran, y guzow. Jak tylko doſiedli ſwych biegunow naſi dway Rycerze. *Don Quiſzott* zatrzymawſzy ſię na progu ſtayni, zawołał Goſpodarza, głoſem ſtałym y poważnym, rzecze, Mos Panie Komendancie byłbym niewdzięcznikiem, gdybym przepomniał wſzyſtkich grzeczności, ktorem odebrał w iego Zamku, ieżeli mogę odwdzięczyć tyle ludzkości iego okazanych mi przez pomſzczenie ſię iakiey krzywdy iemu uczynioney, wieſz Wć Pan, że moy urząd ieſt pomagać ſłabym, y karać zdraycow.

cow. Poſzukay Wć Pan tedy w ſwoiey pamięci, ieżeli maſz do kogo iaką urazę, powiedz mi tylko, przyrzekam przez obowiązki rycerſtwa, ktorem przyiął, że wnet temu zadoſyć uczynię. Goſpodarz odpowiedział, z tąż ważnością. MosPanie Kawalerze, nie mam Bogu dzięki potrzeby, żebyś Wć Pan za mię ſię upominał o co, y gdyby mię kto chciał pokrzywdzić, ſambym potrafił ſię obronić. Cała nadgroda ktorey żądam od niego, abyś mi zapłacił za nocleg, coś nabrał, y ſiano, owies, co iego konie ziadły, bo tak na darmo nie wyieżdzaią z Karczmy. Jako albo to ieſt Karczma zawoła *Don Quiſzott*. Zapewne rzecze Goſpodarz y iedna z naylepſzych. Jakżem ſię omylił, daley mowi naſz Rycerz, zawſzem ią miał za Zamek y do tego znakomity, ale że to ieſt Gościeniec trzeba mi przebaczyć na ten raz, że niepłacę za nocleg, nie mogę przeſtąpić poſtanowienia Rycerzow błędnych, o ktorych wiem dowodnie, niewyczytawſzy do tąd nic przeciwnego, że nigdy nie płacili nic, w Karczmach; bo ſłuſzność tak wymaga;

maga, iako y zwyczay; aby ich darmo wszędzie częstowano w nadgrodę prac niesłychanych, ktore podeymuią, szukaiąc przypadkow we dnie y w nocy, zimie y lecie, raz ledwie nie umieraiąc od głodu y pragnienia, drugi od mrozow y upałow nieustannie na wszystkie niewygody na świecie wydani. Są to bałamuctwa Rycerstwa wcale mi niepotrzebne, odpowie Karczmarz, zapłać mi Wć Pan tylko, coś winien, a zostawmy te bayki, bo ia darmo mego dobra nie daię. Jesteś głupi y ladaco Karczmarz, zawoła *Don Quiszott*, potym zniżywszy dzidę y spariszy konia ostrogami wyiechał gładko z Karczmy, niemaiąc ktoby go zatrzymał, uiechał kawał, nieoglądaiąc się, czyli Koniuszy za nim iedzie. Gospodarz widząc, że od *Don Quiszotta* nic niedostanie, chciał być zapłaconym od *Sansza*, ale ten przysiągł, że nie zapłaci tak, iak y Pan, iż będąc Koniuszym Rycerza błędnego, nie można mu przeczyć podobnegoż uczestnictwa niepłatności. Karczmarz chociaż się gniewał, y sierdził. grożąc, ieżeli nie zaspokoi, pięściami odliczyć na grzbiecie

cie

cie Koniuſzego, tak, że długo popamięta. *Sanſzo* znow ſię zaklinał, przez Rycerſkie uſtanowienia, ktore przyiął Pan iego, że y ſzeląga nieda, gdyby go ze ſkory odarł, ponieważ Koniuſzowie napotym mogliby narzekać, że tak piękne prawo y ſłuſzne z iego przyczyny zoſtało utracone. Jak na nieſzczęście znaydowali ſię w tey Karczmie Kramarze z Segowy y Tandeciarze z Korduy ludzie weſeli y śmieli, ktorzy iednomyślnie zbliżyli ſię do niego y zſadzili z oſła, gdy ieden z nich poſzedł po kobierzec. Nieborak *Sanſzo* był we śrzodku położony. Ci, widząc że ſień Karczmy zaniſka była do ich zamyſłu, poſzli z nim na podworze, gdzię aż nadto mieli wyſokości. Czterech nayſilnieyſzych wzięli za brzegi kobierzec, y poczęli podrzucać, wynoſząc y zniżaiąc *Sanſza* na 2. ſążnie bliſko w gorę z taką uciechą, iak Kucharze robią ze pſem, albo kotem, gdy im porwie kawał mięſa. Wrzaſki żałoſne, ktore wydawał ten nieſzczęſny kołyſany; doſzły aż uſzu iego Pana, ktory rozumiał, że Niebo go wołało na iaką nową przygodę; ale

po-

poznawſzy, że te krzyczenia pochodziły od iego Koniuſzego, poſkoczył co tchu na Roſſinancie do Karczmy, ktorą znalazł zamkniętą, obieżdzaiąc w koło dla wyſzukania weyścia; obmurowanie podworza nie wyſokie dało mu uyrzeć *Sanſza* wynoſzącego ſię y upadaiącego na powietrzu z taką ſzybkością y układnością; że gdyby nie gniew, ktorym był zdięty, zapewneby go to do śmiechu pobudziło. Ale ta igraſzka nieſpodobała mu ſię złey woli y zagniewanym będąc. Zaciekał ſię kilka razy wſkoczyć na mur z koniem; y byłby tego dokazał, gdyby nie tak zbity, iż niemogł nawet z konia zſieść o ſwoiey mocy. Co mogł czynić, to było tylko wołać głośno z konia, y łaiać owym ludziom. Ale na te wſzyſtkie łaiania ci nie miłoſierni żartobniſie nie odſtąpili ſwoiey roboty, y ieſzcze ſię bardziey śmieli; ani nieſzczęſny *Sanſzo* wſkorał co przez prożby, y groźby, aż im ſię kołyſanie ſprzykrzyło, dla czego oblokłſzy go w iego ſukman, nazad go na oſła wſadzili. Miłoſierna Marytorna, ktora niemogla patrzać bez żalu na to, co czyniono

San-

Sanſzowi, przynioſła mu zaraz garnek wody zimney, ktorą ze ſtudni dopiero wyciągnęła, y iak ią nioſł do gęby, wſtrzymany był głoſem ſwoiego Pana, ktory wołał na niego z drugiey ſtrony za murem. Moy Synku *Sanſzo*, nie piy tey wody, nie piy moie dziecię, bo umrzeſz. Wſzakże tu mam ten przecudowny balſam; ktory cię ożywi tego momentu. To mowiąc pokazywał puſzkę blaſzaną. Ale *Sanſzo* obrociwſzy ſię na iego wołanie y krzywo na niego patrząc. Hey Mośći Panie, rzecze, czyś Wć Pan iuż zapomniał, że nie ieſtem uzbroiony Rycerzem, albo chceſz, żebym wyrzucił iuż y kiſzki z brzucha. Zachoway Wć Pan ſwoy napoy dla wſzyſtkich diabłow, a mnie day pokoy. Wtym zaczął pić wodę, acz poczuwſzy za pierwſzym łykiem, że to woda ſama była, nie mogł daley poſtąpić, proſił Marytorny, aby mu przynioſła trochę wina, co chętnie uczyniła, y nawet zapłaciła ſwemi pieniędzmi. Bo też powiedano, że miała coś dobrego w ſobie, chociaż prowadziła wolnieyſze życie. *Sanſzo* wypiwſzy, zoſtał odprowadzony

ny uczciwie do drzwi Karczmy, gdzie zwarłszy piętami osła, wyiechał rad, że nic nie zapłacił, tylko grzbietem; zwykłą monetą. Prawda sakwy zostały w zastaw, ale go radość wymknienia się z rak zaprzątnęła, że tego niepostrzegł. Karczmarz pozbywszy ich, chciał zamknąć wrota na kłotkę, ale owi swawolnicy niedbaiąc o Kawalera, chociażby był naygodnieyszy, niedopuścili tego, y możeby radzi znaleść sposobność ucieszenia się z Panem, iak uczynili ze sługą.

ROZDZIAŁ XVII.

Rozmowa Don Quiszotta z Sanszem Pansą y inne przypadki godne opowiedzenia.

Sanszo dążył za swoim Panem, który widząc go z sił spadłego, że nie miał władzy poganiać osła, rzecze mu, na ten raz *Sanszo* nie wątpię, że czary naywiększe są w tey Karczmie, czyli

Zamku,

Zamku, niewiem ſzczerze iak nazwać; bo ktoż mogli być ci, co tak ſrogo ſię z tobą obchodzili? ieżeli nie ſtraſzydła, y ludzie z tamtego świata. Ażebyś był tak przeświadczonym, iak ia, to w ten czas, kiedym ſię przypatrywał tak ſmutnemu widowiſku przez mury dziedzińca, nie było w moiey mocy weyść tam, ani z konia nawet zſieść, bo mię iak przykowanego do ſiodła trzymali czarami; y prawdę mowiąc, nie źle zrobili, że tak oſtrożni byli, bo gdyby mi wolno było iedno lub drugie wypełnić, ſpuść ſię na mnie, iżbym ſię był pomścił za ciebie tak ſilnie, żeby te Łotry popamiętali, y nie drwili drugi raz; W zapędzie iak byłem, przeſtąpiłbym y prawa Rycerſtwa, ktore iakom ci powiedział, niedozwalaią, aby Rycerz dobywał broni przeciwko tym, co niemi nie ſą, chyba w obronie życia; y w oſtatniey potrzebie. Hey ia bym ſam bił, y mścił ſię, gdybym mogł, rzecze *Sanſzo*; czy Rycerz, czy nie; ale na ſumnienie moie to odemnie nie zawiſło; y przyſiągłbym, że te zdraycy y próżniaki, co ſię cieſzyli moią biedą, nie

O byli

byli ani poczwary, ani zaczarowani, ale prawdziwi ludzie z ciała y kości, iak my złożeni, y pamiętam dobrze, że każdy z nich miał ſwoie nazwiſko, ieden był *Piotr Martin*, drugi ſię zwał *Ferdinant Tenorio*, y tom ſłyſzał należycie, że Goſpodarz miał imię *Jan Pólomeque Mankut*. Poczwary nie ſą chrzczone, Mci Panie, niepowiedayże Wć Pan, że to omamienie, czy zaklęcie, co Wć Panu przeſzkodziło przez mur przeleść, albo zſieść z konia. Co o mnie, widzę to iaſno, iak dzień, że ſzukaiąc przygodow, znaydziemy nakoniec nieſzczęście naygorſze. Jeżeli Pan Bog nas nie poratuie, wnet nierozeznamy co biało co czarno. Patrz Wć Pan Mci Panie, zaprawdę naylepſzaby rzecz była y naypewnieyſza według moiego małego rozumu powrocić nazad do naſzey wſi, gdy teraz czas, żniwa, bo niezdrowe zbieramy z cudzego pola plony, y rzetelnie mowiąc, wpadamy coraz ze złego w gorſze, z gorączki w malignę. Ach moy nieboraku *Sanſzo*, przerwał *Don Quiſzott*, po ſto razy ci powtarzam, ześ nieuk w rzemieśle Rycerſtwa. Milcz

a bądź

a bądź znoſzącym. Przyidzie ten czas, że zoſtanieſz przeświadczonym przez iſtotne dowody o pożytkach tego Rycerſtwa. Bo na reſztę powiedz mi, czyli ieſt iaka roſkoſz na świecie, ktoraby zrownała wygraną bitwę y odnieſione zwycięſtwo z nieprzyiaciela? żadna zapewne. Wierzę, odpowie *Sanſzo*, chociaż nic tego nie umiem, y nie znam ſię. To, co wiem, iż odtąd, iak ieſteśmy Rycerzami błędnemi, przynaymniey Wć Pan, bo co ia niewart ieſtem tego honoru, niewygraliśmy ſpotyczki żadney, tylko przeciwko iednemu Biſkayczykowi, ale iak, ieſzcze wyſzedłeś Wć Pan z tego z puł uchem uciętym, y hełmem pogruchotanym. Odtąd, coż zyſkaliśmy więcey, iak pięście y kiie, tylko ia miałem w zyſku być podrzucanym nadto na powietrzu, y ieſzcze od ludzi omamionych, na ktorych ſię zemścić niemogę; abym użył tey wielkiey roſkoſzy, ktora ieſt, iak Wć Pan powiedaſz w odbiciu za ſwoie. Otoż to moia troſkliwość, rzecze *Don Quiſzott*, y twoia być powinna; ale zoſtaw mnie to doczynienie, upewniam cię że w krot-

ce będę miał ſzpadę tak cudowną, iż ten, co ią nosić będzie, nie potrafi zoſtać zaczarowanym, bądź przez iakiekolwiek zabobony y czary, y może ſię zdarzy, że pomyślne ſzczęście da mi doſtać do rąk tey co noſił *Amadis*, gdy ſię nazywał Rycerzem *Szpady ogniſtey*, ktora była zapewne naylepſza na świecie, bo oprocz, że miała tę cnotę, a była oſtra, iak brzytew, nienalazła ſię ieſzcze broń tak hartowna, choćby zaczarowana, żeby iey nieſkruſzyła, iak ſzkła. Ja tak ieſtem nieſzczęſny rzecze *Sanſzo*, że choćbyś Wć Pan miał ſzpadę tey podobną y lepſzą, niebędzie miała tego przymiotu, tylko dla tych, co ſą uzbroieni Rycerzami tak, iak balſam, a reſzta wſzyſtko ſpadnie na ubogiego Koniuſzego. Nieobawiay ſię rzecze *Don Quiſzottſzott*; będzie Niebo dla ciebie łaſkawſze. Naſi ochotnicy ſtanęli na tey rozmowie: gdy *Don Quiſzott* ſpoſtrzegł z daleka tuman gęſtey kurzawy, ktorą wiatr pędził ku ich ſtronie, y obrociwſzy ſię zaraz do ſwoiego Koniuſzego, bracie *Sanſzo*, zawoła: otoż ten dzień, ktory pokaże, co zachowuie dla mnie dobra

bra fortuna. Ten ieſt, mowię ci, dzień pomyślny, w ktorym ſię da poznać więcey, niż kiedy waleczność moiey ręki, y w ktorym dokaże dzieł godnych być wyrytemi w kſięgach wiekopomney pamięci dla przykładu potomności. Czy widziſz ten zakręt piaſku, co podnoſi ſię pod nogami niezliczonego woyſka, ktore ſię ſkłada że wſzyſtkich prawie Narodow świata. Jakim ſpoſobem, rzecze *Sanſzo*, muſzą tam być dwa woyſka, bo y z drugiey ſtrony toż ſamo widać. *Don Quiſzott* obrocił ſię prędko, y widząc, że *Sanſzo* prawdę mowił, niezmierną pociechą był zdięty, wierząc mocno (bo wſzyſtkiemu wierzył) że to były dwa woyſka ogromne, ktore ſobie miały wydać woynę na tych polach. Ten dobry ſzlachcic miał wrodzone męſtwo, y tak ſobie nabił głowę ſpotyczkami, poiedynkami, omamieniami, y wſzyſtkiemi bałamuctwami, co Romanſe wymieniaią, iż nie myślił, y nie czynił nic, coby do tego końca niezmierzało. Dwie wielkie gromady owiec, ktore ſzły z dwoch mieyſc odmiennych do tey drogi, co nią iechali, tę kurza-

wę podnosiły, tak gęsto, że niemożną było rozeznać przyczyny, aż wcale zbliżywszy się. *Don Quiszott* iednak upewniał niezawodnie, że to były woyska tak, że y *Szanszo* na resztę uwierzył, y rzecze do niego. A więc Mci Panie coż my tu będziemy robić? Co mamy robić, odpowie *Don Quiszott*, oto pomodz tym, ktorzy będą tego potrzebować. Ale żebyś wiedział, o co tu idzie? tego obozu, co widzisz, po naszey lewey ręce iest Wodzem Wielki Cesarz *Alifanfaron*, Pan wyspy Taprobany; a to woysko, co po prawey ręce idzie, iest iego przeciwnika Krola Garamantow Pentapolina *Ramienia zakasanego*, ktorego tak nazywaią, bo woiuie zawsze z ręka gołą. A za coż, rzecze *Sanszo*, ci Panowie z sobą woiuią? ponieprzyiaźnili się, odpowie *Don Quiszott*, z tey przyczyny, że *Alifanfaron* zakochał się w corce *Pentapolina*, ktora iest według moiego mniemania iedna z nayślicznieyszych osob na świecie y Chrześcianka, *Alifanfaron* zaś iest Poganin. Więc Oyciec niechce iey dać, ażby się zrzekł fałszywego Mahometa, y przyiął Wiarę

Chrześciańſką: Na moią brodę zaklinam ſię, rzecze *Sanſzo*, *Pentapolin* dobrze czyni, y pomogę mu we wſzyſtkim, w czym będę mogł. Nie uczyniſz w tym, odpowie *Don Quiſzott*, tylko coś powinien. Jakoż w takich zdarzeniach nie trzeba być Rycerzem uzbroionym? Nie? zawoła *Sanſzo.*, pozwol mi więc WP. ſpotkać ſię. Ale gdzie podzieię mego oſła, abym był pewny znaleść go po bitwie, bo mi ſię niezdaie, żebym ſię miał tam wcibiać na takim zwierzęciu? Dobrze mowiſz, rzecze *Don Quiſzott*, puść go na wolą, niech idzie gdzie chce, choćby ſię zabłąkał, bo będziemy mieli tyle koni do wybrania, gdy zwyciężemy; że nawet Roſſinant ieſt w obawie być zamienionym za innego. Słuchay tym czaſem, chcę ci oznaymić, ktorzy ſą znakomitſi Wodzowie y Pułkownicy tych dwoch woyſk, nim ſię ſpotkaią. Ażebyś iednak ich mogł lepiey poznać, wyiedźmy na tę gorkę, zkąd ich łatwie odkryiemy. To mowiąc poſtąpili na pagorek, zkądby poſtrzedz mogli dokładnie, że to były dwie gromady owiec, ktore naſz Rycerz brał za dwa

obozy,

obozy, gdyby kurzawa im niezabraniała widoku. Acz *Don Quiszott* widząc w swoiey głowie tysiąc rzeczy, ktoreby w inney się nie pomieściły, począł mowić głosem mocnym. Ten Rycerz, ktorego tam zważasz z bronią wyzłacaną, y ktory ma na tarczy Lwa z koroną leżącego u nog piękney Panny, iest waleczny *Laurkalche* Pan mostu srebrnego. Ten co ma broń w kwiatach złotych, y ktory nosi trzy Korony srebrne w polu błękitnym, iest ogromny *Mikokolambo* Wielki Xiąże Quirochii. Ten drugi, co po iego prawey ręce straszny iak Olbrzym, iest niewzruszony *Brandabarbaran* z Bolichy, Pan trzech Arabii, uzbroiony, iak widzisz skorą wężową, y co ma za herb Bramę, ktora ma być iedna z tego Kościoła co Samson wywrocił, gdy się mścił nad nieprzyiaciołami z utratą własnego życia. Obroć teraz oczy, y obaczysz na czele tego drugiego woyska: tam iest niezwyciężony mąż *Timonele* z Karkassony Xiąże nowey Biskai, ktory ma herb w czworakim kolorze błękitnym, zielonym, srebrnym y złotym, a w środku tarczy woz zło-

ty

ty w polu ponſowym; z temi trzema literami M. J. V. ktore ſą pierwſze imienia iego ukochaney, co ieſt, iak powiedaią, nieporownaney piękności, corka Xiążęcia *Alphenique* z Algarwy. Ten drugi, pod ktorym ſię z ginaią boki roſtey klaczy dzikiey, ktorego broń biała, iak śnieg y tarcza tegoż koloru bez napiſu, ieſt to Rycerz Francuſki zwany *Piotr Papin*, Pan Baroniow Utrique. Tamten z niebieſką bronią, ktory zacina klacz ſtrokatą, co ią zważaſz tak letkonośną: to ieſt mocny Xiąże Nerwii *Eſpartafilando* od Gaiu, co ma na ſwoim Puklerzu pole ze ſzparagami, z tym napiſem Hiſzpańſkim *Raſtrea mi Suerte.* Naſz Rycerz mianował ieſzcze niewiedzieć iak wiele innych woiownikow obudwoch tych mniemanych obozow; daiąc im wrazie nazwiſka, herby, znaki y napiſy, ktorych mu dodawała iego obfito-puſta wymyślność; y niezacinaiąc ſię, ciągle daley prowadził mowę. Te ſzeregi, tam, co widziſz na doczątku, ſą z rożnych narodow złożone. Tu ſą, co piią ſmaczne wody Xantu. Tamci Gorale zyzne pola Maſſyliyſkie uprawiaią; dru-

dzy

dzy złoto przednie ze ſzczęśliwey Arabii przeczyſzczaią; Ci używaią chłodnych y zyznych brzegow Thermodintu. Inſi złoto wybieraią z piaſkow bogatego pąktolu, Numidowie nieſtateczni y nie pewni w obietnicach; Perſowie niezrownani do ſtrzelania z łukow; Medowie y Parthowie, co uciekaiąc woiuią; Arabowie, co zawſze pod namiotami mieſzkaią, nie maiąc pewnego ſiedliſka. Scytowie dzicy y okrutni; Ethiopowie z przedziurawionemi wargami, y tyſiąc innych Narodow, co ich widzę y znąm twarzy, ale imion ich przepomniałem. Z drugiey ſtrony idą ci, ktorzy ſię napawaią ciekącym kryſztałem Betyſu, ktorego brzegi ſą okryte oliwnemi drzewami. Ci co ſię myią w obfitych wodach Tagu. Tamci, co zdrowych używaią napoiow wybornego Genilu, y Ci, co z pol Tartezyiſkich zyznych w łąki piękne użytkuią, y Owi, co życie pomyślne prowadzą przy roſkoſznych łąkach w Xeres; znow bogaci Manchegues, pozłociſtych żniw kłoſami uwieńczeni. Owi żelazem okryci reſzta krwie dawnych Gotow. Tamci,

ci, co ſię kąpią w Piſverga znakomitym przez ſpokoyność ſwoich wód. Ci, co paſą trzody w obſzernych paſtwiſtach krętego Guadiany; Drudzy, co drżą od zimna pod mrożnemi gorami Pireneow y śniegami Appenninu; słowem cokolwiek Europa zawiera w ſwoiey obſzerney rozległości. Rzecz niepoięta, iak wiele Kraiow y Narodow wymienił, przydaiąc każdemu, co miał oſobliwego z przytomnością rozumu do podziwienia, zawſze iednak stoſuiąc ie do opiſu ſwoich kſiąg, trudnych do naśladowania. *Sanſzo* był tak zadumiony z płynienia słow Pana, że gęby nieotworzył. Tylko oczy wyłupiał, y głowę obracał, gdzie ręką mu ſkazywał; chcąc obaczyć, czyby niemogł odkryć tych Rycerzow, y Olbrzymow; ktorych mu wymieniał; ale niemogąc nic uyrzec. Mości Panie, rzecze w poł zwątpiony, niech diabli wezmą Wodzow, Rycerzow, y Olbrzymow, co ſię tam ukazuią, y Wć Pan ich mianuieſz, przynaymniey ia niewidzę ani ogona iednego; może to wſzyſtko ſię dzieie przez omamienie, iak poczwary tey nocy.

Niewiem

Niewiem coś ty za człowiek, odpowie *Don Quiszott*, czy niesłyszysz rżenia koni, od głosu trąb, y bicia w kotły y bębny? Przed Bogiem mowię, ieżeli słyszę naymnieysze zdziebło, mowi *Sanszo*, oprocz beczenia owiec. Jakoż tak było w samey rzeczy, iuż bliskie były gromady owiec, aby ich usłyszyć można. Widzę dobrze, znow rzecze *Don Quiszott*, że więcey się lękasz, niż pokazuiesz po sobie, bo ieden ze skutkow strachu iest mięszać zmysły, y inaczey wydawać widok, niż iest w istocie; ale ieżeli cię boiaźń obeymuie; stań sobie na stronie, zostaw mi tę robotę. Dosyć mię samego, aby zwycięstwo szło za walecznością tey ręki. To mowiąc, zeprze Rossinanta, y dzidą wymierzywszy skoczy, iak błyskawica z pagorku na polo. *Sanszo* począł wrzeszczeć na niego ze wszystkich sił, aby zaczekał, że to owce były niezawodnie; Niebo brał na świadectwo, y na diabłow się zaklinał, ale to wszystko na prożno. Przeklęty co mię zrodził? Hey coż to za szaleństwo? Mospanie? Mości Panie *Don Quiszott*? niemasz tam Olbrzymow,

mow, ani Rycerzow, ani Szparagow; ni Tarczy, ni poł, ni kawałka, czy Wć Pan chcesz zamordować więcey owiec, niżbyś potrafił zapłacić. *Don Quiszott* niewstrzymywał się dla tego y zamiast co miał go słuchać, sam wołał z całey mocy. Smiało! śmiało! hey Rycerze, ktorzy woiuiecie pod Chorągwiami walecznego *Pentapolina* z zakasanym ramieniem. Zamną tylko udaycie się a obaczycie, że się pomszczę wnet nad zdraycą *Alifanfaronem* z Taprobany. Wtym bieży, iak szalony w pośrod gromady owiec, ktore kole y morduie z taką żywością y odwagą, iak gdyby miał do czynienia z nayglownieyszemi nieprzyiaciołami. Ci, co pędzili owce z razu na tym przestali, aby się go zapytać, do kogo miał tę zaczepkę y urazę, y co mu te biedne zwierzątka winny, ale widząc, że nic niewskorali, wołaiąc na niego, aby przestał, poczęli z procow rzucać kamieniami większemi, iak pięść do naszego Rycerza z taką szybkością, że ieden drugiego nieczekał. Acz ten pogardzaiąc tym sposobem woiowania, nieraczył zastaniać się y nieprzestawał

biegać

biegać na wſzyſtkie ſtrony, wołaiąc głośno, gdzie tam ieſteś wynioſły *Alifanfaronie*; do mnie; do mnie; czekam cię tu ſam ieden, abym doświadczył twych ſił, y ukarał cię za nieſłuſzną woynę, ktorą prowadziſz z mężnym *Pentapolin*. Z tylu kamieni, co koło uſzu naſzego Rycerza latały, ieden go ugodził w bok, y dwa żebra złamał: rozumiał ſię iuż zabitym; a przynaymniey niebeſpiecznie ranionym, ale przypomniawſzy ſobie o wybornym Balſamie, porwał prędko puſzkę blaſzaną, y przytchnąwſzy do gęby, zaczął połykać ten nieoſzacowany napoy, acz nim wypił, ile miarkował, być potrzebnym do uleczenia go, drugi kamień uderzył, zgruchotał mu naczynie w ręku, y po drodze trzy lub cztery zęby wybił, a przytym palce wſzyſtkie prawie potłukł. Te dwa pociſki były tak gwałtowne, że biedny Rycerz zoſtał obalony na ziemię; leżąc iak długi, Paſterze rozumieiąc go zabitym; zabrali owce pokłute, ktore na polu legły ſiedm, czyli ośm nierachuiąc ranionych; y czymprędzey ſię oddalili. *Sanſzo* nieruſzał ſię z gorki,

ki,

ki, zkąd ſię przypatrywał niepoiętemu ſzaleńſtwu ſwoiego Pana; y wyrywaiąc ſobie brodę całą garścią; przeklinał ſto razy dzień y godzinę, w ktorą nieſzczęście dało mu go poznać. Acz widzący go na ziemi leżącego, y Paſterzow daleko odeſzłych przybiegł do Pana, znayduiąc w bardzo złym ſtanie, chociaż zmyſłow nieutracił. Ach Mos Panie *Don Quiſzott*, rzecze mu, niemowiłem ia Wć Panu dobrze, żebyś ſię powrocił, że to były owce, nie żołnierze, z ktoremi ſię Wć Pan bić chciałeś. Otoż widziſz powie *Don Quiſzott*, iak ten zboyca Czarnoxiężnik, ktory ſię na mnie zawziął, odmienia y przewraca wſzyſtkie rzeczy na wſpak do ſwoiey woli; bo moy *Sanſzo* miły, powiedziałem ci to ſto razy, że nie kuklarze to, co nas zwodzą, iak chcą. Ten zdrayca Czarnoxiężnik zazdroſny moiey ſławy, ktorey nabyć miałem, nieomieſzkał przemienić te pułki nieprzyiacielſkie w owce; aby umnieyſzyć zwycięſtwa moiego ſzacunek. Ale chceſzże mi uczynić przyſługę, y oraz żebyś ſię wyprowadził z błędu raz na zawſze, wſiądz na oſła, y iedź zdala za temi

mnie-

mniemanemi owcami, załóżę się że tysiąc krokow nie uydą, wezmą zaraz pierwszą postać na siebie, y obaczysz tych Panow Baronow odmienionych w ludzi y żołnierzow, iakiem ci ich wprzod określił. Ale nie, teraz iuż nie iezdziy, potrzebnyś mi tu, przybliż się y obacz, wiele mi zębow brakuie, bo mi się zdaie, że żadnego w gębie nie zostało. *Sanszo* schylił się, a że tak się przytulił, iż prawie nos mu w gębę wraził, Balsam tym czasem zaczął skutkować w żołądku *Don Quiszotta*, przeto z takim pędem, iakby z fuzyi wystrzelił, wyrzucił wszystko, co miał w brzuchu na oczy, twarz y brodę usłuszńego Koniuszego. Swięta Marya, zawoła *Sanszo*, moy Pan na śmieć raniony, krew czysta gębą mu wybucha. Acz przypatrzywszy się lepiey, pozor smak y zapach dały mu poznać, że to niebyła krew, ale Balsam ktory widział, iak pił, co mu taką ctkliwość sprawiło, że nie zdążywszy odwrocić się, wyprzątnął podobnież, co tylko miał we wnętrznościach na nos y w gębę swoiego Pana; zostaiąc oba w nayśmiesznieyszym położe-
niu,

niu ktore znaleść można. *Sanſzo* pobiegł prętko do ſwoiego oſła po ſzmatę dla otarcia obudwoch y zawinienia ſtłuczenia Pana, ale nieznayduiąc ſwoich ſakwow, ktore ſię zoſtały w Karczmie, iakieśmy namienili, mało niedoſtawało, żeby rozumu nieutracił. Znow tyſiąc przeklęctw ſobie wypowiedział, y ułożył w myśli porzucić Pana, y powrocić do wſi nazad, niedbaiąc o nadgrody obiecane za zaſługi, ani rządy wyſpy. *Don Quiſzott* tym czaſem podnioſł ſię z wielką ciężkością, y kładąc lewą rękę w gębę, macaiąc y iakchciał utwierdzić reſztę zębow, co były naruſzone, wziął prawą za uzdeczkę Roſſinanta, ktory go krokiem nie odſtąpił, tak był przywiązany do Pana, poſzedł ku *Sanſzowi*, ktorego znalazł w poł leżącego na ośle wſpartego, obiema rękami ſię za głowę trzymaiącego, iak czyni człowiek zanurzony w głębokim ſmutku; bracie *Sanſzo* rzecze mu, widząc go w tym ſtanie, wierzayże niebędzieſz lepſzym człowiekiem za drugiego, ieżeli niebędzieſz cierpliwſzym za drugiego. Te burze

co na nas ſpadaią, nieſąż to znaki oczywiſte prędkiego wypogodzenia, y lepſzego naſzego powodzenia. Czyli nieznaſz tego, że dobre y złe maią ſwoie tamy y odmiany, y ieżeli prawda, że rzeczy gwałtowne nie ſą trwałe, czyli niepowinniśmy wierzyć nieomylnie, że iuż prawie palcem ſięgamy dobrey fortuny. Przeſtań tedy ſmucić ſię tak zbytnie z niepomyślności, ktore nam ſię trafiaią; y ktorych naymnieyſza część na ciebie ſpada. Jako? zawoła *Sanſzo*, podobno ten, co go wczoray podrzucali, był kto inny, nie ſyn moiego oyca, y ſakwy, co mi wzięto ze wſzyſtkim, co tam było, nie moie znać były? Jak? zawoła z gniewem *Don Quiſzott*, ſtraciłeś ſakwy? niewiem, czym utracił, rzecze *Sanſzo*, ale ich nieznayduię tam, gdziem zwykł ie chować. Y tak będziemy przymuſzeni dziś pościć, odpowie *Don Quiſzott*? zapewne rzecze *Sanſzo*, ieżeli nieznaydziemy na łąkach zioł, co Wć Pan znaſz, y co mogą ſłużyć zamiaſt żywności Rycerzom od złych przygod iak Wć Pan ieſteś? Mowiąc prawdę da-

daley się odzywa *Don Quiszott*, wołałbym teraz kawał borysa y parę śledzi, iak wszystkie zioła, co opisuie Dioskorid y z przydatkami Mathiola. Ale iednak wsiądź na twoiego Osła moy Synu *Sanszo*, y iedź za mną; Pan Bog ktory opatruie wszystkie żywioły, nie opuści nas, y pożywi tym więcey, że usiłuiemy służyć mu w tak przykrym stanie Rycerstwa. Ten Pan, co nie zapomina o naymnieyszym robaczku y stworzeniu, ktory daie świecić słońcu nad sprawiedliwemi y niesprawiedliwemi, co rosę swoię spuszcza na złych y dobrych! Mci Panie, przerwie mu *Sanszo*. Boże mi odpuść, Wć Pan byś był lepszym Kaznodzieią, iak Rycerzem błędnym? Trzeba, rzecze *Don Quiszott*, aby Rycerze obłąkani wszystko umieli; y byli niektorzy w dawnych wiekach, ktorzy tak śmiało kazanie powiedzieli, albo inną mowę piękną w pośrod Woysk, iak gdyby byli doktorowani w Akademii Salamańskiey; tak iest rzecz prawdziwa, że szpada nie przytępia piora, ani pioro szpady. Jak tam sobie chce, Mci Panie, powie *San-*

ſzo; niech będzie, co ſię Wć Panu podoba, ale umkniymy ſię ztąd y ſzukaymy gdzie noclegu na tę noc, y day Boże, aby to nie było w mieyſcu takim, gdziebyśmy nie potrafili, ani podrzucania, ani Podrzucacza, bądź ſtraſzydłow, bądź Maurow opętanych, czy zaczarowanych, bo doprawdy, ieżeli ich znaydę, ſługa nayniżſzy Rycerſtwa, wolę ſłużyć diabłu. Proś Pana Boga moie dziecie, żeby nas ſzczęśliwie prowadził, rzecze *Don Quiſzott*, a nie klniey, y iedź ktorą chceſz drogą, na ten raz ci zoſtawuię na wolą, gdzie myśliſz zaprowadzić nas na nocleg. Ale poday mi ſam rękę, y pomacay mi w gębie, wiele mi brakuie zębow w zwierzchniey ſzczęce po prawey ſtronie; bo tam mię dolega naybardziey. *Sanſzo* wetchnął mu garść w gębę, y macaiąc z wierzchu y że ſpodu, ſpyta go, wiele zębow miał po tey ſtronie? cztery, odpowie *Don Quiſzott*, nie rachuiąc trzonowego; wſzyſtkie zdrowe y całe; Moſpanie, powie *Sanſzo*, zważay Wć Pan co mowiſz. Mowię, że cztery prawie, odpowie

Don

Don Quiſzott, ieżeli nie pięć, bom ich nie dał nigdy wyrywać do tąd, ani mi żaden nie wypadł. A zatym, rzecze *Sanſzo*, maſz Wć Pan właśnie dwa, y poł na ſpodniey ſzczęce, a co w zwierzchniey nie maſz ani zęba, ani poł, tak gładko, iak na moiey dłoni. Jako? zawoła *Don Quiſzott*, na tę ſmutną wiadomość. Przed Bogiem powiedam, żebym wolał, gdyby mi rękę ucięto, byle nie tę, co broń dźwiga. Bo patrzay moy Synu, gęba bez zębow ieſt iak młyn bez kamieni; y nie maſz zęba, żeby nie wart był diamentu; ale coż z tym czynić? ieſt to naſzym udziałem, co zachowuiemy oſtre obowiązki Rycerſtwa. Jedź bracie, prowsdz mię, poiadę za twym przewodnictwem. *Sanſzo* wyprzedził Pana, y poiechał w tę ſtronę, gdzie miarkował, że może znaleść goſpodę wygodną, nie oddalaiąc ſię od bitego gościńca, ktory ſię zdawał mocno utorowany w tym mieyſcu. Jadąc powoli, bo *Don Quiſzott* czuł znaczny bol, ktorego wzruſzenie na koniu powiękſzało. *Sanſzo* chciał go zabawić rozmową, aby boleść cokolwiek uśmierzyć;

rzyć;

rzyć; y między innemi rzeczami to mu opowiedał, co w następuiącym Rozdziale iest wyrażone, gdy kto zechce sobie dać czas przeczytać go.

ROZDZIAŁ XVIII.

O zabawney rozmowie Sanſza ze swoim Panem, y spotkaniu umarłego nieſionego do pogrzebu, z innemi przygodami przedziwnemi.

Jeżeli ſię nie mylę Mci Panie, zaczyna *Sanſzo*, to mnoſtwo nieſzczęścia, co nam ſię zdarzały od kilku dni, nie ſą co innego, iak ukaranie grzechu, ktory Wć Pan popełniłeś przeciwko uſtawom Rycerſtwa, przełamuiąc przyſięgę, coś wykonał, nie ieść chleba, y coś więcey, ażbyś Wć Pan zyſkał ſzyſzak tego Malandrina, czy iak ſię tam nazywa, bom zapomniał przezwiſka tego przeklętego Maura. Dobrześ to uważył, rzecze *Don Quiſzott*, acz nie kłamiąc, wypadło mi z pamięci. Ty także możeſz być pewnym, iako

o rze-

o rzeczy niezawodney, iżeś omieſzkał przeſtrzedz mię y przypomnieć, ſpotkała cię przygoda podrzucania? Co o mnie, nadgrodzę to omieſzkanie; ponieważ w ſtanie Rycerſtwa znayduie ſię na wſzyſtko ſpoſob. A ia Moſpanie odezwie ſię *Sanſzo*, alboż uczyniłem przyrzeczenie na iakie obowiązki? coż z tego, rzecze *Don Quiſzott*, chociaſz nie poprzyſięgłeś, ieſteś iednak uczeſtnikiem tych czynności, y muſiſz ſwoią część wytrzymać, przynaymniey iak wſpołecznik. Dla tegoby dobrze, żebyśmy od przypadku temu zapobiegli. Gdy tak ieſt, rzecze *Sanſzo*, niezapominayże ſię Wć Pan znow, iak przedtym, żeby nie przyſzła chęć tym ſtraſzydłom ucieſzyć ſię na moiey ſkorze, a może y na Wć Pana, widząc go bez poprawy. Podczas tego rozprawiania noc ich zapadła w poł drogi, niewiedzących gdzie ſię ſchronić. Co było ieſzcze gorſzego, to, że ledwie od głodu nie zdychali, przyſzedłſzy iak powiedaią do torby za utraceniem ſwoiey.

Na

Na ich większe nieszczęście zdarzyła się im nowa przygoda, a przynaymniey coś bardzo do tego podobnego. Zmierzchło się wcale, iednak nie przestawali poganiać, bo *Sanszo* domyślał się, że będąc na wielkim trakcie, za mile lub dwie znaydzie iaką karczmę. Gdy w tey nadziei iechali, Koniuszy umierał prawie od głodu, Pan też miał chęć niezmyśloną posilić się co żywo, a noc ciemna była, zoczyli w tym w nieiakiey odległości od siebie moc świateł, ktore się zdawały, iak gwiazdy ruszaiące. Mało niedostawało, żeby *Sanszo* nie zemdlał od strachu na ten widok, nawet *Don Quiszott* był trochę zmięszany, wstrzymał za cugle swoiego konia, a tamten za powroz Osła; zastanowiwszy się dla uważenia, co to mogło być, postrzegli, że te światła coraz się do nich przymykały, y im więcey się zbliżały, tym bardziey powiększaley boiaźni *Szanszowi* się przyczyniało coraz; a *Don Quiszottowi* aż włosy na głowie wstawały choć niechcącemu, ktory iednak zdobywaiąc się na zwykłe męstwo, przyiacielu *Sanszo*,

za-

zawoła. Otoż to zapewne iedna z nay-gorszych y nayniebespiecznieyszych przygod, gdzie potrzebować będę całey moiey odwagi y siły. Ach ia nieszczęśliwy, zawoła *Sanszo*, ieżeli to znowu będzie spotyczka straszydłow, iak widzę z pozoru, iakież żebra wytrzymaią? Poczwary, czy nie, odpowie *Don Quiszott*, Upewniam cię, że ci włos z głowy nie spadnie. Jeżeli ci przeszły raz ten figiel wyrządzili, to dla tego, żem nie mogł przez mur dziedzińca przeskoczyć, ale teraz kiedy iesteśmy w otwartym polu, będę miał wolność szpadą machać iak chcąc. A ieżeli WćPana znow zaczaruią, iak przed tym, rzecze *Sanszo*, na coż mi się przyda, czyli WćPan mieć będziesz wolne pole lub nie? nietrać tylko serca, odpowie *Don Quiszott*, a doświadczysz moiego. Tak też myślę, ieżeli mi Pan Bog pomoże, odpowie *Sanszo*. Uiechawszy trochę z drogi, znow zaczęli zważać, co się stanie z temi świa-tłami, y pomału poczęli upatrywać ludzi, wszystkich w bieli. Wtedy *Sanszo* iuż strwożył sobą, y poczęły mu

szczę-

ſzczękać zęby od ſtrachu. Jeſzcze ſię powiękſzyła trwoga, gdy obaczyli wyraźnie ze dwudzieſtu konnych, ktorzy ſię także wydawali, iakby w koſzulach, każdy z pochodnią zapaloną w ręku, zdaiąc ſię ſzemrać coś przez zęby głoſem zniżonym y żałoſnym. Zatym naſtępowała lektyka żałobna, za nią ſześciu iezdnych kirem czarnym przykrytych od ſtop do głowy. Te dziwne widowiſko w poźney porze nocney; w tak odludnym mieyſcu zaſtraſzyłoby kogo więcey, iak *Sanſza*; ktorego też cała odwaga dość mała, cale odbiegła, y niewiedzieć, coby ſię z Panem ſtało, gdyby iego zawrot głowy nie nabił mu myśli, że to był koniecznie trafunek [illegible]obny tym, co z kſiąg wyczytał. [illegible]rzywidział ſobie, że w tey lektyce [illegible] iakiś Rycerz nieżywy, albo mocno raniony, ktorego zemſta iemu zoſtawiona, y więcey ſię niczego nie radząc, dzidę naſtroſzywſzy ſtanął w pośrod drogi, ktorędy pogrzebowi przechodzić mieli. Gdy ſię zbliżyli, zawoła głośno, ſtoycie tu, ktokolwiek ieſteście, y powiedzcie mi,

co

co wy za iedni? z kąd idziecie? do kąd ſię udaiecie? y co prowadzicie w tey lektyce? możeście kogo pokrzywdzili? albo was kto? trzeba, żebym ia o tym wiedział, żeby was, albo ukarać, albo zemścić. Spieſzemy ſię, odpowie ieden z iezdnych. Karczma ieſzcze daleko, y niemamy czaſu opowiedać mu tego, o co nas zapytuieſz. Zaciął zatym muła, na ktorym ſiedział, y chciał daley iechać. Ale *Don Quiſzott* rozgniewany na tę odpowiedź, ſchwytawſzy za cugle muła, zawoła: Naucz ſię żyć proſtaku, y zaraz mi day odpowiedź, na to co pytam, albo ſię przygotuycie wſzyſcy do ſpotyczki. Muł był lękliwy, y tak mocno, że gdy *Don Quiſzott* złapał go za uzdeczkę, wywrocił ſie na ziemię, y przywalił iezdzca dość ciężko; Maſztalerz pieſzo idący przy nim nie mogąc Pana poratować, zaczął złorzeczyć naſzemu Rycerzowi, co go w gniew więkſzy wpędziło, y niebawiąc ſię dłużey pytaniami, ſkoczy ze wſzyſtkiey ſiły na iednego z tych żałobnych, zwalił go na ziemię z muła; od tego pobiegł do drugiego,

giego, y rzecz podziwienia godna, z iaką natarczywością y ſzybkością uwiiał ſię tak, iż zdawało ſię że w tym razie ſkrzydeł doſtał Roſſinant, tak letko ſię unoſił. Rzemioſło tych ludzi uſługą bawiących ſię nie ieſt być odważnemi, ani umieć obchodzić ſię z bronią, wnet przeſtraſzeni zoſtali, uciekaiąc przez pola z pochodniami zapalonemi można ich było wziąść za ſtraſzydła lub larwy; ludzi, ktorzy ſzukaią w dni zapuſtne; żałobni ludzie użyci do aſſyſtencyi niemniey przeſtraſzeni, a bardziey zaplątani długiemi płaſzczami nie mogli ſię z mieyſca ruſzyć. Y tak *Don Quiſzott*, w prawą y lewą do woli machaiąc, otrzymał łatwo zwycięſtwo y plac ſpotyczki. Ci wſzyſcy ludzie potrwożeni, brali go za diabła, ktory przyleciał z piekła to ciało, co było w trunnie odbierać im. *Sanſzo* zaś niemogł ſię wydziwić odwadze naſzego Bohatyra, y ſądził, z ſobą rozmawiaiąc, iż Pan iego muſiał być tym, Junakem niezwyciężonym co powiedał. Po tey piękney bitwie *Don Quiſzott* ſpoſtrzegłſzy tego, co ſię muł pod nim

wy-

wywrocił przy pochodni; ktora się ieszcze paliła, przytknął mu dzidę do gardła mowiąc, aby się poddał, bo go żywić nie będzie. Już nad to się poddałem, rzecze tamten, bo nie mogę się podnieść z mieysca, y podobno mam nogę złamaną. Proszę Wć Pana Mci Panie, ieżeli iesteś Chrześcianin, niezabiiay mię, bobyś popełnił świętokradztwo, gdyż ia iestem Kleryk, y mam pierwsze Swięcenia. A coż u diabła cię tu zaprowadziło, rzecze *Don Quiszott*, ieżeli iesteś duchowny? Moie nieszczęście, odpowie, iak Wć Pan widzisz. Może się stać ieszcze gorsze, rzecze *Don Quiszott*, ieżeli mi nie odpowiesz zaraz na to, com się zapytał? To łatwo uczynię, odpowie tamten, bo mogę upewnić Wć Pana, że się nazywam *Alonzo Lopes* urodzony w *Alcovendas*, iedziemy z *Baca*, z iedenastą innemi Duchownemi, ktorzy są ci, coś ich Wć Pan rozproszył; prowadziemy ciało Szlachcica zmarłego niedawno w *Baca*, ktory chciał być pochowany w *Sagowii* mieyscu iego urodzenia. Y ktoż zabił tego Szlachcica, zapyta *Don Qui-*

Quiſzott? Pan Bog, odpowie Kleryk, przez gorączkę śmiertelną, ktorą na niego zesłał. Ponieważ tak ieſt, rzecze naſz Rycerz, Pan Bog mię uwolnił od obowiązku zemſzczenia ſię iego śmierci, iakbym był powinien uczynić, gdyby kto inny to zrobił; ale że Pan Bog, trzeba mu wybaczyć, y głowę ſkłonić, iakbym ſam uczynić muſiał, gdyby podobnież mię to ſpotkało. Wiedz o tym na wzaiem, Mci Kleryku, że ia ieſtem Rycerz z Manchy, zowię ſię *Don Quiſzott*, y moy urząd ieſt iezdzić po świecie, naprawiaiąc nieprawości, y proſtuiąc zdrożności. Nie rozumiem, odezwie ſię Kleryk, iak Wć Pan możeſz nazywać wyproſtowaniem niesforności to, gdy mię z proſtego iak byłem, zrobiłeś krzywym, nogę złamawſzy, ktorey może nigdy nie będzie można proſtą zrobić. Otoż to zdrożność, coś Wć Pan miał naprawić, zamiaſt tego mnieś nogę zepſował, y ſzukaiąc przygod, mnieś dał znaleść bardzo złą, gdym iey nie ſzukał, y nie myślił o Wć Panu. Obroty tego świata, rzecze *Don*

Qui-

Quiſzott, nie idą zawſze, iak ſię życzy; y całe złe, co w tym widzę, Mci Kleryku, to żeście, niepowinni byli tak w nocy iechać w długich płaſzczach żałobnych, w komżach przy pochodniach ſzemrząc coś przez zęby, y będąc podobni ludziom z tamtego świata. Zważay przeto iż nie mogłem inaczey poſtąpić, iak ſię z wami ſpotkać. Będąc tym co ieſtem, y tak bym zrobił, choćbyście byli ſamemi diabłami, iakom rozumiał, że byliście w iſtocie po waſzym pozorze, y ſukniach. A zatym, gdy moie nieſzczęście, rzecze Kleryk, tak chciało, trzeba na tym przeſtać, proſzę tylko Wć Pana Mci Panie Kawalerze błędny pomodz mi wydobyć ſię z pod Muła, gdzie mam nogę między ſtrzemionem, y ſiodłem zaplątaną. Za coż prędzey o tym nie powiedziałeś, rzecze *Don Quiſzott*, czyś czekał, abym to zgadł. Zawołał zaraz na *Sanſza*, ktory nieſpieſzył z przybyciem: zatradniony będąc od pakowaniem iednego Muła, ktory był naładowany żywnościami dla tych dobrych duchownych; y czekać trzeba było, aż ze ſwoiego o-

dzienia zwierzchniego zrobił nakſztałt woru, y na Oſła wpakował z tym, co mogł wepchać w niego do pożywienia; przybiegł potym do Pana, ktoremu rzecze, hey Mci Panie, nie mogę być wraz we młynie, y u pieczywa chleba. *Don Quiſzott* mu kazał pomodz wydobyć ſię z pod muła Klerykowi; co uczynił, y wſadziwſzy go na te ſiedzenie, oddał pochodnią, y kazał iechać za drugiemi, ktorych mowił; aby przeproſił od niego za złe przywitanie, co im uczynił nie mogący y niepowinien będąc inaczey ſię z niemi obchodzić, nie znaiąc ich. Mci Panie przyda *Sanſzo*, ieżeli trafunkiem ci Ichmość będą ſię pytać, kto ieſt ten Rycerz waleczny, co ich tak ładnie oporządził, powieſz im z łaſki ſwoiey, że to ieſt ſławny *Don Quiſzott* z *Manchy*, ktory ſię mianuie inaczey Rycerzem *Smutney poſtaci*. Gdy odiechał Kleryk, *Don Quiſzott* pytał ſię *Sanſza*, co ſię znaczył przydomek, ktory mu dodał, *Rycerza Smutney poſtaci*. Poniewaź Wć Pan chceſz wiedzieć odpowie *Sanſzo*, to ieſt, że zważałem Wć Pa-
na

na czas niemały przy pochodni, ktorą trzymał w ręku ten pobity nieborak, y mowiąc prawdę zdawałeś mi się Wć Pan nie wiem, iak dziwnie wychudzony, żem nic podobnego nie widział, musi być z pracy y zmordowania, albo dla zębow, co Wć Panu brakuią. Jakbyś zgadł, rzecze *Don Quiszott*, y mędrzec, ktory ma pisać moie dzieie, uznał potrzebę abym miał przydomek, iak wszyscy inni Rycerze błędni, bo ieden się nazywał Rycerz od *Szpady* ognistey, drugi od Jednorożca, trzeci od Panny, ten od Fenixa, tamten od Gryfa, inny od śmierci, y byli znaiomi pod temi nazwiskami na całym Swiecie. Zapewne ten Mędrzec sam ci natchnął ten przydomek *od Smutney postaci*, ktory od tąd nosić będę, y dla tego umyśliłem dać wymalować na swoiey tarczy iaki wyraz osobliwy temu podobny. Zaprawdę Mci Panie, odpowie *Sanszo*, możesz Wć Pan ochronić kosztu, tylko się pokażesz; długie posty, y wychudnienie nad zwyczay iego policzkow popsowanych tak dziwną Wć Pana okazuią pozorność, że

żadne malowidło dokładniey nie wyrazi, y wſzyſcy co Wć Pana zobaczą, dadzą mu do razu imię *Smutney poſtaci*, to iednak niech będzie powiedziane bez urazy Wć Pana. *Don Quiſzott* uśmiechnął ſię z żartu ſwoiego Koniuſzego, y namyślił ſię do prawdy przyiąć przydomek, ktory mu nadał, y każać go odmalować na tarczy za pierwſzym zdarzeniem, ktore mu ſię trafi. Ale mowi: czy wieſz *Sanſzo*,? że ſię znayduię w powątpieniu trochę, y obawiam ſię, abym nie był wyklętym, żem ręce podnioſł na Duchownego. Prawda ieſt, żem go ręką ſię niedotknął tylko dzidą, a do tego nierozumiałem aby to byli Xięża, y coś do duchownych podobnego, ktorych ia ſzanuię y poważam, iakiem powinien, ale raczey za poczwary y z tamtego Swiata Mięſzkańcow wziąłem ich; y choćbym wiedział o tym, pamiętam dobrze co ſię przytrafiło Rycerzowi *Cid Ruy Dias*, gdy połamał Stolik Poſła iednego Krola w przytomności Papieża, co go wyklął. Ja znayduię dla ſiebie, że mężny

żny *Rodryg de Vivar* nie uczynił nic nad to, czegoby każdy człowiek poczciwy y prawy Rycerz nie powinien zrobić.

Odiechawſzy Kleryk, iakom namienił, nic nie mowiąc *Don Quiſzott* miał chęć obaczyć, co było w tey trunie; czyli całe ciało Szlachcica, czy tylko kości, ale *Sanſzo* ſię ſprzeciwił, mowiąc mu: Mci Panie niech będzie raz powiedziano, proſzę Wć Pana, żeś wyſzedł z iakiey przygody, nie zoſtawiwſzy zębow y brody, tę iedną tylko widzę, niechcieyże iey Wć Pan zepſować. Bo ieżeli ci ludzie poſtrzegą ſię, że ieden tylko Rycerz był, ktory ich tak rozproſzył, możeby ſię powrocili, y nam biedy iakiey narobili. Moy Oſieł dobrze ſię wypaſł, bliſko gory ieſteśmy, głod nam dokucza, nie mamy więcey do czynienia, iak mężnie uiechać, y niechay iak mowią, umarły idzie w ziemię, a żywy do karczmy; zaraz zaciął oſła, y poiechał przodem, proſząc Pana, aby za nim poſpieſzył, co uczynił nieodmawiaiąc; y widząc, że *Sanſzo* nie ze wſzyſtkim

źle mowił; uiechawſzy trochę pomiędzy dwie gory, ktore ledwie rozeznali w pociemku; obaczyli ſię na przeſtrzeni, y w ſamey rzeczy byli na obſzerney dolinie, gdzie *Don Quiſzott* y koniuſzy z ſiedli ze ſwych wierzchowych, y położywſzy ſię na trawie świeżey, ſamym głodem przyprawiwſzy, śniadanie, obiad, podwieczorek y wieczerzą wraz z iedli, z tego, co *Sanſzo* zdobył obſicie w koſzach duchownych, ktorzy nie zwykli zapominać o ſobie. Acz niedogodność, ktorą *Sanſzo* znaydował gorſzą nad wſzyſtkie było pragnienie, co ich niezmiernie trapiło, nie maiąc, ani kropli wody dla ugaſzenia go, a przynaymniey ochłodzenia uſt; a że Koniuſzy zważał, iż byli na łące, gdzie trawa roſła buyna; y chłodna ſię zdawała, dał radę zdrową ſwemu Panu, ktora iednak nieudała ſię ze wſzyſtkim tak dobrze, iak była ſpodziewana, y iaką w naſtępuiącym Rozdziale obaczemy.

ROZDZIAŁ XIX.

O nayſtraſznieyſzey przygodzie, ktora mogła kiedy ſpotkać iakiego Rycerza obłąkanego, y ktorą Don Quiſzott zakończył z małym niebeſpieczeńſtwem.

Sanſzo zpragniony, iakeśmy wyrazili, rzekł do Pana, trawa na ktorey ſiedziemy, wydaie mi ſię gęſta y chłodna, muſi tu zapewne być gdzie bliſko ſtrumyk, co iey dodaie wilgoci, poſzukawſzy znaydziemy może czym ugaſić pragnienie nieznośne, co nam dokucza; y ktore mi ſię zdaie teraz trudnieyſze do wytrzymania, niż głod. Uwierzył mu *Don Quiſzott*, y wziąwſzy Roſſinanta za uzdeczkę, a *Sanſzo* oſła za powroz, zaczęli iść macaiąc, bo tak bardzo ciemno było na dworze, że nic doyrzeć nie mogli, acz ledwie uſzli dwieście krokow, poſłyſzeli ſzeleſt wielki, iakby ſpadaiącego z dużey gory ſtrumienia, co ich pocieſzyło nie mało, ale wnet uſłyſzeli drugi łoſkot,

kto-

ktory umnieyſzył znacznie radości z pierwſzego; naybardziey dla *Sanſza* z przyrodzenia nieśmiałego. Było to ſzczękanie y brzękanie powtorzone żelaz y łańcuchow, ktore zmieſzane z mrukiem potoku wydawały tak ſtraſzny huk, iż każdy inny oprocz naſzego Rycerza byłby zalękniony. Noc iakom namienił, była nie widna, y trafunek ich zaprowadził pod wielkie drzewa, ktore wiatr mocny, co powſtał po liściach, y gałęziach ſzamotał tak dalece, że poſępność nocy, ſzmer wod, drzew ſzum, y te kołatania, co nieprzeſtawały, wſzyſtko to zdawało ſię iakby umyślnie zebrane do ſprawienia okropności, tym bardziey, iż niewiedzieli, gdzie ſię znaydowali, a dzień był daleki. Acż niewzruſzony *Don Quiſzott*, zamiaſt ſię zaląknąć, doſiadł letko Roſſinanta, uchwyciwſzy tarczą y dzidę, zawoła, przyiacielu *Sanſzo*, wiedz, że mię Niebo przeznacza na ſprowadzenie złotego wieku w pośrod tego przeklętego żelaznego. Dla mnie ſą zoſtawione wielkie czyny y przygody niebeſpieczne. Ja ſam powtarzam

rzam to, zmażę pamięć Rycerzow ſtołu okrągłego, dwunaſtu parow francuſkich y dziewiąciu mężow ſławnych Oliwantow, Belianow, Kawalerow od ſłońca, y innych niezliczonych obłąkanych y pamiętnych czasow przeſzłych Mężow tyle dokazuiąc, iż zacmię to wſzyſtko, czym oni ſię wſławili. Widziſz dobrze wierny y miły Koniuſzy, iakie ieſt przycmienie tey nocy; głęboka ſpokoyność, ſzumienie głuche y zmięſzane drzew, mruczenie przykre tych wod, cośmy ſzukali, y ktore ſię zdaią ſpadać z gor mieſiąca, y to kołatanie nieuſtanne okropne, co nam uſzy obraża; naymnieyſzy z tych poſtrachow byłby doſtateczny zatrwożyć bożka Marſa; a tym więcey tych, co nieprzyzwyczaieni do podobnych przygod. Przecież to ſą tylko bodzce ktore moie męſtwo zachęcaią, y poczuwam, że ſerce mi ſkacze z radości iść na przeciw narażeniom, na ktore porwać ſię ieſtem odważony; tym bardziey, im większe y ſtraſznieyſze mi ſię zdaią. Zapniy dobrze popręgi Roſſinantowi, y zoſtay z Bogiem. Jeżeli
mię

mię w trzech dniach nieobaczyſz na powrot, możeſz iechać nazad do domu, y ztamtąd uczyniſz mi rzecz miłą bardzo; udai ſię do Toboſo, gdzie oświadczyſz moiey nieporownaney Dulcynei, że Kawaler niewolnik iey piękności zginął, chcąc okazywać dzieł, ktoreby go godnym iey łaſki uczyniły. Gdy *Sanſzo* uſłyſzał go tak rozmawiaiącego, zaczął płakać rzewliwie; y z nayiękſzym ſmutkiem rzecze do niego. Niewiem, na co Mci Panie chceſz Wć Pan tak nieſłychaney probować napaści. Noc ieſt, y nikt nas nie widzi. Możemy śmiało umknąć ſię z drogi, y uniknąć zatargi, choćbyśmy trzy dni niepili; A że żywy duch nie będzie świadkiem naſzego ſchronienia, ktoż nas poſądzi o boiaźń y trwożliwość. Słyſzałem nieraz mowiącego naſzego Xiędza Plebana, ktorego Wć Pan znaſz dobrze, że *kto ſzuka biedy y niebeſpieczeńſtwa, nieuchybi w nim zginąć*; a zatym Wć Pan nie pokuſzay Pana Boga, porywaiąc ſię na tak ſtraſzną zączepkę, z ktorey wyiść dobrze nie potrafiſz, chyba cudem iakim. Czyli niedoſyć

Wć Panu na tym, że go Niebo uchowało, iż nie byłeś tak podrzucanym, iak ia; y żeś zdrowy y cały wyſzedł ze ſpotyczki z temi, co umarłego prowadzili; ale gdy to wſzyſtko niewzruſzy Wć Pana ſerca zakamiałego; niechay przynaymniey dla mnie ſię zmiękczy; zważay Wć Pan, że iak mię tylko odſtąpiſz, z ſamego ſtrachu ieſtem gotow oddać duſzę moią, kto iey zechce. Hey czy zapamiętałeś WćPan, żem porzucił dom moy, a idąc za Wć Panem odſtąpiłem żony y dzieci, oddaiąc ſię na iego porękę, oprocz zaſzczytu ſłużenia Wć Panu ſpodziewałem ſię dla nich y dla ſiebie wiele pożytkować, ale widzę teraz na co wychodzi, iak ieſt prawdziwe przyſłowie, kto wiele chwyta, mało łapa. Otoż wſzyſtkie moie nadzieie upadły w czaſie, gdym ſię zdawał trzymać w garści iuż tę nieſzczęſną wyſpę, coś mi ią Wć Pan tak częſto obiecywał, teraz ieſzcze za nadgrodę chceſz mię zoſtawić ſamego w tak okropnym mieyſcu, gdzie ani ludzi, ani zwierząt nie widać. Dla miłości Boſkiey Mci Dobrodzieiu y Panie

nie moy nie czyń mi tey okrutności, a ieżeli się Wć Pan koniecznie zawziąłeś porwać się na tę piekielną zatargę, zatrzymay się do dnia przynaymniey; nie trzeba więcey, iak trzy godziny zaczekać, iak się nauczyłem będąc pastuchem. Bo oto pysk małey niedźwiedzicy nad głową y ktory skazuie pułnoc na linii strony lewey. Hey moy kochany *Sanszo*, przerwie *Don Quiszott*, iakże ty możesz widzieć ten pysk y linią w nocy tak ciemney, kiedy żadney gwiazdy nie widać. Prawda iest odpowie *Sanszo*. ale strach ma wielkie oczy, co widzą iasno aż nadto; wszelako można, łatwo miarkować, że niedaleko do dnia. Niech przyidzie, albo nieprzyidzie ten dzień, zawoła *Don Quiszott*, nie powiedzą nigdy, że łzy albo proźby czyie przeszkodziły mi czynić powinności Rycerza. Dla tego *Sanszo* cożkolwiekbyś więcey w tym mowił, wszystko darmo. Niebo, ktore mi serce natchnęło zamysłem sprobowania wnet tey straszney przygody, wyprowadzi mię z niey szczęśliwie, abo mieć będzie o tobie staranie po moiey śmierci.

ci. To maſz do czynienia, oto: podpiąć dobrze Roſſinanta, y czekać tu na mnie, powrocę wnet żywy, albo umarły. *Sanſzo* widząc nieodbite poſtanowienie ſwoiego Pana, y że ani iego łzy, ani uwagi nie mogły go przekonać, umyślił zażyć ſpoſobu ſztucznego, y przytrzymać go do dnia, nimo iego woli; dla tego nim podpiął popręg Roſſinantowi, związał mu nieznacznie zadnie nogi poſtronkiem zdiętym z oſła ſwoiego; tak, ze gdy *Don Quiſzott* chciał puścić ſię w drogę, koń zamiaſt daley ſię pomknąć, podſkakiwał tylko na mieyſcu. A wſzakże Mci Panie, zawoła *Sanſzo* cieſząc ſię w duchu, ze ſwoiego wynalazku, ſame Niebo ieſt z moiey ſtrony, niechce, aby Roſſinant daley poſtąpił, y ieżeli Wć Pan uſadziſz ſię męczyć więcey to biedne bydlątko, będzie ligał na kłocie y zciągnąć może przez tę przykrość Wć Panu przeciwne ſzczęście. *Don Quiſzott* gniewał ſię o to niezmiernie, ale widząc, że im więcey go żgał oſtrogami, tym mniey Roſſinant był ruchawy, nareſztę namyślił ſię czekać dnia, azaliż

liż y koń iego nabędzie ochoty do iazdy, bo mu to nie przyszło na myśl, żeby mogła być sztuczka iego koniuszego. Ponieważ się podobało Rossinantowi zostać tu, rzecze, muszę zaczekać, chociaż z ciężkim moim żalem. Y coż w tym szkodliwego? powie *Sanszo*, będę Wć Panu bayki powiedał, y podeymuię się wystarczyć aż do dnia białego, chyba ieżeli Wć Pan zechcesz zsieść z konia y wyspać się trochę na świeżey murawie zwyczaiem Rycerzow błędnych, a tak Wć Pan będziesz rzeżwieyszy, y w stanie podięcia tey diabelney przygody. Ja mam spać? albo z konia zsiadać? rzecze *Don Quiszott*, albom ia to tych Rycerzow śpiochow gatunku, ktorzy się wczasuią, iak chcą, y kiedy czas bitwy, spoczywaią? zasypiay ty, coś się urodził do wylegania, albo czyń, co ci się zdaie. Ja zaś wiem, co mam dopełnić. Niemiey Wć Pan za złe, bom to żartem powiedział, przydał *Sanszo*, y zbliżywszy się do Pana uiął się iedną ręką za kulę zadnią, drugą za przednią siodła iego, tak że za lewy bok opasał rękami y

przy-

przytulił ſię do niego; iakby był przylepiony, nie śmieiąc ſię ruſzyć, tak go przerażały bicia nieuſtanne kołatania, co ſię dawały ſłyſzeć raz wraz. Powiedz mi co, rzecze mu Pan, aby czas przeſzedł, nim dzień ſię zbliży. Radbym, odpowie *Sanſzo*, gdyby ten hałaś, co ſłyſzę, nie przeſzkadzał wprawdzie trochę mię ſtrach obeymuie, bo nie lubię zmyślać. Z tym wſzyſtkim powiem Wć Panu iedną powiaſtkę y naylepſzą może, ktorąś Wć Pan kiedy ſłyſzał; ieżeli ią znaydę, y żeby mi te przeklęte przeſzkody dały ią ſpokoynie powiedzieć. Otoż ſłuchay Wć Pan: Było to co było, co dobrego niech będzie dobre dla wſzyſtkich, a złe dla tego co go ſzuka. Uważay tedy Wć Pan proſzę, że dawni ludzie nie poczynali tak ſwoich powieśći, iak dziś czynią, ale od przyſłowia nieiakiegoś Katona Mędrca Rzymſkiego, ktory tak mowi, że *bieda ieſt dla tego, co iey ſzuka*, to właśnie tu ſłuży, aby przeſtrzegł Wć Pana być ſpokoynym, y niebudzić licha, kiedy śpi, dobrze zrobiemy, gdy inſzą drogą poiedziemy,

my, bo nikt nas nie przymuſza tąż ſamą iechać koniecznie, gdzie ſię zdaie, że wſzyſcy diabli na nas czekaią. Daley powieday twoią baykę, rzecze *Don Quiſzott*, a co o trakt, ktorym mamy ſię udać, zoſtaw mnie ſtaranie. Powiedam tedy, że w pewnym mieyſcu Eſtremadury by ieden Paſterz maiący ſtado koz, to ieſt Mci Panie, że kozy paſł, ktory to paſterz, czyli Owcarz, iak wieść nieſie, nazywał ſię *Lopes Ruys*, y ten owcarz, czyli kozo-pas *Lopes Ruys*, zakochał ſię w Paſterce nazwaney *Toralwa*, była corka pewnego Paſterza, co miał wielką gromadę Owiec, ktory to bogaty Paſterz, czyli Owczarz, co miał wielką gromadę Owiec. Jeżeli tym ſpoſobem poſtępować będzieſz, przerwie mu *Don Quiſzott*, y powtarzać każde ſłowo dwa lub trzy razy, za dwa dni nie ſkończyſz. Kończ roſtropnie twoią powieść, albo ſię nie mięſzay, y day pokoy; Wſzyſtkie nowiny y gadki w naſzey ſtronie tak ſię powiedaią, rzecze *Sanſzo*, y nie umiem gadać inaczey. Pozwol Wć Pan Mci Panie, niech nowych zwy-

czaiow

czaiow nie wnoſzę. Mow, iak chceſz, odpowie *Don Quiſzott*, ponieważ moy zły los przeznaczył, abym cię ſłuchał, daley ciągniy powieść. Maſz tedy Wć Pan wiedzieć moy naymilſzy Panie, powtarza *Sanſzo*, że ten Paſterz, ktory ſię zakochał w Paſterce *Toralwie*, ktora była ſtworzenie pękate, harde, trudne do ugłaſkania y do Męſzczyzny bardziey dodobne, bo nawet trochę brody miała, wydaie mi ſię, iakbym na nią właśnie patrzał, gdy o tym rozmawiam z Wć Panem, alboś ią przed tym znał? zapyta *Don Quiſzott*, nie, odpowie *Sanſzo*, ale ten, co mi to powiadał, upewnił, iż było niezawodne, y że gdybym innym toż ſamo powiedał, mogłbym śmiele przyſiądz, żem wſzyſtko widział. Nakoniec dzień za dniem idzie, iako mowi drugi, a diabeł, ktory nigdy nie śpi, y wſzędzie ſię wścibi, tak długo ſię kręcił, aż ich powaśnił, y miłość Paſterza zamienił w nienawiść, przyczyna tego, iak udawały złe ięzyki, była ſama *Tolarwa* przez wolnieyſze ſwoie z innemi zabawki; ale o Panno święta? ktore więcey

cey znaczyły iak zarty; rozumieſz Wć Pan? od tąd owczarz, czyli kozopas nie mogł iey cierpiec, y żeby iey więcey nigdy nie oglądał, przyſzło mu do głowy tak daleko ſię oddalić, iżby nigdy więcey w życiu o niey nie ſłyſzał. Jak myślił tak zrobił. Ale *Toralwa*, wzgardzona od *Lopesa Ruys*, rozkochała ſię bardziey w nim, niż kiedy dawniey. To ieſt właściwy kobiecy przymiot, y przyrodzenie, przerwie *Don Quiſzott*, gardzić temi, co ich lubią, a lubić tych, co ich nie lubią. Daley mow *Sanſzo*. Stało ſię tedy, mowi *Sanſzo*, że Paſterz oddalił ſię, poganiaiąc przed ſobą kozy polami Eſtremadury, proſto do Kroleſtwa Portugalii. *Toralva*, ktora dobry węch miała, przeczuła coś, y wnet za nim w te tropy pobiegła pieſzo, trzewiki w iedney ręce, w drugiey pſtry kiiek, torbeczka na ſzyi gdzie powiedaią miała kawał żwierciadła, ſztukę grzebienia, malowidła kąſek do upſtrzenia ſię, y inne drobiazgi kobiece upiękrzęnia ſię. Ale co było, to było, nic mi do tego. Nakoniec końcow, Paſterz *Lopes Ruys*

ze

ze swoią gromadą koz przybył na brzeg rzeki Gwadiany; wtedy tak woda przybrała, że była iak oyciec y matka wszystkich rzek; a w mieyscu tym, gdzie się znaydowął Pasterz, niebyło ani łodzi, ani poł, ani żywego człowieka, ktoryby mogł przewieść iego samego y trzodę iego, z czego strasznie się zgryzł prawie na śmierć, bo czuł *Toralwę* za sobą tuż w te tropy biegącą, ktora swym płaczem y wrzaskiem mogłaby go przywieść do szaleństwa. Nakoniec oglądaiąc się wszędzie postrzegł Rybaka z czołnym, ale tak maleńkiem, że niemogł więcey zabrać na raz, iak iednego człowieka y iedną kozę. Jednak że się spieszył mocno, zgodził się z Rybakiem, aby iego y 300. koz, co miał, przeprawił. Rybak tedy przypłynąwszy z czołnem zaczął przewozić iednę kozę y powraca znowu, drugą kozę, y powraca, daley trzecią. Ale Mci Panie rachuy Wć Pan z łaski swoiey, wiele koz przewiezie Rybak, bo Wć Pana przestrzegam, ieżeli się w iedney pomylisz, powieść się skończy na tym właśnie, y sam diabeł mi nie

przypomni słowa, co zgubię. Nadto ląd z tamtey strony był bardzo ślifki y grząfki; co sprawiło, że Przewoznik zawfze długo bawił za każdą przeprawą. Z tym wfzyftkim iednak wiozł znowu iednę kozę, potym iednę, daley iednę, y znow iednę. Za coż niepowiefz razem, że ie po iedney wfzyftkie przeprawił, przerwie *Don Quifzott*, nie zaś że iezdził y powracał tym fpofobem? ieżeli tak długo prawić będziefz, y za Miefiąc nie fkończyfz. Wieleż teraz koz przeprawionych? zapyta *Sanfzo*. Hey ki kaduk ie tam pamięta, czy myślifz, żebym ia dawał na to baczność? A więc, iakom mowił, odpowie *Sanfzo*, niechciałeś Wć Pan rachować, y moia też bayka fkończyła fię, nie można daley poftąpić. A to iak, powie *Don Quifzott*? czyli zaległo wiele na tym treści, wiedzieć dokładnie fiła koz przewiezionych, tak, że gdy w iedney fię omyli, twoia powieść fię urwie? Tak ieft, Mci Panie, odpowie *Sanfzo*, y w tym razie, kiedym fię Wć Pana pytał, wiele koz przewiezionych, a Wć Pan powiedziałeś, że nie pamiętafz,

taſz, zarazem przepomniał wſzyſtkiego com miał powiedzieć; a ſzkoda, nie zmyśłaiąc, bo to było naylepſze co zoſtało. Tym ſpoſobem powieść ſię ſkończyła? rzecze *Don Quiſzott*? Jak mi matka powiedała, iuż ſię dokończyła, odpowie *Sanſzo*. Wprawdzie moy przyiacielu *Sanſzo*, daley naſz Kawaler mowi, oſobliwſza to ieſt powiaſtka, y ſpoſob iey opowiedzenia nadzwyczayny, iaki wymyślić można? Ale czegom ſię miał ſpodziewać z twoiey puſtey głowy. Zapewne to nieuſtanne kołatanie pomięſzało ci zmyſły. Może y to być, odpowie *Sanſzo*, ale co do bayki, to wiem, że ſię na tym kończy, gdy ſię w liczbie koz zmyli. Niech ſię kończy, gdzie chce, zawoła *Don Quiſzott*, obaczmy, ieżeli Roſſinant zechce ſię poruſzyć. To mowiąc, zeprze go oſtrogami, koń tylko podſkoczył, nie mogąc więcey czynić, tak go dobrze ſpętał *Sanſzo*. Tym czaſem bądź ſtrach, bądź że noc chłodna, czyli *Sanſzo* iadł na wieczor co rozwalniaiącego żołądek, lub też z przyrodzoney potrzeby, ktora w nim niezawo-

dny ſkutek ſprawowała, uczuł ſię przyciśniony ciężarem, od ktorego kto inny go uwolnić nie mogł; ale był tak ſtrachem przeięty, że nieśmiał na krok oddalić ſię od Pana. Jednak trzeba było ſpoſob wynaleść na to naglące przyciſkanie, ktore ſię coraz bardziey powiękſzało, a tak chcąc wſzyſtko pogodzić, odiął lętko rękę prawą od ſiodła, ktorego ſię trzymał, y odpiął ſobie śmiało ſpodni ubior. To zrobiwſzy *Sanſzo*, mniemał że iuż co trudnieyſzego uprzątnął, atoli chcąc reſztę odbyć, prawie zwątpił aby mogł po cichu uczynić. Dla czego ściſkał zęby y ramiona, utrzymuiąc w ſobie dech, iak mogł, iednak mu ſię nie udało, iak na nieſzczęście, nie mogł dokazać, aby nie dał odgłoſu, ktory był odmiennieyſzy, niż ten, co im tak długo naprzykrzał ſię. Co to ſłyſzę zawoła *Don Quiſzott* żwawo? Nie wiem Mci Panie, odpowie *Sanſzo*, obaczyſz Wć Pan, że to będzie znowu iaki nowy diabeł, bo przygody nie potroſze, ale razem ſię zwalaią. Naſz Rycerz na tym przeſtał, a *Sanſzo* umyślił kończyć

zaczętą robotę, ktora mu śię tak udała, że cichuteńko uwolnił śię od nayprzykrzeyszego ciężaru, ktory kiedy w życiu nośił. Ale *Don Quiszott*, ktory miał węch niemniey żywy iak słuch, Sanszo też leżał prawie na nim, uczuł parę iakąś, ktora prosto w nos iego uderzyła, dała mu poznać po części, co śię stało, y iak go tylko doleciała, udał śię do zapobieżenia zwykłego, zatykaiąc sobie nos ręką; zdaie mi śię *Sanszo*, rzecze, że nadto masz boiaźni? Tak iest w samey rzeczy, odpowie *Sanszo*, że iey mam zadosyć. Ale czemuż Wć Pan postrzegasz, to bardziey teraz, niż przedtym. Dla tego, rzecze nasz Rycerz, że nie tak czuły byłeś przedtym, iak teraz iesteś, y cale nie bursztyn czuć od ciebie; Może y to być, znow powie *Sanszo*, ale to nie moia wina. Za co mię Wć Pan tak pożno y w takim mieyscu trzymasz? Oddal śię kilka krokow ode mnie moy przyiacielu, a od tąd miey więcey baczności dla śiebie, y na to, coś mi winien uszanowanie. Widzę, że dobroć moia w obchodzeniu śię z tobą, daie

ci

ei zapominać, kto ia ieftem, y kto ty. Założyłbym fię, że Wć Pan mafz porozumienie o mnie, iakbym to zrobił, co fię nie należy. Jakożkolwiek bądź, rzecze *Don Quifzott*, umkniy fię ode mnie, iefzcze raz ci mowię. O! mnieyfza o to, rzecze *Sanfzo*, kiedy WćPan każefz, ale obaczemy, czy będzie lepiey. Nafz Rycerz z Koniufzym noc przepędzili na podobnych rozmowach. Ten widząc, że dzień fię zbliżał, zapiął fobie fpodnie, y rozwiązał nieznacznie nogi Roffinanta, ktory z radości ze dwa razy podfkoczył, co mu fię rzadko trafiało; y to biedne bydlątko robiłoby więcey fkokow, gdyby ie umiało, tak było rade, że wolność odzyfkało. Pan iego widząc go zdatnego do dalfzey podroży, dobrą nadzieię z tąd fobie wrożył; y rozumiał, że to to ieft hafło, ktore mu los pomyślny daie dla rozpoczęcia tey ftrafzney zaczepki. Gdy rozedniało dobrze y można było rozeznać widok, *Don Quifzott* uyrzał fię być w lefie kafztanowych drzew pełnym, acz nie wiedząc iefzcze z kąd pochodził ten łofkot, ktory nie-

prze-

przeſtawał. Umyślił więc iechać ſzukać przyczyny, nie czekaiąc dłużey, y zwarłſzy oſtrogami Roſſinanta, aby go orzeźwił bardziey, powtornie pożegnał ſię z Koniuſzym, przypominaiąc mu dawnieyſze zlecenie czekać na niego trzy dni, y nie wątpić, gdyby w tym czaſie niepowrocił, iż życie iuż utracił w tey ſtraſzney przygodzie. Powtorzył znowu co *Sanſzo* miał mowić od niego Dulcynei, przydaiąc, co ſię należy do nadgrody za iego zaſługi, aby ſię nie turbował, bo nim z domu wyiechał, zaradził iuż temu przez oſtatniey woli rozporządzenie, gdzie go umieścił według ważności uſług, ktore mu miał czynić. Atoli ieżli niebo łaſkawe dozwoli, że wyidę zdrow y cały z tey niebeſpieczney klęſki; y ieżli czarodzieynicy ſię do niey nie wmieſzaią; ſpuść ſię na mnie moie dziecie, że naymniey czeka cię Wyſpa ktorąm ci obiecał. *Sanſzo* nie mogł ſię wſtrzymać od płaczu na żałoſne pożegnanie Pana, y łzy obfite wylewaiąc, poprzyſiągł mu, że go nie opuści w tey zatardze, choćby z niey niemiał

wię-

więcey powrocić. Zamyśł tak chwalebny, y ktory okazywał, iż nie był Koniuſzym malowanym, zmiękczył Pana, ktory nie pokazuiąc tego po ſobie, aby ze ſłabością ſwą naymniey nie wydawał ſię; iechał tam, gdzie ſzum wody, y huk ſztukania wzywały go. *Sanſzo* ſzedł za nim pieſzo, prowadząc za cugle wiernego towarzyſza wſzyſtkich ſwoich przygod. Jadąc czas nieiaki pomiędzy Kaſztanowemi drzewami, przyiechali na łąkę ſkałami otoczoną, z ktorych wypadał potok, co go nayprzod uſłyſzeli; na dole przy tych okopach widać było kilka chałup złych podobnieyſzych do puſtkow, iak do domoſtw, zkąd poznali, że te huki ſtraſzne wychodziły, ktore ieſzcze trwały. Tyle huku, y tak bliſko zalękło Roſſinanta, ale naſz Rycerz pogłaſkawſzy go ręką, y zachęciwſzy zbliżał ſię co raz do tych budynkow oddaiąc ſię z całego ſerca ſwoiey Dulcynei, proſząc, aby była łaſkawa, a pomocy nie ublizała mu ſwoiey w tak ciężkim razie. Czaſem też proſił Pana Boga, aby o nim nie zapominał: *Sanſzo* zaś Pana nieodſtępował,

pował, tuż przy nim idąc, ſzyię coraz wyciągnął patrząc przez nogi Roſſinanta, ieżeliby nie uyrzał, co go tak trwożyło. Ale ledwie ieſzcze ſto krokow uiechali, przebywſzy wierzch ſkały, ktory zaſtępował, poznali zupełnie, y iawnie, zkąd to kołatanie wychodziło, co ich tak długo w ſtraſzney trwodze trzymało. Były to ſłowem mowiąc, ſześć Foluſzow, ktore cały dzień y noc przeſzłe nie przeſtawały tłuc. Na ten widok *Don Quiſzott* oniemiał, y iakby z gory ſpadł. *Sanſzo* wpatrywał ſię pilnie w niego, y uyrzał go z głową ſpuſzczoną w potrwożeniu człowieka wſtydem y zniewagą przerażonego. *Don Quiſzott* ſpoglądał także na *Sanſzo*, y widząc go, że miał policzki nadęte y pełne śmiechu, iak człowiek, ktory duſi w ſobie śmiech- nie mogł ſię ſam od tegoż utrzymać, pomimo ſwego zmartwienia. *Sanſzo* rad będąc, że Pan zaczął, parſnął, y tak niezmiernie iął ſię śmiać, że muſiał za boki ſię trzymać, aby ſię nie roſpukł. Po cztery razy odpoczywał, y tyleż razy znow rozpoczynał śmiać ſię do roſpuku, a co nay-

naybardziey do niecierpliwości przyprowadzało *Don Quiszotta*, było to, że *Sanszo* patrząc mu w oczy, wymawiał mu y podrzeźniał z powagą zmyśloną mowiąc: Wiedz o tym przyiacielu *Sanszo*, że Niebo mię strwożyło dla przywrocenia złotego wieku, w tym przeklętym żelaznym czasie. Dla mnie są zostawione znakomite dzieła y przygody naystraszliwsze, y ciągiem mu powtarzał wszystkie słowa, co Pan powiedział, gdy pierwszy raz usłyszeli szelest Młynow. Atoli nasz Rycerz zbyt bardziey był zagniewany, niżby mogł znieść żarty zbyt poufałe y dotkliwe swoiego Koniuszego, podniosł dzidy, dwa silne razy ugodził w plecy zuchwałego sługi, tak że gdyby w głowę go był trafił, nieborak Koniuszy iużby się więcey nieśmiał y niemiał czego żądać ani zapłaty, ani nadgrody za zasługi. *Sanszo* widząc, że mu drwinki nieuchodziły, y obawiaiąc się, aby Pan daley się nie rozmachał, rzecze mu głosem skruszonym. Hey Mci Panie czy mię Wć Pan chcesz zabić? czyli Wć Pan nie widzisz, że ia żartuię? dla

tego

tego, powie *Don Quiſzott*, że ty żartuieſz, ia do prawdy biię. Poydź ieno ſam Panie żartowniſiu, a gdyby też to była rzetelna przygoda, iako ta nic nie znaczyła? a zaż nie pokazałem całego męſtwa, iakiego tylko potrzeba było, żeby ią przedſięwziąść y uſkutecznić naylepiey? Czyż powinienem ia, będąc Rycerzem, poznawać wſzyſtkie huki, co ſłyſzę? y rozeznawać ie, czyli pochodzą od Foluſzow, albo zkąd inąd, a naybardziey gdy nigdy niewidziałem takich młynow? iako ieſt ſama prawda; Do ciebie należy znać ſię na tym, ktory ieſteś tylko chłop proſtak, urodzony y wychowany przy takich rzeczach. Ale zrob to na żart, niechay te ſześć ſtępow, ſtaną ſię ſześcią Olbrzymami, y daway mi ich iednego po drugim, albo y wſzyſtkich razem, mnieyſza o to; Jeżeli ci ich wſzyſtkich nie oddam bez głow, w ten czas żartuy do woli. Mci Panie, odpowie *Sanſzo*, iuż tego dość, ieżeli mu ſię tak podoba, przyznam ſię, że nieumiem dobrze żartować, y czuię to dobrze na plecach moich. A gdyśmy

ſię

ſię iuż na iedno zgodzili (y niechay tak Niebo Wć Pana wyprowadzi ſzczęśliwie ze wſzyſtkich złych przygod, iak z tey) czyż doprawdy nie maſz z czego ſię śmiać y opowiedać śmieſzną przygodę o ſtrachu, cośmy mieli; przynaymniey ia, bo co o Wć Panu wiem, że boiaźń nie ma mieyſca u niego. Przyznaię rzecze *Don Quiſzott*, że to co nam ſię przytrafiło, ieſt pocieſzne, y może być pobudką do śmiechu, ale tego nie powiaday, bo nie wſzyſcy umieią brać rzeczy, iak ſię należy, y dobry użytek z nich uczynić. Zaprawdę Mci Panie, odpowie *Sanſzo*, tego o WćPanu nie można mowić, umieſz Wć Pan dobrze uiąć dzidę, y użyć iey należycie, tylko że mierzyſz w głowę, a w plecy waliſz, lubo to nie Wć Pana wina, bo ieżelim nie robił rękoieſa dzidy, miałem ią za dobrze zrobioną. Ale to fraſzka, przeydzie to za pierwſzym ſmarowaniem, a iak powiedaią, kto kogo mocno kocha, mocno biie. Do tego dobry Pan, da zawſze co, choć ſpodnie ſłudze, ktorego połaie. Prawda, nie wiem, co ſię daie za guzy, acz tak
ſobie

ſobie wnoſzę, że Rycerze błędni daią przynaymniey Wyſpy, albo Kroleſtwa na lądzie. Słuchay powie *Don Quiſzott*, może ſię ſzczęście odmienić, że ſię zyiści część tego, coś powiedział. Wſzelako przebacz mi, co ſię ſtało, wieſz, że człowiek nierządzi pierwſzą gniewu zapalczywością. Ale cię przeſtrzegam w iednym, abyś na przyſzły czas nieporywał ſię brać ſobie nazbyt śmiałości ze mną, bo we wſzyſtkich Xięgach Rycerſkich, ktorych bez pochwały, czytałem w niemałey liczbie, nie znalazłem, aby inny ktory Koniuſzy, iak ty, tak wolno gębę otwierał przy Panu ſwoim, y mowiąc prawdę obaśmy temu winni; ty, że niedoſyć maſz dla mnie uſzanowania; ia, że nie daię ſobie tyle poważania, iak ſię należy, bo chociaż Gandalin, Koniuſzy Amadisa był Hrabią Wyſpy; czytamy iednak o nim iż nigdy nie rozmawiał ze ſwoim Panem, tylko czapka w ręku, głowa ſchylona, ciało zniżone do ziemi, iak Turcy czynią. Ale to gorzey ieſzcze, co Gaſabal Koniuſzy Don Galvara uczynił, ktory był tak ſkromny
w mo-

w mowie, że chcąc uwiadomić potomność o iego przedziwnym milczeniu, piſzący te dzieie raz go tylko wſpomina w tey długiey a prawdziwey powieści. Co powiedam, powinno cię nauczyć *Sanſzo*, iaka być ma rożność między Panem a ſługą; y tak ieſzcze raz ci mowię y zalecam, żyimy w lepſzym porządku na przyſzły czas; żebyśmy nie ſarkali ieden na drugiego; bo na reſztę niechay, iak chce ſię obroci, ty będzieſz iak, mowią mocnieyſzy, ale do wytrzymania guzow. Nadgrody, ktorem ci obiecał, przyidą w ſwoim czaſie, y choćby chybiły, to zapłata twoia nieomyli, iakom ci to zapowiedział. Wſzyſtko co Wć Pan mowiſz Jaśnie Wielmożny Mci Dobrodzieiu ieſt bardzo dobre, odpowie *Sanſzo*, y dziękuię J. W. Panu za to, ale gdyby treſunkiem czas nadgrod nigdy nieprzyſzedł; y na ſamym tylko Jurgielcie przeſtać by przyſzło; naucz mię Wć Pan, co zarabia Koniuſzy Rycerza błędnego, y czy godzi ſię po tyle na Mieſiąc lub na dzień. Nie zdaie mi ſię odpowie *Don Quiſzott*, żeby kiedy ſłyſza-

no

no o takich Koniuſzych Jurgieltowych, záwſze im tylko nadgrody dawano, a ieżelim inaczey z tobą poſtąpił w moim Teſtamencie, dla tegom uczynił, że nie można przewidzieć, co ſię ſtanie, y możebyś miał trudność dowodzić w tak nędznych czaſach moiego Rycerſtwa iſtność, y żalby mi było, żeby dla tak małey rzeczy moia Duſza cierpiała na tamtym Swiecie. Mamy dość z kąd inąd za co cierpieć; my na los ſzczęścia puſzczeni, bo moy przyiacielu kochany to ci zapowiedam, że nie maſz życia upadkom podległeyſzego nad naſze. Nie wątpię rzecze *Sanſzo*, nade wſzyſtko ieżeli cierpliwość ieſt potrzebna, ponieważ doſyć lada żartu, aby ze złości od rozumu odſzedł nayſławnieyſzy Kawaler całey Manchy. Acz bądź WćPan pewnym, że na potym będę ſię śmiał z ochotą, kiedy ſię będę śmiał z zabaw Wć Pana, ale co gęby to nie otworzę, tylko abym czcił Wć Pana, iako moiego Pana. Ten ieſt ſpoſob, żebyś żył długo y ſpokoynie na świecie, rzecze naſz Rycerz, bo po

Oy-

Oycu y Matce należy ſzanować Panow, iak gdyby mieli tęż ſamą własność.

ROZDZIAŁ XX.

O zdobyciu Szyſzaka z Mambrinu.

Gdy *Don Quiſzott* ze ſwoim Koniuſzym tak rozmawiali; deſzcz ich mały napadł, od ktorego *Sanſzo* radby ſię był ſchronił do młynow. Ale *Don Quiſzott* tak ie ſobie obrzydził, będąc przez nie oſzukanym, iż nie chciał żadną miarą tam udać ſię. Zwrocił ſię tedy w prawą ſtronę, y uiechawſzy kawał drogi, uyrzał konnego iadącego, y na głowie maiącego coś świętnego nakſztałt złota; ledwie to ſpoſtrzegł, obrociwſzy ſię do *Sanſza*, rzecze mu, przyiacielu wierz mi, że nie maſz nic tak prawdziwego, iak przyſłowia, iakoż to ieſt wybor zdań, doświadczeniem potwierdzonych; mianowicie o,- co mowi, że nie zawſze zły duch ſiedzi u wrot żebraka. Mowię to dla tego, bo iężeli tey nocy byliśmy oſzu-

ſzukani hałaſem tych przeklętych Foluſzow, y ſpotyczka ktorey ſzukaliśmy ſpełzła, teraz ſię zdarza iedna niezawodna, ktora wiele ſławy nam do nabycia gotuie. Jeżeli iey nie rozpocznę moia wina będzie, niemaſz tu ani łoſkotu niewiadomego, ktoryby mię zwiodł, ani ciemności nocy, na ktorąbym mogł zmowić. Słowem *Sanſzo.* Oto ten ſam ieſt, ktory według wſzelkiego podobieńſtwa noſi wyborny ſzyſzak z Mambrynu, proſto do nas idzie, y wieſz moią przyſięgę. Mci Panie odezwie ſię *Sanſzo*, uważay WćPan dobrze z łaſki ſwoiey, co mowiſz, a ieſzcze więcey, co chceſz czynić. Czy tu nie będą znowu inne Młyny foluſzowe, aby nas nieufolowały na umyśle, a kto wie y na żebrach. Idź do kaduka z ſwoiemi foluſzami, przerwał *Don Quiſzott*, coż tu za związek maią z ſzyſzakiem? Niewiem nic, odpowie *Sanſzo*, ale zaprawdę gdybym ſię odważył mowić, iak przedtym, możebym WćPanu dowiodł moiemi wywodami, że ſię Jegomość mylić może. Jak ty chceſz, żebym ſię pomylił? nędzny nie-

dowiarku, ktory o wszystkim powątpiewasz, powie żwawo nasz Rycerz. Czyli nie widzisz tego Kawalera co do nas prosto iedzie na siwo iabłkowitym koniu, y ktory ma na głowie szyszak szczerozłoty? Co ia widzę y przewidzę, mowi Koniuszy, to iest człowiek siedzący na ośle płowym, y ktory ma na głowie coś świecącego. Otoż to, rzecze *Don Quiszott*, szyszak z Mambrynu. Umkniy się na kilka krokow y zostaw mię samego, obaczysz, nie trawiąc czasu na rozmowach płonnych w iedney chwili, zakończę tę spotyczkę y Panem będę tey nieoszacowaney części zbroi tak usilnie ode mnie żądaney. Ażeby zdala stać, odpowie *Sanszo*, to nie wielka rzecz, ale ieszcze raz, day Boże, żeby to nie było znow nakształt Młynow. Jużem ci to nie raz mowił, Bracie, że nie chcę słuchać, ani o folowaniu, ani o foluszach, y poprzysięgam ci na -- że ieżeli mi będziesz więcey tym głowę psuł, tak ci usoluię duszę w ciele, że popamiętasz. *Sanszo* zamilczał, iak uciął; nie przywodząc Pana, aby uiścił przysięgę, ktorą wyraźnie

raźnie y zupełnie uczynił. Wiedzieć iednak należy, co to był za szyszak, koń, y iezdny, co ich widział *Don Quiszott*. To iest, że w tey okolicy były dwie Wioski, z ktorych iedna tak mała, że nie miała Balwierza własnego, dla tego Cyrulik z drugiey większey, znaiący się trochę na leczeniu chorob, obie posługi sprawował. Trafiło się, że w mnieyszey Wsi Człowiek słaby potrzebował krwi puszczenia, a drugi brody ogolenia, tak, że Cyrulik iadąc tam, gdy go deszcz napadł w drodze iako y naszych Woiownikow, wsadził miednicę na głowę, ochraniaiąc dość złego Kapelusza, ktora, że była zmiedzi nowa y polerowna, świeciła się zdala o poł mile. Ten Balwierz iechał na dobrym Ośle płowym, iak *Sanszo* nie źle zważał, to wszystko właśnie wydawało dla *Don Quiszotta* Jezdzca na koniu siwym, w złotym szyszaku, bo zawsze przystosował, co widział tylko, do wymysłow ksiąg swoich, y tak widząc, że nieborak Balwierz zbliżał się, poskoczy co tchu do niego z dzidą wymierzoną, chcący go na wy-

lot przebić, y właśnie doieżdzaiąc go: Broń się zawoła, nędzne stworzenie, albo mi odday zaraz to, co mi się należy tak prawnie. Balwierz widząc napadaiącą na niego tak nagle tę poczwarę, a nie wiedząc za co, innego sposobu nie nalazł ratowania się, iak upaść z Osła na ziemię, gdzie iak tylko padł, podniosłszy się czymprędzey, pobiegł z szybkością rownaiącą sarnie przez pola, niedbaiąc o osła y miednicę porzucone. *Don Quiszott* widząc, że miednica mu została, nie frasował się o resztę, y obrociwszy się do Kosiniuszego. Przyiacielu zawoła, Poganin nie głupie zrobił, tak, iak o bobrze powiedaią, ktoremu natchnienie przyrodzenia podało sposob uyścia zguby od poluiących, odcinaiąc sobie to, co ich zachęca do gonienia go y zabicia. Podnieś ten szyszak. Na moią duszę, rzecze *Sanszo*, zważaiąc ten mniemany szyszak: Miednica to nie naygorsza, warta taler, lub dwa. Potym dał ią Panu, ten włożył na głowę obracaiąc na wszystkie strony dla znalezienia z kąd ią zasadzić. Aże niemogł

przyiść

przyiść do ładu. Tam do kata, zawołała: ten poganin, dla ktorego ten osobliwy szyszak był robiony musiał mieć łeb duży, ale co gorszego, brak połowy. *Sanszo* nie mogł słyszeć mianowania Bałwierskiey Miednicy szyszakiem bez uśmiechnienia, y byłby parsknął od śmiechu, gdyby grzbiet iego ieszcze nie czuł gniewu Pana. Z czego się śmieiesz *Sanszo*? zapyta go *Don Quiszott*. Smieię się, odpowie, z szaloney głowy, ktorą musiał mieć Pan tego szyszaka, ktory tak podobny do Miednicy Balwierskiey, iak dwie krople wody do siebie. Wiesz ty co ia myślę? powie *Don Quiszott*, że zapewne ten nieoszacowany Hełm musiał wpaść w ręce komu nieznaiącemu się na iego wartości, y nie wiedząc z nim co czynić, kazał stopić połowę, rozumieiąc, że iest z przedniego złota, aby z tąd pożytkował, a z reszty to kazał ukształcić, co iak ty powiedasz, dość podobne do miednicy Balwierskiey. Ale niech będzie, co chce, ia znaiąc tego szacunek, żartuię z przeznaczenia, każę znow przerobić ią na szyszak w pier-

pierwszym mieyscu, gdzie będzie kuźnia y tak trzymam o nim, iż nie będzie pośledanieyszy od tego, ktory Wulkan ukował dla Marsa. Tym czasem ią tak nosić będę iak iest; będzie lepiey niż nic, y zastąpi przynaymniey od pocisków kamieni. Tak zapewne, rzecze *Sansżo*, aby tylko nie z proc były ciskane, iak te, co latały podczas bitwy z dwiema woyskami, ktore Wć Pana tak pięknie opatrzyły szczęki, y potłukły puszkę błogosławionego napoiu, od ktorego ledwo mi kiszki niewylazły. Niedbam, rzecze *Don Quiszott* o utratę tego Balsamu, gdy wiem na pamięć sposob robienia. Znam y ia go także, odpowie *Sansżo*, ale ieżeliby mi przyszło kiedy robić go, a tym bardziey kosztować, wolałbym, żebym się rozpękł teraz zawczasu. Zapewne nie spodziewam się zarobić, abym go potrzebował, umyśliłem moich piąciu zmysłow, co mi dało przyrodzenie, na to użyć, abym nigdy nie był raniony, iako też wyrzekam się z całego serca, żebym nikogo nie ranił. Co o podrzucanie, za to nie ręczę, bo trudno iest

prze-

przewidzieć podobne przypadki, y gdybym na nieszczęście wpadł znow kiedy w tę biedę, nie wiem na to inszego sposobu, iak ścisnąć zęby, łopatki stulić, zatrzymać w sobie dech, y zamrużywszy oczy dać się ciskać do woli losu y kobierca. Nie iesteś dobry Chrześcianin *Sanszo*, powie *Don Quiszott*; nie daruiesz nigdy urazy. Wiedz o tym, iż to nie iest serca wspaniałego y zacnego tak małemi rzeczami się zatrudniać. Na ktorąż nogę skaleczony iesteś? ktore żebro masz złamane? y ktorą głowę potłuczoną? iż zawsze przypominasz ten żart z przykrością. Bo w rzeczy samey była tylko rozrywka, y gdybym o niey tak nie sądził, zapewnebym się wrocił, y uczyniłbym zemstę krwawszą, niżeli Grecy nad Troią za porwanie swoiey Heleny, ktora zapewne; przydał z ciężkim westchnieniem, nie miałaby tyle pochwał z piękności, gdyby w tym czasie żyła, albo moia Dulcyneia w iey wieku. Niechayże ta przykrość poydzie za igraszkę rzecze *Sanszo*, gdy tak Wć Pan chcesz, ile też nie masz sposobu zem-

szcze

ſzczenia ſię, iednak ia czuię dobrze, że to ieſt doprawdy, y pamiętać będę poki mi bokow ſtanie. Ale zoſtawmy to na drugi raz. Teraz mi Wć Pan powiedz z łaſki ſwoiey, co będziemy robić z tym koniem ſiwo-iabłkowitym, co iak żywy oſieł ſiwy wydaie ſię, odbieżony od tego diabła błędnego, ktoregoś Wć Pan zwalił? miarkuiąc z ucieczki iego, nie ma ochoty podobno tu powracać, y na moią brodę niezgorſzy ſiwiec. Nie mam zwyczaiu, odpowie *Don Quiſzott*, odbierać co tym, ktorychem zwyciężył, y nie ieſt to w używaniu Rycerſtwa, pieſzo ich puſzczać, chyba żeby Zwycięzca ſwoiego konia w ſpotyczce utracił, w tym przypadku może prawnie zabrać konia zwyciężonemu, iako zdobytego w dobrey bitwie. Dla tego *Sanſzo* zoſtaw tego konia lub oſła, iak go chceſz nazwać, ten, co go porzucił, nie omięſzka przyiść odebrać, iak ſię tylko oddalemy. Wprawdzie, rzecze *Sanſzo*, radbym to bydle poprowadził z ſobą, a przynaymniey za moie zamienił; ktore mi ſię nie zdaie wcale tak dobre iak

tamto. Do paraliżu, Mci Panie, nadto ściste są prawa tego Rycerstwa, gdy nie pozwalaią przynaymniey zamienić osła za osła, radbym wiedzieć, ieżeli się godzi, siodło za siodło pomieniać. Nie iestem przekonany w tym zupełnie, rzecze *Don Quiszott*; w powątpiewaniu iednak trzymam dopoki nie będę lepiey obiaśnionym, że możesz ie odmienić za swoie, aby tego iednak konieczna wymagała potrzeba. Tak potrzebny iestem, iak gdyby to dla mnie umyślnie było zrobione *Sanszo* odpowie. Wtym, Pana zezwoleniem umocowany zrobił zamianę siądzeniow, rzeżwo kładąc swoie na Balwierza osła, a tamte na swoiego, ktore mu się zdawało ieszcze raz lepsze, y połową pięknieysze. To zrobiwszy y śniadanie ziadłszy z reszty wieczerzy, napili się wody biegącey od Folusżow, na ktore *Don Quiszott* nie chciał y spoyrzyć w tę stronę, gdzie były, tak trwał zagniewany o to, co się stało. Po letkim posileniu wsiedli na konie, y niewybieraiąc drogi, aby tym lepiey naśladować Rycerzow błędnych, dali się prowadzić, gdzie

chciał Roſſinant, za ktorym ſzedł oſieł nieodſtępnie w też tropy. Wiechali nieznacznie na wielki trakt, gdzie na domyſł ſię zapuścili, niemaiąc umyślonego mieyſca, ani drogi. Jadąc tak powoli, *Sanſzo* rzecze do ſwoiego Pana; Mci Panie, czybyś mi WćPan nie pozwolił pogadać z ſobą trochę. Bo odtąd, iakieś mi zakazał, cztery czy pięć dobrych rzeczy zgniły mi w brzuchu, y mam teraz iedną na końcu ięzyka, ktora radbym, aby ſię tak nie zepſuła iak tamte. Powiedz, co maſz mowić, rzecze *Don Quiſzott*, ale w krotkich ſłowach; długie powieści ſą zawſze nudne. Mam tedy powiedzieć Wć Panu, że dobrze zważywſzy życie ktore prowadziemy, znayduię nie z wielkim wcale pożytkiem; y te walki, co po gościeńcach y laſach WćPan toczyſz z naymężnieyſzą dzielnością, y ktorebyś mogł wykonać pomyślniey y okazaley; nie ſą widziane, ani ſłyſzane od nikogo; y wſzyſtkie WćPana chwalebne zamyſły y odważne czyny ſą tak, iak dobro ſtracone y zgubione; idą na wiatr, z ktorych Wć Pan nie maſz ani

zy-

zyſku, ani ſławy. Zdaie mi ſię tedy czyby nie było przyzwoiciey, żebyśmy ſię udali na ſłużbę iakiego możnego Ceſarza, albo wielkiego Krola, ktoryby miał woynę przeciwko ſąſiedzkim Mocarſtwom, y gdziebyś WćPan mogł okazać ſwoie męſtwo y dobry rozum; bo na końcu muſianoby nam należycie nadgrodzić Wć Panu y mnie; co ſię ma rozumieć według każdego zaſług, y nie będzie ſchodzić na ludziach uczonych; ktorzyby mieli ſtaranie opiſać, co WćPan dokazywać będzieſz; y podać do wiadomości dzieciom naſzych dzieci. Nie mowię o moich uczynkach, iakby o mnie ſamym; bo nie trzeba ſię mierzyć iednym łokciem z WćPanem, y ślimak nie powinien wyłazić ze ſwoiey ſkorupy; chociaż, gdyby to był zwyczay opiſywać poſtępki Koniuſzych błędnych, takby dobrze wſpomnieć mogli o mnie, iak o kim innym. Nie źle to mowiſz, rzęcze *Don Quiſzott*, ale nim przyidzie do tego, trzeba wprzod poiezdzić po świecie, ſzukaiąc ſpotyczkow, iakoby czyniąc doświadczenia męſtwa Rycerzowi błędnemu przyzwo-

ite,

ite, żeby pamiętnę czyny iego były na cały świat głośne, y iego imię wsławiły, a gdy przyiedzie do iakiego wielkiego Krola, iego zaleta będąc iuż rozgłoszona, dzieci małe zgromadzą się koło niego, iak się tylko pokaże, wołaiąc y biegaiąc za nim. Ten iest Kawaler od Słońca, ten od Węża, lub iakiego innego znaku, pod ktorym iest wiadomy, iż dzieład czynności niesłychane. Ten to iest, co pognębił w osobney bitwie Olbrzyma Brocambruno nieprzekonanego. Ten drugi wyzwolił Wielkiego Mameluka Persyi ze strasznego zaczarowania trwaiącego więcey, iak dziewięć set lat; tak że na odgłos, ktory będą czynić niemowlęta y lud cały obwieszczaiąc znakomite czyny Rycerza, Krol nieomieszka poyść do okien swoiego Pałacu, y poznawszy nowo przybyłego gościa po iego broni y herbie; albo z napisu na iego tarczy; rozkaże zaraz dworzanom, aby przyięli mile, iako kwiat Rycerstwa przybyły. W ten czas ubiegać się będą, kto pierwszy iemu ma usłużyć. Krol sam nawet zeydzie na poł schodow swo-

ſwoiego Pałacu ściśnie ſerdecznie w poł Rycerza, pocałowswſzy go w gębę, potym wziąwſzy za rękę poprowadzi do pokoiu Krolowy, gdzie Krolewna znaydowac ſię muſi, ktora ieſt zapewne nayślicznieyſzey y naydoſkonalſzey poſtaci na świecie; a co ieſzcze do tego uchybić nie może, to, że w tym oka mgnieniu, Krolewna y Rycerz oczy na ſiebie wzaiemnie obrocą, będą ſię ſobie wſpolnie przypatrywać, y zadziwiać, iako Boſkich więcey niż ludzkich przymiotow pełne oſoby y nie wiedząc iak, y za co; znaydą ſię wſpolnie zakochani, y miłością gorącą zapaleni ku ſobie, w nieſpokoyności nieznośney zoſtaiąc, iak ſobie odkryć ich wzaiemne upały. Potym iako możeſz ſię tego domyślić, zaprowadzą Rycerza do nayozdobnieyſzych pokoiow Pałacu, gdzie umyślnie przybiią obicia naydrożſze koronne, tam broń mu odiąwſzy, włożą nań płaſzcz ze ſzkarłatu przedniego złotem ſuto haftowany. A ieżeli miał pozor piękny, będąc uzbroionym, iak wydawać ſię będzie kſztałtny y nadobny w ſzatach dworſkich. Gdy noc ſię zbliży,

ży; ieść będzie wieczerzą z Familią Krolewſką, maiąc oczy na Krolewnę zawſze obrocone, atoli tak oſtrożnie, aby tego nikt nie poſtrzegł, iakoż y ta na niego ſpoglądać będzie nieznacznie, y niewydawaiąc ſię z tym, bo iakom namienił, ieſt bardzo ſtateczna y cnotliwa, iak tylko można znaleść. Po ſkończoney wieczerzy z podziwieniem wſzyſtkich przyidzie Karzeł ſzpetny; za nim prześliczna Dama pomiędzy dwiewa olbrzymami, z pewnym dziełem wymyślonym od pewnego ſtarożytnego Mędrca; y tak trudnym do wykonania, że ten co trafi, uznanym będzie za naydoſkonalſzego Rycerza na świecie. Zaraz Krol żądać będzie, aby wſzyſcy iego dworſcy probowali ſzczęścia, ale choćby ich ſto razy tyle było, prożne ſtaną ſię ich zawody, nowo przybyły Rycerz tylko to do ſkutku pomyślnie przyprowadzi; co przyczyni ſławy iego. Y Pan Bog wie, iak Krolewna będzie z tego pocieſzona y znaydować ſię uſzczęśliwioną, że tak godnie ſwoie myśli umieściła. Naylepiey zaś z tego wſzyſtkiego *Sanſzo* moy

moy przyiacielu, ieżeli ten Krol, albo Xiąże będzie miał woynę z ktorym rownie mocnym ſąſiadem. Otoż Kawaler zabawiwſzy czas nieiaki u dworu iego, proſić go będzie o pozwolenie ſłużenia mu w tey woynie; na co Krol chętnie z ſerca zezwoli, a Kawaler ten mu za to ręce ucałuie, dziękuiąc za tyle odebranych łaſk y ludzkości. Teyże nocy pożegna ſię Rycerz z Krolewną Panią ſwoiego ſerca udzielną przez kratę okna iey pokoiow na Ogrod widok maiących, gdzie iuż kilka razy z nią rozmawiał taynie przez pośrednictwo iedney ſłużebney Panny, w ich miłości poufałey, w ktorey ma Krolewna zupełne zaufanie. Wzdychać on będzie, Krolewna zemdleie, ktorey Panna przynieſie prętko wody dla oblania twarzy mocno będąc zaturbowaną, iż dzień ſię zbliża, y nie chce dla całego świata, aby iey Pani honor naymnieyſzą miał odnieść ſkazę. Na reſztę Krolewna otrzeźwiona będąc z mdłości, poda przez kratę białą śliczną rączkę ſwoię Rycerzowi, ktory ią ucałuie ſerdecznie tyſiąc kroć razy, y łzami

oble-

obleie; umowią ſię na oſtatku o ſpoſobie, iakim ſobie dawać wiadomość wzaiemną o ſwoim powodzeniu. Krolewna proſić będzie Kawalera, aby powracał iak nayprędzey; ten nieomieſzka iey to przyrzec z mocną przyſięgą. Jeſzcze raz iey rączki uściſka y całuie, y tak ſię rozkwili miłością, żegnaiąc ſię, iż mało niedoſtaie, aby nie umarł na mieyſcu. Ztamtąd przyſzedłſzy do ſwoich pokoiow powroci, na łożko ſię ciſnąwſzy nie będzie mogł oka zmrużyć, y tak powſtawſzy, iak dzień, aby ſię pożegnać z Krolem y Krolową, potym zechce pokłonić ſię Krolewnie, ktora mu każe powiedzieć, że ieſt ſłaba, widzieć iey nie można; On zaś nie wątpiąc, iż to z przyczyny iego odiazdu, tak ieſt żalem przenikniony, iż mało ſię nie wydał co miał w ſercu. Tym czaſem Panna poufała wſzyſtko to zważa, y zaraz ſwoiey Pani donoſi, ktorą znayduie łzami zalaną y mowiącą do niey, iż naywięcey fraſuie ſię o to wiedzieć, kto ieſt ten zacny Rycerz z Domu, czyli Syn Krola ktorego lub nie. Ale poufała ią upewnia,

pewnia, że nie można mieć tak wiele grzeczności, uczczenia y mężności nie będąc wyſokiego urodzenia. To pocieſzy trochę niebogą Xiężniczkę, ktora czyni, co może, aby ſię nie wydać z tym, iżby Kroleſtwo niepomiarkowali czego po niey, po kilku dniach daie ſię widzieć, y przechodzi po ogrodzie, iak zwykle. Gdy iuż czas nie mały minął, iak Rycerz odiechał, w tym on ſpotyka ſię mężnie, zwycięża nieprzyiacioł Krola, odbiera niewiem, iak wiele Miaſt, y tyleż wygrywa bitew, powraca do Dworu, pokazuie ſię ſwoiey Krolewnie ſławą ozdobiony, ogląda ią w oknie, iak ty wieſz, na reſztę umawia ſię z tąż, że proſić będzie o nią Krola w zamęście w nadgrodę iego uſług. Krol nie chce zezwolić na ten Slub, nie wiedząc urodzenia Rycerza; atoli iednak bądź że wykradnie Krolewnę; lub innym ſpoſobem żenią ſię. Krol potym ſam z tego kontent, y ma ſobie za ſzczęście, dowiedziawſzy ſię że iego Zięć, ieſt Syn wielkiego Krola, niewiem ktorego Kroleſtwa, bo go podobno nie maſz na Mappie.

Oyciec potym umiera, Krolewna zostaie Dziedziczką Krolestwa. Otoż Rycerz Krolem; myśli iak nadgrodzić swoiemu Koniuszemu, y tym wszystkim, co się przyczynić mogli do iego pomyślności. Zaraz żeni swoiego Koniuszego z Panną Krolewny poufałą, ktora była pośredniczką ich miłości, y Corką zapewne Xiążęcia ktorego z nayznakomitszych tego Państwa. Ha, ha, to, to, wyrwie się *Sanszo*, tego ia też chcę; y kapeluszem macha. Zapewne Mci Panie, iest to dla Wć Pana pewno, iakbyś to iuż miał w ręku, gdybyś wziął nazwisko Rycerza *Smutney postaci*. Nie wątpiy o tym moy Synu, odpowie *Don Quiszott*, bo ta iest słowo w słowo, droga, ktorą idą Rycerze obłąkani, y tym sposobem wielu ich zostało Krolami y Cesarzami. Teraz tylko nam trzeba szukać ktorego Krola Chrześciańskiego, a choćby Pogańskiego, ktoryby miał woynę y piękną Corkę. Ale czas będziemy mieli o tym pomyślić, y pomowić, a iakom ci powiedział, trzeba wprzod zarobić sobie na dobre imię y sławę, nim się pokazać

zać do Dworu tego Monarchy, ażeby iuż tam być znanym przez walecznych dzieł zalecenie przyiechawſzy iuż z gotową rzeczą, y to mię nie czyni troſkliwym; ale inna rzecz, na ktorą nie wiem ſpoſobu, y mowiąc między nami, gdy znaydę tego Kroia y Krolewnę, iak ſławy niewypowiedzianey nabędę; niewiem, iak to zrobić, abym zoſtał z Krolewſkiego Plemienia, a przynaymniey choć nieprawy Syn ktorego Ceſarza; bo Krolby mi niechciał inaczey dać nigdy ſwoiey Corki, gdyby o tym niebył wprzod upewnionym. Choćbym tyle dzieł dokazał, y ſto razy więcey, obawiam ſię, abym dla tak małey rzeczy nie utracił, co waleczność moiey ręki pozyſkać mi powinna. Co o ſzlachectwo pewny ieſtem tego, y z dawnego pochodzę rodu; tak znany ieſtem od wſzyſtkich. Ale kto wie ieżeli Mędrzec, co piſać będzie moie dzieie; nie wywichła z moiey rodowitości, że ieſtem piąty albo ſzoſty Prawnuk ktorego Krola. Bo trzeba, żebyś wiedział *Sanſzo*, iż na świecie ſą dwa rodzaie Pokoleń ludzi ſzlachetnych,

iedni biorą swoy początek od Krolow y Xiążąt; ale powoli z laty y nieszczęściem upadaią, y staie się tak cienko koło nich, iak widzim na Piramidach. Inni wychodząc z małych bardzo początkow, co raz się podwyższali, aż wielkiemi Panami zostali, tak że cała rożność między niemi iest, iż iedni były, czym nie są, inni są, czym nie były. Zaiste nieprzysiągłbym, że z tych nie pochodzę, ktorych były początki sławne y znakomite; co okazawszy się iawnie, zaspokoiłoby troskliwość Krola moiego Teścia; a chociażby y tego nie było; Krolewna mię tak mocno musi kochać, że pomimo zakazu Oyca, iść za mnie gotowa, bym też był Synem Tragarza. A gdyby się obawiała, wykradnę ią; y zawiozę gdzie mi się podoba; czas lub śmierć uśmierzą przeciwność Teścia. Zapewne Mci Panie, odezwie się *Sanszo*, dobrze Wć Pan mowisz, tylko trzeba zaraz porwać, a iako mowią zboycy, na co się zdało prosić pięknie o to, co się może gwałtem wziąść. A do tego na co się zda siadać między dwiema stołkami na

ziemi,

ziemi, przez to chcę wyrazić, że ieżeli Krol Teść Wć Pana, nie zechce mu dać Krolewny; to dobrze zrobisz, iak mowisz, kiedy ią porwiesz, y wnet uwieziesz. Jedno złe w tym znayduię, to iest: nim się pogodzi Teść z Zięciem, y nim Wć Pan używać będziesz spokoynie swoiego Krolestwa, nieborak Koniuszy będzie w strachu, niemieć czego w gębę włożyć, y od głodu zdychać; oczekuiąc nadgrody, naktorąby może nie pożyczono Dziesięciu Realow; chyba, żeby ta Panna poufała Krolewny Jeymości, ktora ma być moią żoną, wraz swoie rzeczy zabrała z Krolewną, ażebym się z nią cieszył, wprzod nimby nam lepiey Niebo zdarzyło. Bo Mci Panie tak myślę, iż Jegomość Pan Kawaler Krolem zostawszy, może wraz kazać dać ślub swoiemu Koniuszemu z tą Panną. Ktożby tego zabronił? odpowie *Don Quiszott*. Gdy tak iest, rzecze *Sanszo*, spuśćmy się na los szczęścia, y pozwolmy kołu fortuny toczyć się, może y do nas trafi. Day Boże odpowie *Don Quiszott*, iak my myślemy oba, y ten,
co

co o ſobie dobrze trzyma, niech ſię mu tak ſtaie. Boday ſię tak ſtało, znow *Sanſzo* powie. Tam do nieſzczęścia, pochodzę y ia z dawnych Chrześcian, czyli to niedoſyć, aby zoſtać Hrabią. Jeſt tym podobnych aż nadto, odpowie *Don Quiſzott*, y gdybyś takim nie był, nic to nieprzeſzkadza, bo iak prętko zoſtanę Krolem, zaraz cię zrobię Szlachcicem, nic za to nie zapłaciſz, ani hołdu czynić nie będzieſz; iak tylko zaś zoſtanieſz Hrabią, zaraz będzieſz y Kawalerem, y niech mowią, co chcą, iednak muſzą cię czcić, Mcią Panem, y ſzanować mimo chęci y woli. Ho, ho, zawoła *Sanſzo*, a za cożby nie? czyby rozumieli, żem nie wart tyle, co inni, bardzoby ſię na tym zawiedli; oh niechay o tym wiedzą, żem miał honor raz w życiu być Chorążym Bractwa pewnego, y wſzyſcy przyznawali żem był tak okazały, tak mi do twarzy ſuknia Bracka przypadała, iżbym wart był zoſtać Marſzałkiem Brackim. Coż będzie dopiero gdy ſię uſtroię w płaſzcz Xiążęcy, albo też ukażę ſię cały w złocie y perłach niby Graf cudzoziemſki

ziemſki. Poprzyſięgam, radbym żeby o ſto mil przyieżdzano mnie widzieć. Zapewne, odezwie ſię *Don Quiſzott*, pięknie będzieſz wyglądał, ale trzeba żebyś ſię czaſem kazał ogolić, bo z tą brodą gęſtą y brudną poznał by cię każdy o mile zdala; ieżeli przynaymniey co trzeci dzień golić ſię nie będzieſz. Bardzo dobrze, ieżeli o to tylko chodzi, rzecze *Sanſzo*, mogę zgodzić Balwierza, ktory ſłużąc mi w domu, może poyść za mną, iak zwykli Koniuſzowie wielkich Panow. A iakże ty wieſz, zapyta *Don Quiſzott*, że Panowie za ſobą wodzą Koniuſzych? Powiem Wć Panu rzecze *Sanſzo*, przed kilką laty, będąc kilka Mieſięcy u Dworu, widziałem małego człowieka, o ktorym powiedano, że był wielkim Panem, co ſię przechodził, a za nim iechał konny noga za nogą, czekaiąc, gdzie Pan ſię zatrzymał, y iadąc gdy ten ſzedł, nie inaczey iakby cień za ciałem. Spytałem ſię iednego, za co ſię tamten z nim nie złączył, tylko zawſze w tyle iechał? powiedziano mi, że to był iego Koniuſzy, y że zwyczay Panow wiel-

kich

kich tak mieć ſług za ſobą. Panno święta, odtąd nie zapomniałem tego, y podobnież czynić będę; bo trzeba, żeby iedni tak robili, iak drudzy. Maſz przyczynę *Sanſzo*, powie *Don Quiſzott* Balwierza zą ſobą prowadzić; nie wſzyſtkie zwyczaie razem naſtały, y ty będzieſz pierwſzy Pan, co tę modę wprowadziſz; zdaie mi ſię albowiem przyzwoiciey opatrzyć ſię w człowieka, ktory umie golić brodę, iak tego, co ma o ſtayni zawiadywać. Co do Cyrulika ſpuść ſię Wć Pan na mnie, rzecze *Sanſzo*, ſtaray ſię tylko zoſtać Krolem, a mnie zrobić Hrabią, obaczyſz WćPan reſztę. Tak też myślę uczynić choćby tylko przez wzgląd dla ciebie, odpowie *Don Quiſzott*, ktory podnioſłſzy oczy w gorę, w tym razie obaczył to, co niżey powiemy.



RO-

ROZDZIAŁXI XXI.

Jako Don Quiſzott uwolnił wiele nieſzczęśliwych, ktorych pomimo ich chęci prowadzono tam, gdzie iść niechcieli.

Wielki Cid Hamet, Benengeli Dzieiopis Arabſki opiſuie w tych prawdziwych dzieiach, iż po tey długiey y wyborney rozmowie, ktorąśmy ſłyſzeli, *Don Quiſzott* podnioſłſzy oczy, uyrzał idących kilkunaſtu ludzi pieſzych, ktorzy zdawali ſię nawleczeni, iak paciorki na długim łańcuchu, co ich wſzyſtkich za ſzyie wiązał, kaydany na nogach y ręku. Było z niemi dwoch ludzi konnych y dwoch pieſzych, iedni ze ſtrzelbą; drudzy z pałaſzami, każdy z nich miał w ręku dzidę czyli pociſk Biſkayſki. Jak *Sanſzo* poſtrzegł tę gromadę ludzi nędznych, rzecze, to ſą złoczyńcy y więźnie, ktorych prowadzą na galery Krolewſkie. Jako zawoła *Don Quiſzott*, więźnie? czy można, żeby Krol gwałt komu czynił.

Nie

Nie mowię tego, odpowie *Sanszo*; ia tylko powiedam, że to są ludzie, ktorych za występki ukarano, aby szli wysługiwać się na galery Krolewskie. Jakożkolwiek bądź, ci ludzie są przymuszeni, y nie idą tam ze swoiey ochotyty. Co w tym, upewniam Wć Pana, rzecze *Sanszo*, że nie inaczey. Jeżeli tak iest, odpowie *Don Quiszott*, do mnie to należy, ktorego powinność urzędu wymaga zabraniać gwałtowności, y podźwignąć w upadku nieszczęsnych. Hey, czy Wć Pan nie wiesz, znow *Sanszo* mowi, że Krol, ani Sąd nie czynią gwałtu tym winowaycom, ktorzy odnoszą karę, iaką zasłużyli. Tym czasem przybliżyli się więźnie. *Don Quiszott* prosił z grzecznością warty, co ich pilnowali, aby mu powiedzieli za iakie występki tych ludzi ubogich więziono. Mci Panie odpowie ieden z tych Strażnikow, są to złoczyńcy za zbrodnie ukarani; ktorzy skazani służyć na Krolewskich Okrętach; nie wiem więcey y nie rozumiem, abyś y Wć Pan miał iaką pobudkę dowiadywać się dokładniey. Uczynisz

mi

mi Wć Pan iednak tę łaſkę, rzecze *Don Quiſzott*, pozwolić, abym ſię mogł wypytać każdego z oſobna, co za rodzay ich przewinienia, przyłączył do tego tyle oświadczenia uprzeymości, iż drugi Strażnik konny rzekł mu. Mamy tu tych niecnotow napiſane wyroki Sądowe, ale czas niewyſtarcza czytać ich, y nie warto, abyśmy naſze tłomoczki odwiązywali. Acz możeſz ſię Wć Pan ich ſam wypytać, zaſpokoią iego ciekawość, ieżeli zechcą, y zapewne nie omięſzkaią tego, bo ci poczciwi łotrowie, nie dadzą ſobie dwa razy mowić, aby co nie do rzeczy pletli. Za tym pozwoleniem, ktoreby *Don Quiſzott* ſam ſobie wziął, gdyby mu go byli odmowili, przybliżył ſię do więźniow, y zapytał iednego, co złego zrobił, iż tak z nim poſtąpiono. Dla tego, żem ſię zakochał, odpowie. Jako? dla tego tylko bez inney winy? zawoła *Don Quiſzott*, gdyby dla miłości poſyłano ludzi na Galery, iużbym ia ſam dawno muſiał wioſłem robić. Moie pokochanie, odpowie niewolnik, nie było tego gatunku, iak Wć Pan rozumieſz,

mieſz, acz tak mocno polubiłem koſz pełen piękney bielizny, iżem go niechciał wypuścić z ręku, y takiem go ściſnął ſerdecznie, że gdyby ſię ſprawiedliwość była nie wmięſzała, ieſzczebym go trzymał do tych czas. Złapano mię na uczynku, nie potrzeba było ciągnienia, byłem przekonany y oſądzony, miałem plecy upſtrzone ſtem rozg, y gdy pomogę przez trzy lata wielkie pole koſić, wyidę z zawichłania. Co chceſz rozumieć przez koſze nie wielkiego pola? zapytał *Don Quiſzott*? To ſię znaczy rzetelnie mowiąc na Galerach wioſłami robić, odpowie niewolnik, ktory był człowiek młody lat około dwadzieścia cztery maiący, rodem z Piedrahiła, iak powiedał. *Don Quiſzott* zapytał drugiego, ktory tak był ſmutny, iż ſłowa nie odpowiedział, ale pierwſzy go wyręczył. Co ten, rzecze, ieſt kanarek, ktory idzie na Galery za to, że nadto śpiewał. Jako? zawoła *Don Quiſzott*, czyli y śpiewakow poſyłaią na Galery? Tak ieſt, Mci Panie odpowie więzień, bo niemaſz nic tak niebeſpiecznego; iak śpie-

wać

wać w ucisku. Przeciwnie, rzecze *Don Quiszott*, słyszałem, że kto śpiewa, bol uśmierza. Tutay iest wszystko opacznie, odpowie tamten, kto raz wyśpiewa, całe życie płacze. Przyznaię, że tego nie rozumiem, powie *Don Quiszott*. Mci Panie odezwie się ieden ze Strażnikow, między temi nie ze wszystkim dobremi ludzmi. Spiewać w ucisku, znaczy się wyznać na mękach. Ten ladaco był na turturach, przyznał swoią zbrodnią, iż kradł bydło, y dla tego wyznania czyli wyśpiewania, iak oni powiedaią, ukarany iest na sześć lat Galerow, do tego na dwieście rozg, ktore mu wraz były odliczone; a że go Wć Pan widzisz tak smutnego, dla tego, że drudzy go łaią y prześladuią nie daiąc mu pokoiu, że nie miał wytrzymałości wycierpieć męki, a zaprzeć się, iak gdyby cięzey było wymowić nie, niż tak; y iakby to nie było szczęściem dla złoczyńcy, wykręcić się ięzykiem, gdy nie masz świadectwa przeciwko niemu. A doprawdy podług siebie nie źle mowią, y mnie się tak zdaie, rzecze *Don Quiszott*,

ſzott. A ty, mowi do trzeciego, coś przewinił. Ten nie daiąc ſię ciągnąć za ięzyk, odpowie śmiało; idę na Galery, na pięć lat, że mi nie doſtawało dzieſiątka czerwonych złotych. Ah, dam dwadzieścia chętnie, aby cię uwolnić, powie *Don Quiſzott.* Wpiawdzie ieſt trochę za poźno, rzecze więźień, iak muſztarda po obiedzie; gdybym miał te dwadzieścia dukatow w więzieniu, co mi ie Wć Pan teraz ofiaruieſz, mogłbym naſmarować niemi ręce Piſarzowi Sądowemu, y Patronowi ſprawy moiey umyſł orzeźwić, byłbym dziś na balu w Toledzie, nie tak prowadzonym, iak chart na ſmyczy; ale cierpliwości trzeba, każda rzecz ma ſwoy czas. *Don Quiſzott* udał ſię do czwartego, ktory był Starzec ſiwy z brodą białą długą do paſa. Ten zaczął płakać, gdy ſię go ſpytano, co go tu przywiodło, y ſłowa nie odpowiedział, a'e ten co za nim ſzedł, był mu za tłomacza. Ten poważny brodacz, rzecze, idzie ſłużyć Krolowi na morzu na lat cztery, bywſzy wprzod prowadzony paradnie po ulicach w ſtroiu

iu okazałym. To ſię nazywa ieźli ſię nie mylę, odezwie ſię *Sanſzo*, odwołanie zgorſzenia y ſiedzenie w kunie. Zgadłeś, odpowie Galernik, a to za to, że był kupcem ciała ludzkiego, to ieſt Mci Panie, że ten uczynny człowiek był ſwatem miłości, y do tego ieſzcze używał czarow y miłośniczych trunkow. Co na to nie mam co mowić, odpowie *Don Quiſzott*, ale gdyby tylko był ſwatem miłości, niepowinienby iść na Galery, chyba tam zoſtać Generałem; bo Poſłannika kochaiących urząd nie ieſt tak łatwy, iak ſobie kto wnośić może; trzeba być zdatnym y roſtropnym. Są to ludzie potrzebni, ktorych nadto być nie może w Państwie rządnym, y byłoby nawet użytecznym poſtanowić Piſarzow y Sędziow, ktorzyby roztrząſali czynności tych urzędow, iak innych wſzyſtkich; A ci, coby ie ſprawiali, aby w pewney liczbie byli, y przyſięgli. Wieleby ſię przez to nierządow umnieyſzyło, ktore ſię codziennie dzieią, iż za śiła ludzi ſię do tego mięſza rzemioſła, proſtacy naywięcey y nierozumni,
iako

iako y głupie służące, y lokaie, albo młodź swawolna bez doświadczania; ktorzy dadzą się podeyść łatwie, y nie umieią wykręcić się gładko. Gdybym miał czas, pokazałbym to iawnie, iakichby ludzi wybierać należało, na taką sprawność, y przyczyny, ktore są pobudką dla potrzeby ich; ale nie tu iest mieysce y pora o tym mowić; w swoim czasie wspomnę tym, ktorzy mogą zapobieżeć nierządowi ztąd wynikaiącemu. Teraz tylko namienię, że żałość, ktorąm miał widzieć tego Starca dobrego z siwemi włosami, y brodą poważną tak surowo skrępowanego za to, iż był tylko miłości pośrednikiem, ustąpiła ode mnie; gdyś dołożył, że się mieszał y do czarodzieystwa, chociaż mowiąc prawdę nie masz na świecie takich omamieniow, żeby mogły wzruszyć lub przymusić chęć ludzką, iak wierzą prości ludzie. Mamy wszyscy zupełną wolą, ktora bać się niepowinna zioł żadnych, czarow, ani zaklęciow. Co zaś umieią robić bezwstydne guślarki, y stare zwodzicielki, nic innego nie iest, tylko mixtury truiące,

kto

ktoremi ludzi łudzą; udaiąc, iż im daią trunki do kochania zapalaiące. To ieſt iſtotna prawda, odpowie ſtarzec, y zapewne co do czarow tak niewinny ieſtem iak Wć Pan. Ach! co moy Pan nie ieſt zapewne czarownik, odezwie ſię *Sanſzo*, nie maſz nic podobnego, coby go w tym obwiniać mogło. Co do reſzty przyznaię ſię, daley mowi Starzec, bom nie rozumiał, aby ſię zawierało, co w tym złego, moia chęć y myśl była tylko przyſługiwać, aby ſię każdy cieſzył, y wſzyſcy żyli zgodnie y ſwobodnie; acz moy dobry zamyſł na to ſię tylko obrocił, żeby mię poſłać w takie mieyſce, zkąd niemaſz podobieńſtwa, abym żywo powrocił w tym wieku podeſzłym, iak ſię znayduię, y w defekcie ciężkiego kamienia, ktory mię nieuſtannie dręczy. Ten dobry Starzec, rozpoczął znow płakać, y *Sanſzo* miał tyle politowania, iż wyiął monety ſztukę od 29. ſzelągow, z kieſzeni, y dał mu ią. *Don Quiſzott* zapytał ſię piątego, co za wyſtępek był iego? ten odpowiedział daleko mniey zaſmucony, iak tamten, właśnie iakby

go nie obchodziło. Idę powiada służyć Krolowi za to, żem za wiele bawił się z dwiema stworzeniami, ktore mi były bardzo bliskie y z innemi, co do mnie należały, żarty stały się tak mocne, iż moy maiątek powiększył się połową. To się nie wszystkim podobało, bo nie każdy iest iednegoż ułożenia. Słowem Mci Panie. zamieniłem moie stare koszule za nowe, y zabrałem inne w zapłacie od ludzi, ktorzy mi nic nie byli winni. Były na to dostateczne dowody, brakowało mi tylko pieniędzy y względow, y ledwiem nie umarł na gardło; iednak nie byłem osądzony, tylko na sześć lat do Galerow, nieodwołałem się od tego Sądu, obawiaiąc się co gorszego. Zarobiłem słusznie na tę karę. Jestem młody y zdrowy, żyć mogę długo; z czasem wszystko się skończy. Jeżeli Wć Pan masz co dać nam ubogim więźniom, Pan Bog będzie mu nadgrodą w Niebie, y my starać się będziemy na ziemi prosić go, aby Wć Panu dał życie pomyślne y długie. Ten był w sukniach Studenta, y ieden ze straży rzekł, że to wielki

Świe-

świegot, y umiał dość łaciny. Po tych wszystkich następował Człowiek przystoyny w wieku lat trzydziestu zyzowaty na iedno oko y inaczey był okowany, niż insi; miał łańcuch u iedney nogi, ktory krążąc otaczał mu całe ciało z dwiema obręczami żelaznemi, co mu szyię opasywały, iedna do łańcucha przybita, a druga co nazywaią przyiacielską, krępuiąca tak, że głowa wyprostowana skrzywić się nie mogła, z kąd dwa końce szły, aż do pasa wiążąc dwa pęta żelazne, co mu ręce krępowały zamknięte na dwie kłodki; tak że nie mogł ręki podnieść do gęby, ani głowy schylić do rąk. *DonQuiszott* zapytał Strażnika, za co ten był ściśley więziony, niż inni. Bo ten, odpowie, iest winnieyszy, niż wszyscy inni; y tak iest śmiały y sztuczny, że nawet choć tak dobrze opatrzony iest, nieiesteśmy pewni, aby nam nie uciekł. Jakąż zbrodnię on popełnił? spyta się *Don Quiszott*, gdy śmierci nie zasłużył? Jest skazany na dziesięć lat do Galerow, odpowie Strażnik, co iest niby śmierć powolna, ale dość wiedzieć, że ten

poczciwiec ieſt znany pod imieniem Gineſa z Paſſamontu, czyli inaczey Gineſilla z Parapilli. Moſpanie przyſtawco, powoli trzymaymy w ręku cugle y ięzyk za zębami, odezwie ſię ten więzień, proſzę Wć Pana nie rozſzerzay my ſię nad naſzemi przezwiſkami, y przydomkami, ia ſię nazywam Gines nie Ginesilla, y Paſſamont ieſt moiey rodowitości imię nie Parapilla iak Wć Pan przydaieſz, niech każdy ſiebie patrzy, nie innych, y gdy ſię w koło obeydziemy, znaydziemy co wſzyſcy na ſiebie, y dość na tym przeſtać. Wnet ia ci tu zniżę głoſu łotrze, trzy tulny, odpowie Strażnik. Tak być muſi wſzyſtko, iak ſię Panu Bogu podoba, Paſſamont, ale przyidzie ten czas że ſię kto lepiey dowie, czyli ia ſię zowię albo nie Gineſill Parapilla? Alboż cię nie tak nazywaią potwarco? przyda Strażnik. Hey tak, tak, odmowi Gines, ale ſtarać ſię będę, aby mię tak nie zwano, albo umrę raczey w mękach. Moſpanie Kawalerze, rzecze, ieżeli Wć Pan nam chceſz dać co, uczyń to ſpieſzniey, y iedź ſobie z Bogiem,

giem, ta ciekawość dopytywać się o życiu y postępkach każdego nuży nas, y ieżeli masz tak wielką ciekawość dowiedzieć się o moim powodzeniu, wiedz, iż iestem Gines z Passamont, y iam te sam wypisał piącią palcami tey ręki. Prawdę mowi, odezwie się Wartownik, on sam okryślił swoie dzieie y tak dokładnie, iak można naylepiey. Zostawił te Pisma w więzieniu we dwoch set Realach w zastawie. Tak iest odezwie się Passamont, nie zostaną się tam długo, y wykupię ie, chociażby były we dwoch set dukatach. Jako? ma być tak dobra ta książka powie *Don Quiszott*. Nie zła, odpowie Passamont, iż za nie Lazarilla z Tormes, y inne wszystkie tego gatunku iuż wydane, albo wydać się maiące. W czym mogę upewnić, to, iż prawdy wyrażam wszystkim znaiome przyiemne, y żartobliwe, tak, że nie można wynaleśćby baiek lepiey udanych. Jakiż ma napis? zapyta *Don Quiszott*. Zycie Ginesa z Passamontu, odpowie ten; A czy dokończona? znow mowi *Don Quiszott*. Jakby zakończona być mia-

miała rzecze Gines, chyba aż żyć przestanę. Zaczyna się od urodzenia moiego, a zastanawia na tym, iak nie dawno byłem na Galerach. Już to tedy nie pierwszy raz tam przebywasz? rzecze *Don Quiszott*. Nie z łaski Bożey, odpowie ten, iużem miał szczęście służyć Krolowi lat cztery; y wiem, co su.hary y trzcina, zasmakowałem oboyga, y nie tak mię bardzo martwi, iak kto myślić może, znow się tam powrocić, bo będę miał czas dopisywać reszty moiey książki, gdzie iest siła rzeczy do przydania, a na okrętach Hiszpańskich iest więcey czasu niż potrzeba do prożnowania, mnie zaś y mniey wystarczy, bo mam wyrażono w umyśle, co chcę napisać. Zdaiesz mi się człowiek sposobny y do rzeczy, powie *Don Quiszott*; y nieszczęśliwy przyday WćPan, odpowie Gines, bo nieszczęście ściga zawsze uczonych, y ladaco uczynki doday, odezwie się przystawca. Jużem Wć Panu mowił Mospanie Dozorco, żebyśmy się utrzymali w swoich obrębach, odmowi Gines. Zwierzchność nasza Wć Panu nie dała mo-

mocy źle się obchodzić z nami, y oddała nas w ręce iego, aby zaprowadzić na mieyſce, gdzie ieſteśmy Krolowi potrzebni, y na życie zaklinam ſię, boć kreſki, co ſię w gościeńcu napiſały, za pierwſzym umyciem zmażą ſię, niech każdy milczy y ſiebie patrzy, albo lepiey gadaymy, y to będzie raz na zawſze powiedziano, idźmy daley nie rozprawiaiąc więcey, aż nadto długo te bałamuctwa trwaią. Na te ſłowa Doglądacz podnioſł laſki, chcąc uderzyć za pogrożki Paſſamonta, ale *Don Quiſzott* między nich ſię wſtawił, proſząc, aby go nie karał. Słuſzna, że ten, co ma ręce mocno ſkrępowane, aby miał ięzyk przynaymniey wolny. Zatym obrociwſzy ſię do więźniow. Moi bracia, rzecze, z tego wſzyſtkiego, coście mi opowiedzieli, poznaię iaſno, że lubo ukaranie ktore was ſpotkało, ieſt należyte y ſłuſzne za waſze wyſtępki, iednak, że go nieznoſicie bez przykrości, y że wcale chęci nie macie iść na okręty, y zapewne mimo waſzey woli was tam prowadzą; a być może, iż mało cierpliwości u iednego na torturach,

turach, niedoſtatek pieniędzy u drugiego, y brak względu ktorego nieznayduią obwinieni u Sędziow, ſpieſzących ſię oślep do decyzyi, w ten ſtan was wprawiły, iak widzę, żeście dokładney ſprawiedliwości pozyſkać nie mogli. Wſzyſtko to złączone ieſt mi powodem okazać wam, iż Niebo na to mię ſtworzyło, y dało mi przyiąć Rycerſtwa błędnego obowiązki, aby bronić uciśnionych, y wſpierać ſłabych, przeciwko uciemiężeniu mocnych. Acz że ieſt roſtropnością rzeczy łagodnie y bez gwałtu zaczynać, gdy można ſię bez tego obeyść, proſzę Jmć Pana Dozorcy, y Panow Warty, aby was odkowali z łańcucha y wolno puścili, znaydzie ſię więcey innych ludzi na uſługę Krolowi w potrzebie, ktorzy ſą wolnemi. A więc Panowie Strażnicy, iż ci ubodzy ludzie nigdy was nie urazili, puście ich wolno, niech idą na pokutę, nie przymuſzaiąc ich czynić poniewolnie, gdzieby żadney zaſługi nie mieli. Jeſt ſprawiedliwość w Niebie, ktora ma doſyć ſtarania karać wyſtępnych, gdy ſię niepoprawiaią y nie ieſt przyzwoi-

tością ludziom uczciwym być katami nad bliżniemi. Mośpanowie domagam ſię tego od was z wſzelką grzecznością y powolnością, ieżeli to dla mnie uczynicie, będę wam wdzięczny, ale ieżeli tego nie dozwolicie dobrowolnie, ta dzida, y ſzpada, y mężność moiego ramienia przymuſi was do tey uczynności. Ha, ha, ha, ſą to uczciwe żarty, zawoła Dozorca, nie źle wynalezione, żądać od nas uwolnienia niewolnikow Krolewſkich, iakby to w naſzey mocy było wyzwolić ich; y ten co ſię dopomina, iakby miał władzę nam to rozkazać. Jedź ſobie Mośpanie y kończ ſwoią drogę, popraw ſobie miedniczki, co maſz na głowie, nie wtykaiąc noſa, gdzie ci nie należy. Jesteś nic wart y wiſielec, odpowie *Don Quiſzott*, w tym razie na niego z taką natarczywością uderzy, iż nie daiąc mu czaſu do obrony, obalił go na ziemię ranionego niebeſpiecznie dzidą. Zołnierze wartuiący zatrwożeni z tak nagłego zapędu, wſzyſcy wraz napadli na *Don Quiſzotta*, iedni ſzpadami, drudzy dzidkami go obracaiąc, y źle

by

by ſię z nim obeſzli, gdyby więźnie, widząc tak dobrą porę odzyſkania wolności, nie użyli iey na ſwoy zyſk, wyłamuiąc ſię z łańcuchow. Pomięſzani będąc znacznie żołnierze, ktorzy raz do niewolnikow chcących ſię z kaydan wydobyć, udawali ſię, drugi raz do *Don Quiſzotta* nie daiącego im odpoczynku, nie mogli przeto dobrze ſię ſpotkać. *Sanſzo* zaś pomagał odbić kaydan Gineſowi z Paſſamont, ktory widząc ſię nie zakowanym y wyzwolonym porwał ſię na ſtarſzego pilnowacza, y odebrawſzy mu ſzpadę, y muſzket, żołnierzy iednego po drugim, co ktorego uderzył bronią z obą rącz bez ranienia iednak, ani wyſtrzelenia rozproſzył, tyle okazuiąc śmiałości, że inni więźniowie pomagaiąc mu kamieniami ciſkać, Strażnicy wſzyſcy rozegnani pouciekali, zoſtawiwſzy więźniow y pole bitwy zwycięzcom. *Sanſzo* nie ze wſzyſtkim ſię ucieſzył z tey wygrany znakomitey, bo nie wątpił, iż warta odegnana nie omieſzka dać znać Zwierzchności Sądowey, S. Hermandad żądaiąc wſporu dla ſzukania zbiegłych y winnych,

nych. W tey obawie odezwie ſię do ſwoiego Pana, iżby nie od rzeczy było im umknąć ſię z drogi, y ukryć w bliżſzych gorach, bo, mowi, te diabły Strażniki każą na gwałt uderzyć, gdzie bliſko, zewſząt nas otoczą, y może nam ſię gorzey ſtać, iak być podrzucani, albo kiymy potłuczeni. Nie źle to mowiſz, odpowie *Don Quiſzott*, ale teraz wiem, co mam wprzod uczynić; zwołuiąc za tym więźniow, ktorzy ſię zabawiali odzieraniem ſtarſzego Przyſtawcy, do koſzuli go zwlokłſzy, wſzyſcy ſię zbiegli do niego w koło otoczywſzy, aby ſię dowiedzieć czego chciał od nich. Jeſt to cnota poczciwych ludzi, rzecze im, wdzięczność mieć za dobrodzieyſtwa, ktorych doznaią, a niewdzięczność przeciwnie ieſt wada nayczarnieyſzey duſzy. Widzicie moi Panowie, co dla was uczyniłem, y iakie dzięki mieć mi powinniście; ieſtem upewniony, iż niewyświadczyłem tey uczynności niewdzięcznikom; y wam należy ſię okazać dobrze, iacy ieſteście. Za wſzelkie zawdzięczenie y nadgrodę od was żądam tylko iedynie, żebyście na-

zad

zad włożyli na ſiebie te łańcuchy y dyby, z ktorych was wyzwoliłem, y w tym porządku, abyście poſzli do Stolicy Taboſo ukazać ſię Jeymć Dulcynei, opowiedaiąc iey, iż przyſłani ieſteście od iey niewolnika, Rycerza ſmutney poſtaci, y opowiedzieli iey to wſzyſtko słowo w słowo, com dla waſzego oſwobodzenia dokazał. Potym na wolą wam daię iść daley y robić co wam ſię podoba. Gines z Paſſamont odpowiedział za wſzyſtkich *Don Quiſzottowi.* Mci Panie Rycerzu naſz wybawicielu nie podobna nam to wypełnić, co Wć Pan nam zlecaſz, bo nie możemy ſię pokazać wſzyſcy w tym ſtanie wraz, iak Wć Pan żądaſz, obawiaiąc ſię być uznanemi y zchwytanemi. Muſiemy ſię rozłączyć, y tak ſię utaić przebrani, abyśmy nie wpadli znow w ręce ſprawiedliwości, ktora zapewne poſzle żołnierzy ſzukać nas, ale co Wć Pan możeſz wymagać od nas, to odmienić hołd, ktoryśmy winni Jeymci Dulcynei z Toboſo w pewną liczbę pacierzy, co za iey pomyślność zmowiemy. Ten obowiązek możemy wypełnić bez obawy

bawy

bawy we dnie czyli w nocy, umykaiąc lub odpoczywaiąc, w bitwie y w ſpokoyności; ale chcieć, żebyśmy ſię wydali na ſztych znow powrocić w niewolą iak Egipſką. to ieſt nazad w łańcuchy, nie maſz do tego podobieńſtwa y Wć Pan to, iak mi ſię zdaie, nie dobrze uważyłeś. Hey na Boga żywego, zawoła *Don Quiſzott* gniewem roziuſzony. Panie Don Ginesilla z Parapilli, czyli Don Synu nałożnicy, bądź ktokolwiek ieſteś, poydzieſz tam oſobno w łańcuch opaſany, z całym ſtroiem, iakiś noſił w przod na twoim ſzlachetnym grzbiecie. Paſſamont, ktory nie był cierpliwy z przyrodzenia, y nie naylepſze rozumienie powziął o roſtropności *Don Quiſzotta*, po czynności iego, ktorey z niemi dokazał; nie mogł zcierpieć tak złe ſłowa ſobie nadane, mrugnył oczami na innych wſpoł towarzyſzow ſwoich, ktorzy roſkoczywſzy ſię, ięli rzucać kamieniami na *Don Quiſzotta*, iż nie zdążył zaſłaniać ſię tarczą, ani mogł ruſzyć z mieyſca Roſſinanta, ktory ſię y kłociem oſtrogow nie dał więcey użyć, iak gdyby

był

był z miedzi ulany y wryty. *Sanſzo* ukrył ſię za ſwoiego oſła, y tym ſpoſobem uniknął pociſkow kamieni, ale Pan iego nie mogł ſię tak dobrze zakryć, aby kilka kamieni go po bokach nieugodziło, tak że go z konia zwaliły, Uczeń ſkoczył do niego, y oſiadłſzy zerwał z głowy miedniczkę, uderzywſzy go nią kilka razy po plecach, y tyleż razy o kamień potłukł ią w kawałki, drudzy więźnie przybiegli y zdarli z niego zwierzchnią ſuknią, co na zbroi noſił, y byliby go zwlekli do ſpodnich, gdyby karwaſze, nakolanki, y nabiodrki pokrępowane mocno nie zabroniły im tey chęci uiſzczenia; aby zaś niezoſtawić w poł roboty, ulżyli ciężaru y *Sanſzowi* zwlokłſzy z niego ſuknią; y ogołociwſzy go, iak dłoń, podzielili między ſiebie zdobycz boiu, y każdy w ſwoią ſtronę umknął z większą oſtrożnością y natężeniem uniknienia Sądu S. Hermandad, iak poznania Jeymci Dulcynei. Oſieł, Roſſinant, *Sanſzo* y *Don Quiſzott*, ſami zoſtali na poboiowiſku. Oſieł łeb zwieſiwſzy, y coraz uſzami trząſaiąc, zapewne w mniemaniu,

niu, iż grad kamienny trwał ieſzcze, Roſſinant położony przy ſwoim Panu od dwoch wielkich kamieni razow ſpoczywał, *Sanſza* goły, iak święty Turecki, y gdyby ſię na świat rodził, drząc od ſtrachu, aby nie wpadł w ręce S. Hermandad. *Don Quiſzott* zaſmucony y zagniewany widzieć ſię w tak złym ſtanie przez niewdzięczność zboycow, ktorym tak znamienitą łaſkę wyświadczył.

ROZDZIAŁXI XXII.

Co ſię przytrafiło ſławnemu Don Quiſzottowi w Gorze czarney.

Don Quiſzott widząc ſię tak niegodziwie zdradzonym, rzecze do ſwoiego Koniuſzego. Słyſzałem mowiących, że to ieſt na piaſku ryſować, czynić dobrze złym y niewdzięcznym, gdybym cię był poſłuchał, umknąłbym tego zmartwienia, ale iuż ſię ſtało, cierpliwości użyć należy, niech doświadczenie nauczy nas rozumu lepſzego.

go. Prawdę powiem Mci Panie, że Wć Pan będzieſz w tedy roſtropnym, kiedy ia Turkiem, odezwie ſię *Sanſzo*, acz że mi Wć Pan wſpominaſz, iż gdybyś mi był uwierzył, umkałbyś tego nieſzczęścia, wierzay że mi Wć Pan teraz, a uſtrzeżeſz ſię gorſzego, bo ſłowem mowiąc, iak z tym, przeſtrzegam Wć Pana, że wſzelkie Rycerſtwa naſze za nic, y pod ławę poydą, iak S. Hermandad ſię pokaże, y że nie dbać będzie o wſzyſtkich biegaſow błędnych na całym świecie, iak o pſa zgniłego. Patrzay Wć Pan, iuż mi ſię zdaie ſłyſzeć, że świſzczą mi koło uſzow ich pociſki. Ty ieſteś z przyrodzenia tchorzowaty *Sanſzo*, rzecze *Don Quiſzott*, ale żebyś nie mowił, iż ia ieſtem uporczywy, y że nigdy nie czynię tego, co mi doradzaſz, chcę ci uwierzyć na ten raz, y oddalić ſie od tey ſtraſzney Hermandady, ktorey ſię tak mocno obawiaſz, acz pod tym oſtrzeżeniem, żeby ani żywy, ani umarły niceś nie wſpomniał nikomu y ſłowa iak ſię to ſtało, żem ia ſię ſchronił, y unikałem nieſzczęścia, dla nay-

mnieyſzey

mnieyſzey boiaźni, ale ſzczegulnie tylko na twoią proźbę, y dogadzaiąc twoiemu upodobaniu. Jeżeli inaczeybyś miał wygadać ſię. To zmyślaſz, y teraz, y na potym, y w tym czaſie, y w dalſzym, fałſz ci zadaię, y mowię, żeś nie prawdę powiedał, y zawſze będzieſz łgał, y mylić ſię z rzetelnością, ile razy to powtorzyſz, y nawet pomyśliſz; nie odpowiaday mi więcey, bo nie myśley wcale o tym; że ſię chronię y umykam od iakiey naygorſzey klęſki a oſobliwie od tey, gdzie podobieńſtwo być może obawy, wolałbym tu zoſtać do ſądnego dnia, y czekać nie zmrużonym okiem nietylko tey Swiętey Sprawiedliwości, żołnierzy co powiedaſz, ale y *dwanaście Pokolenia Izraelitow, ſiedmiu Machabeow, Kaſtora y Polluxa, y wſzyſtkich Braterſtw y Chorągwi całego Swiata.* Mci Panie odezwie ſię *Sanſzo*, unikać, nie ieſt uciekać, ale czekać biedy ieſzcze mniey ieſt uwagi y odwagi, gdy niebeſpieczność przewyżſza ſiły y doświadczenie. Jeſt człowieka przezornego zachować ſię dziś na iutro, nieważąc wſzyſtkiego na

raz ieden; y posłuchay mię Wć Pan, chociaż prosty człowiek y niewykrzesany, iednak uchodziłem zawsze za rządnego, przeto nie żałuy Wć Pan, żeś poszedł za moią radą, wsiądź tylko na Rossinanta, ieżeli możesz, a ieżeli nie, to ia pomogę, iedź Wć Pan za mną, proszę bardzo, bo serce mi wroży coś nie dobrego tu dla nas, y rzeźwiey nam nogami robić trzeba, iak rękami. *Don Quiszott* wsiadł na konia więcey nieodmawiaiąc, *Sanszo* odziawszy się iak mogąc, starzyzną pozostałą, iadąc przodem wiechali w głąb czarney gory kawał, Koniuszy wierny maiąc chęć nie zmyśloną wcale tę przeiechać, y do Almodobar pol dostać się, tam ukryć kilka dni, aby nie wpaść w ręce Sądu. Co go do tego ieszcze bardziey przywodziło, to że wybawił z bitwy y rąk więźniow wszystkie żywności, ktore na ośle iego były przywiązane, co prawie cudem się stało, sposobem iak ci zboycy szperali wszędzie, y zabierali, cokolwiek zdatnego napadli. Nasi ochotnicy przybywszy w pośrod czarney gory w mieyscu nayodludnieyszym,

gdzie

gdzie *Sanſzo* radził Panu, kilka dni zabawić, przynaymniey iak długo ich prowianty wyſtarczą. Poczęli ſię rozkładać na tę noc między dwiema pagorkami pod drzewami, gdzie ſię mniemali być beſpieczni, y od napaści zasłonieni. Ale ślepa fortuna, ktora rządzi y kieruie wſzyſtkiemi ſprawami na świecie do ſwoiego upodobania, chciała mieć, aby Gines Paſſamont ten doświadczony rozboynik, co go ſilność y ſzaloność *Don Quiſzotta* wyzwoliły z Kaydan; boiąc ſię być znow ſchwytanym, y uciekaiąc przed S. Hermandad Zwierzchnością w tych ſamych ſkałach ukryć ſię umyślił, y w toż właśnie mieyſce udał ſię, gdzie *Don Quiſzott* y *Sanſzo* ſpoczywali; ktorych poznał po głoſie, y dał im zaſnąć ſpokoynie. A że łotrzy ſą zawſze niewdzięczni y niewzględni, y potrzeba daie wynaleść środki, ktorychby ſię nie zawſze domyślić zdarzyło. Gines, ktory ani prawey myśli, ani chęci nie miał dobrze czynić, porwał osła *Sanſza*, przekładaiąc go nad Roſſinanta, ktory mu ſię zdawał zbyt wychudzony,

ny, iżby go nie mogł ani ſprzedać, ani zamienić: Nim ſię rozedniło, umknął tak daleko od Pana y ſługi, iżby dogon ć go nie mogli. W tym rumiana Jutrzenka ſię ukazywała na Zorzach złociſtych twarzą ſwoią weſołą rozweſelać y przyozdobić świat; acz więcey tylko zaſmuciła y oſzpeciła gębę ſkrzywioną *Sanſza*, ktory ledwie ſię nie rozpukł od żalu, obaczywſzy ſię bez oſła, tak ſmutne wydawał głoſy, y żałoſne ięczenia, że *Don Quiſzott* ſię obudził, y uſłyſzał go temi ſłowy wyrzekaiącego. O ſynu moich wnętrznośći; ktoryś w moim mieſzkaniu pierwſze dnia światło oglądał, miła zabawko moich dzieci! Roſkoſzy moiey żony! Zazdrości ſąſiadow! podporo moia y prac pomocniku! żywicielu domu y połowy mię ſamego! bo czterema ſzelągami, coś mi co dzień zarabiał, część znaczną moiego poſiłku dodawałeś. *Don Quiſzott* domyślaiąc ſię na te narzekania, ſmutku iego przyczyny, chciał go pocieſzyć łagodnemi ſłowami, y mądremi uwagami nad niepomyślnościami tego świata, ale mu ſię

nic

nic tak nie udało, iak gdy mu radził być cierpliwym, obiecuiąc dać wexel swoy na trzy oślęta z piąciu, ktore w Domu iego pozostały, *Sanszo* się nad tym zaraz zaspokoił, nie mogąc się nie dać zmiękczyć na tak ważne pobudki, otarł łzy swoie, wstrzymał wzdychania y ięczenia, wielkie podziękowanie uczynił Panu za tak znakomitą łaskę, ktorą mu wyświadczył; *Don Quiszott*, ktorego sen trochę orzeźwił, uradował się, iż w pośrod tych skał się znaydował, nie wątpiąc, iżby to mieysce nie było zdatne do natrafienia przygod, ktorych szukał. Przypomniał sobie przedziwne zdarzenia, ktore Rycerzow błędnych w podobnych pustyniach spotkały, y tak był przenikniony y zachwycony prawie temi głupstwami, iż o nic więcey się na świecie nie turbował. *Sanszo* także nie miał więcey kłopotu widząc się bespiecznym y osłow pewnym, tylko, aby brzuch naładował ostatkami, co mu się zostały. Wyiechali tedy, ten za Panem idąc pieszo z tłomoczkiem, co przedtym osieł dźwigał, co raz po kawale niedo-

iadkow

iadkow wyimuiąc, y połykaiąc z całey siły, niedbaiąc o przygody, w nasyceniu się iak mogł naylepiey, zakładaiąc swoią pomyślność. Tak postępuiąc postrzegł, iż Pan iego zatrzymał się, chcąc podnieść coś z ziemi swoią dzidą, pospieszył mu do pomocy, y gdy przyszedł, *Don Quiszott* iuż trzymał na końcu tey poduszkę skorzaną y tłomoczek do niey przywiązany, wszystko nadpsowane y w poł przegniłe, ale tak ważne, iż *Sanszo* musiał pomodz do podniesienia; spoyrzał szybko, co to było, y obaczył, że zawinięcie łańcużkiem y kłodką zamknięte, acz przez dziury, ktore zbotwiałość porobiła, wyciągnył cztery koszule z przedniego płotna Hollenderskiego, y inną bieliznę cienką, w chustę zaś zawinięty worek z nie mało dukatow. Chwalmy Pana Boga, zawoła *Sanszo*, na ten widok, iż przecież aby raz w życiu pożyteczną przygodę znalezliśmy, szukaiąc daley znalazł książeczkę dla pamięci w złoto oprawną. To dla siebie otrzymam, rzecze *Don Quiszott*, a ty weś pieniądze. Wielkię dzięki,

Mci

Mci Dobrodzieiu, odpowie *Sanſzo*, całuiąc go w ręce, wſzyſtko to zaraz w ſwoie ſakwy zapakował. Zapewne *Sanſzo*, powie *Don Quiſzott*, muſiał kto w tych knieiach ſię zabłąkać, znać zboycy go zabili, y zachowali w tych ſkałach. To być nie może Mci Panie odpowie *Sanſzo*, gdyby to byli rozboynicy, nie zoſtawiliby pieniędzy. Prawdę mowiſz, rzecze *Don Quiſzott*, nie mogę zgadnąć, co by to było, ale czekay, zapewne znaydziemy co napiſanego w tych pamięciach, co zaſpokoi naſzą ciekawość; To mowiąc otworzył kſiążeczkę, y znalazł w niey napiſane pięknemi literami Wierſze naſtępuiące, ktore głośno czytał, aby *Sanſzo* uſłyſzał.

Miłości ślepey nie rządzi uwaga,
Bożek ieſt dziwny, wymyślny okrutny,
Sądzi nieſłuſznie; przykry bałamutny.
Moc iego, bol moy, y ſiły przemaga.
Acz ieźli Bożkiem, nikt go nie naucza,

Wie,

Wie, wſzyſtko widzi; bez winy nie
można
Srogim go nazwać; porywczość w tym
prożna
Z kądże ta męka? ktorą mi dokucza?
Nie Philis pewno, przyczyna zbyt
miła,
Skutkuby złego dobroć nie ſprawiła
Ani też Niebios mniemać przezna-
czenie,
Umierać raczey w tak nie znanym cio-
ſie,
Jaka nadzieia w niepewności loſie,
Chybaby cudem znaleść uleczenie.

Ta pioſnka nic nas nie naucza, o-dezwie ſię *Sanſzo*, że iak po nici doy-dzie kłąbka, tak Liſa śladem do iamy. O iakieyże nici gadaſz? rzecze *Don Quiſzott*, y o iakim Liſie? zdaie mi ſię że Wć Pan tam czytałeś, że nie śpi lis w tych wierſzach, odpowie *Sanſzo*. O tym nie wiem, mowi *Don Quiſzott*, wſpomniałem Philis, to ieſt nazwiſko Damy, na ktorą ſię żali ten, co piſał ſonnet, ale nie o liſie, y to Wć Pan nazywaſz ſonnet? znow *Sanſzo*, bardzo

to

to dobrze do prawdy; ſą wnet; nie złe te wierſze. Tak, ieſt to pewny gatunek wierſzow tak nazwany, odpowie *Don Quiſzott*, nie naygorſzy był wierſzopis, chybabym ſię nie znał. Alboż, znow *Sanſzo* ſię odezwie, Wć Pan mięſzaſz ſię także do wierſzow ſkładania? Hey zapewne lepiey niż ty rozumieſz, rzecze mu *Don Quiſzott*, y uznaſz to ſam, gdy ci dam liſt cały w wierſzach abyś powiozł do Jeymci Dulcynei z Toboſo, y trzeba, żebyś wiedział *Sanſzo*, iż wſzyſcy Rycerze błędni dawnych czaſow, a przynaymniey nay-więcey ich było Wierſzopiſami, y umieiącemi grać melodyinie; y te dwie piękne umieiętności, a raczey zaſzczyty y ozdoby ſą iakby iſtotne przymioty Rycerzow błędnych. Wprawdzie wierſze ſtarodawne miały więcey żywości, iak roſtropności, y nie były według przepiſow poezyi. Czytay Wć Pan daley, powie *Sanſzo*, może znaydziemy, czego ſzukamy. *Don Quiſzott* przewrociwſzy kartę. Otoż tu znow nie wierſze, zdaie mi ſię, że to liſt; czy do kogo piſany? zapyta *Sanſzo*.

ſzo. Początek daie mi poznawać, iż ſą w nim wyrazy miłości, odpowie *Don Quiſzott*; dobrze; czytay Wć Pan głośno, proſzę, lubię liſty miłoſne, rzecze *Sanſzo*. Tak uczynię, mowi *Don Quiſzott*, y czytał, co naſtępuie.
„ Obłudność twoich przyrzeczeń, y
„ moie nieſzczęście, o ktorym iuż wąt-
„ pić nie mogę, przywodzą mię do te-
„ go przedſięwzięcia, abym ſię oddalił
„ od ciebie, y pierwey uwiadomioną
„ będzieſz o moiey śmierci, niż o przy-
„ czynie ſłuſznych żalow. Porzuciłaś
„ mię niewdzięczna; dla człowieka,
„ ktory nie ma więcey zacności nade-
„ mnie, tylko więcey doſtatkow. Gdy-
„ by cnota w tym wieku ubogacała,
„ nie miałbym przyczyny zazdrościć
„ innym, anibym niepomyślności mey
„ nie opłakiwał. Jak twoia piękność
„ y cnota z uczynkami niezgadzaią ſię,
„ y wiele brak, aby rowny blaſk ie
„ ozdobił. Pierwſze mi dały wierzyć,
„ iż maſz część Boſtwa darow w ſobie,
„ drugie przeświadczaią, iż ieſteś ko-
„ bieta. Bądź zdrowa, życzę ci ſpo-
„ koyności tey, ktorą zdradzaiąc mnie

„ wraz z życiem mi odbieraſz. Nie-
„ chay Niebo ſtrzeże wyiawienia zdra-
„ dy twoiego Małżonka, aby żałuiąc
„ nieſłuſzności, iakąś ze mną poſtąpi-
„ ła, niebyłem pociągniony mścić ſię
„ wſpolnych uraz naſzych na człowie-
„ ku, ktorego powinnaś teraz ſzano-
„ wać. „ To nas więcey nie obiaśnia, iak wierſze, rzecze *Don Quiſzott*, tylko, że ten co piſał liſt zakochany; był Miłośnik zdradzony, przeglądaiąc całą kſiążeczkę, znalazł więcey wierſzow y liſtow, ktorych ledwie część mogł przeczytać, ale znać było, że wyrazy żałoſne, utyſkiwania miłoſne, niedowierzania, zwątpienia, przykrości, łaſkawości y wzgardy znaczyły. Gdy *Don Quiſzott* przeglądał kartki, *Sanſzo* plądrował zawinięcie, żadnego nie zoſtawił ukrycia ani w poduſzcze zachowania, ktoregoby z pilnością nieprzetrząſał, tak nabrał ſmaku po odkryciu duplonow, ktorych więcey iak ſto znalazł, acz chociaż tam iuż nic nie wymacał, przecież rozumiał ſię dosyć nadgrodzonym za podrzucanie niezdrowe, y rznięcie brzucha od Balſamu Fiera-

bras, młocenie kiymy od Furmanow, Gradu kamieni od owczarzow, kułakow y pięściow od podwodnikow, ſtraty ſakwow pożywiaiących, y oſta zguby, odarcia z płaſzcza, oraz głodu, pragnienia, y prac nieźliczonych, ktore poniosł w ſłużbie ſwoiego Pana. Ta nadgroda zdawała mu ſię doſtateczna, y radby co mieſiąc tyle wycierpić za podobneż zaſługi. Naſz Rycerz iednak miał chęć niezmyśloną poznać Pana tego zawinięcia, ſądząc z wielości złota, piękności bielizny, dobroci wierſzow y liſtow, ktore znaydował wyborne, iż to muſi być człowiek znakomity; ktorego zniewaga y złe obeyście iego ulubioney do rozpaczy przywiodły; acz że mniemał iżby mu nie mogł nikt oznaymić, nic w tak puſtym mieyſcu; zapuścił ſię, daiąc ſię prowadzić Roſſinantowi na wolą, ktory ſzedł, iak mogł po ſkałach y przez ciernie. *Don Quiſzott* iadąc tym ſpoſobem, y maiąc zawſze w umyśle, iż przygodow mu niezabrakuie w tak dzikim mieyſcu, uyrzał na wierzchu gory przed ſobą człowieka, ktory ſkakał ze ſkały na ſkałę, po gło-
gach

gach y krzakach, zdawało mu się, iż był wcale nagi z brodą czarną gęstą, włosy roztargane, bez pończoch, ani trzewikow, uda tylko przykryte gałganami spodnich, ktore znać były aksamitne kiedyś, ale tak podarte, iż ciało było na wskroś widać; głowy także nie miał niczym nakrytey, y chociaż biegł szybko, nasz Rycerz wzrok bystry maiący, przecież uważał te osobliwości, iak mogł dążył za nim, niewątpiąc, iż to był Pan tłomoczka. Acz Rossinant był zbyt osłabiony, aby się mogł tak spieszno uwinąć, ile w mieyscu przykrym y skalistym, będąc z przyrodzenia nie skorym, y nie lubiąc co tchu bieżyć. Kawaler smutney postaci, iednak umyślił dogonić Rycerza tłomoczka, choćby przez cały rok za nim iezdził po tych gorach. W tym umyśle kazał, aby *Sanszo* iedną stroną go szukał, gdy on poiedzie drugą szpiegować go. Może go wynaydziemy, rzekł, przykładaiąc tyle pilności y starania. Tego nie uczynię Mci Panie, odmowi *Sanszo*,. nie mogąc się oddalić naymniey od Wć Pana, zaraz mię

strach

ſtrach opanuie ze wſzyſtkich ſtron, iak gdyby wſzyſcy diabli Swiętego Antoniego kuſzący na puſzczy, otoczyli mię y raz na zawſze Wć Pana przeſtrzegam, że ſię na poł kroku od niego nie odſtąpię od tąd. Jakże ſam chceſz, rzecze naſz Rycerz, owſzem rad ieſtem, że moim męſtwem ſię zaſłaniaſz, upewniam, że ſię na nim nie zawiedzieſz; choćby cię duſza w ciele zawiodła y uſzła. Idź tedy za mną powoli, y ſzukay dobrze oczami, obiedziemy tę małą gorę, może napadniemy Pana tłomoczka, ktory ieſt zapewne ten, cośmy go uyrzeli ſzybko biegącego. Mci Panie, odezwie ſię *Sanſzo*, czyby nie lepiey było nie ſzukać go? bo iak go znaydziemy, a tłomoczek okaże ſię iego właſny, zapewne należałoby go powrocić właścicielowi, a tak zważay Wć Pan, że ta pilność nie byłaby nąm użyteczna; dogodnieyby nam było otrzymać tę zdobycz dobrą wiarą, nim byśmy ſpotkali tego człowieka trafunkiem, tym czaſembyśmy wydali złoto y koſzule z potrzebowali. Wtedy według uſtawy Krola wolnibyśmy byli

na

na ſumnieniu. Myliſz ſię w tym *Sanſzo*, powie *Don Quiſzott*, iak prętko Pana znależney rzeczy możemy odkryć, ieſteśmy obowiązani ſzukać go, y oddać mu to, co było iego; y chociażbyśmy go niewynaleźli, nie możemy ſumiennie zatrzymać tey zguby, ktorą rozumiemy być cudzą. To ſame domyślanie ſię czyni nas iuż obwinionemi; iak gdyby iaſne y dowodne było. Y tak przyiacielu niechay te znalezienie nie czyni ci przykrości, bo co o mnie rozumiałbym ſię być z wielkiego ciężaru ulżonym, gdybym tego zgubiciela rzeczy mogł natrafić. To mowiąc pognał Roſſinanta, za nim *Sanſzo* dążył pieſzo obładowany iak oſieł, dzięki nieſzczęściu y Gineſillowi z Paſſamontu.

Obieżdzaiąc y ſzpieguiąc wſzyſtkie zakręty gor przybyli nad brzeg rzeczki, gdzie napadli muła z ſiądzeniem y uzdeczką zdechłego, y na w poł od pſow y krukow pożartego; co ich tym więcey utwierdziło, w mniemaniu, iż ten człowiek co uciekał przed niemi był Panem tłomoczka. Gdy ſię

za-

zastanowili zważaiąc muła, y czyniąc uwagi nad tym zdarzeniem, usłyszeli świstanie, iak zwykli czynić Owczarze na gromady zwołanie; w tym zobaczyli po lewey stronie nie małą trzodę koz, a za niemi starego Pasterza, do ktorego należały. *Don Quiszott* go zawołał, aby zszedł do niego z gory zachęcaiąc mile, ten człowiek zadziwiony spytał się co ich tam przyprowadziło, w mieysce, tak puste y odludne, gdzie nie było stop ludzkich śladow, tylko koz, y wilkow y innych dzikich zwierzow. Zeydziy tylko dobry człowieku, zawoła *Sanszo*, o wszystkim ci opowiemy: zszedł Pasterz, y przybliżywszy się do *Don Quiszotta*, łożyłbym się, rzecze, iż uważacie Panowie tego muła, co leży w rzece. Zaprawdę iuż tu sześć miesięcy spoczywa, powiedźcie mi, czyście nie spotkali Pana iego, iadąc tu. Nikogośmy nie natrafili, odpowie *Don Quiszott*, tylko poduszkę y skorzany tłomoczek do niey przywiązany o kilkanaście krokow z tąd. Y ia napadłem ią, rzecze Owczarz, alem się strzegł podnieść, nie chciałem się nawet

wet do niey przymknąć, obawiaiąc się zdrady, abym nie był oskarżony, o iaką kradzież, bo diabeł iest sztuczny, y znayduią się często zawady pod nogami, na ktorych się trzeba potchnąć; nie wiedząc czasem, iak y za co w biedę się wpadnie. Toż samo y ia uczyniłem, odezwie się *Sanszo*, bośmy napotkali te zawinięcie, alem go ruszyć nie chciał, zdala się umykaiąc na cienienie kamienia, zostawiłem ie, gdzie było, na mieyscu niech leży; bo pieska z gruchotkami nie lubię, że głośny. Powiedz mi poczciwy człowieku, mowi *Don Quiszott*, czy nie wiesz czyi to muł? Tyle mi wiadomo, odpowie Owczarz: iż przed sześcią miesięcy człowiek młody, urodziwy y kształtny na tym mule iadąc, co go widzicie, iak był żywy z tąż poduszką y tłomoczkiem w tyle przywiązanym przyiechał do owczarni o trzy mile z tąd, pytać się, gdzie mieysce nayskrytsze y naydziksze tych skał? odpowiedzieli mu, że to było, gdzie się znaydował, y tak iest w samey rzeczy, bo gdyby poł mile głębiey wiechał, ciężkoby było

nazad wydobyć śię, y dziwno mi że Wć Panowie tu śię dostaliście, ponieważ ani drogi tu, ani ścieszki niemasz. Ten tedy młodzieniec, iak tylko naszą odpowiedź usłyszał, zwrocił muła y poiechał manowcem, cośmy mu pokazali, zostawiwszy nas w zadumieniu iego piękney postaci, y chęci dostania śię pomiędzy te skały odludne. Odtąd więcey go nie oglądaliśmy, aż w kilka dni potym, napotkał iednego idąc z naszych Pasterzy, y nic mu nie mowiąc, dał mu ze sto plag, rzuciwszy śię na niego y obaliwszy, z tamtąd pobiegł do osła, ktory nośi pożywienia nasze, y porwawszy wszystek chleb y ser, co tam był, uciekł w gory szybko, gdyby Jeleń iaki. Skoro śię o tym dowiedzieliśmy niektorzy z nas Pasterze, blisko dwoch dni szukaliśmy go w nayskrytszych mieyscach tych opokow, długo śledząc go, wynaleźliśmy w drzewie wypruchniałym śiedzącego. Wyszedł do nas z wszelką przyiemnością, ale twarz oszpecona, y upałem Słońca ogorzała była, żeśmy go ledwie poznać mogli po sukniach, y te miał

w ka-

w kawały podarte. Przywitał nas mile w niewielu słowach, dobrze iednak ułożonych, rzekł nam, abyśmy się nie dziwili, widzieć go w tak złym stanie, iż to być musiało dla dopełnienia pokuty, ktora mu była naznaczona. Prosiliśmy go, aby nam powiedział, kto był, ale tego nie chciał uczynić, rzekliśmy mu także, aby nam pokazał mieysce, gdziebyśmy go znaleść mogli, gdyby od nas czego potrzebował, a osobliwie do pożywienia, upewniaiąc go, iż mu damy dobrowolnie z chęci y dobrego serca, czego żądać będzie, prosząc oraz, aby przychodził nam mowić o to, nie biorąc sobie gwałtem. Podziękował za oświadczenie, przepraszaiąc za przeszłą napaść y pokrzywdzenie, obiecuiąc, iż od tąd będzie prosił w Imię Boskie, co mu będzie potrzebnego, nie czyniąc nikomu przykrości. Chcieliśmy się dowiedzieć, gdzie się obroci, odpowiedział, iż nie miał pewnego stanowiska, y gdzie go noc zapadnie, tam według sposobności obiera sobie nocleg. Zakończył rozmowę z nami z tak żałosnemi wyrze-

kaniami, że trzeba być z miedzi, albo kamienia aby nie mieć litości, a my osobliwie widząc go w tak złym y odmiennym stanie, niżeśmy go pierwszy raz oglądali, bo iakom Wć Panu namienił, był to wcale przystoyny Młodzieniec, piękney postaci, maiący rozum, y zdaiąc się stateczny y utrzymały. To wszystko y więcey daie nam się domyślać, iż iest dobrego urodzenia. W pośrod zaś swoiey rozmowy razem się zastanowił, y iak gdyby niemym stanął, spuściwszy oczy na doł, y długo tam stał, iak wryty, patrzaliśmy na co wyidzie to iego zadumienie. Tak postoiawszy czas nie mały, uyrzeliśmy go z twarzą zmienioną, y dzikość iakąś okazuiącą, przymrużać y otwierać oczy, brwi y czoło marszczyć, usta przygryzać, pięście iednę o drugą bić, y domyślaliśmy się, iż mu przypadła szaleństwa godzina, co nas pociągnęło do użalenia się, y nie zadługo nas utwierdził w tey myśli. porwał się nagle z ziemi, gdzie siedział, y uderzył na pierwszego z nas, co mu wpadł w ręce z taką zaiadłością y za-

pędem,

pędem, że gdybyśmy go nie wydarli z ręku przez moc, byłby go ubił pięściami, y zagryzł zębami. W tym zawrocie wołał nieustannie. Ach zdrayco Fernandzie, tutay, tutay, przypłaciſz mi zniewagi, ktorąś mi wyrządził, te ręce wydrą ci z wnętrzności ſerce obłudne, w ktorym zawieraſz wſzyſtkie nieprawości nraygorſze na świecie, naybardziey oſzukanie y zdradzenie. Więcey ieſzcze przydawał złorzeczeń, ktore wſzyſtkie dążyły do wymowkow przeniewierzenia tego Fernanda. Potym wymknął ſię od nas, słowa nie mowiąc, y pobiegł w gęſty las, ſkacząc tak ſzybko po cierniach y oſtrych ſkałach, iż nam nie podobna było dogonić go. To nam dało do wierzenia, iż ſzaleńſtwo czaſamy go napadało, y ktoś nazywaiący ſię Fernand muſiał mu iakąś pſotę wyrządzić, tak wielką, iż rozum utracił, y w tym nas przeświadczył, przychodząc często na przeciw naſzym Paſterzom, proſząc ich z dobrocią o iedzenie, a czaſem y gwałtem ſobie biorąc ich żywności, iak ſię znayduie przy rozumie, lub w zawrocenia

głowy. Y muſzę Wć Panu powiedzieć, daley mowi Owczarz, żeśmy ſobie ułożyli dway inni Paſterze, y ich Owczarkowie, y ia, ſzukać tego nieboraka Młodzieńca tak długo, poki go nieznaydziemy, y przyprowadzić go z chęcią, czy z przymuſem do Almodobar ośm mil z tąd, aby go tam uleczyć, ieżeli ſię znaydzie ſpoſob na iego chorobę, a przynaymniey zechcemy ſię dowiedzieć kto ieſt, y oddać go w ręce krewnych; Otoż to ieſt, co mogę Wć Panu powiedzieć na to, o coś mię zapytał; y ten, co ſię dał widzieć tak ſzybko biegaiący y prawie nagi, ieſt właściciel iſtny tłomoczka zgubionego y muła zdechłego, ktory leży w tey ſtrudze. *Don Quiſzott* zadziwiony tym, co Owczarz im rozpowiedział, tym więkſzey chęci nabył, dowiedzieć ſię kto był ten nieſzczęśliwy, co mu ſię zdawał tak mało na to zaſłużyć, godnym go znaydował politowania. Umyślił aż do końca zamyſł ſwoy doprowadzić; poſzukiwać go w całey gor okolicy, nie opuſzczaiąc żadney iamy, ażby go wynalazł; acz los lepiey

ie-

ieſzcze zdarzył, niżeli ſię ſpodziewał, bo w tym razie właśnie, uyrzał tego Młodzieńca przez roſpadlinę ſkały na wylot idącego do nich y ſzemrzącego coś między zębami, czegoby zrozumieć nie można było, choć bliſko ſię znaydowali. Tak wyglądał, iakieśmy go opiſali, oprocz że miał zwierzchnią ſuknią w gałganach, ktorą *Don Quiſzott* uznał być ze ſkory pachnącey kolet, y z tąd ſądził, iako y z reſzty iego ubrania, iż to muſiał być człowiek znaczny. Ten dzieciuch przyſtąpiwſzy do nich przywitał z uſzanowaniem, acz głoſem ciężkim y chrzypliwym. *Don Quiſzott* wzaiemny mu ukłon oddał, z tąż grzecznością, y zſiadłſzy z Roſſinanta, przybliżył ſię do niego, y ściſnął w poł, iakby go cały wiek znał; ten zaś dawſzy ſię uściſkać, y oddaliwſzy nieco od *Don Quiſzotta* położył mu rękę na ramię, y zaczął mu ſię przypatrywać, iak gdyby go chciał uznać z tymże podziwieniem y ciekawością zapewne widząc wzroſt, poſtać y ubior *Don Quiſzotta*, iak ten miał oglądać go w tak nędznym ſtanie. Pierwſzy ktory

ry zaczął mowić, był Rycerz odarty, y powiedział to, co w następuiącym Rozdziale da się usłyszyć.

ROZDZIAŁ XXIII.

Dalsze przygody Czarney Gory.

Ninieysze dzieie opisuią, iż *Don Quiszott* słuchał z wielką pilnością co mu opowiedał żałosny Rycerz od czarney Gory, ktory tak swoią mowę daley prowadził. Zapewne Mci Panie, ktokolwiek iesteś, bo go nieznam, zostaię mu obowiązanym za tę uprzeymość y przychylność co mi oświadczasz, radbym być w sposobności wyrazić więcey Wć Panu skutkiem, niż słowami zawdzięczenia, ktore mam za iego dobre przyięcie, ale moia zła fortuna nie zgadza się z uprzeymym sercem, y za tyle dobroci doznanych, nie zostaią mi tylko płonne żądze. Moie są, odpowie *Don Quiszott*, czynić mu przysługi wszędzie y zawsze, y postanowiłem sobie niewyieżdzać z tych Gor,

ażbym go ſzukaiąc ſpotkał, y żebym ſię od niego ſamego dowiedział, ieżeli ieſt iaki ſpoſob na ulżenie dolegliwości iego, co do tak ſmutnego życia Wć Pana przywodzą, żeby ten wynaleść, z naywiękſzym uſiłowaniem, y odważeniem moiego loſu. A gdyby iego uciſki były nieuleczone, przybyłem ulżyć tych iemu do znoſzenia dzieląCy ſię z Wć Panem y łzy moie do iego mięſzaiąc, gdyż przynaymniey to ieſt iedno pocieſzenie w naywiękſzych ſmutkach znaleść w ſpoł ubolewaiących nad naſzą niepomyślnością. Jeżeli Wć Pan mniemaſz, że moia chęć dobra warta iakiey wdzięczności, proſzę przez tę iego grzeczność oświadczoną mi, y zaklinam na to, coś kochał w życiu naywięcey, opowiedzieć mi, kto ieſteś? y co go pobudza w tak dzikie y odludne mieyſce chronić ſię. Poprzyſięgam mu, przydaie *Don Quiſzott*, przez Rycerſtwa obowiązki, ktore przyiąłem chociaż niegodny, że ieżeli tę łatwość dla mnie okażeſz, wzaiemnie Wć Panu wſzelkie przyſługi, co będę mogł, wypełnić zechcę, ſzukaiąc ułagodzenia

iego nieszczęść, lub też pomagaiąc znosić ie. Rycerz od Gory słysząc tak mowiącego innego Smutney Postaci, nie przestawał przyglądać mu się, y zważać go od stop do głow nieustannie się wpatruiąc, y tak należycie rozważywszy, rzecze mu: ieżeli masz co do iedzenia, Mci Panie, dla miłości Boskiey każ mi dać, iak się posilę, uczynię, czego Wć Pan żądasz odemnie. Zaraz *Sanszo* dobył z torby, y Owczarz z koszałki, czym nasycić głod odartego Rycerza, ktory iął zaiadać, iakby naybardziey zgłodniały z taką obżartością y pospiechem, że ieden kawał drugiego, y można mowić, że żarł bardziey niż iadł, nasyciwszy się, podniosł się z mieysca, y kinąwszy na *Don Quiszotta* y innych, aby za nim szli, zaprowadził ich na łąkę, ktora tam blisko była pod Gorą, gdzie stanąwszy usiadł na murawie, posiadłszy wszyscy, y ten wsparłszy się wygodnie, tak zaczął. Mci Panie, ieżeli chcesz, żebym ci opowiedział moie żałosne przygody, trzeba, żebyś mi wprzod przyobiecał, że żaden z przytomnych tu nie przerwie

wię mi iakim zapytaniem, lub innym kſztałtem, bo iak tylko kto ſłowo wyrzecze, zakończę zaraz moią powieść. To poprzedzenie przypomniało *Don Quiſzottowi* baykę, co *Sanſzo* mu rozpowiedał, gdzie dla niedokładnego policzenia koz przewiezionych przez rzekę, Powieść ſię urwała, nię mogąc iey *Sanſzo* znaleść dalſzego doprowadzenia do końca. Dla tego czynię tę przeſtrogę, przyda Rycerz Leśny, abym ſię nie długo bawił nad opowiedaniem moich nieſzczęść, ktorych gorzkie wſpomnienie tyſiąc mąk mi zadaie, tym prędzey zakończę, gdy czynić nie będziecie żadnego zapytania. Nie przeto, abym chciał zataić iaką okoliczność, upewniam, że żadney nieopuſzczę, ktoktoraby naymniey ważności miała. *Don Quiſzott* imieniem wſzyſtkich obiecał doſtateczne przyſłuchanie ſię, y milczenie zupełne; z tym zaręczeniem Rycerz odrapany tak zaczął.

Moie imię ieſt Kardenio, Oyczyzna iedno z naylepſzych Miaſt Andaluzyi, rodowitość ſzlachetna, y dom maiętny. Przecież nieſzczęścia moie

ſą

ſą tak wielkie, iż ani doſtatki znaczne, ani znakomitość moich rodzicow nie może ulgi im wynaleść. W tym ſamym mieyſcu życia początek wźięła niewypowiedzianey pięknośc Lucinda, cud urody, Szlachetna, bogata niemniey, iak ia być mogę, ale ktora niemiała dość ſtałości ſerca y umyſłu zawdzięczyć ſzczerość moiego przywiązania. Pokochałem Lucindę od naymłodſzych lat moich, wielbiłem ią w dziecinności prawie; y Lucinda mię lubiła, z tą proſtością ſerca ſzczerą, ktora ieſt zwykła niewinności tego wieku. Naſi Rodzice znali dobrze naſze ſkłonności wzaiemne, y nieſprzeciwili im ſię, bo ſię nic ſzkodliwego ztąd nieſpodziewali, rowność urodzenia y maiątku łatwieby im dały zezwolić na naſze złączenie. Miłość naſza roſła z laty; W tym Oyciec Lucindy podobny do Rodzica Thisby wſławionego u Poetow; mniemaiąc niemodz znoſić z przyſtoynością naſzey przywykłey poufałości, czyli z innych powodow, kazał mi powiedzieć przez przyiaciela, abym poprzeſtał tak częſtego przebywania w
domu

domu iego, dla uniknienia złego porozumienia. To zabronienie powiększyło miłość naſzą, y nowych żądzy natężenia przyczyniło. Jakieśmy ſię widywać przeſtali, tym więceyeśmy ſię pokochali, y przez liſty chęci wſpolne oświadczali, nic nam nie tamuiąc naſzych myśli wolno wynurzenia; a że mieliśmy ſpoſobność pewną y łatwą piſania zawſze do ſiebie, czyniliśmy to codziennie. Składałem pioſnki y wierſze miłoſne, y cokolwiek kochaiący zwykli na ułagodzenie ſwych dolegliwości wyrażać. Lucinda także wſzelkiego dokładała ſtarania, aby mi dać poznać ſwoie pieſzczone płomienie. Takieśmy ſłodzili naſze przykrości, y utrzymywali miłość wzaiemną. W wielkich bolach trzeba nie małych lekarſtw, pomierne tylko ie rozdrazniaią y więcey dokuczaią. Na oſtatku kochaniem przynaglony, y upragnieniem widzenia Lucindy zniewolony: umyśliłem proſić o nią w zamęście, y aby nie tracić czaſu, ktory mi był tak ſzacowny, ſam udałem ſię do Oyca iey uczynić tę odezwę. Odpowiedział mi

z grze-

z grzecznością, dziękuiąc za to uczczenie, ktore mu czynię, ale że Oyciec moy będąc ieszcze żyiący, do niego należało to oświadczenie ogłosić; a ieżeli ułożenie moie iest mimo iego wiadomości, lub miałby odmowić zezwolenia, Corka iego nie uczyniłaby kroku przeciwnego, y nie wydałaby się sama ani on iey nigdy po kryiomu. Podziękowałem mu za iego łaskawość, y znayduiąc, iż miał słuszną w tym przyczynę, upewniłem go, iż moy Oyciec sam przybędzie potwierdzić to nadgłoszenie. Dla tego poszedłem zaraz do niego odkryć mu moie zamysły, żądaiąc iego pozwolenia y wsparcia. Zastałem go w swoim pokoiu list otwarty w ręku trzymaiącego, ktory mi dał czytać nimem słowo mogł wyrzec. Obaczysz, opowie mi, Kardenio przez to pisanie łaskę, iaką ci Xiąże Richard świadczyć chce, ktory, iak wiadomo wszystkim iest Pan wielki Hiszpański, maiąc maiętności swoie w naylepszey Okolicy Andaluzyi. Przeczytałem list, y znalazłem go tak uprzeymy, iż sądziłem, że Oyciec moy

nie

nie mogł odmowić uczczenia, co iego y mnie ſpotykało. Xiążę tęn proſił, aby mię przyſłał zaraz do niego, gdzie ſię znaydował, żądaiąc, abym był z iego ſtarſzym Synem, bez żadnego upodlenia, tylko iako wſpołecznik dla zabawy, przyrzekaiąc ſtaranie mieć o moim dalſzym ſzczęściu, ktoreby wyrownywało dobre rozumienie, co powziął o moiey zdatności; zaniemiałem, przeczytawſzy liſt, y ledwiem nie ſtracił rozumu, gdy Oyciec mi powiedział, Kardenio wybieray ſię w drogę, za dwa dni poiedzieſz. Dziękuy Panu Bogu teraz, że ci otwiera ſpoſobność pokazania ſię, coś wart, y gdzie znaydzieſz ſławę y nadgrodę; dawſzy mi radę Oycowſką, y iako człowiek świat znaiący, kazał mi odeyść. Dzień moiego odiazdu zbliżył ſię; teyże nocy widziałem ſię z Lucindą, y uwiadomiłem ią o wſzyſtkim, co ſię działo. Byłem także u Oyca iey, y prożbę mocną do niego ponowiłem, aby mię zachował zawſze w ſwoiey łaſce y pamięci, ktorą mi okazał; a nie raczył Corki ſwoiey rozporządzić, wpokibym

nie

nie powrocił od Xcia Richarda, przyrzekł mi to; Pożegnałem ſię z Lucindą, y naſze rozłączenie było z naywiękſzym żalem, iaki tylko uczuć mogą kochaiące ſię tak mocno y naymilſze ſobie oſoby, tyſiąc przyrzeczeń y poprzyſiężeń na wzaiem uczyniwſzy, odiechałem, y ſtanąłem u Xcia, ktory mię przyiął z wſzelką ludzkością, y tyle dobroci okazania, iż wſzyſtkich domowych zazdrość pobudziłem. Starſzy Syn iego także grzecznym mię uprzedził oświadczeniem; ącz Don Fernand młodſzy piękney poſtaci, Kawaler kſztałtny, miły, y hoyny; więkſzą nad innych przychylnością mię obowiązał. Niepoiętą radość oznaczaiąc z moiego przybycia, potym mi rzekł, iż żądał, abym był iego oſobliwym przyiacielem, daiąc mi poznać to iawnie, iż był moim; lubo Brat iego ſtarſzy lubił mię, y dawał tego nie małe dowody, przecięż widziec można było znaczną rożność. A że nic taynego nie ieſt między poufałemi, Don Fernad rozumieiąc ſię tak upewnionym o moim przywiązaniu do niego, iak ia byłem

wza-

wzaiemnie przeświadczonym o iego, wſzyſtkich myśli ſwoich mi powierzył, między innemi wyznał, iż miłość go czyniła nieſpokoynym, zakochał ſię w piękney dziewczynie corce bogatego mięſzkańca podległego Oycu iego. Ta Panienka tak była urodziwa y obyczayna, że podziwieniem wſzyſtkim znaiącym ią ſtała ſię. Wiele pięknych iey przymiotow tak przeięły ſerce y umyſł Don Fernanda, iż nie mogąc iey pozyſkać za kochankę, umyślił żenić ſię z nią. A że byłem wdzięczny Don Fernandowi za iego przyiaźni zadatki, miałem to ſobie za obowiązek, odprowadzić go od tego przedſiewzięcia, y com mogł wynaleść pobudkow, wſzyſtkie mu przełożyłem do odrażenia go, ale widząc, że to nie pomagało, ośmieliłem ſię przeſtrzedz Xiążęcia Oyca iego. Don Fernand był ſztuczny y wybiegły, gdy pomiarkował, iż mi ta myśl przyiść mogła, bo cnota mię pobudzała do odkrycia tego ułożenia wyſokiey rodowitości domu iego przeciwnego; odciągnąć mię od moiego zamyſłu uſiłował, udaiąc, iż tego iuż

czynić nie zechce, nie była potrzeba odmawiać go. Powiedział mi tedy, aby mię tym lepiey uwiodł, iż nieznaydował lepſzego ſpoſobu na pozbycie ſię tey namiętności, iak oddalenie ſię na iaki czas od tey, co była iego miłości celem, y dla pokrycia ſwego odiazdu, miał mowić Xiążęciu Rodzicowi, iż życzy ſobie wraz ze mną iechać do moiego Oyca dla ſkupienia Koni, ponieważ naylepſze znayduią ſię w naſzego Miaſta okolicach. Ledwiem go uſłyſzał tak mowiącego, nie radząc ſię innego powodu, iak moiey miłości dogodzenia, na te żądanie iego przyſtać umyśliłem. Powiedziałem, że to doſtateczna była pobudka, y odległość pewno go uleczyć może; popierałem uſkutecznienia tego ułożenia. Don Fernand, iakiem ſię potym dowiedział, iuż miał związki ściſłe z tą piękną wieśniaczką, ktorey ślubował, ale tego nie śmiał wyiawić w niepewności, coby mowił Xiążę Oyciec iego, gdyby ſię dowiedział o tym Małżeńſtwie. A że miłość nie ieſt nic innego, w większey części młodych ludzi, iak namiętność nierządna,

y żą-

y żądza burzliwa, ktora przemiia y ginie używaniem. Don Fernand, iak tylko pozyſkał ſwoiey kochanki zupełną poufałość, wnet zwolniało iego kochanie; upał ſerdeczny ugaſł, y żądze gorące oziębły; ieżeli w ten czas udawał pragnąc oddalenia; teraz życzył go do prawdy. Xiążę Oyciec dał mu pozwolenie, y mnie z nim iechać zalecił. Przyiechaliśmy do Oyca moiego, gdzie Don Fernand był przyięty, iak oſoba iego doſtoyności wymagała, od ludzi naſzego urodzenia; ia poſpieſzyłem widzieć Lucindę, ktora mię przyięła mile, iako ulubionego kochanka, y ktorego ſtateczność niewzruſzoną znała doſkonale. Kilka dni zeſzło na zabawach, ktore wynaydować uſiłowano dla Don Fernanda; mniemałem być winien iemu też zaufanie, z ktorym on mi ſię powierzył, y na moie nieſzczęście miłość moią mu wyiawiłem; o Lucindy pięknośći, rozumie, ſtateczności przepowiedziałem, y tyle zachwał uczyniłem, iżem pobudził w nim ciekawość poznania oſoby, ktorą tak wielą pięknych przymiotow ozdobioną ogłoſi-

łem; y aby zaſpokoić ciekawość, ktorą mi okazywał poznania iey, dałem mu ią obaczyć w oknie niſkim, gdzieśmy zwykle z ſobą rozmawiali. Była w ten dzień uſtroiona nad zwyczay, y tak ſię wydawała kſztałtna w oczach Don Fernanda, iż tey chwili zapomniał o wſzyſtkich pięknościach, co w życiu widział, ktore ona celowała. Stanął, iak niemy, y bez zmyſłow, ſłowem zoſtał zachwycony, y tak ſię w niey pokochał niezmiernie, iako niżey powiem. Na tym więkſze zapalenie iego miłości, y przyczynienie zawiści, ktora co raz bardziey w ſercu ſię moim pomnażała; chociażem tego po ſobie nie pokazywał; trafunek zdarzył, iż mu ieden liſt Lucindy do mnie piſany wpadł w ręce, w ktorym zachęcała mię, abym o nią proſił Oyca, y naſze zamęście przyśpieſzył, w tak przyſtoynych y oſtrożnych wyrazach to namieniaiąc, iż Don Fernand wyznał, że ſama Lucinda wſzelakie piękności ciała y duſzy zabierała, ktore były podzielone między wſzyſtkie inne kobiety. Zataić nie mogę, że pochwały Don Fernanda cho-
ciaż

ciaż ſłuſzne nie podobały mi ſię w iego uſtach, y podeyrzenie mi ſprawowały; począłem ſię ukrywać przed nim, acz ile czyniłem ſtarania nie wſpominać o Lucindzie, tyle pociechy znaydował częściey ze mną o niey rozmawiać. Co chwila przytaczał mowę, y co godzina powtarzał toż ſamo, tak naciągaiąc mowę, iż o czymkolwiek innym zaczęliśmy gadać, do tego ią doprowadził. To mię w zupełną zazdrość wpędziło, nie żebym ſię obawiał czego ze ſtrony Lucindy, ktorey znałem wierną ſtateczność, ile codzienne mi iey dawała upewnienia; alem ſię lękał wſzyſtkiego od moiego złego loſu, tym bardziey, iż kochancy rzadko ſą bez nieſpokoyności. Don Fernand przy tym miał wielką ciekawość widzieć wſzyſtkie kartki, ktore odbierałem od Lucindy, y moie odpiſania; abym mu ich nie odmowił czytania, oświadczył, iż wiele znaydował radości widzieć, iak przyſtoynym ſpoſobem do ſiebie piſywaliśmy.

Trafiło ſię iednego dnia, iż Lucinda, ktora lubiła czytać kſiążki dawnych

wnych Ionakow, prosiła mię, o Amadisa z Galli, przeczytawszy; gdy mi ią odsyłała wraz z listem, ktory Don Fernand przeiął: ledwie *Don Quiszott* usłyszał mianować xiążki Bohaterow, przerwał natychmiast Kardeniowi, y rzekł mu, gdybyś mię był ostrzegł z początku zaraz, że ta piękna Panienka iest przychylna xiążkom Rycerstwa, nie trzeba było więcey mi dokładać dla poznania doskonałości iey rozumu, nigdybym iey nie sądził tak rostropną, iak wyrażasz, gdyby nie miała chęci do tak wybornego czytania. Nie trzeba mi tedy więcey dodawać, abym wierzył zupełnie, że iest prześliczna, doskonała, y zacności niezrownaney pełna, gdy ma tę skłonność; przyznaię ią y utrzymuię za osobę naycudnieyszey piękności, y nayprzednieyszych na świecie darow y przymiotow. Radbym, żebyś Wć Pan posłał iey wraz z Amadisem z Gallii dobrego Rogera z Grecyi. Jeymć Panna Lucinda zapewneby polubiła mocno Daraydę y Garacya, wraz nienaprzykrzonego Pasterza Darinela, z nieoszacowanemi wierszami

ſzami iego Bukalikow, czyli Paſterſkiemi, ktore wyśpiewywał tak wdzięcznie. Acz za czaſem będzie można nadgrodzić łatwo tę omyłkę; y to naſtąpi wprętce, gdy mi Wć Pan daſz pozyſkać ſzczęście bytności iego w moim domu, gdzie mu pokażę więcey, iak trzyſta kſiąg takowych, ktore czynią wſzyſtkę moią zabawę y pociechę, y do iego uſług ie zupełnie ofiaruię, chociaż może żadney iuż teraz nie znaydę przez złość y zazdrość překlętych Czarnoxiężnikow. Przebacz mi Wć Pan proſzę, iż przeciwko moiemu przyrzeczeniu przerwałem mu powieść, wſzakże nie podobna mi milczeć, kiedy ieſt wzmianka o Rycerſtwie błędnym; daley Wć Pan teraz prowadz mowę ſwoią, gdy mu ſię podoba. Podczas rozmowy *Don Quiſzotta*, Kardenio głowę na pierſi ſchyliwſzy, był w poſtawie człowieka głęboko zamyślonego, y chociaż go *Don Quiſzott* kilka razy proſił, aby rozpoczętą powieść kończył, ſłowa na to nie odpowiedział, ani głową ruſzył; po niemałey chwili podnioſł ią, y ſpoyrzał w gorę, oczy byſtre maiąc, przer-

wie

wie milczenie, mowiąc: Nie można tego wybić mi z myśli, y chybaby był ostatni prostak y niegodziasz, ktoby mi przeczył, że ten grubianin Mayster Elizabeth, nie sypiał z Krolową Madasimą. Nie prawda zawoła *Don Quiszott*, do wszystkich diabłow, iest to falsz iawny y szkalowanie niegodziwe. Krolowa Madasima była wyborna y cnotliwa Dama, nie masz podobieństwa, aby tak znakomita Pani bawiła się miłością z wyrwizębem. Ktokolwiek to twierdzi, zmyśla zuchwale, y niepoczciwie, dam mu to poznać zbroyno, y bez broni; konno, czy pieszo, we dnie y w nocy, y takim kształtem, iak zechce. Kardenio spoglądał z pilnością na *Don Quiszotta*, nic mu nieodmawiaiąc; gdy szaleństwa iego przychodząc napaść, nie był w stanie swoiey dopowiedzieć przygody, ani *Don Quiszott* wysłuchania go, tak był gniewem obruszony za zniewagę, iaką wyrządzano Krolowy Madasimie, co iey stronę utrzymywał z tak uporną żwawością, iak gdyby była prawdziwą iego udzielną Panią, a on iey poddanym;

nym; tyle ſobie nabił głowę głupſtwami Rycerſtwa, ktorym zaufał, iak Wiary taiemnicom. Kardenio, iakom namienił; że go napadła chwila ſzaleńſtwa, niemogł znieść zadania ſobie fałſzu, y zwanym być zuchwalcem, porwał kamień ſpory, co leżał bliſko nog iego, y ugodził tak ſilnie w brzuch *Don Quiſzotta*, iż go obalił. *Sanſzo* Panſa widząc tak ciężki pociſk, niemogł zcierpieć zbyt źle poczęſtowanego Pana ſwoiego; ſkoczył do Kardenio z pięściami ściśnionemi, ktory mu dał tak dobry odpor, iż iednym zamachem tęgiego kułaka, obalił go, y oſiodławſzy bił, y gniotł do upadły, y nie puścił, aż ſię do woli naſycił. Owczarz, ktory przybiegł na ratunek *Sanſza*, nie lepſze miał poczeſne, y Kardenio nabiwſzy ich ſię y natratowawſzy do upodobania, odſzedł ſpokoynym umyſłem ukryć ſię w knieie tych gor. *Sanſzo* powſtał, widząc, że mu tego nikt nie broni, iadowiąc ſię złością niezmierną, widzieć ſię y czuć takmocno potłuczonym: chciał zmowić na Owczarza, iż on był przyczyną, gdy

ich

ich nie przestrzegł, że ten człowiek czasami szalał, bo gdyby się o tym dowiedzieli, zapewneby się ustrzegli. Owczarz odpowiedział, że ich upominał, y ieżeli tego niezważali, nie iego wina. *Sanszo* znow przymowił Owczarzowi, ten się wymawiał, y taki koniec przymowkow y odmowkow był, że się porwali za brody y barki, tak sobie skorę wytrzepali, iż gdyby ich *Don Quiszott* nie rozbronił, w kawałyby się rozszarpali. *Sanszo* nabrał smaku do spotyczkow, y wołał na swoiego Pana. Zostaw mię Wć Pan Mci Panie Rycerzu *Smutney postaci*, ten człowiek iest tylko chłop prosty, iak y ia, nie iest Rycerzem uzbroionym, mogę z nim woiować pięściami, iak Człowiek poczciwy y zemścić się krzywdy, ktorą mi czyni. Prawda to iest, odpowie *Don Quiszott*, ale y to wiem, że on nie iest okazyą tego, co nam się stało. To mowiąc rozerwał ich, y spytał Pasterza, czyby nie można wynaleść Kardenia, bo wielką miał ciekawość usłyszeć koniec iego smutnego zdarzenia. Ten odpowiedział, iak da-

wniey

wniey, y powtorzył, iż iego legowiſka niewiedział, ale długo w tey okolicy ſzukaiąc, znaydą go lub głupiego, lub znow przy rozumie.

ROZDZIAŁ XXIV.

O rzeczach przedziwnych, ktore ſię przytrafiły walecznemu Rycerzowi z Manchy w czarnych Gorach y o Pokucie, ktorą tam czynił naśladuiąc Jonaka Piękno - Ciemnego.

Don *Quiſzott* pożegnał ſię z Paſterzem, *Sanſzo* zaś krzywo na niego z boku patrząc. Kawaler wſiadł na konia, Koniuſzy pieſzo za nim idąc, udali ſię nayprzykrzeyſzym bokiem gory, iechali czas nieiaki, nic ſię nie odzywaiąc. *Sanſzo* ledwie oddychał z ſierzbienia ięzyka dla chęci rozmawiania, acz nie śmiał zacząć; boiąc ſię przeſtąpić zakazu Pana. Widząc na reſztę, że *Don Quiſzott* nic nie zaczyna

na mowić, y nie mogąc dłużey wytrzymać milczenia. Mości Dobrodzieiu rzecze, proszę Wć Pana odprawić mię, niech idę sobie zaraz do żony y dzieci, z ktoremi przynaymniey nagadać się będę mogł do woli, y nasprzeczać, kiedy mi się zechce; bo żądać, abym za Wć Panem dążył po tych pustyniach we dnie y w nocy iak kartuz słowa nie wypuszczaiąc z ust, wolałbym, żeby mię żywo zakopano. Gdyby Pan Bog zrządził, żeby źwierzęta gadały, iak za czasow Ezopa, rozmawiałbym z Rossinantem o wszystkim, co mi przyidzie do głowy, y słowaby mi w brzuchu nie gniły, y doprawdy rzecz nieznośna iezdzić wszystko, szukać przygodow, a tylko napadać na ludzi, co nas podrzucaią, kamieniami y pięściami tłuką, a na gorszą biedę ieszcze trzeba gębę trzymać iak zaszytą, y być niemową. Rozumiem cię, *Sanszo*, odpowie *Don Quiszott*, niemożesz długo trzymać ięzyka za zębami; więc iuż go wyzwalam z więzow pod warunkiem iednak; że to służyć ma tylko do czasu, poki bawić będziemy w tych

go-

gorach; powiedz tedy, co maſz mowić. Teraz tedy iak teraz, rzecze *Sanſzo*, aby użyć tego pozwolenia, niechże ſię nagadam do naſycenia; Więc Mci Panie, daley mowiąc, coż Wć Pan za przyczynę miałeś uymować ſię tak uporczywie za tą Krolową Małmazyą? czy iak ią tam zowią? bo o to wcale nie dbam, y co Wć Panu z tego przyidzie, czy ten Helizaba był iey przyiaciel, lub nie? gdybyś Wć Pan przepuścił, co go nic nie dotykało, głupiec dokończyłby był ſwoiey powieści, nie doſtałbyś Wć Pan kamieniem w brzuch, y iabym nie oberwał guzow y kałduna zgnieconego nie miał. Bracie *Sanſzo*, odpowie *Don Quiſzott*, gdybyś wiedział, iak ia, co za poczciwa Dama była ta Krolowa Madaſima, pewny ieſtem, iżbyś przyznał, że dość ieſzcze cierpliwości miałem, żem nie wywlokł z gęby tego ozora uſzczypliwego, ktory ważył ſię bezbożnie lżyć tę Panią. Bo zapewne tak ogadywać; nie ieſtże to obrzydłe bluźnierſtwo? powiedzieć, że Krolowa ſpała z cyrulikiem? Iſtota ieſt tych dzieiow, że

May-

Mayſter Eliſabeth; (iak ten głupi namienił,) był człowiek roſtropny y do Rady zdatny; ktory wraz za Ochmiſtrza y Lekarza u tey Krolowy zoſtawał, ale myśleć o tym, że był iey poufałym nad to; ieſt to ſzkalowanie ſwywolne, y warte ukarania, y żebyś uznał, iż Kardenio gadał ſam, nie wiedział co; przypomniy ſobie, iż miał iuż rozum pomięſzany, y właśnie go napadało w ten czas głupſtwo. Ha tu Wć Pana czekałem uchwycić, zawoła *Sanſzo*, coż Wć Pan miałeś do gniewania ſię? y dbania na mowę głupiego? A gdyby nieſzczęściem ten święty kamyk trafił Wć Pana w głowę zamiaſt w brzuch, pięknie byśmy byli oporządzeni dla tey oſobliwey Jeymci, co iey niech Pan Bog przepuści y nie żywi. *Sanſzo*, zawoła *Don Quiſzott*, y przeciwko głupim, y naprzeciw mądrym każdy Rycerz błędny ieſt obowiązany bronić ſławy Dam, iakichkolwiek bądź; a tym więcey wielkich Paniow y Monarchiń znakomitych, iako była Krolowa Madaſima, dla ktorey ia mam oſobliwe uſzanowanie, przez

względ

wzgląd iey cnot przednich y przymiotow wybornych, bo nie tylko że była cudnie urodziwa, ale przy tym cnotliwa y cierpliwa w nieſzczęściach, ktore ią zewſząd otaczały. W tym ſtanie przykrym potrzebowała naywięcey roſtropnego zaradzenia. Mayſter Eliſabeth, ktory iey pomagał znośić ſtale niepowodzenia wſzelkie, y z tąd poſpolſtwo niewiadome y złośliwe wzięło pobudkę roztrząſienia bayki, iż żyli z ſobą w ściſłey poufałości. Ale łgarſtwa udaią ieſzcze raz, y ſtokroć razy zmyślaią wſzyſcy, co to powtarzać będą; a choćby tylko myśleć ważyli ſię. Ja tego nie mowię, ani myślę, rzecze *Sanſzo*, nie mięſzam ſię do cudzych ſpraw; nie mam tam co do czynienia. Jeżeli głupſtwo, zrobili to na ſwoy karb; idę z winnicy do piwnicy; z niczego nic; nie wtykam noſa gdzie mi nie należy; ani palca między drzwi, aby mi go nie przyſkrzynęli, kto kupuie y przedaie, worek iego to poznaie; a do tego urodziłem ſię nagi, y goły ieſtem, nie biorę tam, gdzie nie kładę; nie zarobię ani ſtracę; czy oni ſpa-
li

li poſpołu czy nie, nic mi z tego nie przyidzie, rozumie ſię często, że w garku ſłonina, a tam tylko ſzumowina; czy można bramę zamknąć w gołym polu? Boże mię wſpomagay, zawoła *Don Quiſzott*, iakże wiele nadziałeś razem brydniow? Hey powiedz mi, proſzę cię, co maią za przyrownanie te wſzyſtkie przyſłowia durne do tego, com powiedział? Idź, idź mięſzay ſię odtąd, abyś miał ſtaranie o ſwoim Ośle, a nie o rzeczach, co do ciebie nienależą. Ale pamiętay raz na zawſze, dobrze to w ſwoim muzgu wytłoczyć; iż cokolwiek czyniłem, czynię y czynić będę, ieſt to zawſze zdrowego rozumu ſkutek y przyſtoſowanie do praw Rycerſtwa, ktore ia znam lepiey, niż wſzyſcy inni, co ſię tym bawili kiedykolwiek. Hey zaprawdę, Mci Panie, czyż to ieſt dobre prawo Rycerſtwa? żebyśmy ſię błąkali po tych ſkałach, iak ludzie wyklęci y ſtraceni; nie widząc ani drogi, ani ścieſzki, ſzukaiąc czegośmy niezgubili, chyba kogo, coby nam dokuczył do reſzty, Wć Panu głowę potłuc a mnie żebra. Dość iuż na tym ie-

ieſzcze raz powie *Don Quiſzott*, wiedz o tym, że moy zamyſł ieſt nie tylko, wynaleść tu tego głupiego nieboraka, ale ieden uczynek ieſzcze wypełnić w tych gorach, ktory mi wielką ſławę ziedna między ludzmi, y moie Imię w wiekopomną pamięć poda; właśnie Szachmet zrobi wſzyſtkim Rycerzom przeſzłym y przyſzłym. Czyli ieſt niebeſpieczna ta czynność Wć Pana, zapyta *Sanſzo*. Nie, odpowie *Don Quiſzott*, chociaż mogłoby poyść przeciwnym obrotem, iżby ſię odmieniło na zgubę zamiaſt wyiścia na dobre, ale to zawiſło od twoiey poſpieſzności. Od moiey, Mci Panie pilności? zawoła *Sanſzo*. Tak ieſt moy przyiacielu, odpowie *Don Quiſzott*, bo ieżeli powrociſz prędko z iego mieyſca, gdzie myślę posłać cię i moie umartwienie ſkończy ſię prętko, a zacznie ſię wiek pełen chwały y pomyślności. Ale na co ſię dłużey wytrzymywać w niepewności? Trzeba, żebyś wiedział wierny Koniuſzy, iż ſławney pamięci Amadis z Gallii, był ieden z naydoſkonalſzych Rycerzow błędnych na świecie; co mo-

wię, ieden, on sam tylko był przynaymniey pierwszy poprzednik y Xiąże wszystkich, ktorzy tylko byli aż do niego y po nim, iego naśladowcy, y niechay Belianis, ani żaden inny nie ważą się przyrownać mu, oszukaliby się, rożność iest znaczna ich, iak od białego do czarnego, nie masz żadnego, iż malarz każdy, ktory się chce wsławić w swoiey nauce, stara się naśladować naylepsze pierwsze malowania, y wybiera za wizerunek nayprzednieyszych Malarzow obrazy, ktorych tylko zna, y to być powinno prawidłem wszystkich nauk y sztuk, ktore są ozdobą Pańśw. Tak właśnie, kto chce pozyskać zaszczyt cierpliwego y stałego powinien brać przykład z Ulissessa, ktorego Homer nam okazuie, iako wyobrażenie y wzor rostropności y wytrzymałości. Y tak Wirgiliusz nam podaie w osobie Eneasza widok doskonały miłości Synowskiey ku Oycu, y wraz mężnego Bohatyra rostropność, każdy z nich opisuiąc tych walecznych mężew! może nie tak, iak byli, ale raczey iak być powinni; tymże kształ-

tem

tem Amadis z Gallii Gwiazda połnocna, iutrzenka y słońce odważnych, y miłośnych Jonakow będąc, iego powinniśmy naśladować wszyscy; co iesteśmy woiuiący pod Chorągwiami Miłości y Rycerstwa błędnego. Tak to będąc, iako iest zapewne, znayduię tę prawdę, iż Rycerz obłąkany, ktory naylepiey będzie w iego ślady wstępował, naywięcey się przybliży do doskonałości. Przeto iedna rzecz, w ktorey naywięcey wielki Amadis dał poznać swoiey rozważności y odwagi; stałości y miłości skutkow; była zapewne ta, iż się udał na ubogą skałę, aby tam odprawił pokutę pod nazwiskiem pięknego ciemnego, Imię zapewne wiele znaczące, y przyzwoite sposobowi życia, ktore chciał prowadzić, y sobie ie obrał. A że mnie iest daleko łatwiey czynić na iego podobieństwo pokutę, niżeli płatać na dwoie Olbrzymow nadzwyczayney wielkości, rozcinać Pałozy, zabiiać Gryffy, woyska całe zbiiać, rozpruszać okręty zabrane y flotty, y czarodzieystwa odczarować; a do tego mieysca te dzikie

ſą ſpoſobne na ten zamyſł, nie chcę utracić pory, ktora mi ſię zdarza tak pomyślna. Ale Mci Panie, zawoła *Sanſzo*, coż to Wć Pan zamyślaſz robić w tak okropney puſtyni? Hey, czym ci nie powiedział, że chcę czynić na wzor Amadiſa, udaiąc człowieka bez zmyſłow, w rozpaczy, w zapalczywości zoſtaiącego, na podobieńſtwo także Rolanda walecznego dokazywać głupſtwa rożne, ktore on czynił, gdy ſię dowiedział, że Angelika tak zdradliwie ſię oddała w ręce Medorowi, co go tak ſrodze zmartwiło, iż ogłupiał; wyrywał drzewa z korzeniami, mącił wody w rzekach, bydło y owce mordował, zabiiał Paſterzow palił ich chaty, zabierał ſtada, y tyſiąc innych zbytkow wyrządzał godnych wiekopomney pamięci, y chociaż nie ieſtem nakłoniony zupełnie naśladować Rolanda Orlanda, czyli Rotolanda, bo te wſzyſtkie miał nazwiſka w ſwoich ſzaleńſtwach, przynaymniey chcę wybrać treść ich, y te, co za prawowierne uchodzą. Może przeſtanę tylko na poſtępowaniu przykładem Amadiſa, ktory nie czyniąc dziwow

wow zbyt znacznych y ſzkodliwych, acz tylko wyrzekania y ięczenia, nabył tak ſiła pochwał, iż więcey nietrzeba. Zdaie mi ſię Mci Panie, rzecze *Sanſzo*, iż Rycerze, ktorzy te dziwactwa, y pokuty odbywali, mieli iaką pobudkę do tego, ale Wć Pan iaką maſz przyczynę ſtać ſię nieroſtropnym? Co za Dama Wć Panem pogardziła? y iakie poznaki maſz, iż Jeymć Dulcynea z Toboſo pogziła ſię z Turkiem, albo Chrześcianinem? Otoż to ieſt ſęk, y ta wyborność moiego przedſięwzięcia, Rycerz obłąkany aby zoſtał głupim bez powodu; ten ieſt węzeł y znakomitość dzieła, ſtracić rozum bez przyczyny; y przez to dać poznać ſwoiey Damie, czego być mogę zdolny w zdarzeniu; gdy to wſzyſtko podeymuie, nic mię do tego nie nagląc; ale na koniec tak długi czas przez ktory oddalonym zoſtaię od nieporownaney moiey Dulcynei; czy mi nie ſprawuie doſyć pobudkow do tego? iak ſłyſzałeś od Paſterza Ambrożego, iż odległość daie, obawiać ſię y poczuwać wſzelkich złych ſkutkow. Dla tego Bracie *Sanſzo*, nie trać darmo czaſu

ſu, aby mię chcieć odciągnąć od tak rzadkiego y chwalebnego, tym Boha-terom rowienniCtwa. Jeſtem ogłupiały, y chcę nim być, wpoki ty niepowrociſz z odpiſem na liſt, co ci chcę, dać, abyś zawioſł do Jeymci Dulcynei, ieżeli ią znaydzieſz przychylną moiey wierności, odpowiedaiącą wzaiemnością, przeſtanę zaraz być głupim, y pokutować zaniecham. Acz ieżeli nie będzie łaſkawą, y nizmiernie zakochaną we mnie, zoſtanę w ſzaleńſtwie koniecznym, w tym ſtanie nic poczuwać nie będę; tak dalece, że iakokolwiek mi odpiſze ta Dama, zawſze wyidę dobrze na ſwoie, lub cieſząc się, iako człowiek roſtropny z pomyślności, ktorey ſię ſpodziewam za twoim powrotem, albo iak bezrozumny, nie poczuwaiąc przeciwności y wzgardy, ktorą mi przywiezieſz. Ale nie poſpołu rzeczy mowiąc, *Sanſzo*, czyś wyratował Myſiurkę z Mambrynu? poſtrzegłem to, iżeś ią podnioſł, gdy ten niewdzięcznik uſiłował ią potłuc w kawałki; coż ſię z nią ſtało? Dali Bog, Mci Panie Kawalerze Smutney

po-

postaci, zawoła *Sanszo*, nie mogę znieść niektorych rzeczy, co Wć Pan powiedasz, y daią mi do wierzenia, iż to wszystko, co Wć Pan wygaduiesz o Rycerstwach, o zdobyciu Krolestw y Cesarstw, rozdaniu wyspow według zwyczaiu Rycerzow błędnych, wszystko to są wiatry y łgarstwa. Hey ki diabeł, Boże mi odpuść, może wierzyć, aby Miedniczka Balwierska była Mysiurką z Mambrynu, y widzieć kogo w tym błędzie trwaiącego przez kilka dni, aby nie sądzić iż to udaiący stracił rozum? Mam tę Miedniczkę w moich sakwach potłuczoną y zgnieciona, wziąłem ią, aby dać narządzić y użyć iey do ogolenia sobie brody ieżeli mi Pan Bog pozwoli oglądać moią żonę y dzieci. *Sanszo*, rzecze *Don Quiszott*, na tego Boga, co się zaklinasz, iesteś Koniuszy naymnieyszego rozeznania ze wszystkich, co byli na świecie. Czy można od tak dawnego czasu, iak iesteś ze mną, żebyś tego ieszcze nie poiął, iż wszystkie czynności Rycerzow błędnych zdaią się na pozor dziwactwa, nieroztropności y

iza-

ſzaleńſtwa, y opacznie ſię okazuią, nie dla tego, żeby takowe były w iſtocie; ale że między nami znayduie ſię mnoſtwo Czarownikow; ktorzy przemieniaia y przewracaią wſzyſtko przeciwnie do ſwoiey woli; iak chcą komu pomodz, albo zaſzkodzić; y to ſprawuie, że co ia widzę być Hełmem z Mambrynu, tobie ſię wydaie Miedniczka Balwierſka, a komu innemu znow odmiennie ſię ukazywać będzie. Zadziwia mię w tym przezorność Mędrca, ktory ieſt moim obrońcą, iż w to potrafił, żeby wſzyſcy ten ſzyſzak z Mambrynu mniemali za Balwierſką Miedniczkę, bo będąc nayſzacownieyſzą rzeczą na świecie, y naypożądańſzą nigdybym niemiał o nią pokoiu; trzebaby mi tyſiąc ſpotyczkow odprawić, broniąc tey oſobliwości, a tak pod pozorem omylnym nikt o to nie dba, iako to okazał ten zuchwalec, chcący go potłuc, y lekce ważąc, iż nie zabrał; nie znaiąc ſię na tym, Zachoway go moy kochany *Sanſzo*, teraz niepotrzebuię, y owſzem chcę ſię ze zbroi rozebrać, y wcale obnażyć, iakiem wy-
ſzedł

ſzedł z żywota Matki, przynaymniey ieżeli uważę, iż mi przyzwoiciey będzie naśladować pokutę Rolanda, czyli Amadiſa bardziey; kończąc tę rozmowę ſtanęli pod wyſoką ſkałą, ktora od innych była odłączona, iak gdyby umyślnie oderwana. Mały ſtrumik płynął cicho w nizinie, y krętym biegiem napawał łąkę, ktora tę opokę otaczała. Zywa zieloność trawy, ſiła drzew dzikich zioł y kwiatow, ktoremi okryta była gora, wydawały to mieyſce nayprzyiemnieyſze na świecie. Ta okolica podobała ſię niezmiernie Rycerzowi Smutney poſtaci, ktory ią obrał na ſwoie pokutowanie, wziął ią w ſwoie poſiadanie w tych wyrazach, iak gdyby zupełnie y do oſtatka rozum utracił. Otoż to ieſt — O Niebo! zawoła, to mieyſce, ktorem ſobie wybrał opłakiwać nędzny moy ſtan, do ktorego przywiedziony ieſtem. Chcę, aby moie łzy przyczyniały wod temu ſtrumikowi y moie wzdychania nieuſtanne wzruſzały liście y gałązki iednoſtaynie tych drzew, aby dać poznać całemu światu ſrogą mękę y nieſłychane uciſki,

ſki, iakie cierpi moie ſerce. O wy! ktorzykolwiek ieſteście Bożkowie Leśni, mięſzkańcy tych puſtyniow ſłuchaycie użaleń nieſzczęśliwego kochanka; ktorego długie oddalenie, y zawiść przywidziana ſprowadziły w te okropne mieyſca; opłakiwać ſwoy zły los, y uſkarżać ſię wolno na ſrogość piękney niewdzięczney, w ktorey iedney Niebo zebrało wſzyſtkie przymioty ludzkiey piękności. O! wy Dryady, y Amadryady, co zwykle w dzikich gorzyſtościach przemięſzkuiecie; abyście beſpieczne były od Satyrow napaści, co waſzą ſpokoyność mięſzaią, pomożcie nad moiemi niepomyślnościami utyſkiwać, a przynaymniey niechay wam ſię nie przykrzy ſłuchać ich. O! Dulcyneo z Toboſo słońce moich dni, mieſiącu moich nocy, ſława moich myśli, magneſie moich podroży, gwiazdo moich przygod, niechay ci Niebo zdarza zawſze weſołe dni w powodzeniach, zaklinam cię mieć litość nad ſmutnym ſtanem, w iaki mię w pędza twoia okrutna odległość, y aby twe ſerce ſtało ſię zmiękczone ſtatecznością

mo-

moiey wierności. O! wy drzewa gęſte y odludne, ktore odtąd będziecie towarzyſzyć ze mną w tey oſobności, daycie mi poznać przez miłe liści waſzych ſzemranie, y przez ſzamotanie gałązkow, że wam moia przytomność nie ieſt naprzykrzona. Y ty moy ulubiony Koniuſzy przychylny, y wierny wſpołeczniku wſzyſtkich moich przypadkow, uważay pilnie, co czynić będę nie opuſzczaiąc naymnieyſzey okoliczności; abyś umiał opowiedzieć dokładnie tey, co dla niey to wypełniam y cierpię. Miły Roſſinancie, nie oddzielnie ze mną wſzędzie przebywaiący, y tak wygodnie mi uſłużny, nie tylko w pomyślności, ale y w przeciwney fortunie; ty, coś podzielał moie dobre mienie, y moie troſkliwości, przebacz mi, iż teraz rozłączam ſię od ciebie, y wierzay, że nie bez żalu porzucam cię. To mowiąc zſiadł z konia. zdiął prętko ſiodło y uzdeczkę. pogłaſkawſzy go po krzyżu, rzekł mu, z weſtchnieniem. Ten, co ſtracił ſam wolność, daruie cię nią, o biegunie tak wyśmienity przez twoie wielkie dokazy-

kazywanie iak upośledzony w złym losie moim, idź sobie, gdzie zechcesz, wszędzie będziesz wiadomy, nosisz na czele znamię dzielności, że ani Hipogryf Astoldha, ani znakomity Frontin, ktory tak siła kosztowoł Bradamanta, nie zrownali twoiey szybkości y żwawości. Przeklęty niech będzie, zawoła w tym mieyscu *Sanszo*, y po tysiąc razy wyklęty, ten, co mię pozbawił kłopotu odkulbaczenia moiego osła, nie brakby mi było y dla niego podchlebnych słow y pięknych zachwaleń. Ale coż choćby tu był niebożątko, za coż mu zdeymać okulbaczenie? cożby mu z tego przyszło patrzyć na cudze zakochane głupstwa y zwątpienia, gdy iego Pan, co ia sam iestem nie miał w sobie nigdy ani iednego, ani drugiego; ale powiedz mi Wć Pan Mci Panie szczerze, ieżeli moia podroż y Wć Pana szaleństwa są prawdziwe, czyby nielepiey było osiodłać znow Rossinanta, aby zastąpił mieysce moiego osła, y powrot moy był tym pospiesznieyszy, bo ieżeli mam piechotą wlec się, niewiem kiedy tam zaydę, y iak

prę-

prętko powrocę, gdyż wcale ze mnie zły piechotnik. Czyń, iak ci śię podoba *Sanſzo*, odpowie *Don Quiſzott*, zdaie mi śię że nie ze wſzyſtkim źle mowiſz. Jednak aż za trzy dni wyiedzieſz z tąd, chcę cię umyślnie zatrzymać przez ten czas, abyś widział, co dokazuię dla moiey Damy, y wſzyſtko iey opowiedział dokładnie. A cożbym więcey mogł obaczyć, rzecze *Sanſzo*, nad to, com śię iuż napatrzył? Jak daleki ieſteś ieſzcze od iſtoty y treści myśli moich. Czyliż mnie nie należy, żebym ſuknie podarł na ſobie, broń porozrucał ſztuka po ſztuce, żebym ſkakał głową na doł, a nogami do gory po ſkałach, y żebym tyśiąc innych tym podobnych wydziwień czynił, ktoreby ſprawiły zadumienie wſzyſtkim. Dla miłości Boſkiey, uważay Wć Pan dobrze odezwie śię *Sanſzo*, iak będzieſz te ſkoki odbywał, mogłbyś w takie mieyſce głową trafić, że za pierwſzym koziołkiem zakończyłbyś na zawſze pokutę. Mnieby śię zdawało, ieżeli te podſkoki na łeb koniecznie ſą potrzebne; iżby uczynek dobry nie był ważny

żny bez nich; abyś Wć Pan przestał na tym, ponieważ są rzeczy zmyślone y tylko na wzor czynione, żebyś to w wodzie miałkiey, albo na piasku, a naylepiey na pierzynie wypełnił; a ia iednakowo nie omieszkam powiedzieć Jeymć Dulcynei, żeś to Wć Pan uiścił na skałach ostrych iak brzytwy, y twardych iak żelazo. Dziękuię ci *Sanszo*, odpowie *Don Quiszott*, za twoią chęć życzliwą; ale trzeba, abyś wiedział, iż to nie są żarty, ani wymyślone rzeczy, acz rzetelne uczynki, bo inaczey byłoby grzeszyć przeciwko ustawom Rycerstwa; ktore nam zakazuią szalbierstwa pod karą być ogłoszonemi za niegodnych tego społeczeństwa; a iedną rzecz za drugą udawać, iest to łgarstwo popełniać, dla tego moie koziołkowania muszą być niezmyślone; prawdziwe; stałe; y ważne; bez żadnego podstępu. Jednakże musisz mi zostawić płatkow do przyłożenia na rany, gdyśmy Balsamu pozbawieni. To gorsza, żeśmy stracili osła, ktory dźwigał wszystko, y ten trunek. Ach proszę Wć Pana, rzecze *Sanszo*, niewspominać

minać mi o tym bezecnym napoiu, bo gdy tylko ſłyſzę mianować go, zdaie mi ſię, że kiſzki y wątrobę z zywota wyrzucę. Racz Wć Pan y to pamiętać, iż trzy dni, ktoreś miał obrocić na pokazanie mi ſwoich dziwow iuż minęły, y mam ie za widziane, nie odwołuiąc ſię na nic. Wielkie cuda będę powiedał Jeymci Dulcynei, zoſtaw mi to Wc Pan do woli, napiſz tylko, a prętko mię wypraw, bo ledwie ſię niewściekę z niecierpliwości, abym prętko powrocił wybawić Wć Pana z czyſca, w ktorym go zoſtawuię. Nazywaſz *Sanſzo* czyſcem? odezwie ſię *Don Quiſzott*, raczey Piekłem mianuy, y co gorſzego, ieżeli być może na świecie. A kto raz w piekle, rzecze *Sanſzo*, nie ma iuż zabawienia, iakom o tym ſłyſzał. Co chceſz mowić przez to, nie rozumiem, powie *Don Quiſzott*, chyba bez wybawienia? wſzyſtko to iedno, odpowie *Sanſzo*, że kto raz tam wlezie, iuż więcey nie wylezie; co iednak Wć Panu nie życzę y nieſtanie ſię, chybabym nie mogł piętami ruſzać y poganiać Roſſinanta; iednak wymawiam ſobie,

bie, aby mię tak oddał, iak bierze, przed Jeymć Dulcyneę z Toboso, ktorey opowiem, co nie miara rzeczy cudacznych o Wć Pana głupstwach y wydziwianiach, bo mi się zdaie, że to wszystko iedno, iz ią zrobię tak miętką, iak bawełnę, choćby była twarda iak dąb, y odpisanie wyciagnę słodziuchne iak miod, z ktorym przylecę na powietrzu iak czarownik wydźwignąć Wć Pana z czysca, co się zdaie piekłem, ale nie iest nim. Ponieważ iest nadzieia wyiść z tąd, a powiedaią, że z piekielney iamy iuż niemożna się wydobyć, raz tam nogę wściubiwszy, co także podobno iest zdaniem Wć Pana. Zapewne, odpowie *Don Quiszott*, ale z kąd wynaydziemy porządek do pisania listu; y rozkazu na osiołki, przydał *Sanszo*. Nie zapomnę o tym, doda *Don Quiszott*. A że nie mam papieru, muszę pisać na skorze z drzewa, albo miedzianych tablicach. Jednak przypominam sobie, że mam ksiąźeczkę pamięci Kardenia, ktore będą zdatne do tey roboty, a ty starać się będziesz dać to przepisać pięknie w pierwszym

Mia-

Miaſteczku, gdzie znaydzieſz Szkolnika, a ieżeli go nie będzie, to Organiſta w Parafii wypiſze to kſztałtnie, ale ſię ſtrzeż, aby tego nie nagryzmolił prawnis iaki, boby y ſam diabeł nieprzeczytał. Dobrze, rzecze *Sanſżo*, acz iak podpis ma dołożyć? Nigdy Amadis nie podpiſywał ſwoich liſtow, odpowie *Don Quiſzott*, o to mnieyſza, powie *Sanſżo*, atoli liſt dawczy na oſiołki muſi być należycie podpiſany, bo gdybym dał przepiſać, powiedzieliby, że zmyślony, otoż moie oſły ſtracone. Będzie także, odpowie naſz Rycerz, na tey kſiążeczce to zalecenie wyrażone, y ode mnie podpiſane, gdy moia Sioſtrzenica obaczy imię moie, bez żadney trudności uczyni zadoſyć moiey woli. Co liſt miłoſny zamiaſt podpiſu, tylko tyle daſz dopiſać niſko: Twoy aż do zgonu Rycerz Smutney Poſtaci. Nie trzeba ſię turbować, że podpis inney ręki nie moiey, bo ieżeli dobrze pamiętam, Dulcynea nie umie ani czytać, ani piſać, y w życiu ſwoim liſtow moich, ani piſania niewidziała. Naſza miłość była zawſze w

duchu, y nie przechodziła nigdy granic cnotliwego weyrzenia, y to tak rzadko bywało, iż mogłbym przyſiądz, że od lat dwunaſtu, iak mi ieſt milſza, niż moie życie, ledwie cztery razy ią widziałem, y może nigdy tego niepoſtrzegła, żem na nią ſpoglądał, tak Wawrzeniec Korchicelo Jey Oyciec y Aldonſa Nogalis iey Matka ſtrzegą iey mocno y trzymaią ściśle. Czy podobna? do prawdy? zawoła *Sanſzo*, Corka Wawrzeńca Korchicela Aldonsa Lorenzo ieſt Jeymć Dulcynea z Toboſo? Taż ſama, odpowie *Don Quiſzott*, y warta ieſt być Panią całego świata. Ha, znam ią dobrze, dzwignie drągiem tak ſilnie, iak chłop ktory z naſzych wieyſkich. Na Boga żywego! co za Stworzenie? ieſt proſta y grubo płaſka dobrze zrobiona. Do prawdy, może ſię ſpotkać należycie z Jonakiem błędnym, co ią obierze ſobie za kochankę. Tam do kata, iak ieſt doſadna, y dobrego złożenia ciała. Głoſek iaki wdzięczny ma, raz wlazła na dzwonnicę Kościoła naſzey Wſi, zaczęła krzyczyć na parobkow ſwoiego Oyca, ktorzy byli

zda-

zdala od niey prawie o poł mile, tak wyraźnie ią ułyſzeli, iak gdyby tuż byli przy dzwonnicy. Co ma naylepſzego w ſobie, to, że nie ieſt pogardna, z każdym poigra y żartuie ze wſzyſtkiego. Ho zapewne teraz Mci Panie Kawalerze Smutney Poſtaci możeſz dla niey czynić tyle ſzaleńſtw, ile chceſz, w roſpacz wpadać y powieſić ſię, nikt nie powie, żebyś to Wć Pan miał źle zrobić, choćby go y diabli wzięli; Aldonſa Lorenzo, moy Boże! ledwie ſię nie ſpiekę z chciwości iechania, aby ią widzieć, muſiała ſię teraz znacznie odmienić na słońcu, na dworzu zawſze, co dzień w pole, to bardzo pſuie twarze kobiet. Muſzę Wć Panu przyznać ſię do iedney rzeczy Mci Panie *Don Quiſzott*, iż żyłem do tąd w wielkiey niewiadomości. Przyſiągłbym był, iż Jeymć Dulcynea była iaka wielka Xiężna, w ktorey ſię pokochałeś, albo inna Dama znakomita, ktoraby godna była tak oſobliwych darow, co iey Wć Pan poſyłałeś, iako to Biſkayczyka, więźniow z Galer, y innych tak wielu, co ſobie wnoſzę, iż

rożne zwycięstwa z nich odniosłeś, w czasie nimem ieszcze miał szczęście być iego Koniuszym. Acz uważaiąc, iż to iest dziewka, Aldonsa Lorenzo, to iest Jeymć Dulcynea z Toboso, przed ktorą ci, coś ich Wć Pan pokonał, maią upadać na kolana, myślę, iżby mogli w tym czasie zeyść ią, iakby konopie czesała, albo młociła w stodole, y ci ludzie wstydziliby się klękać przed stworzeniem, tak nieochędożnym, y onaby drwiła może z takiego daru. Jużem ci mowił kilka razy *Sanszo*, rzecze *Don Quiszott*, że iesteś wielki gadacz y ladaco, chociaż nie okrzesany y prostak, wysadzasz się na dowcip, y przytyki daiesz. Z tym wszystkim moy przyiacielu, chcę ci dowieść, iż ia mam ieszcze więcey rozumu, niż ty głupstwa, y zamiast gniewać się na twoią mowę prostą, nauczę cię, iż co mogę żądać od Dulcynei z Toboso, ma to wszystko, y iest tak dobra, y więcey iak naylepsza Xiężniczka na świecie Wszyscy Poetowie; ktorzy wysilali się na pochwały Dam wierszami pod nazwiskami wymyślanemi według ich upo-

podobania, nie ſą przez to ich prawdziwemi kochankami. Czy myślisz, że Sylwie, Philidy, Dianny, Amaranty, co w wierſzach y na widowiſkach śpiewaią o nich, były ſtworzenia z ciała y kości złożone, y ulubione tych, co ich wyſławiali? Nie, zapewne, ſą to wynalazki Poetow, ktorzy dla zakazania ſię z rozumem, y przydania wierſzom ich zaſzczytu, aby wierzano, gdy ſą zakochani, iż muſzą być ludzie uczeni y zacni tak udawali. Jeſt tedy doſyć dla mnie, że Aldonſa Lorenzo ieſt piękna y poczciwa, co do iey urodzenia nie turbuię ſię, y nie wchodząc w to, tak ieſtem z niey kontent, iak gdyby była naypierwſzą Xiężniczką. W tym cię uwiadomić chcę *Sanſzo*, ieżeli nie wieſz, iż rzeczy, ktore nas naywięcey zakochuią, ſą cnota y urodа, y te ſię znayduią w tak wyſokim ſtopniu w Dulcynei, iż ieſt bez wſzelkiey wątpliwości naypięknieyſza y naypoczciwſza na świecie. Słowem tak ſobie głowę nabiłem, iż to wſzyſtko ieſt w iſtocie, iak mowię naymnieyſzey rzeczy niebrakuiąc. To ułożenie przedſię wzią-

ſięwziąłem uiścić według moiego życzenia, y tak ią ſobie przed oczy wyſtawiam, iż Heleny, Lukrecye, y wſzelkie Bohaterki Greckie, Łacińſkie y innych narodow nie zrownaią iey ſię. Niechay mowią, co chcą, ieżeli proſtacy nie pochwalą, poczciwi ludzie będą zawſze moiego zdania. Mci Panie, rzecze *Sanſzo*, Wć Pana prawda wſzędzie y zawſze, ia zaś proſtak, y iak oſieł ieſtem. Ale za coż u diabła to nazwiſko przychodzi mi do gęby? Nie trzeba wſpominać o ſzubienicy w domu wiſielca. Jakożkolwiek bądź piſz Wć Pan liſty, niechay ia ſię z tąd wydobędę. *Don Quiſzott* odſzedłſzy na ſtronę dla napiſania, zawołał *Sanſza*, mowiąc: iż chce mu przeczytać liſt, aby ſię go na pamięć nauczył, boby mogł zgubić go w drodze, ile pełen będąc obawy od ſwoiego loſu przeciwnego. Nie wſzyſtko Wć Pan przybaczyſz ſobie wraz, rzecze *Sanſzo*, lepiey kilka razy go przepiſać w tey kſiążeczce, bo myślić, żebym ia miał ſię go nauczyć na pamięć, ieſt niepodobieńſtwo, tak ladaco mam przybaczenie,

nie,

nie, iż często zapominam moiego nazwiſka. Jednakże proſzę Wć Pana chciey mi go przeczytać, domyślam ſię, iż ieſt iak ulany, y rad go uſłyſzę. Więc poſłuchay, powie *Don Quiſzott.*

Liſt *Don Quiſzotta* do *Dulcynei.*

„ Ten, co ieſt do żywego prze-
„ bity oſtrym końcem twoiey nieprzy-
„ tomności, y ktorego miłość zraniła
„ w części naydotkliwſzey ſerca życzy
„ ci zdrowia, ktorego ſam nie używa,
„ Naymilſza Dulcyneo z Toboſo. Je-
„ żeli twoia piękność mną pogardza,
„ ieżeli twoia cnota dla mnie będzie
„ niewzględna, y gdy twoie wzgardy
„ nie przeſtaną, nie podobna, abym
„ wytrzymał tak wiele dolegliwości.
„ Chociażem przyzwyczaiony do cier-
„ pienia; bo moc uciſkow ieſt mo-
„ żnieyſza niż moia możność. Moy
„ wierny Koniuſzy *Sanſzo*, opowie ci
„ dokładniey, piękna niewdzięczna, y
„ zbyt miła nieprzyiaciołko, o ſtanie,
„ w iakim ſię znayduię dla ciebie, y

„ mę-

„ mękach, ktore znoſzę. Jeżeli maſz
„ dość litości poratować mię, uczy-
„ niſz uczynek ſłuſzny; godny ciebie
„ y mnie; obowięzuiąc mię wybawiſz
„ dobro ſwoie właſne, ieżeli nie, czyń
„ co ci ſię podoba, kończąc życie za-
„ doſyć uczynię twoiey ſrogości y mo-
„ im żądaniom.

Ten co ieſt twoim aż do zgonu ży-
cia Rycerz Smutey Poſtaci.

Hey na moią brodę zawoła *Sanſzo*, ieżeli to nie ieſt ieden z naylepſzych liſtow, ktorem widział. Tam do kata Wć Pan wſzyſtko dobrze umieſz, y mowiſz, co chceſz, iak tam przyſadziłeś gładko Rycerza ſmutney poſtaci. Doprawdy, mowię to, że Wć Pan prawy diabeł ieſteś do wymyſłow, y nie maſz tego na świecie, czegobyś niewiedział. Trzeba na wſzyſtkim ſię znać rzecze *Don Quiſzott* w tey zakonności Rycerſtwa, ktore ia wyznaię. Teraz nie przepominaiąc, powie *Sanſzo*, napiſz Wć Pan z drugiey ſtrony na trzech oſłow wydanie rozkazu, y wyraźnie ſię Wć Pan podpiſz, aby u-
znano

znano, że Wć Pana rzetelna ręka y pismo. Tak uczynię, odpowie *Don Quiszott*, y napisawszy przeczytał.

Moia Siostrzenico zapiacisz za tym moim iedynym wexlem trzy osty z piąciu, co w domu moim zostały, na Osobę *Sansza* Pansy, lub iego ukazicielowi, odebrałem wartość ich. Przyięte będą za oddaniem mi tego pisma y za kwitowaniem *Sansza*. Działo się w pośrod czarney Gory, 26. Sierpnia Roku ninieyszego.

Jest dobrze napisano, Mci Panie, rzecze *Sanszo*, tylko Wć Pan podpisz, nie trzeba moiego podpisu, odpowie *Don Quiszott*, tylko znak moy położę, służyć może na trzysta ostow. Spuszczam się na Wć Pana, odmowi *Sanszo*, Poydę osiodłać Rossinanta, przygotuy się Wć Pan dać mi swoie błogosławieństwo, bo muszę odiechać zaraz, nie bawiąc się patrzeniem na Wć Pana dziwactwa, co zamyślasz robić, powiem, żem ich tyle widział, y aż nadto, pewny iestem, iż na tym przestanie

ſtanie ta Jeymć. Chcę przynaymniey *Sanſzo*, abyś mię widział nagiego, powtorzy *Don Quiſzott*, y należy ſię, żebym przed tobą dokazał ze dwa tuziny głupſtwow, z ktoremi ſię ia ſzybko uwinę, abyś oglądaiąc to właſnemi oczami, mogł ſumiennie poprzyſiądz, y na te nawet, ktorebyś chciał przydać nie widząc; bo upewniam cię, że połowy ieſzcze nie powieſz tyle, iak ia ich robić będę. Co temu; to łatwo wierzę, powie *Sanſzo.* Ale Mci Panie dla miłości Boſkiey, żebym Wć Pana nago nie widział, nie mogłbym ſię wſtrzymać od płaczu. Jużem tey nocy rzewliwie płakał moiego oſła ſtraconego, ktorego tak mocno kochałem, iak Wć Pana, że mi nie trzeba powtarzać żalu y rozkwilenia' Ale ieżeli koniecznie trzeba, abym patrzył na te cuda, co Wć Pan chceſz robić, czymprędzey ſię uwiiay, y pierwſze co mu przyidą po głowy nie przebieraiąc; chociaż dla mnie obeſzłoby ſię bez nich, y to gdy będzie czas moiey podroży utracony, nie przywiozę tak prętko odpiſania, iak Wć Pcn żądaſz, y co iego do-

dobroć wymaga. Zapewne Jeymć Dulcynea może ſię przygotować iak naylepſzy mi dać odpis, bo na Boga ſię zaklinam, ieżeli nie nagryzmoli pięknie, iak ſłuſzność każe, to iey go z gardła wywlekę ten liſtek, pięściami po pyſku y dobrze odrachowanemi macaiąc y nogami w brzuch nie pomału. Tak, tak właśniebym to mogł zcierpieć, żeby Rycerz obłąkany tak ſłuſzny, iak Wć Pan ogłupiał, ni ſiadſzy, ni padſzy dla iedney — Niechay mię nie ciągnie za ięzyk moia śliczna Dama, y proſto ſobie poſtępuie do rzeczy, bo na moią poczciwość nie trzeba mi ſłow wyciſkać, ſame idą do gęby. Patrzcie iak znalazła ſwoiego człowieka, pewno nie ieſtem tak łatwy, iak tozumie, nie zna mię dobrze, y wcale nic, gdyby mię poznała należycie, obaczyłaby, że nogą nie ucieram noſa. Bez żartu moy *Sanſzo*, rzecze *Don Quiſzott*, iak widzę ty nie ieſteś odemnie mędrſzy, gdy ia zmyślam ſzaleńſtwo. Nie ieſtem ia tak głupi, odmowi *Sanſzo*, ale bardziey gniewliwy, iednak daymy temu pokoy. Tym czaſem, czymże

tu

tu Wć Pan będzieſz żył, Mci Panie, wpoki ia nie powrocę, czy tak Wć Pan będzieſz iak Kardenio, wydzierał chleb po drodze ubogim Paſterzom? Nie fraſuy ſię o to *Sanſzo*, powie *Don Quiſzott*, choćbym miał co ieść, umyśliłem pościć, y nic nie pożywać, tylko zioła z tych łąk, y owoce z drzew co tu roſną, y wybor moiey czynności ieſt umierać od głodu y w tym podobnych umartwieniach. Ale przypomniałem ſobie Mci Panie, rzecze *Sanſzo*, wieſz Wć Pan że ia ſię obawiam, iż nie znaydę tego mieyſca, iak powrocę, tak ieſt ukryte y trudne. Uważay dobrze, odpowie *Don Quiſzott*, ia ſię ztąd nieoddalę, y coraz wlezę na wierzchołek naywyżſzey ſkały, abyś mię mogł ſpoſtrzedz, albo żebym cię uyrzał iadącego drogą, a dla większey pewności możeſz naciąć gałązkow iałowcu y rozrucić po drodze w ſześć krokow po iedney wpoki niewyiedzieſz z laſu na rownine, to ci ſłużyć będzie za znak przewodnika naśladuiąc, nie, Perſeuſza, aby wyſzedł z Labiryntu Kreteńſkiego. Zaraz to zrobię, odpowie

Sanſzo.

Sanſzo. Narznąwſzy pęk gałązkow, przyſzedł wziąść od Pana błogoſławieńſtwo, y rozpłakawſzy ſię oba nad ſobą żałośnie, wſiadł na Roſſinanta. Przyiacielu *Sanſzo*, rzecze mu *Don Quiſzott*, polęcam ci moiego dobrego Konia, miey o nim ſtaranie, iakby o moiey oſobie. *Sanſzo* ieſzcze raz pożegnał ſię z Panem, y puścił ſię w drogę, rozrucaiąc gałązki, iak mu doradził. Nie daleko uiechawſzy, wrocił ſię nazad. *Don Quiſzott* ſpytawſzy czego zapomniał. Mci Panie zdaie mi ſię, że Wć Pan czaſem dobrze mowiſz, y nie źleś Wć Pan powiedział, iż ia powinienbym być świadkiem iednoocznym, niektorych Wć Pana dziwactwow, abym mogł śmiało przyśiądz, iż te cudactwa oczami moiemi oglądałem, lubo to ieſt iedno nie małe ułożenie Wć Pana pokuty. Czym ci tego nie opowiedział *Sanſzo*, odpowie *Don Quiſzott*, żebyś był widocznym, nie iednoocznym świadkiem. Poczekay trochę za pacierz z poł tuzina ich zrobię. Wnet opuściwſzy ſpodnie niſko, odkrył ſię, podſkoczywſzy zatym kilka razy y piętami

mi ſię w tył biiąc, potym dwa koziołki wywrocił głową na doł nogi do gory, okazuiąc widok nie ze wſzyſtkim ozdobny, aż *Sanſzo* odwrocił ſię z koniem, aby więcey nie widzieć, y poiechał zaſpokoiony, iż mogł przyſiądz ſumiennie, że iego Pan był iednoſtaynie głupi. Niechay on ſwoią podroż odprawuie, aż do powrotu, ktory nie za długo naſtąpi.

ROZDZIAŁ XXV.

Dalſze prowadzenie wybiegow miłości zalotnego Rycerza Manchy w Czarney Gorze.

Don *Quiſzott* obnażony od ſpodu, iakośmy go zoſtawili w gorach koziołki wywracaiąc, gdy widział, że *Sanſzo* odiechał, wlazł na wierzchołek ſkały, tam zaczął rozmyślać y przemyślać o iedney trudności, ktorey niemogł ieſzcze ułożyć, co było lepſzego, czyli naśladować Rolanda, w iego zapal-

palczywości, czyli Amadisa w ſmutnych dziwactwach, y tak z ſobą ſam rozmawiaiąc, uważał. Jeżeli Roland był ſilny y waleczny, iak upewniaią, cożby za oſobliwość w tym znaydowała ſię, gdy był zamamiony, iż nie można go było ranić, tylko w podeſzwę u nogi, gdy noſił trzewiki o ſześciu żelaznych podkładkach, iednak te wſzyſtkie ſztuczności iego były daremne dla Bernarda z Karpio, ktory go uduſił w ręku na polach w Roncewo; acz nie naruſzaiąc iego mężności, roztrząśniymy ſzaleńſtwa, bo ieſt rzecz nieomylna, że utracił rozum po znakach, ktore miał; y wiadomości, co mu Paſterz doniośł o zbałamuceniu Angeliki z Medorem młodym Maurem z pięknemi włoſami pokoiowym Agramonta. Więc gdy Rolad nie mogł wątpić, że mu iego Dama tę krzywdę uczyniła; nie znayduię, aby wielkiey rzeczy dokazał w ogłupieniu, y to mi ſię nie zdaie trudne do wykonania. Acz iakbym ia mogł ważnie podobnież poſtępować, gdy nie mam rowney przyczyny, bo przyſiągłbym, że Jeymć Dulcynea z

To-

Toboſo, nigdy w życiu ſwoim nie widziała Maura, y że ieſt tak ieſzcze, iak była, gdy ią Matka urodziła; dla tegobym iey krzywdę iawną czynił, zoſtaiąc bezrozumnym tym ſpoſobem, iak Roland zapamiętały. Uważam z drugiey ſtrony, iż Amadis z Gallii nie tracąc rozumu, y nie przewodząc głupſtw znakomitych, tyleż zachwały nabył w miłości; iak tamten; bo według uwiadomienia o nim nie miał inſzey pobudki czynić tego, co wyrabiał iak że ſię widział pogardzonym od Oriany, ktora mu zabroniła, aby nie pokazywał ſię w iey obecności, wpokiby go nie przywołała. To była prawdziwa y iedyna przyczyna iego zchronienia ſię na ubogą ſkałę z iednym Puſtelnikiem, gdzie obfite łzy wylewał, aż Niebo ſię nad nim zlitowało, pomoc mu zeſławſzy w nayciężſzym iego utrapieniu, y w pośrod oſtrey pokuty. Y to będąc prawdą tak, iak wiem dowodnie. Za coż ia ſobie zadaię ciężkość biegaiąc tak goły? mam mścić ſię na tych drzewach, co mi nic nie winny? y mięſzać wody tych ſtrumieni ſpokoyne, ktore mi będą

dą potrzebne? Niech żyie pamiątka Amadiſa, y niechay będzie naśladowany od *Don Quiſzotta* z Manchy we wſzyſtkim, co będzie mogł potrafić, y aby o mnie mowiono, co o tamtym powiedziano, że chociaż nie dokazał wielkich rzeczy, acz ledwie nie umierał z chęci rozpoczynać ie, bo na koniec ieżeli nie ieſtem odrzucony, ani pogardzony od Dulcynei, czyli nie doſyć na tym, abym był od niey oddalony? nie traćmy tedy ochoty, imieymy ſię dzieła lepſzego. Powracaycie do moiey pamięci, wyborne czyny Amadiſa, y natchniycie mię, zkąd mam zaczynać wſtępować w iego ślady. Pamiętam, iż Nabożeńſtwo zabierało część znaczną iego zabaw. Trzeba podobnież czynić y iść iego przykładem wſzędzie y zawſze, gdyż ia ieſtem Amadis tego wieku, iak tamten był dawnieyſzego. Co czyniło trudność naſzemu pokutnikowi, to iż nie miał przy ſobie Puſtelnika, ktoryby go mogł pocieſzać. Jednakże zeſwoiemi myślami ſię rozwodził, przechodząc ſię po łące, piſząc palcem na piaſku, y na ſkorze z drzew wyrzyna-

iąc wierſze przyſtoſowane do ſmutnego ſtanu iego życia y na pochwały Dulcynei, acz na nieſzczęście nie można było znaleść całych, ktoreby ſię dały wyczytać dobrze, tylko te.

Ozdobne drzewa w Niebo wynieſione,
Co nie zliczone chowacie żywioły,
Roźlicznych farbow wzorem ozdobione,
Przyiemne kwiaty z pachniącemi zioły,
Gdy me przybycie wam tu nieſprzykrzone,
Przyimiycie moie ięki y mozoły.

Niech wam nie raczy wydawać ſię nudno,
Zem przyſzedł śpiewać moią ulgę trudną,
Zalić ſię moich złych przygod kolei,
Ztąd wam wilgotney ochłody przybędzie,
Bo *Don Quiſzott* tu płakać iak woł będzie
Z oddalenia ſię od ſwey Dulcynei
z Toboſo.

To

To mieyſce wybrał kochanek zbyt wierny,
Iſtotna ſzczerość przykład miłośnika
Tu opłakuie bol tayny niezmierny,
Od ulubioney ſwey oczu unika,
Nie wie dla czego? za co? tak mizerny?
Tylko że zgłupiał zbytek go przenika.

Bożek miłośny wiele złego broi,
Powolnym ogniem grzeie go wſkroś zbroi
Męczy iak duſzę w piekle bez nadziei,
Przemyśla, co ma czynić w tey niemocy
Don Quiſzott płacząc we dnie y w poł nocy,
Z nieprzytomności miłey Dulcynei, z Toboſo.

Gdy tak dla ſławy ſwe wyſila zmyſły,
W pośrod ſkał ſzuka przygod, czyni ſkoki,
Klnie ſtokroć razy ſwe głupie zamyſły,
Nie nayduiąc nic, iak twarde opoki,

Głogi y czernie za wſzyſtkie wymyſły,
Co zamiaſt ſławy, ranią, kolą w boki.

Miłość nie pieści, y na to ſię żali,
Iż go nie letko, lecz z oburącz wali
Cienciwą łuku twardą w puſtey kniei,
Mozg mu naruſza ten miłoſny chłopiec,
Don Quiſzott wylał łzow iuż pełen ſkopiec,
Przez oddalenie piękney Dulcynei
z Toboſo.

Te wierſze pobudziły do śmiechu wſzyſtkich, co ie czytali, naybardziey przydatek z Toboſo uśmieſzył ich, bo ſię domyślali, że *Don Quiſzott* piſząc ie, mniemał, iżby ich niezrozumieli, gdyby przepomniał dołożyć ten przydatek z Toboſo, co tak było w iſtocie, iak potym wyznał. Więcey ieſzcze wierſzow naryſował, iakom namienił, ale ich nie można było wyczytać, tylko te iedne. Była to iedna z zabaw naſzego miłoſnego Rycerza w tey puſtyni, iako też wzywać y wywoływać Faunow y Sylwanow z laſow, Nimfow ze źrzodeł y ſtrumieni, oraz żałoſnego Echa, wſzyſtkich

ſtkich zaklinaiąc, aby go ſłuchali, odpowiedali mu y pocieſzali. Potym ſzukał zioł dla pożywienia, oczekuiąc z niecierpliwością powrotu ſwoiego Koniuſzego, y gdyby ſię cokolwiek był zpoźnił, znalazłby Rycerza Smutney poſtaci tak wychudzonego, iżby mu ſię kilka razy muſiał przypatrzyć, nimby go poznał. Zoſtawmy naſzego Jonaka wzdychaiącego y piſzącego wierſze do woli; obaczmy, co ſprawił *Sanſzo* w ſwym poſelſtwie.

Wyiechawſzy z gor obrocił ſię drogą do Toboſo. Nazaiutrz o południu przyiechał do karczmy, gdzie mu ſię przytrafiła przeciwność podrzucania, co tylko ią poznał, ſkora na nim zadrzała, wydawało mu ſię iakby znow widział ſię na powietrzu, iuż chciał minąć, y daley iechać, chociaż godzina była obiadowa, y nieborak Koniuſzy głodny był, nie iadłſzy nic od dawnego czaſu; nagląc go iednak potrzeba poſiłku, przybliżył ſię do domu gościnnego, gdy rozmyślał, czyli wſtąpić, czy nie; wyſzło dwoch ludzi z Gościńca, ktorzy, iakby mu byli znaiomi, rze-

rzecze ieden do drugiego. Mci Xięże Plebanie, czy to nie *Sanſzo* Panſa ten, co Ochmiſtrzyni powiedała, że naſz Rycerz wziął z ſobą za Koniuſzego. Ten ſam nie inny, odpowie Pleban, y to ieſt Koń *Don Quiſzotta*. Byli to właśnie Pleban y Balwierz z iego Wſi, ci ſami, co przeglądania y na ogień ukarania kſiąg iego dopełnili, gdy doſtatecznie poznali konia y ieżdżca przymknęli ſię do niego, y Xiądz wołaiąc go po przezwiſku, *Sanſzo*, zapytał go, gdzieś odiechał *Don Quiſzotta*? *Sanſzo* ich także uznał zaraz, umyśliwſzy iednak zataić mieyſce y ſtan, w iakich Pana zoſtawił. Mci Panowie, rzecze, moy Pan ieſt zatrudniony w pewnym mieyſcu wielkiey wagi czynnością nieiaką, ktorey nie mogę wyiawić, choćby mi o życie chodziło. Nie, nie, *Sanſzo* Panſa moy przyiacielu, rzecze Balwierz, nie tak łatwo nas ſię pozbędzieſz, ieżeli nam nie powieſz, gdzieś podział Pana *Don Quiſzotta*, będziemy mieli porozumienie, żeś go zabił, aby mu konia ukraść. Słowem powiedz nam, gdzie ieſt twoy Pan, albo ſię gotuy

tuy iść do więzienia. Mci Panowie, Mciwi Dobrodzieie iąkaiąc się, rzecze *Sanszo*, nie trzeba mi tak wiele pogróżek czynić; nie iestem ia człowiek, żebym zabiiał, albo kradł, iestem Chrześcianin. Moy Pan siedzi w Gorach pokutuiąc, iak może; y niewstrzymuiąc się daley powiedział im ciągiem w iakim stanie go zostawił, y przygody, ktore mu się trafiły, on zaś iedzie z listem do Jeymci Dulcynei z Toboso corki Wawrzeńca Korchicelo, w ktorey się niezmiernie pokochał. Xiądz y Balwierz zadziwieni mocno z tego, co im opowiedział *Sanszo*, y lubo dość wiadomi byli szaleństwa *Don Quiszotta*, nie mogli iednak wyiść z zadumienia, iż codziennie nowych gorszych głupstwow przyczyniał. Ządali widzieć list, ktory *Don Quiszott* pisał do Dulcynei, odpowiedział *Sanszo*, iż był napisany na książeczce pamięci, maiąc rozkaz Pana, aby go kazał przepisać na pięknym papierze w pierwszey Wsi po drodze; a że Xiądz powiedział, iż go sam przepisze iak naykształtniey, włożył rękę za suknią szukaiąc książeczki,

ale

ale nie mogąc znaleść, zapomniał iey znać wziąść, albo *Don Quiszott* zamyśliwszy się, nie oddał y zatrzymał u siebie. *Sanszo* widząc, że szukał prozno tam, gdzie ią miał schować. Pot zimny wystąpił na niego, iak gdyby miał duszę wyzionąć. Jeszcze kilka razy poszukawszy, y omacawszy się po sukniach wszędzie, oglądaiąc się w koło siebie ze sto razy na wszystkie strony, czy gdzie nie upuścił, ale widząc, ze bez nadziei znalezienia został, obie garści przytuliwszy do brody z połowę iey sobie wyrwał, y wraz pięć czy sześć razy pięścią w gębę, w nos, y w zęby uderzywszy się, rozkrwawił mocno. Xiądz y Balwierz nie mogąc zdążyć zabronić mu, spytali się, co miał za przyczynę tak się pastwić nad sobą. Co mam? odpowie *Sanszo*, otom stracił tedyż y z ręki do ręki trzy osiołki, z ktorych każdy wart był wioski. Jak to? odezwie się Balwierz, zgubiłem, rzecze *Sanszo*, książeczkę, gdzie był napisany list do Jeymci Dulcynei, y wexel podpisany ręką Pana moiego własną, ktorym zaleca swoiey Siostrzeni-

cy,

cy, aby mi dała trzy osły ze czterech czyli piąciu, co ma w ręku. Opowiedział także stratę swoiego, y znow chciał rozpocząć karać się. Ale Xiądz Pleban mu zabronił, y pocieszył go upewnieniem, iż wyrobi inne pisanie dla niego od Pana na Papierze, iak zwyczay, ponieważ takowe na książeczce nie były ważne, ani Urzędowe; gdy tak iest, rzecze *Sanszo*, niedbam iuż chociem zgubił list do Dulcynei, gdyż go prawie na pamięć umiem, y dam go przepisać, kiedy zechce. Powiedźże nam *Sanszo*, co było w nim, zapyta Balwierz? *Sanszo* zastanowił się trochę, rozmyślaiąc nad wyrazami listu, podrapał się w tył głowy, aby sobie przypomniał, z nogi na nogę przestępował, spoyrzał raz w Niebo, drugi raz na ziemię, ręka na rękę założył, y namyśliwszy się długo, żebym się rozpękł, Mci Xięże Plebanie, rzecze, ieżeli się diabeł do tego nie mięsza, nie mogę sobie przybaczyć nic z tego listu psiego, tylko, że było na początku: Wysoka y samogłodna Damo, musiało być samowładna, rzecze Balwierz, nie-

samo-

ſamogłodna. Tak, tak, prawda, rzecze *Sanſzo*, dobrze mowicie, tak było zaczekaycież, zdaie mi ſię, że było potym. Ten, co ma członki obnażone wyciſkiem iey miazgy ść ſka ręce waſzey wielebności, niewdzięczna y ruchawa piękności. Niewiem, ćo potym przydał o zdrowiu y chorobie, ktore poſyłał, ieſzcze coś dobrego przypiſał, y kończył tym, ieſtem twoy aż do zgonu Rycerz Smutney poſtaci. Pamięć piękna *Sanſza* ucieſzyła ſłuchaiących, ktorzy nalegali na niego, aby kilkarazy powtorzył te wyrazy, żeby ich ſię nauczyli, rozpoczynał tedy trzy czy cztery razy treść liſtu, za każdym wiele omyłkow y ſłow przewroconych dołożył. Przytym ieſzcze wypowiedział wſzyſtko, co wiedział o ſwoim Panie od początku, iak z ſobą ſzukać przygod wyiechali; ale o ſobie nie wſpomniał y ſłowa względem podrzucania na powietrzu w Karczmie, także im y to donioſł, iż gdy pomyślne odpiſanie przywiezie od Jeymci Dulcynei, *Don Quiſzott* zaraz udać ſię zechce w podroż, aby ſpieſzno zrobić ſię Ceſarzem, lub

wiel-

wielkim Monarchą, tak ſobie ułożyli między ſobą, co nie było trudno iego Panu, maiąc tak wiele męſtwa y ſiły, to zrobiwſzy miał go ożenić, bo będzie zapewne wdowcem, z iedną Panną Dworſką Ceſarzowey dziedziczką wielkiego Państwa na lądzie, bez żadney wyſpy, gdyż mu ſię iuż te ſprzykrzyły. *Sanſzo* opowiedział to tak ſpokoynym umyſłem, y zimną krwią ocieraiąc ſobie nie coraz nos y brodę, iż Xiądz y Balwierz nie mogli ſię mu wydziwić zadumieni z zaraźliwego głupſtwa *Don Quiſzotta*, ktore było tak mocne, iż pomięſzało zmyſły w tak krotkim czaſie tego ubogiego człowieka. Niechcieli tracić czaſu wyprowadzeniem go z błędu, widząc, iż w tym nie było nic ſzkodliwego iego ſumnieniowi, y wpokiby był pełen tych nadziei głupſtwa pełnych, nie myśliłby źle robić, a do tego radzi byli ucieſzyć ſię z tych dziwactwow. Rzekł tedy Pleban do niego, aby proſił tylko Pana Boga o zdrowie Pana, a za czaſem nie byłoby trudności dla niego zoſtać Ceſarzem, a przynaymniey Arcy-Biſkupem,

pem, albo coś podobnego. Mci Xięże Plebanie, odezwie się *Sanszo*, ieżeliby rzeczy tak miały się obrocić, żeby Jegomość niechciał iuż być Cesarzem, a przyszło mu do głowy zostać Arcy-Biskupem, powiedz mi Wć Pan proszę, co Arcy-Biskupi błędni daią swoim Koniuszym? Zwykle, odpowie Xiądz, czynią ich Zakrystyanami, albo prostą Altaryą, lub też Plebanią daią, ktora nie mało dochodu czyni oprocz przypadkowych pożytkow, ktore tyleż prawie wyniosą. Ale na to trzeba, żeby Koniuszy nie miał żony, y żeby umiał przynaymniey służyć do Mszy. Jeżeli tak iest, pięknie ia trafiłem z deszczu pod rynnę, żonaty iestem, y iak osieł nic nie umiem, co ia za nieszczęśliwy, nie znam ani Abiecadła. Ach coż ze mną będzie! Ja nędzny! ieżeli moy Pan usadzi się, y uprze być Arcy-Biskupem. Niechay cię to nie frasuie przyiacielu *Sanszo*, rzecze Balwierz, będziemy mu o to mowić, y Jmć X. Pleban nakaże mu pod grzechem, aby Cesarzem został, nie Arcy-Biskupem; bo oprocz, że tego

go łatwiey dostąpi, y przystoyniey mu z tym będzie; gdyż ma więcey męstwa niż umieiętności. To y mnie się widzi powie *Sanszo*, chociaż prawdę mowiąc zdaie mi się, że nie masz tego na świecie, czegoby nie umiał. Ja zaś prosić będę Pana Boga, aby mu dał to, co sądzić będzie Jemu nayprzyzwoitszego, y gdzie znaydzie większą sposobność uczynić mi znaczną nadgrodę. Mowisz to rostropnie, rzecze Pleban, y tak czynisz, iak dobry Chrześcianin; ale co naypilnieyszego teraz iest, trzeba Pana twoiego wyprowadzić z tey ostrey y pustey pokuty, ktora mu żadnego pożytku nie przyniesie, y abyśmy się o tym dobrze namyślili, y obiad ziedli, bo iuż sama pora. Weydzimy do Gościeńca. Podźcie Wć Panowie gdy chcecie, rzecze *Sanszo*, ia tu na dworzu czekać będę, y powiem wnet im, dla czego tam weyść niechcę, ale proszę, przyszliycie mi co ciepłego kawał spory zieść, y obroku dla Rossinanta, weszli tedy, y za chwilę Balwierz przyniosł mu iedzenie, powrociwszy do Plebana, y naradziwszy

się

ſię wſpolnie o środkach zamyſłu ich uſkutecznienia. Pleban rzekł, iż wie ieden nie zawodny właśnie przyzwoity do umyſłu *Don Quiſzotta.* Myślę, powie Balwierzowi, przeſtroić ſię za Panienkę obłąkaną, a wy ſię iak naylepiey przybierzecie udaiąc moiego Koniuſzego. Pod tym pozorem poiedziemy do *Don Quiſzotta*, zmyślać będę Pannę zmartwioną, ktora ſzuka wſporu, proſząc go o iedną łaſkę; ktorey iako Rycerz błędny nie może odmowić. Namowię iego, aby iechał ze mną zemścić ſię krzywdy, ktorą mi zrobił Rycerz ieden niewzględny y zdradliwy, proſząc go oraz, aby ode mnie nie żądał odkrycia zaſłony twarzy, wpoki mi nie uczyni ſprawiedliwości z tego ladaco Kawalera. Jeſtem pewny, iż *Don Quiſzott* wſzyſtko uczyni, co zechcemy, tym kſztałtem go używſzy, y tak go wyprowadziemy z mieyſca dzikiego, gdzie ſię znayduie, do domu zawieziemy, a potym obaczemy, ieżeli nie będzie ſpoſobu uleczenia iego głupſtwa.

ROZDZIAŁ XXVI. y XXVII.

Jak Xiądz Pleban y Balwierz uſkutecznili ich przedſiewzięcia z innemi rzeczami wartemi opowiedzenia.

Balwierz znayduiąc wynalazek Plebana wyborny, proſili Goſpodyni o użyczenie kobiecych ſukien y kornetow, ktoremi Pleban, iak mogł tak ſię przyſtroił. Zoſtawiwſzy w zaſtaw nową Sutannę. Balwierz ſobie zrobił brodę wielką z krowiego ogona, ktorego używał Karczmarz do otrzepania kurzawy. Goſpodyni ich ſię ſpytała, coby chcieli robić z temi ſzatami. Pleban iey opowiedział w ktotkich ſłowach ſzaleńſtwo *Don Quiſzotta*, iż potrzebowali, takiego przebrania ſię, aby go wyprowadzić z pomiędzy gor. Karczmarz, y Karczmarka domyślili ſię, iż to byli ich Goście. Pan cudnego Balſamu y Koniuſzy iego podrzucany, opowiedzieli wſzyſtko, co ſię zdarzyło

ło w ich domu, nie przepominaiąc y tego, co *Sanszo* wielką chęć miał zataić.. Gospodyni ustroiła Plebana, y piękną niewcale Panienkę z niego zrobiwszy, iż nie można było widzieć nic osobliwszego, włożyła na niego Spodnicę sukienną z falbaną szeroką na poł łokcia w koło axamitną czarną wystrzepioną, y Korset z bay zieloney z innemi modnemi upstrzeniami, wszystkie tak dobrego gatunku, iż się przechowały od czasow drugiey Krolowy Kastyliyskiey, Xiądz niechciał, aby mu Kornet kobiecy włożono, wsadził tylko na głowę czapeczkę z płotna przeszywaną, ktorey na noc używał, y związał ią na czole podwiązką z czarney kitayki, drugą rozwinąwszy nakształt maski zrobił, ktorą twarz y brodę zakrył, na to wdział Kapelusz na głowę, ktory był tak wielki, iż mu zamiast zasłony od słońca służył, y odziawszy się płaszczem wsiadł na muła bokiem, kobiecym zwyczaiem. Balwierz dosiadłszy także swoiego z brodą z krowiego ogona, ktora mu aż do pasa spadała, pożegnali się z Gospodarzem,

Go-

Gospodynią y dobrą Marytorną; ktora obiecała zmowić Rożaniec, chociaż grześznica za pomyślność ich przedsięwzięcia Chrześciańskiego. Ledwie uiechali krokow pięćdziesiąt, sumienność tchnęła Plebana, iż tak był ubrany, uważył, że nieprzystoyno było Xiędzu przestraiać się za kobietę, chociaż dobrą myślą: rzekł do Balwierza, moy Kumie, odmieńmy suknie, proszę cię, lepiey że wy będziecie za Damę, a ia za Koniuszego, mniey obrażę dostoyność moiego powołania, ktoremu więcey winienem, iak *Don Quiszottowi*, dodaiąc: że bez tey zamiany rozmyślił się daley niepostąpić. *Sanszo* w tym właśnie doiechał ich w drodze, y nie mogł się wstrzymać od śmiechu, widząc te uciesżne Maszkary. Balwierz nie czynił trudności przebrać się za białogłowę, gdy się rozstraiał Xiądz y nauczał go, co miał mowić *Don Quiszottowi*, aby go nakłonić do porzucenia pokuty, y dania mu wsparcia, o ktore go prosić będzie. Balwierz powiedział, iżby umiał y sam to udać, będąc wiadomy Rycerstwa błędnego po-

ſtępowania, niechcąc ſię iednak przebrać, wpokiby ſię do Gor nie zbliżyli. Pleban zaś przyſadził ſobie zaraz dużą brodę, puścili ſię w drogę za przewodnictwem *Sanſza*, ktory iadąc opowiedział, co im ſię zdarzyło z głupim, ktorego napadli w gorach, niewſpominaiąc nic iednak o pieniędzach y tłomoczku; bo ten poczciwiec, chociaż był proſtak, umiał przecież zamilczyć, gdy tego potrzeba było. Nazaiutrz przyiechali tam, gdzie *Sanſzo* gałązki rozrzucił dla znalezienia drogi, uznawſzy mieyſce powiedział, iż ten był przyſtęp do gor, y czas przebrać ſię, ieżeli ſądzili, iż to będzie pomocne do wyprowadzenia Pana iego z pokuty; bo mu ſię wyznali ze ſwoim zamyſłem, przykazuiąc iednak, aby naymnieyſzey rzeczy nie wydał ſię przed *Don Quiſzottem*, iżby ich uznał, przeſtrzegaiąc, ieżeliby mu przyſzło pytać ſię, iakożby zapewne niezaniedbał, czyli oddał liſt iego Dulcynei, aby odpowiedział, iż go w ręce podał, ale że nieumieiąc czytać ani piſać, słownie odpowiedziała, rozkazuiąc, żeby pod karą wpadnie-

nia

nia w iey niełaſkę, przyiechał zaraz do niey, y tego ſzczegulnie od niego żądała. Dodali, że za tym obwieſzczeniem, y coby oni mu ze ſwoiey ſtrony dopowiedzieli, byli pewni, iż odmieni ſpoſob życia, y zaraz ſię uda w podroż, aby zoſtał Ceſarzem, lub Krolem, obawiać ſię zaś niemiał, iżby myślił uczynić ſię Arcy-Biſkupem. Lepiey będzie przyda *Sanſzo*, iż ia przodem poiadę znaleść Pana, y odpowiedź mu przywieść od iego Damy, ktora może dość mieć będzie ſkuteczności wyprowadzić go z tamtąd, żebyście Wć Panowie ſobie tak wiele pracy nie zadawali. Obiecawſzy mu czekać na iego powrot, wiechał przez ciaśninę między gory, zoſtawiwſzy Plebana y Balwierza nad brzegiem ſtrumienia, gdzie niektore drzewa y ſkały zaſłaniaiąc ich od ſłońca, cień miły y chłodny czyniły; ktory tym przyiemnieyſzy im ſię czynił, iż to było w Mieſiącu Sierpniu o trzeciey godzinie po południu, zbytnie w tym mieyſcu panuiąc upały. Zabawiaiąc ſię tam oba uſłyſzeli głos śpiewania, ktory lubo bez żadnego

przygrywania zdawał im się wcale piękny, y podziwienie w nich sprawił, nie mogąc poiąć, iakim przypadkiem mogł się kto wynaleść, coby tak wdzięcznie śpiewał w mieyscu zbyt dzikim y pustym. Bo lubo Wierszopisowie daią się znaydować w pośrod pol y lasow Pasterzom, ktorzy naypowabnieysze głosy wydaią, wiadomo iest: iż to są zmyślania, nierzetelności, ale ci Ichmć rozumieliby się pokrzywdzić, gdyby tak, iak Malarze nieprzydawali ozdob wszystkiemu, co wydaią. Więcey ieszcze zadumieni zostali, gdy usłyszeli wiersze nic prostego, ani wieyskiego niemaiące, iako są następuiące.

Widzę, z kąd moie pochodzi zmięszanie,
Odległość, wzgarda, zawiść y kochanie
Rażą moy umysł, bezsenne wzdychanie
Przyczyną złego dręczą nieustanie.

W takich uciskach, co mam za nadzieię?
Nie znam ratunku, gdy w mękach bo-
leię. Y

Y naymocnieyſze ſpoſobow koleie,
Nie wytrzymaią; każde ſię zachwieie.

Sroga Miłości! ty daieſz przyczynę,
Loſie okrutny! przez twoią to winę,
Slepy twoy zapęd ſprawia, iż ia ginę,
Nieſzczęść, co Niebo ſpuſzcza, iuż nie minę.

Trzeba umierać w tym ſtanie zwątpiony,
Niebo, Los, Miłość, tak chcą, z każdey ſtrony.
Wyroku władza nie znaydzie obrony,
Y prożny każdy odpor im czyniony.

Uleczona być nie może ta rana,
Chyba nieczułość byłaby doznana,
Y ulga żadna nie ieſt przewidziana,
Smierć iedna tylko, lub iaka odmiana

Umrzeć, lub doznać tey przemiany proby,
Stracić kochanie naymilſzey Oſoby,
Czyli ſą zdatne ulżenia ſpoſoby?
Gorſze lekarſtwo od ſamey choroby.

Pię-

Piękność mieyſca, wierſze y głos wdzięczny, ktory śpiewał w mieyſcu tak odludnym nie mało podziwienia y pociechy ſprawiły Plebanowi y Balwierzowi, wſtrzymali ſię czas nieiaki, obaczywſzy, że więcey iuż śpiewaiący nie odzywał ſię, chcieli przybliżyć ſię y poſzukac go, czyby nie mogli mu iakiey przyſługi uczynić, gdy powſtali, chcąc iechać daley, tenże głos zaczął ninieyſze ſłowa śpiewać.

Czyſta przyiaźni, Swięty Bogow darze,
Ktora ſprzykrzywſzy nieſtatecznych ludzi,
Tylko nam pozor zoſtawiaſz, co łudzi,
Do Niebaś poſzła, ku milſzey ofiarze.

Z tamtąd, gdy zechceſz, zſyłaſz nam ſowicie,
Słodkie pokoiu y obfite plony,
Acz zmyślność gruba pod twoiey zaſłony
Pokrywką, niſzczy kraie ziemſkie ſkrycie.

Zſtąp

Zſtąp z Nieba Swięta przyiaźń w ia-
ſney twarzy,
Wygub tu zdradę obrzydłey potwa-
rzy,
Co pod imieniem twym zwodzą fał-
ſzarze,
Pokaż twarz świtną z myślą nieprze-
wrotną,
Przywroć z pokoiem rzetelność iſto-
tną,
Zmieć cień obłudny, podnieś twe
Ołtarze.

Te wierſze były przerwane ięczeniami y głębokiemi wzdychaniami. Pleban y Balwierz zdięci użaleniem y ciekawością, umyślili dowiedzieć ſię, co to była za oſoba tak zaſmucona. Nie daleko uiechawſzy, uyrzeli nad zakrętem gory człowieka wzroſtu y doby, iak *Sanſzo* im opiſał Kardenia, ktory ſpoſtrzegłſzy ich zaſtanowił ſię, ſpuściwſzy głowę na pierſi, iako człowiek głęboko zamyślony, nie podnoſząc oczu dla obaczenia ich. Xiądz, ktory był człowiek miłoſierny, pomiarkowawſzy przez poznaki, iak im *Sanſzo* Pan-

ſa

ſa okryślił go, uznał, iż to był Kardenio, zbliżywſzy ſię do niego, mową zachęcaiącą y ſłowy nalegaiącemi namawiał uſilnie, aby porzucił mieyſce tak okropne, y życie nędzne, w ktorym podawał ſię w niebeſpieczeńſtwo utracić Duſzę, nieſzczęście nad wſzyſtkie nayſtraſznieyſze. Kardenio był w ten czas przy zmyſłach zupełnych, y wolny od napaści ſzaleńſtwa, ktore go tak często porywało. Acz widząc przed ſobą dwoch ludzi inaczey ubranych, niż był zwyczayny oglądać innych w tych gorach, ktorzy z nim rozmawiali, iak gdyby go znali, był nieco zrażony, zważywſzy ich z pilnością, rzekł im na reſztę. Widzę moi Panowie, ktokolwiek ieſteście, iż Niebo zmiłowawſzy ſię nademną, zeſłało was w mieyſce tak oddalone od wſpołeczeńſtwa ludzi, aby mię wyciągnąć z tey okropney puſtyni. Acz że nie wiecie tak dobrze, iak ia doznaię, iż nie wychodzę nigdy z nieſzczęścia, tylko, abym wpadł w gorſze, mniemacie podobno, żem ia nędznik bezrozumny y bez zmyſłow, y nie byłoby dziwno,
że-

żebyście mieli to porozumienie, postrzegam to dobrze, iż same wspomnienie moiey niedoli tak mię mocno mięsza, iż często tracę rozum y pamięć, y uznaię to naybardziey, gdy mi powiedaią, com robił podczas tak przykrych nagabań, okazuiąc mi tego dowody istotne, o ktorych wątpić nie mogę. Atoli coż mam czynić, tylko się użalać na moią niepomyślność, y dać za wymowkę szaleństwa, ktore mi naganiaią, przyczynę, co ie sprawuie, y moich złych przygod obroty, ktore opowiedam każdemu, co ich chce słuchać. Zdaie mi się że mi to folgę czyni, bo iestem przeświadczony, iż ci, co mię słuchaią, bardziey znayduią użalenia godnym, niż winnym; y że litość, co maią nad moiemi uciskami, daie im zapomnieć o moich głupstwach. Jeżeli tu Wć Panowie przybyliście tąż myślą co wielu innych, raczcie wprzod proszę, nimbyście zamyślali odmienić chcieć sposob moiego życia y tu przebywania, wprzod wysłuchać opowiedzenia moich smutnych zdarzeń, y obaczycie, ieżeli przy tak wielu pobud-

kach

kach ſtroſkania moiego, y nie mogąc znaleść pocieſzenia między ludźmi, nie mam przyczyny ſłuſzney oddalenia ſię od nich. Pleban y Balwierz radzi będąc dowiedzieć ſię od niego ſamego powieści iego przygody, gdy im *Sanſzo* część tylko oznaymił, y to niedokładnie, proſili go, aby ią rozpowiedział, upewniaiąc, iż nie mieli inney myśli w tym, tylko go pocieſzyć, y ieżeli można ulgę mu uczynić.

Smutny Rycerz zaczął ſwoie opowiedać przykrości niemal w podobnych wyrazach, iak *Don Quiſzottowi* uczynił, gdy ſię oba zaſadzili na Mayſtra Eliſabeth dla zbytniey dokładności y ściſłości *Don Quiſzotta* zachowania uſtaw Rycerſtwa. Acz Kardenio będąc teraz przy dobrych zmyſłach miał ſpoſobność dokończenia lepiey, przyſzedłſzy do tego mieyſca kartki, ktorą Don Fernand znalazł w kſiążce Amadiſa z Gallii, rzekł, iż ią dobrze pamiętał, y tak była napiſana.

Lucin-

Lucinda do Kardenio.

„ Wynayduię codziennie w twoiey
„ osobie nowe pobudki szacowania cię.
„ Jeżeli mniemasz, że to uczucie iest
„ dla ciebie pomyślne, użyi go na do-
„ bre, iak człowiek poczciwy. Mam
„ Oyca, ktory cię zna, y ktory mię
„ dość kocha, aby się nie sprzeciwił
„ zamysłom moim, gdy ie widzieć bę-
„ dzie przyzwoite. Do ciebie należy
„ okazać mi, iż mię szacuiesz, iak po-
„ wiedasz, y iak ia iestem przeświad-
„ czona.

Ta kartka była mi pobudką do oświadczenia się Oycu Lucindy, y ktora dała tak dobre mniemanie o iey rozumie y cnocie Don Fernandowi, y była mu powodem obalenia moich zamysłow, oznaymiłem temu niebespiecznemu Przyiacielowi odpowiedź Rodzica Lucindy, ktory mi oświadczył, iżby rad wiedział w tym myśl y zdanie moiego Oyca, y żeby sam to uczynił odezwanie; atoli nie śmiałem mu o

to

to mowić, obawiaiąc się, aby mi nieodmowił, nie dla tego, aby nie znał, iż Lucinda miała dosyć urodzenia, cnoty, y piękności, izby nie oszpeciła naylepszego domu w Hiszpanii zacności; ale żem miarkował, żeby mi nie pozwolił żenić się, wpokiby nieobaczył co Xiąże dla mnie zechce wyświadczyć. Don Fernad podiął się mowić z moim Oycem, y nakłonić go, aby z Lucindy Rodzicem zniosł się. Coż ci zawiniłem srogi y niewdzięczny przyiacielu? gdym ci wyiawił skrytość moiego serca, co cie przywiodło zdradzać moią poufałość? Gdy Niebo chce uczynić człowieka nieszczęśliwym, nie podobna przeyrzeć tego, ani zabieżyć, cała ludzka mądrość iest daremna. Ktoby się spodział kiedy, żeby Don Fernand, ktorego urodzenie, zacność, y maiątek mogły prowadzić do naypierwszych zamęściow w Krolestwie, ktory mi okazywał tak siła przyiaźni, y winien mi był tysiąc przysług czynionych mu, mogł ułożyć zamysł, wydrzeć mi iedyne dobro, ktore miało uszczęśliwić

śliwić całe życie moie? Don Fernand widząc, że moia przytomność była zawałą iego zapędow, y myślił pozbyć mię się gładko, tegoż dnia, kiedy się podiął mowić z moim Oycem, umyślnie ztargowawszy sześć koni, prosił mię, abym doiechał do Brata iego po pieniądze dla zapłacenia ich. Nie mogłem pomyślić o iego zdradzie, rozumiałem go pełnym poczciwości y sam byłem w tym zbyt dobrey wiary, aby mieć podeyrzenie na człowieka, ktoregom kochał. Jak mi tylko namienił, czego ode mnie żądał, oświadczyłem się wypełnić to chętnie y niebawnie. W wieczor pożegnałem się z Lucindą, y oznaymiłem iey to, co mi Don Fernand obiecał. Odpowiedziała mi, żądaiąc, abym prętko powracać myślił, nie wątpiąc, iż iak tylko moy Oyciec z iey rozmowi się, rzecz będzie zakończona. Nie wiem, co przeczuwała w tym razie, alem ią widział zbyt ſtroſkaną y łzami zalaną, tak miała ściśnione ſerce, że nimo wyſilenia się nie mogła ſłowa przemowić. Ta noc, ktora

po-

poprzedziła moy odiazd, y miała być wſpolnego pocieſzenia zabawą, dla Lucindy była płaczu y wzdychania nudnością. Ja zoſtawałem pełen zmięſzania ſmutku y zadumienia, nie mogąc zgadnąć przyczyny iey żałości, ktorąm przyznał miłości dla mnie y zaſmuceniu z oddalenia moiego. Na reſztę odiechałem niezmiernie zkłopotany, y obawą iakąś przeniknieny, niewiedząc, czegom ſię miał lękać y zapobiegać. Oddałem liſt Don Fernanda Bratu iego, ktory mi tyſiąc oświadczeń grzeczności uczynił, acz mi zapowiedział, aby ſię nieukazywać Oycu iego, aż za tydzień, bo Don Fernand proſił go o przyſłanie pieniędzy taynie nimo iego wiadomości. Wſzyſtko to było wybiegiem Don Fernanda dla opoźnienia moiego powrotu, ponieważ Brat iego miał ſam gotowe pieniądze, y mogł mię zaraz wyprawić. Dla tego chciałem zaraz odiechać nie bawiąc, choćbym nic nie ſprawił, nie mogąc wytrzymać, być tak długo oddalonym od Lucindy, ani iey zoſtawiać opuſzczoney

ney w ſtanie tym, iak iey odiechałem. Jednakże przezwyciężyłem ſię y zoſtałem; Obawa n razenia moiego Oyca, aby nie popełnić płochości, z ktoreybym ſię nie mogł roſtropnie wymowić, przezwyciężyła moią cierpliwość, y tęſkliwość. We cztery dni po moim przyiezdzie, człowiek nieznaiomy przynioſt mi liſt, ktorym uznał być od Lucindy, odpieczętowałem go drżący, y zadumiony, iz do mnie umyślnego przyſłała, acz nimem go przeczytał, ſpytałem oddawcy, kto mu go oddał, y iak długo bawił w drodze, odpowiedział mi, iż przechodząc trafunkiem przez ulicę około południa, Dama piękna zapłakana zawołała go oknem, y ſpieſzno mu mowiąc: moy Przyiacielu, ieżeli ieſteś Chrześcianin, iako mi ſię zdaie, proſzę cię na miłość Boſką, zaraz iechać, nietracąc czaſu, oddać ten liſt, gdzie należy w ręce właſne. Jednak abyś miał za co doiechać y to wypełnić, czego żądam, daię ci na drogę, w tym przydał, rzuciła mi oknem chuſtkę, gdziem

zna-

znalazł sto Realow, z tym pierścionkiem złotym y listem, gdym ią upewnił, że to uiszczę, co rozkazała, zamknęła okno; Będąc tak dobrze wcześnie zapłacony, y widząc, iż list do Wć Pana był podpisany, ktorego znam dobrze Chwała Bogu, y bardziey ieszcze zmiękczony łzami tey piękney Panny, iak wszystkim, nie chciałem tego powierzyć komu innemu, y w szesnastu godzinach ośmnaście mil uiechałem, iak z tamtąd iest do tego mieysca. Gdy ten człowiek ze mną rozmawiał, boiaźń mię nieznośna obeymowała, aby mi co niepomyślnego nie przyniosł w tym pisaniu, tak mocno zalękniony byłem, iż ledwie się na nogach utrzymałem. Przeczytałem na resztę list Lucindy, w ktorym się to zawierało.

Drugi List Lucindy do Kardenio.

„ Don Fernand uczynił zadosyć
„ słowu danemu Ci, mowienia z mo-
„ im Oycem, ale dla siebie to wy-

„ pełnił,

„ pełnił, co miał dla ciebie uiścić. Sam
„ żąda mię w zamęście. Y moy Oy-
„ ciec zachęcony czcią y zyſkiem,
„ ktory z tego złączenia ſobie obiecu-
„ ie, zezwolił tak dalece, że we dwoch
„ dniach Don Fernand ma mi dać rę-
„ kę, bez żadnych świadkow, tylko
„ Nieba, y niektorych ludzi domo-
„ wych. Sądź o ſtanie moim w ia-
„ kim ieſtem, przez ten, w ktorym
„ ſię możeſz znaydować, y przyież-
„ dzay, gdy możeſz nayprędzey, ſku-
„ tek tey czynności okaże, ieżeli cię
„ kocham. Day Boże, aby ta kar-
„ tka w twoie ręce doſtała ſię, nim
„ moia będzie przymuſzona łączyć ſię
„ z Człowiekiem, ktory tak źle dotrzy-
„ muie ſłowa danego. Bądź zdrow.

Ledwiem ſkończył czytanie tego liſtu, żaraz wyiechałem pełen trwogi nieuſkuteczniwſzy moiego poſłania. W ten czas iawnie poznałem chytrość Don Fernanda, ktory mię dla tego u-myślnie oddalił od Lucindy, aby ko-rzyſtał z moiey nieprzytomności. Złość,

mię wzieła, miłość y żądza gorąca, skrzydeł mi dodały; nazaiutrz rano stanąłem na mieyscu wcześnie, y przechodząc w wieczor koło domu Lucindy, szczęściem ią zastałem w oknie. Poznaliśmy się y przywitali, acz nie iak się spodziewałem z dostatecznym przymileniem, nie tak ią znalazłem szczerą, iak być powinną sądziłem. Kto się może chełpić znać doskonale umysł kobiet, y kto mogł przeniknąć skrytość ich serc. Kardenio, rzecze mi Lucinda, iestem ubrana do ślubu, y czekaią na mnie w pokoiu, aby zakończyć ten Akt, ale moy Oyciec y zdrayca Don Fornand będą świadkami moiey śmierci raczey, niż ślubu. Nietroszcz się moy kochany Kardenio, ale staray się być na tey ofierze przytomnym, upewniam cię, ieżeli moie słowa mieć nie będą dość mocy zabronienia przymusu, ten sztylet zemści mię, y zakończenie życia moiego będzie ci dowodem nie wątpliwym moiey miłości y wierności. Czyń, co należy się, rzekę iey z popędliwością,

y

y niewiedząc, com mowił, niech twoie uczynki uſprawiedliwią twoie ſłowa. Wſzyſtko ważmy dla naſzego wſpolnego zamyſłu uſkutecznienia, y przyrzekam ci, ieżeli moia ſzpada źle cię bronić będzie, przeciwko ſobie ią obrocę raczey, niżeli przeżyć moią hańbę. Niewiem, czy mię uſłyſzała Lucinda, com mowił, bo przyſzli po nią ſpieſzno, powiedaiąc, iż na nią tylko czekano, wſzyſtko było gotowo. Zoſtałem w zaſmuceniu y zmięſzaniu niewypowiedzianym. Zdawało mi ſię widzieć oſtatni raz ſłońce zachodzące, moie oczy y rozum widok światła wraz utraciły. W tym ſrogim ſtanie ſtałem ſię iak nie czuły, y gdyby troſkliwość moiey miłości niewyprowadziła mię z tey zapamiętałości, niezdołałbym trafić do domu Lucindy. Acz przyſzedłſzy do ſiebie, y zważaiąc com iey przyrzekł, y iak mogłem być użytecznym w tak okropney dla nas chwili, wſzedłem nieznacznie podczas krzątania ſię domowych ludzi, nie będąc od nikogo poſtrzeżonym, ukryłem ſię w okna

 głę-

głębokości zasłonioney obiciem, zkąd mogłem widzieć wszystko, co się działo w pokoiu. Niepodobna wypowiedzieć rożnych myśli tłumu, ktore mi przez głowę przechodziły; uwagi, iakiem sobie przekładał, niespokoyności, lękania się, y troskliwości, wszystkie się w moie serce y umysł hurmem cisnęły, acz niesłużąc do tey powieści, opuszczę ie. Don Fernand wszedł do sali w sukniach zwyczaynych bez żadnego przybrania, wraz z nim idąc Brat Stryieczny Lucindy. Inni byli tylko domowi. Po małey chwili wyszła Lucinda z innego pokoiu prowadzona od Matki, za nią dwie Panny służące; była ustroiona naypiękniey, y przyzwoicie do swoiego stanu, iak ten dzień uroczystości wymagał, acz wzburzenie moich zmysłow, w ktorym się znaydowałem, niedozwoliło mi uważać dostatecznie stroiu całego. To tylko pamiętam, iż suknia była inkarnatowego koloru z białemi kwiatami, y że miała dość pereł y kleynotow na głowie, ale wszystko gasiła kształtność iey

uro-

urody, ktorą była przyozdobiona więcey, niż inną powierzchownością. O! pamięci okrutna, nieprzyiazna na zaboy moiey ſpokoyności! Za co mi wyſtawiaſz na oczy tak wyraźnie niewypowiedzianą piękność Lucindy? albo czemu mi nie ukryieſz na wieki tego, com widział ią czyniącą? Moi Panowie przebaczcie mi te narzekania, nie ieſt w moiey mocy wſtrzymać ſię od nich, moia dolegliwość ieſt tak żywa y dotkliwa, iż gwałt ſobie czynić muſzę, abym co ſłowo nie ięczał. Wſzyſcy, ktorzy mieli być przytomnemi tego obrządku zgromadziwſzy ſię w ſali, Xiądz wſzedł, y wziąwſzy za ręce zaślubić mianych, ſpytał ſię Lucindy, ieżeli bierze za Męża Don Fernanda? w tym razie wytchnąłem głowę z za obicia, y choć iuż byłem iak oſłupiały z zatrwożenia, ſłuchałem z pilnością co Lucinda odmowi, oczekuiąc iey odpowiedzi, iak wyroku życia lub śmierci. Ja nieſzczęśliwy! co mię wſtrzymało, żem ſię nie ukazał w ten czas, y nieprzełożyłem Lucindzie, co

mi

mi przyobiecała, y co mi była powinna, iż niszczyła moią pomyślność milczeniem. Za co nie zawołałem na nią; mnieś wiarę przyrzekła Lucindo, y ia tobie, nie możesz innemu ślubować bez występku, y zadania mi śmierci? A ty obłudny Don Fernandzie, ktory gwałcisz śmiało wszystkie obowiązki na przywłaszczenie moiego dobra, rozumiesz, że płonnie mięszasz spokoyność moiego życia, y że mieć będę iakowe względy, ktoreby przytłumiły moią zemstę, gdzie idzie o honor moy y miłość? Ja nedzny! teraz wiem dopiero, com miał w ten czas czynić. Nikczemny! zatrudniasz się teraz uskarżeniem się na nieprzyiaciela, nad ktorym się w ten czas pomścić mogłeś! Zal się na twoie serce, ktore ci nieumiało być przewodnikiem! Giń teraz, iako człowiek bez rozumu, y bez czci, gdyś niewiedział, iak sobie postąpić, alboś był zbyt boiaźliwy, żeś nieśmiał odważyć się. Xiądz czekał odpowiedzi Lucindy, ktora długo rozmyślała, nim ią dała, y gdym się spodziewał, że użyie

ie ſztyletu, aby wyiść z zawiłości przez uczynek wſpaniały, albo ſię wykręci przez iaki wybieg, ktory mi będzie użyteczny, usłyſzałem gdy wyrzekła głoſem słabym y niepewnym, przyimuię go za męża. Don Fernand podobnież powiedziawſzy, oddał im pierścionki ślubne, y na zawſze złączeni zoſtali. Pan młody przybliżył ſię, aby ściſnął ſwoią Oblubienicę, ta położywſzy rękę na ſercu, upadła zemdlona na łono Matki ſwoiey. Co ſię ze mną w ten czas działo, iakie uczułem poburzenie w ſobie y zatrwożenie, gdym uznał obłudność obietnic Lucindy, wſzyſtkie nadzieie moie omyłone, gdy iedno słowo utracało mi na zawſze iedyne dobro, ktore życie moie utrzymywało. Wydawało mi ſię iż zoſtałem celem nienawiści Nieba, y to porzucało mię na ſrogość przeznaczenia. Pomięſzanie y zawrot rozum mi zacmiły, nieprzyiaznym ſtałem ſię ludziom, y naciſk boleści duſzą we mnie łzy y wzdychania, uczułem ſię rozpaczy gwałtowney pełnym, wraz przerażonym zemſtą

ſtą y zawiścią. Zemglenie Lucindy zmięſzało wſzyſtkich obecnych, y Matka ią odſznurowawſzy, aby iey wolne dać odetchnienie, znalezli u niey za ſznorowką papier zapieczętowany, ktory wziął Don Fernand zaraz, y przeczytawſzy go padł na krzeſzło, iako człowiek, ktory dowiedział ſię o rzeczy zbyt trapiącey; y iakby zapomniał że iego żona potrzebowała ratunku. Ja zaś widząc wſzyſtkich domowych zatrudnionych, chciałem wyiść nagle, niedbaiąc, abym był widzianym y odważony gdyby mię uznano, rozruch uczynić dla ukarania zdraycy Don Fernanda, iżby ſię wſzyſcy dowiedzieli o iego podſtępie, moiey zniewadze, y ſłuſzney zemście; Acz wyrok, ktory mię zachowuie, może na większe nieſzczęścia, zoſtawił mi na ten czas trochę rozumu, ktory mię potym wcale odſtąpił. Wyſzedłem, niemſzcząc ſię nad moiemi przeciwnikami, ktorych łatwo było podeyść, chciałem na ſobie wykonać karę, ktora im była należąca, abym ſię pomścił

ścił ſam na ſobie, iżem ſię zaſadzał na wierze ludzkiey. W tym czaſie zaraz porwałem ſię z tego mieyſca, udawſzy ſię w pole, gdzie widząc ſię ſam w cichości, y ciemności nocy począłem złorzeczyć Don Fernandowi, ktoremu tyle przekleńſtw nadałem, iak gdybym z tąd folgi ſzukał, ktorey potrzebowałem, y nadgrodzenia krzywdy, co mi wyrządził, mogł pozyſkać. Wywoływałem z gniewem przeciwko Lucindzie, wymowki iey czyniąc, y zarzuty, iak gdyby była obecna do wyſłuchania ich, nazywałem ią okrutną, niewdzięczną, wiarołomną, poſądziłem ią o niedotrzymanie mi ſłowa y wiary; dla zyſku podłego y obrzydłego. Ja com iey był zawſze wiernie y ſzczerze przywiązanym, iż nademnie przenoſiła Don Fernanda, ktorego ledwie znała, mniey może dla wynioſłości ſtanu, a więcey dla chciwości. Pomiędzy temi zapalczywościami, y w pośrod zapędu moiey zawziętości, oſtatek miłości wymawiał znow przedemną Lucindę. Zważałem ią wychowaną w do-
ſko-

ſkonałym uſzanowaniu dla Oyca, y będąc z przyrodzenia powolną y boiaźliwą, poſłuſzną ſtała ſię z przymuſem przeciwko ſwoiey ſkłonności, iż odmawiaiąc Panicza wyſokiego urodzenia, przyſtoynego y bogatego przeciwko woli Rodzicow, mogłaby ſię obawiać dać o ſobie porozumienie na świecie, złych poſtępkow, y podeyrzenia iey ſławie przeciwnego. Ale znow wywoływałem za co niewyiawiła związkow przyſięgi co nas łączą? Co za wſtyd iey zabronił? czyby nie była ſłuſznie wſtrzymana przyiąć rękę Don Fernanda z tego powodu? kto iey zatamował oświadczenia ſię dla mnie? tylko pycha y zyſk, boć ia nie ieſtem człowiek, abym mogł być od niey pogardzonym; y moie ogłoſzenie ſię dla niey nie czyni iey wſtydu; tak dalece, że gdyby nie ten zdradliwy człowiek, iey Rodziceby mi nie byli iey odmowili. Ach ¡wielkości światowa nieprzyiazna moiey ſpokoyności y ſławie! Bogactwa bałwochwalne dla duſz podłych, coście zrobiły na zepſowanie

cnoty Lucindy? Bezwſtydny Don Fernandzie! iakiegoś użył omamienia na zwiedzenie iey?

Reſztę nocy ſtrawiłem iadąc w zamyſłach y troſkach niezmiernych; nazaiutrz rano przybyłem doweyścia tych gor, gdzie przez trzy dni błąkałem ſię żadney pewney nie biorąc przed ſię drogi, a żem wyiechał na pola, gdzie ſpotkawſzy Paſterzow, ſpytałem ſię, ktore było mieyſce naydzikſze tych ſkał. To mi okazali, gdziem ſię udał w myśli zakończyć tu moie ſmutne życie. Wiechawſzy po między opoki, muł moy padł y zdechł od głodu y zmordowania, zoſtałem ſię bez ſił, bez pomocy, tak znużony, że ledwiem ſię mogł na nogach utrzymać. Padłem na ziemię, y leżałem, niewiem, iak długo, iak nie żywy, z kąd ocuciwſzy ſię wſtałem, nie czuiąc ſmaku y chęci do iedzenia, widziałem wedle ſiebie Paſterzow, ktorzy mi zapewne ratunku dodali, iakiego potrzebowałem, lubom o tym nie pamiętał, co czynili ze mną, bo mi tylko powiedzie-

li,

li, iż mię znalezli w nędznym ſtanie, wiele od rzeczy mowiącego, ſądzili, żem rozum ſtracił. Sam po tym uznałem od tego czaſu, iż go niemam zupełnego, y wiele ſzaleńſtw popełniam nimo moiey woli, rozdzieraiąc ſuknie, wrzeſzcząc ze wſzyſtkich ſił w pośrod tych ſkał, przeklinaiąc moy los nieſzczęśliwy, y powtarzaiąc częſto imię Lucindy, nie maiąc inney myśli, iak umrzeć, mianuiąc ią. A gdy do ſiebie przychodzę czaſami, znayduię ſię zmęczony, y zturbowany, iak gdybym z ciężkiey pracy wyſzedł. Zwykle na noc ſię chronię w drzewo wypruchniałe, ktore dość grube ieſt, iż mi ſłuży za domek. Paſterze, co paſą trzody na tych gorach, z litości ku mnie, kładą mi chleb y inne żywności w mieyſcach, gdzie mniemaią, iż mogę ie napaść przechodząc, bo chociaż niemal wcale rozum utraciłem, przyrodzenie iednak poczuwa ſwoie potrzeby, y natchnienie naucza mię ſzukać iey. Czaſem ci dobrzy ludzie, gdy mię widzą trochę przy rozumie, żalą ſię, iż

im

im gwałtem zabieram pożywienie, y ieſzcze ich biię, chociaż mi chętnie y z dobrego ſerca daią, o co ich proſzę. To mię martwi nieznośnie, y obiecuię im lepiey ſię w dalſzym czaſie obchodzić. Otoż moi Panowie tym ſpoſobem moie życie mizerne prowadzę, oczekuiąc, aż Niebo inaczey rozrządzi, albo zmiłuie ſię nademną, y da mi utracić pamięć piękności y niewdzięczności Lucindy, y zdrady Don Fernanda. Jeżeli tak ſię zyiści nim umrę, ſpodziewam ſię, iż pomięſzanie moiego rozumu przeminie. Proſzę iednak Nieba weyrzyć na mnie okiem miłoſierdzia ſwoiego, bo domyślam ſię, iż ten ſpoſob życia moiego nie może mu ſię ſpodobać; y owſzem go gniewać; acz przyznaię, iż nie mam ſił wziąść inne przed ſię ułożenie ſam przez ſię; moie niepomyślności gnębią mię, y ſiły moie przewyżſzaią; Rozum moy oraz tak ieſt oſłabiony, iż zamiaſt być mi iaką pomocą, przeciwne myśli y uczynki we mnie ſprawuie. Przyznaycie moi Panowie, iżeście nie ſłyſzeli przy-

gody

gody żałośnieyſzey y dziwnieyſzey iak moia, iż moy żal ieſt ſprawiedliwy, y nie można mniey okazać ſmutku y rozpaczy. Lucinda była iedynym w mych przykrościach pocieſzeniem, muſzę umierać, gdy mię odſtępuie y porzuca, da a mi to poznać, iż na życie moie chce naſtępować, gdy Don Fernanda nade mnie obrała, więc chcę iey wydać ſię na ofiarę, y aż do oſtatniego zgonu dopełniać, czego żądała.

Kardenio tu zakończył powieść ſwoiey nayſmutnieyſzey niedoli, y gdy Pleban przyſpoſabiał ſię do pocieſzenia go, przeſzkodziły mu narzekania, ktore uſłyſzeli, y ich baczność zciągnęły. Obaczemy co to będzie w czwartey części; bo Cid Hamet Benengely tu kończy trzecią.

Koniec pierwſzego Tomu.

~~[illegible]~~

mno | [illegible] | [illegible] | [illegible]



